

Greg Dinallo
Definitywne odpowiedzi

Przełożył TOMASZ WILUSZ
Tytuł oryginału FINAL ANSWERS
Ilustracja na okładce KLAUDIUSZ MAJKOWSKI
Redakcja merytoryczna JOANNA ŁUCZYŃSKA
Redakcja techniczna ANNAWARDZAŁA
Korektor MARIA OLSZEWSKA

Tym, których los pozostaje nieznany i tym, którzy żyją w niepewności

Od Autora

Za pomoc w skompletowaniu niezbędnych danych składam wyrazy podziękowania: ppłk. Johnie E. Webb, Jr., szefowi CIL - Centralnego Biura Informacji, sierżantom Richardowi Hustonowi i Thornowi Helegesenowi - pracownikom CIL; ponadto Johnowi-wi Vieira, mojemu znajomemu, rzeczoznawcy w sprawach ubezpieczeń i emerytur, szefowi firmy Towers Perrin oraz jego współpracownikowi Gordonowi Gouldowi. Dziękuję również następującym osobom: Betsy Cox i Kelly Murphy z NLF - Krajowego Stowarzyszenia Rodzin; Paulowi Gray z NPRC - Państwowego Centrum Akt Personalnych; Johnowi Holmanowi i Wandzie Ruffin z towarzystwa Przyjaciół Pomnika Weteranów Wojny Wietnamskiej; Rayo-wi Moreau z Electronic Data Systems Corp., który zaprojektował system „Kontakt”; Frankowi Johnowi, emerytowanemu majorowi Sił Powietrznych USA; Shari Lawrence z Wydziału ds. Kadr Wojskowych; majorowi Ronaldowi Fuchsowi z Sił Powietrznych; Norze Alter i Loris Mirelli ze stanowego uniwersytetu Pennsylvanii; i moim kolegom scenarzystom - Bur-tonowi Armusowi i Joe Gunnowi, byłym pracownikom policji nowojorskiej i Los Angeles.

Definitywne odpowiedzi

„/.../ 2700000 odbyło służbę, 300000 odniosło obrażenia, 75000 zostało inwalidami, 57 000 zmarło, a los ponad 2 500 pozostaje nieznany. Nie zapomnieliśmy o nich”

Z ceremonii wmurowania kamienia węgielnego pod pomnik Weteranów Wojny Wietnamskiej.

13 listopada 1982 roku

1

- Przepowiadam przyszłość - mówię od niechcienia, bo wiem, że zaintryguję moją rozmówczynię - i jestem w tym dobry - tak, to właśnie mówię, kiedy na którymś z niezliczonych przyjęć ktoś pyta o mój zawód. Jeżeli to nie wystarczy, dodaję, iż robię to na zlecenie najgrubszych ryb amerykańskiego świata biznesu.

Mina klejącej się do mnie matrony wskazuje, że oczami wyobraźni widzi ryzykowne transakcje giełdowe dokonywane przy mojej wydatnej pomocy. Ale wystarczy, gdy dodam, że pracuję jako rzeczoznawca do sprawach ubezpieczeń i emerytur, czyli - inaczej mówiąc - marnuję długie godziny przewidując na podstawie statystyki, kto kiedy umrze - czar natychmiast pryska.

Na jej ustach pojawia się sztuczny, wymuszony uśmiech, dopija szampana, nie patrząc ile alkoholu zostało w kieliszku i nim zdążę dodać, że dwa najważniejsze dla mnie terminy to prawdopodobieństwo i śmierć, rozmówczyni oddala się w poszukiwaniu miejsca, w którym ktoś należy jej następną kolejkę.

Zwykle wytrzymują do chwili, gdy zaczynam opowieść, że od czasu zakończenia czynnej służby wojskowej ponad dwadzieścia lat temu zrozumiałem, iż moja obecna fascynacja jest wynikiem tego, co wtedy przeżyłem. Widmo Wietnamu niezawodnie odstrasza wszystkich potencjalnych rozmówców.

W dzieciństwie nie myślałem wiele o śmierci. Nie byłem jednym z tych, którzy lubią podpalać mrówki. Byłem zdolnym, znudzonym chłopakiem - chodziłem na wagary i przesiadywałem w parku

Fenway zajęty wyliczaniem zalet Teda Williamsa*, albo w kinie na Podwójnym ubezpieczeniu. Dodam, że zawsze byłem po stronie chytrego inspektora ubezpieczeniowego, którego grał Edward G. Robinson, inaczej niż wielbiciele Barbary Stanwyck i Freda Mac-Murraya, pary kochanków-morderców. Nie skończyłem dwudziestu lat, kiedy spotkałem się ze śmiercią w jej najstraszniejszej postaci.

Decyzja, którą podjąłem, wydawała mi się wówczas wspaniałym pomysłem. Przez dwanaście lat nauki w szkole katolickiej wpajano mi, że gniew Boga jest niczym w porównaniu z groźbą rozprzestrzeniania się komunizmu. Podstawowe przygotowanie do służby poszło jak z płatka, zgłosiłem się do szkoły kadetów, i wylądowałem w komandosach.

W pierwszym tygodniu października 1967 roku byłem już w Wietnamie. Skończyła się właśnie pora monsunów i ponownie zaczynano wysyłać oddziały z zadaniem zlokalizowania i zniszczenia sił nieprzyjaciela. Dostałem przydział do jednostki kontr-wywiadowczej i wkrótce siedziałem już w śmigłowcu Huey, który miał wylądować w Laosie, piętnaście kilometrów za granicą z Wietnamem.

- Koty, nauczycie się wszystkiego podczas akcji. Nie mamy czasu się opierdalać - powiedział dowódca oddziału, gdy wznieśliśmy się nad dżunglę. Mówił z akcentem typowym dla mieszkańców wschodniego Teksasu. Miał dwadzieścia dwa lata i był już twardym doświadczonym sierżantem. Jego chłodne spojrzenie zdawało się ukrywać nienawiść do wszystkiego, a zwłaszcza do nowo przydzielanych jebanych gnojek, przez których pewnie mu przyjdzie kiedyś zginąć. Niech tylko jeden coś spierdoli...

- Ściągnij identyfikatory, jelonku - mruknął wpatrzony we mnie - wsadź je do butów. Popatrz jak ja to robię: zdjął metalowe płytki z łańcuszka na szyi, rozwiązał sznurówki i włożył identyfikator pod język buta, po czym nawłókł sznurowadła z powrotem, przeciągając je tym razem również przez dziurkę w płycie. To samo zrobił z drugą - jakby coś takiego nagle zaczęło dzwonić, gdy będziesz przedzierał się przez dżunglę, to daleko nie zajdziesz.

Kilka razy okrążyliśmy miejsce lądowania, po czym helikopter zawisł nad nim przez dłuższą chwilę. Gdy w końcu osiadł na ziemi, z zarośli wyłoniła się mała pulchna skośnooka dziewczynka - miała może siedem, osiem lat, nie więcej - zaczęła biec w naszym kierunku.

Sierżant przykucnął w drzwiach, bacznie ją obserwując. Gdy zbliżyła się na odległość około sześciu metrów, z zimną krwią puścił serię z M-16. Kule wbiły się w pierś dziecka; poleciała bezwładnie do tyłu, jakby uderzona przez rozpędzoną ciężarówkę, po czym upadła, a groteskowe spazmy wstrząsały jej drobnym ciałem.

- O Boże! - krzyknąłem przerażony. Wszystko to, czego mnie tutaj nauczono, uleciało gdzieś w jednej chwili; byłem teraz znowu uczniem liceum. - Boże, przecież to był dzieciak! Kurwa mać, to tylko dzieciak!

Sierżant skinął obojętnie głową, po czym zeskoczył na ziemię. Patrol wytoczył się za nim. Trzej szeregowcy podeszli do leżącego w trawie znieruchomiałego ciała.

- Tu nie ma czegoś takiego - mruknął sierżant, podczas gdy reszta oddziału ustawiła się na obwodzie okręgu wytyczającego miejsce lądowania.

- To znaczy czego? - zapytałem ze złością.

- Małych, grubych, żółtych bachorów. Po prostu nie ma. Zapamiętajcie to sobie.

Nie byłem pewien, o co mu chodzi, i gdy się zastanawiałem, rozległ się ogłuszający wybuch i upadliśmy na ziemię przysypani deszczem okrwawionych szczątków. Gdy wreszcie podnieśliśmy się, zobaczyliśmy dymiący krater wielkości sporego garażu. Trup dziewczynki wyleciał w powietrze, zabijając trzech żołnierzy próbujących rozbroić przymocowane do jej klatki piersiowej dziesięć kilo plastiku. Gdyby zdążyła dobiec do helikoptera, skończylibyśmy tak wszyscy.

Całą okolicę przykrywały szczątki zabitych. Zebranie, identyfikacja i włożenie ich do toreb zajęło nam dobrych kilka godzin. Kiedy skończyliśmy, mój mundur był pochlapany krwią i pokryty wyschniętymi kawałkami ciał kolegów. Próbowałem zeskrobać je ostrzem noża, ale w końcu - podobnie jak wszyscy - zrobiłem to paznokciami. Już nie pamiętam, ile razy wtedy wymiotowałem.

Sześć miesięcy później stałem się kopią mojego pierwszego dowódcy - belki, chłodne spojrzenie. Teraz to ja szkolę nowych. Ostrzegam ich:

- Jeśli jesteście w środku tej pieprzonej dżungli i zobaczycie dobrze utrzymaną ścieżkę, za żadną cenę nie próbujcie nią iść. Nigdy, nigdy nie wchodzić przez bramę - zawsze przez ogrodzenie. Do chat tylko przez okno, a nie, kurwa mać, przez drzwi - zawsze postępowałem zgodnie z tymi zasadami, a i tak mało co mnie nie rąbnęli.

Wojska północnowietnamskie zorganizowały wzdłuż Szlaku Ho Chi Minha sieć punktów, w których przechowywano broń, żywność, ubrania i sprzęt. Szlak prowadził przez południowy Laos. Wszystkie „magazyny” były świetnie ukryte i nie można ich było zobaczyć z helikoptera.

Moja jednostka została przerzucona do prowincji Champasak, gdzie mieliśmy przeprowadzić serię operacji typu „zlokalizować-zniszczyć”. Główną siedzibę operacyjną wroga na południe od Thateng odkryliśmy dopiero po kilku dniach błędzenia. Tym razem nie mogliśmy postąpić zgodnie z ustaloną procedurą: wrzucić do środka kilka granatów, żeby załatwić żółtków i zdetonować wszelkie pułapki. Rozkaz brzmiał: wziąć ich żywcem. Obszedłem chatę i wszedłem do środka przez okno. Zaczepiłem nogą o ukryty w słomie przewód, co spowodowało wybuch schowanej pod podłogą miny. W nogi wbiła mi się seria odłamków. Siła wybuchu była tak duża, że wyleciałem z powrotem przez okno i wylądowałem w krzakach. Na szczęście znaleźli mnie dwaj kumple. Pojawili się Wietnamczycy i rozpętało się piekło. Nasi żołnierze padali jak muchy.

Ja miałem szczęście.

Moi ludzie zanieśli mnie na lądowisko, gdzie do czasu przybycia helikoptera medycznego zajął się mną lekarz. Obudziłem się w szpitalu polowym z obandażowanymi nogami. Tydzień później trafiłem do szpitala w Sajgonie, a potem spędziłem jeszcze kilka miesięcy w klinice rehabilitacyjnej w Tripler na Hawajach.

Szczęście nadal mnie nie opuszczało. Dziewczyna, w której się kochałem jeszcze w liceum, cierpliwie na mnie czekała.

Nancy była inteligentna, współczująca i nie opuściła mnie w tych ciężkich czasach. Wzięliśmy ślub i wyjechaliśmy do Kalifornii. Gdyby nie ona, nie wiem, jak przetrwałbym to wszystko: poczucie winy wobec tych, którzy zginęli, wyrzuty sumienia z powodu tego co robiłem, by przeżyć - rozczerwanie po okrytej złą sławą wojnie i nocne koszmary, w których na nowo przeżywałem tamte, wypełnione śmiercią, dni. Nancy nie tylko koła moje rozdygotane nerwy; przez cały ten czas zarabiała na nas oboje ucząc w szkole, podczas gdy ja kończyłem studia ekonomiczne. Równie dobrze poradziła sobie i potem - otworzyła interes i wychowywała dzieci, nie tracąc ducha ani poczucia humoru.

Teraz, po latach, nasze dwie córki studiuja, a jedynym naszym problemem jest dziwna pustka w domu. Przyjechały na święta Bożego Narodzenia, ale zanim się obejrzałem, już ich nie było. Coraz bardziej odczuwamy ich brak.

Muszę wyjechać na parę dni do Waszyngtonu. Kongres chce wprowadzić ustawę zmieniającą system ubezpieczeń społecznych. Mój instytut od lat dostarczał danych różnym programom federalnym dotyczącym ubezpieczeń i emerytur, no i ja mam zeznawać przed Komisją jako ekspert. Na szczęście podróż wypadnie w czasie ferii szkolnych, i Nancy, która uczy w liceum, będzie mogła ze mną pojechać.

Samolot wylądował na lotnisku Dulles International późnym popołudniem. Było zimno i nieprzyjemnie mżyło. Pojechaliśmy taksówką do Hay Adams, który może rywalizować z najlepszymi londyńskimi hotelami. Nasz apartament jest duży i umeblowany antykami. Łukowe okna wychodzą na plac Lafayette, nieco dalej widnieje kontur Białego Domu. Wzięliśmy prysznic, przebraliśmy się i zeszliśmy na dół na małe przyjęcie wydane przez członków Komisji. Tam właśnie przyczepiła się do mnie ta matrona. Wkrótce było dla mnie jasne, że poza krótką rozmową z tą damą nic lepszego nie może się tu zdarzyć. Zdecydowaliśmy więc z Nancy wrócić wcześniej na górę.

O świcie okazało się, że nieprzyjemna mżawka zmieniła się w śnieg. Mam się stawić przed Komisją dopiero po lunchu, więc ubieramy się ciepło i idziemy zwiedzać stolicę kraju. Zaczynamy od pomnika Waszyngtona. Posąg rzuca błądź cień na Ogrody Konstytucji, gdzie wzniesiono

pomnik Weteranów Wojny Wietnamskiej.

Ruszamy tam. Prowadzi Nancy.

Przed nami strasznie długa droga.

Z każdym krokiem serce wali mi coraz mocniej.

Tysiące weteranów zjechało do Waszyngtonu w listopadzie 1982 roku na uroczystości odsłonięcia pomnika. Nie czułem już gniewu. Miałem rodzinę i przed sobą wspaniałe perspektywy. Rany były zaleczone. Nie chciałem ich rozdrapywać. Ale przez wszystkie te lata czułem, że ta ściana przyciąga mnie do siebie. Sporo o niej czytałem. Wiem, że jest dziełem Mai Ying Lin, studentki architektury na Yale, której projekt wygrał konkurs. Wiem, że wzbudził wiele sporów i dyskusji, nie zawsze utrzymanych w granicach dobrego smaku; że został przyjęty, sfinansowany i zrealizowany mimo protestów i zadziwiającej obojętności społeczeństwa; że oblewały go łzy i bywał natchnieniem dla poetów; że w betonowym fundamencie miejsce ostatecznego spoczynku znalazło purpurowe serce zabitego pilota.

Wchodzimy na mały pagórek, gdzie w kępie nagich drzew stoją trzej wykuci z brązu żołnierze. Śnieg pokrywa ich tropikalne mundury. Daleko poniżej wyłania się z białej ziemi granitowa ściana. U jej podnóża, w warstwie miękkiego śniegu, widać flagi, wieńce, kwiaty, zdjęcia, dewocjonalia i rozmaite pamiątki z wojny, wszystko to ślady po odwiedzających. Schodzimy łagodnym zboczem ku pokrytej kostką ścieżce biegnącej wzdłuż ściany. Po chwili czarny granit znajduje się już nad naszymi głowami, po lewej i prawej stronie jedno pod drugim - 58176 nazwisk.

- Zupełnie jak wejście do grobowca - szepcze Nancy.

Nie mogę odpowiedzieć, z powagą kiwam głową. Tyle przeczytałem, tyle słyszałem, ale nie spodziewałem się czegoś takiego - żadnego skurczu w gardle, żadnego wzruszenia, żadnych emocji wobec odwagi, ofiarności i oddania wypisanych na tej surowej, martwej, granitowej ścianie. Wokół mnie spadają duże płatki śniegu, kiedy zaczynam czytać nazwiska umieszczone w kolejności chronologicznej, nie alfabetycznej. Ci, którzy zginęli razem, tutaj też są razem. Odnajduję ich wszystkich - tych, którymi dowodziłem; tych, którzy umierali w moich ramionach; tych, których pokochałem jak rodzonych braci i wreszcie tych, którzy zginęli, zanim zdążyłem ich poznać.

Dotykam mokrego granitu, wspominając wszystko to, przez co razem przeszliśmy i wtedy dostrzegam jeszcze jedno znane mi nazwisko. Delikatnie odgarniam śnieg, który zdążył przykryć litery. Przez chwilę stoję ze wzrokiem wbitym w ścianę i staram się zrozumieć coś, co nie ma najmniejszego sensu.

- Nancy? Chodź, zobacz - mówię łamiącym się głosem. - Nancy? - powtarzam bezskutecznie. Jak miliony innych, którzy odwiedzają to miejsce, stoi przytłoczona ogromem tragedii i zagubiona we własnych myślach.

- Nancy? Chodź. Chcę ci coś pokazać - powtarzam.

- Wiesz - mówi i podchodzi do mnie - następnym razem, zanim wyślemy choćby jednego żołnierza na wojnę, następnym razem... prezydent powinien tu przyjść ...a potem, jeśli nadal będzie uważał to za najlepsze wyjście... - wzrusza ramionami i urywa.

Przytakuje skinieniem głowy, przygryzam dolną wargę i delikatnie dotykam ściany.

- Zobacz.

Nancy zbliża się do wskazywanego przeze mnie miejsca, a tam, w samym środku płyty 50E, widnieje wyryte w granicie nazwisko: A. CALYERT MORGAN - to moje nazwisko.

2

- Liczba ludzi żyjących współcześnie stanowi sześćdziesiąt procent ludności żyjącej na przestrzeni wszystkich pozostałych wieków - senator odczytuje mój raport przekazany Komisji Kongresu - a ponadto w wyniku lepszej opieki medycznej, sposobu odżywiania, popularności ćwiczeń fizycznych i ogólnej troski

o zdrowie oraz pomimo epidemii, głodu, wojen, edukacji seksualnej

i środków antykoncepcyjnych, liczba ta stopniowo się zwiększa - przerywa, zdejmując okulary i spogląda na mnie czekając na jakiś komentarz.

Patrzę na niego pustym wzrokiem. Słyszę jego słowa - nic nie znaczące dźwięki. Czuję się dobrze i jako ekspert nie mogę być zdekoncentrowany lub nieprzygotowany do przedstawienia swojego

stanowiska; ale między mną a członkami Komisji stoi ściana pokryta nazwiskami wyrytymi w czarnym granicie.

- Te dane - senator stara się skłonić mnie do zabrania głosu -co mają wspólnego z ustawą dotyczącą ubezpieczeń społecznych?

- Jak by to powiedzieć - mówię, szybko zbierając myśli. -W analizie opartej na prawdopodobieństwie ważne jest to, co zdarzyło się w przeszłości. Może będzie to bardziej jasne, gdy porównam tę metodę do handicapu w wyścigach konnych.

Rozlega się śmiech - zarówno na widowni, jak i na podium zajmowanym przez Komisję. Rodzina senatora od wielu pokoleń zajmuje się hodowlą koni wyścigowych. Napisali o tym w prospekcie przedstawiającym członków Komisji.

W oczach senatora pojawia się oburzenie. Podnosi dokument przypominający książkę telefoniczną i gwałtownie wyrzuca z siebie:

- Panie Morgan, czyżby chciał pan porównać nasz projekt ustawy do kuponu na wyścigach konnych?

- Jeśli mam być szczery, senatorze, to do analizy jednego i drugiego używam tego samego programu.

Senator próbuje się powstrzymać, ale w końcu nie wytrzymuje i śmieje się wraz z resztą obecnych.

- Sporo pan musiał wygrać - dodaje tonem znawcy.

- Trochę wygrałem, fakt. Ale przejdźmy do rzeczy. Obliczanie prawdopodobieństwa i w związku z tym przewidywanie tego, co laikowi wydaje się niemożliwe, jest dla nas, ekspertów ubezpieczeniowych, swoistym hobby. Powiem więcej, mamy to we krwi. Biorąc to pod uwagę - mówię dalej, wykorzystując rozbudzone zainteresowanie słuchaczy - odpowiedź na pytanie, czy ta ustawa spełni swoje zadanie, zależy od dokładności, z jaką jesteśmy w stanie przewidzieć średnią długość życia ludzkiego. Osobiście uważam, że część naszych danych statystycznych pozostaje w zdecydowanej sprzeczności z rzeczywistością - potem przekonuję Komisję, że do ustawy należałoby wprowadzić całą serię poprawek.

- Komisja składa panu podziękowania za poświęcenie nam jakże cennego czasu, a ja zapewniam pana, że pańskie wnioski zostaną wnikliwie rozpatrzone.

Wnikliwie rozpatrzone? Czy ja nie mówię właśnie tego, gdy uważam, że któryś z moich pracowników wyskakuje z pomysłem, który nie ma szans na realizację? Czuję się rozczarowany i sfrustrowany; ale dzięki temu zapominam na chwilę o granitowej ścianie. Jednak w drodze powrotnej do hotelu i podczas kolacji nie mogę przestać o tym myśleć.

- Nie przejmuj się tak - radzi Nancy - pewnie nie byłeś jedynym Calem M organem w Wietnamie.

- W moim plucie innego nie było. A tam, na pomniku, obok mojego nazwiska są nazwiska tych, którzy zginęli w zasadzce w Thateng. To moi ludzie.

- Wszystko jest możliwe - stwierdza, a w jej oczach pojawia się ów złośliwy błysk, który oznacza, że za chwilę dowiedzie swojej bezwzględnej przewagi - w końcu każdy średnio uzdolniony rzeczoznawca ubezpieczeniowy powinien wiedzieć, że prawdopodobieństwo takiego zdarzenia wynosi około jednej sześćdziesiątej-tysięcznej.

Uśmiecham się, ale to „A.” nie daje mi spokoju. Pamiętam jak jeszcze w liceum Nancy drażniła się ze mną. Ario? Archibald? Adlai? - zgadywała, i w końcu zgadła wymieniając imię Angus. Dano mi je po moim prapradziadku ze Szkocji. Od tego czasu przyjęła się między nami ta słowna zabawa: „A” jak „ale jesteś dowcipny”, „A” jak „ach, jaki jesteś mądry”, „A” jak „a co jeśli tego nie zrobię” itp.

Siedzimy na łóżku w pokoju hotelowym. Nancy jednym okiem ogląda jakiś stary film w telewizji i jednocześnie przegląda prace swoich uczniów. Ja pracuję na komputerze.

Compaq LTE to moja ulubiona zabawka: procesor 386 z szybkością 20 megaherców, czas dostępu - 18 milisekund, twardy dysk o pojemności 60 MB, ekran plazmowy VGA, zasilacz NiCad, modem wewnętrzny, waga - ok. 4 kg, rozmiarem zbliżony do paczki papieru maszynowego. Daje sobie radę z analizami statystycznymi, ma edytor tekstów, arkusz kalkulacyjny i bardzo wysokiej jakości program brydżowy, no i oczywiście wszelkie obliczenia matematyczne to dla niego drobiazg. Właśnie przeprowadzam analizę średniej długości życia ludzkiego w USA, kiedy nagle coś

przychodzi mi do głowy.

- A jak „absurd” - myślę głośno. - Nazwisko na murze nie może być moje.
 - A dlaczego? - pyta Nancy
 - No bo jeśli jest moje, to musiałoby to oznaczać, że figuruję tam jako zabity podczas akcji.
 - Pewnie tak - mówi, wyraźnie zastanawiając się, do czego właściwie zmierzam.
 - A wtedy powiadomiono by o tym moich rodziców.
 - Fakt, ale przecież ich nie powiadomiono. Kiwam głową, a po chwili dodają:
 - A może?
 - Nie rozumiem.
 - A jeśli dowiedzieli się, że zginąłem, a potem okazało się to pomyłką i odczuli taką ulgę, że postanowili nigdy nikomu o tym nie wspomnieć? Wiesz, jacy są przesądni ci południowcy - sięgam ręką po telefon.
 - Dzwonisz do nich?
 - Czemu nie? Jeśli było tak jak myślę, to problem z głowy, nieprawdaż?
- Nancy przytakuje, a ja zaczynam wykręcać numer.
- Tato, to ja, Cal - w tle brzęczy telewizor. Wyobrażam sobie teraz ojca pochłoniętego bez reszty kibicowaniem swojej drużynie koszykówki.
 - Cześć. Gratulacje, nieźle ci dzisiaj poszło.
 - Dzięki. Skąd wiedziałeś?
 - Pokazywali w telewizji na C-Span. Aż chciałem powiedzieć tym kongresmanom coś takiego, żeby im w pięty poszło.
 - Zamiast narzekać, przecież mógłbyś...
 - Napisać do tego, na którego głosowałem? Tak właśnie zrobiłem. Myślisz, że obchodzą ich tacy starzy nudziarze jak ja czy...
 - Tato? Tato, chciałem cię o coś spytać.
 - Proszę cię bardzo. Przepraszam, że się tak rozgadałem.
 - Może to trochę dziwnie zabrzmiało, ale... czy kiedy byłem w Wietnamie... czy dostaliście wiadomość o mojej śmierci?
 - Śmierci? - mówi po dłuższej przerwie - nie. Broń Boże.
 - Jesteś pewien? Nie było żadnego omyłkowego zawiadomienia?
 - Nie. Na pewno. Rodzice nie byliby w stanie zapomnieć czegoś takiego.
 - Pewnie masz rację.
 - Poinformowano nas, że jesteś ranny. Już to było wystarczająco potworne. O co ci właściwie chodzi?
 - To nic ważnego - słyszę lekkie drżenie w jego głosie i wiem, że nie powinienem go zmuszać do przeżywania jeszcze raz tamtych dni. - A propos, widziałeś, jak Bird wczoraj szalał na boisku? - pytam, szybko zmieniając temat. Ojciec od razu daje się wciągnąć i przez dziesięć minut dyskutujemy o szansach Boston Celtics na mistrzostwo NBA.
 - Chyba się zdenerwował - rzuca Nancy, kiedy odkładam słuchawkę.
 - Trochę. Ale to minie.
 - A jak ty się czujesz?
 - Numer jeden, kochanie - mówię. W slangu wojskowym powiedzenie „numer jeden” oznacza wspaniale, cudownie. Ci, którzy wracali do domu żywi, byli numer jeden, no i jakoś niepostrzeżenie to wyrażenie wkradło się do moich rozmów z Nancy.
- Nancy uśmiecha się. Dobrze wie, czego dotyczy mój problem: dostałem zaszczytu, na który nie zasłużyłem. Przecież żyję...
- Cal - mówi po namyśle, spoglądając mi w oczy - chyba powinniśmy się dowiedzieć?
- Wzdycham ciężko na myśl o wszechwładnej biurokracji, z którą będę musiał się zetknąć i kiwam głową. Odwracam się do komputera, wychodzę z programu symulacyjnego i wczytuję mój rozkład dnia.
- Cały dzień zajęty. Same spotkania. Jutro nie da rady.

- Ja jutro nie mam nic do roboty.
- A Georgetown? Miałas się tam wybrać. Nancy wzrusza ramionami.
- Może uda mi się załatwić jedno i drugie. Jak nie, to przecież Georgetown nie ucieknie.
- Dziękuję - odpowiadam cicho, zadowolony, że ona się tym zajmie.

Lata doświadczeń nauczyły mnie, że ten, kto powiedział: „Jeśli chcesz mieć coś załatwione od ręki, poprosz o to zapracowaną osobę” - miał na myśli moją żonę. Do wszystkich spraw Nancy przygotowuje się niezwykle starannie i angażuje się całkowicie. Dzięki temu może być doskonałym sprzymierzeńcem, ale i groźnym wrogiem. Wiele instytucji w naszej okolicy miało okazję się o tym przekonać.

- Już lepiej? - pyta, słysząc ulgę w moim głosie.
- Jasne, kochanie - kładę się na brzuchu i przyciągam ją do siebie - od czego zaczniesz?
- Od twojego numeru seryjnego.
- Świetny pomysł - mówię, wsuwając rękę pod jej koszulę nocną. - Ktoś musi mieć całą listę.
- Pamiętasz numer? - pyta, przytrzymując moją dłoń.
- Jeden jeden sześć trzy zero jeden siedem cztery trzy - mówię z pamięci.
- Nieźle - w nagrodę uwalnia moją rękę - albo będzie to numer osoby, której nazwisko jest wyryte na ścianie, albo nie.
- Uhm.
- A jeśli numer będzie się zgadzał?
- No to co? - szepczę udając, że nic nie jest w stanie mnie przerazić. Który mężczyzna zachowałby się inaczej w takiej sytuacji?

3

- Jeden jeden sześć trzy zero jeden siedem cztery trzy - mówi Nancy. Patrzę, jak zdejmuje rękawiczki i siada naprzeciwko mnie.

Jesteśmy w Kramer's, księgarni przy Connecticut Avenue, zaraz na północ od Dupont Circle. Słyszeliśmy o tym miejscu od przyjaciół i zdecydowaliśmy, że świetnie się nadaje na spotkanie mające uwieńczyć ten dzień. Okazuje się, że trafiliśmy do ulubionego miejsca spotkań intelektualistów z całego Dystryktu Kolumbia. Na dworze panuje przenikliwy mróz, toteż zainteresowanie klientów skupia się na filiżankach z gorącą kawą, a stosy książek na regałach pozostawiono niejako własnemu losowi.

- Jesteś pewna, że to był mój numer? Nancy z powagą kiwa głową.
- Przykro mi, miałam nadzieję, że będzie inaczej. Widziałam na komputerze przy twoim nazwisku. Głęboko wciągam powietrze. Wypijam duszkiem kawę, próbując zwalczyć opanowujące mnie dziwne mdłości, po czym zamawiam u kelnera kolejną filiżankę. Nancy prosi o gorącą czekoladę.
- Gdzie to sprawdzałaś? - pytam wreszcie.
- Podaje mi broszurę z nagłówkiem FWM - „Przyjaciele Pomnika Weteranów Wojny Wietnamskiej”. Z pierwszego akapitu wynika, że FWM jest niezależną, niedochodową organizacją, która pomaga weteranom i ich rodzinom odnaleźć się po latach oraz zdobywa fundusze na utrzymanie pomnika.
- Ich numer był w książce telefonicznej - wyjaśnia Nancy. - Pomyślałam, że jeśli ktoś ma listę wszystkich nazwisk wyrytych na ścianie pomnika - muszą to być właśnie oni.

- Skąd o nich wiedziałaś?
- Raz do roku przysyłają nam wiadomość o zbiorce pieniędzy na pomnik.
- Naprawdę?
- Tak. Zawsze coś wpłacam.

Uśmiecham się i kiwam głową z podziwem. Jak zwykle Nancy była na tyle cwana, by uzyskać potrzebną informację bez wplątywania się w nieprzeniknioną machinę biurokratyczną.

- Czy coś mówili, kiedy dowiedzieli się, że to pomyłka?
- Szczerze mówiąc, urzędnik, z którym rozmawiałam, nie wyglądał na zbyt zaskoczonego. Właściwie... - Nancy przerywa, chcąc najwyraźniej zwiększyć napięcie swojej dramatycznej opowieści - ...powiedział, że nie jesteś jedyny.

- Tak? - pytam, nieco zdziwiony.

Kiwa głową, otwiera notes i wyciąga go w moim kierunku. Na samym dole kartki, pośród

gmatwaniny różnych niewyraźnych zapisków, widzę trzy nazwiska: Robert Bedeker, Willard Craig i Darrell Lausch.

- Oni też trafili na pomnik?

- Uhm.

- A są żywi, zdrowi i mieszkają w USA?

- Tak mi powiedział. Wziął to z komputera. Ich baza danych zawiera wszystkich wymienionych na murze.

- Mówił może, jak mogło do tego dojść?

- Tak. Mówił, że we wszystkich trzech wypadkach. pomyłki były wynikiem błędów w raportach.

- To znaczy, że kogoś rannego uznano za nieboszczyka.

- Dokładnie. Za wcześniej ich spisano na straty.

- Właściwie to nic dziwnego.

- Masz rację, facet mówił, że tak naprawdę to tych pomyłek powinno być o wiele więcej.

Wspominał jeszcze o czymś - chyba określił to jako punkty zbioru. Nie wiem o co mu chodziło.

Miałam wrażenie, że nie chciał rozwijać tematu.

A co w tym dziwnego? Punkty zbioru w dżungli były niby kasa w sklepie: miejsca, w których obliczano cenę wojny. Tam właśnie

dostarczano ciała zmarłych żołnierzy. Leżały w workach ułożonych jak stos szczap na rozpałkę, tuż obok przepelnionych chłodni. Powietrze przesiąknięte było zapachem śmierci, nie cappuccino.

Przypominam sobie ten drażniący nozdrza obrzydliwy odór i natychmiast widzę obrazy z przeszłości: wioska, chata, okno, wybuch, ból, moi ludzie niosący mnie przez wysoką trawę, głosy lekarzy, ukłucia igieł, okrzyki „Helikopter! Helikopter!”, zagłuszane przez silnik i strzały z karabinów maszynowych. Kule z broni wroga przecinają powietrze z głośnym świstem, dziurawią metal i ciało w chwili, gdy przerażeni osiemnastoletni chłopcy wnoszą mnie do kabiny. A potem... poprzez mgłę morfinową znany rytm utworu „Dock of the Bay” i błysk, który po chwili okazuje się uśmiechem.

- Dobrze jest, żołnierzu - powiedziała sympatyczna pielęgniarka ze szpitala polowego.

- To „OT”? - spytałem słabo, biorąc pod uwagę najgorszą możliwość.

- Nie, nie - odparła, zapewniając mnie, że nie jestem na tzw. „Oddziale Truposzy”, gdzie przyjmowano beznadziejne przypadki i pozwalano im spokojnie umrzeć. Balet to już chyba nie wchodzi w grę -zażartowała - ale chłopcy naprawdę świetnie cię pocerowali.

- Kup im parę Pakietów Rozweselających ode mnie, dobra? -poprosiłem. Pakiety zawierały dziesięć skrętów przypominających do złudzenia papierosy. A może nie, kup im lepiej setki. Setki były dłuższe i nasączone opium. „Dziesięć za dziesięć” - wydzielali się sprzedawcy i trzeba przyznać, że interes szedł świetnie.

- Nie ma sprawy. Komu mają to zawdzięczać?

- Calowi Morganowi, sierżantowi kompanii G - odparłem i wyrecytowałem swój numer seryjny -dlaczego o to pytasz?

- Nie miałeś przy sobie żadnego dowodu tożsamości, nawet identyfikatorów. Pewnie wsadziłeś je do butów?

- Uhm.

- Nie miałeś butów na nogach. Pewnie lekarze zdjęli ci je przed rozpoczęciem ewakuacji, a porządku to oni prędko się nie nauczą -dała mi jeszcze jeden zastrzyk morfiny i nagle wszystko się rozplęnęło.

Wpatruję się w odbicie światła w mojej kawie, gdy głos Nancy wrywa mnie z zadumy.

- Cal, wszystko w porządku? - pyta zaniepokojona. - Cal, o co chodzi?

- Moje buty - mamroczę.

- Buty? A co one mają wspólnego z urzędniczą pomyłką?

- To nie była urzędnicza pomyłka - mówię i nagle .wszystko jest jasne.

- Dlaczego nie?

- Z trzech powodów. Po pierwsze, po tym co mówił ojciec możemy być pewni, że nie zostałem umieszczony w spisie zabitych przez pomyłkę tak jak tamci.

- A pozostałe dwa powody?

- Moje identyfikatory.

Od dwudziestu czterech lat nie wspominałem jej o zdarzeniu w szpitalu polowym. Wiem jednak, że ona pamięta. Poznają to po sposobie, w jaki na mnie patrzy.

- Miałem rany na nogach, więc zdjęli mi buty i spodnie. Moje identyfikatory i dowód tożsamości były w butach i w kieszeni spodni.

- Myślisz, że przypisano je komuś innemu?

- Uhm. Komuś, kto miał mniej szczęścia niż ja i nie przeżył.

- No tak, ale co z jego identyfikatorami i dowodem? W twoich dokumentach było twoje zdjęcie.

Czy to nie wzbudziło niczych podejrzeń?

- Może tak, może nie.

- Poza tym mówiłeś przecież, że tożsamość stwierdzano nie tylko na podstawie identyfikatorów.

- Chodzi ci o odciski palców i akta dentystyczne?

Nancy przytakuje i przechyla głowę w kierunku stolika obok. Siedzi tam ukryty za rozłożoną gazetą mężczyzna, który nas chyba podsłuchuje.

- To nie zawsze było możliwe - mówię to obojętnie, po raz pierwszy od wielu lat. - Wiesz, ile widziałem ciał bez rąk, bez głów? Kiedy tylko któryś z kotów wlaź w pułapkę Vietcongu, ci, którzy cudem przeżyli, musieli przez kilka następnych godzin zbierać szczątki swoich kumpli; potem je identyfikować i wkładać do worków. Następnie helikopter zostawiał te worki w punkcie zbioru, gdzie harujący czternaście godzin na dobę pracownik musiał posprawdzać ich zawartość - wciąż rosnącego stosu zapakowanych ciał... W jednym znajduje poszarpany tors, nogi, może zakrwawioną dłoń, kawałki munduru i buty ze zwisającymi z nich identyfikatorami.

- Rozumiem.

- Jeśli mam rację, kimkolwiek był ten biedny palant... - przerywam i przełykam ślinę - to na pomniku powinno być wyryte jego, a nie moje nazwisko.

Nazwiska. Cała ściana pokryta nazwiskami zabitych żołnierzy.

Nie wiem znowu tak dużo o pomniku Weteranów Wojny Wietnamskiej, ale wiem, że Janowi Scruggsowi, człowiekowi, od którego to wszystko się zaczęło, bardzo na nim zależało. Pamiętam, że gdzieś czytałem, jak to któreś nocy obudził go strach, że bohaterowie zostaną zapomniani.

Próbował utopić to zmartwienie w butelce whisky, a kiedy to nie pomogło, postanowił umieścić nazwisko każdego żołnierza, który zginął w Wietnamie, na pomniku, aby ludzie pamiętali. Udało mu się.

Ale brakuje jednego nazwiska.

Teraz wydaje mi się, że jestem pod wpływem tej samej mistycznej, nieznannej siły. Ona nie daje mi spać.

Na budziku jest 6.21.

Nancy jeszcze śpi. Ostrożnie wstaję i podchodzę do okna naszego hotelowego pokoju. Pomnik Waszyngtona okrywa mgła, przeciska się przez nią tylko delikatne, nierealne światło ostrzegawcze błyskające na szczycie posągu. Niżej grupka ludzi, okutanych w chroniące przed mrozem grube kurtki, przemierza plac Lafayette, podążając dwiema ścieżkami stykającymi się przy Białym Domu.

W tej chwili nie mogę nie pomyśleć o decyzjach podejmowanych w tym budynku, o decyzjach takich jak ta, na mocy której podczas rządów czterech prezydentów straciło życie pięćdziesiąt osiem tysięcy ludzi i przez którą teraz cierpię na bezsenność. Nie wiem jak długo stoję przy oknie, kiedy podchodzi do mnie Nancy.

Obejmuje mnie i przytula do siebie. Wokół bezduszna, niczym nie zmałona cisza.

- Znowu cię wzięło? - szepcze w końcu. Oddycham ciężko i przytakuję.

- Ten facet zginął za swoją ojczyznę, kochanie. To jego nazwisko powinno znaleźć się na pomniku.

Cały czas o tym myślę.

- Chyba powinieneś wrócić do domu - mówi, bo wie, że pobyt w nowoczesnym, jasnym domu na wzgórzu w górach Santa Monica zawsze poprawia mi nastrój.

- Możliwe - mówię z powagą w głosie. - Przepraszam, ale nie mogę przestać o nim myśleć. Czy go

powołano do wojska, czy był zawodowcem? Był czarny, biały, brązowy? Żonaty? Miał dzieci, kota i psa? Rodziców? Nic, tylko te pytania. Jeśli to nie moi rodzice zostali powiadomieni, to kto? Co się stało z jego ciałem? Kto zajął się pogrzebem?

- Nie mam pojęcia, Cal - mówi Nancy. Prawie nie słyszę jej głosu. Widzę w jej oczach to, czego nie widziałem od lat: smutek i strach. I obawę przed powrotem do przeszłości, do cierpienia, z którym tak długo się zmagalem. - Jesteś pewien, że to ty musisz odpowiedzieć na te pytania?

- Nie, nie, wcale nie. Ale to moje nazwisko. Więc kto naprawdę tam zginął?

- Ten urzędnik powiedział mi, że zgłosi to Xrmii. To ich błąd, i może naprawienie go powinienes im zostawić.

- Masz rację, chyba powinienem - odpowiadam zrezygnowanym tonem. - Jedyne szkopuł w tym, że jeśli chodzi o mnie, o moje uczucia, to niczego to nie zmieni. Ja po prostu... sam muszę się dowiedzieć, kim on był.

Jeśli jakiś inny żołnierz zginął z moimi identyfikatorami, to najprawdopodobniej musiało to być tego samego dnia i w tej samej okolicy, w której zostałem ranny - by to stwierdzić nie potrzebuję komputera. Był w moim oddziale, plutonie, kompanii lub którejkolwiek z jednostek znajdujących się wówczas w tamtym rejonie -na to wskazuje logika. To typowy przykład podstawowej analizy danych - bierzemy pod uwagę nazwiska wszystkich żołnierzy, eliminujemy tych, którzy trafili na pomnik i tych, którzy przeżyli; w ten sposób zostaje kilka nazwisk, a może nawet tylko to jedno - człowieka, którego los nie został ustalony.

- Masz nazwisko tego urzędnika? - pytam. Wiem, że baza danych FWM będzie najlepszym miejscem na rozpoczęcie poszukiwań.

- Nasz samolot odlatuje o jedenastej - mówi Nancy.

To ostatni dzień w Waszyngtonie. Zapomniałem. Zanim otworzą biuro FWM, upłynie ładnych parę godzin. Wprowadzam dane zdobyte przez Nancy do mojego komputera, po czym wpisuję nazwiska tych żołnierzy z mojej kompanii, które mogę sobie przypomnieć. O 8.45 schodzę na dół po taksówkę. Nancy zostaje w hotelu i pakuje nasze rzeczy.

Główna siedziba „Przyjaciół Pomnika Weteranów Wojny Wietnamskiej” znajduje się około dwóch kilometrów na wschód od Hay Adams. Mieści się w trzypiętrowej kamienicy przerobionej na biurowiec. Parę osób personelu pracuje w dość skromnie umeblowanych pomieszczeniach, w których panuje iście grobowa cisza.

Urzędnik, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o łagodnym głosie, wyraźnie nie czuje się najlepiej w moim towarzystwie - najnowszego członka grupy, którą dość niedelikatnie określiłem mianem „Żywych Trupów”. Informuję go, gdzie i kiedy służyłem i pytam, czy nie wie, w jaki sposób mogę poznać dane tamtego żołnierza.

- Powiadomiłem już podlegające Armii Biuro ds. Ofiar - odpowiada. Potwierdza więc to, co powiedział wcześniej Nancy. -Jeśli chciałby pan, żeby pańskie nazwisko zostało zdjęte z pomnika, muszę pana uprzedzić, że rozpatrywaliśmy podobne sprawy parę lat temu i nikt jak dotąd nie wpadł na pomysł, jak tego dokonać bez zniszczenia pomnika lub zmiany tablic.

- Wolałbym raczej dodać jeszcze jedno - mówię trochę za ostro. - Chciałbym się dowiedzieć, kto z mojej kompanii zginął tamtego dnia w tamtym miejscu. Niestety, nie pamiętam wszystkich nazwisk. Czy macie jakąś bazę danych?

- Jasne. Kompania, data i prowincja - tylko tyle potrzebuję. Mogę nawet sprawdzić wszystkie kompanie przebywające danego dnia w danej okolicy,

- Bardzo proszę - odpowiadam i gdy przekazuję te informacje, nastrój polepsza mi się zdecydowanie. - Kompania G, 18 kwietnia

1968, prowincja Champasak - urzędnik wpisuje wszystko do komputera.

- To najnowszy program - wyjaśnia. - Opracowaliśmy go, by ułatwić kontakt weteranom, ich rodzinom i przyjaciołom. Nazwaliśmy go „Kontakt” - patrzy na ekran, coś wpisuje, po czym podnosi głowę i mówi:

- Spędził pan trochę czasu w Laosie, co?

- Tak, blokowałem ruch na Szlaku. A pan?

- Can Tho. To na południu w delcie. Byłem strzelcem w PBR.

- Siły rzeczne.
- Uhm. Od tamtego czasu nie wsiadłem do łodzi.
- Nie dziwię się.

Rozmawiamy o wojnie. Wydruk gotowy - widzę około dwudziestu pięciu, trzydziestu nazwisk. Wśród nich moje - zupełnie jak na pomniku. Powstrzymuję ogarniającą mnie falę smutku i chowam kartkę do walizki.

- Co teraz powinienem zrobić?
- Żebyśmy mogli zebrać te nazwiska, wszystkie działy Armii przekazały nam listy ofiar. Było w nich dużo błędów; dlatego jeszcze raz sprawdzało NPRC. U nich leżą akta wszystkich, którzy kiedykolwiek służyli w wojsku.

- NPRC?

- Państwowe Centrum Akt Personalnych. Uważam, że to właśnie oni powinni zidentyfikować interesującą pana osobę.

- Dziękuję. Mam jeszcze trochę czasu. Gdzie urzędują, w Pentagonie?

- Och, nie, w St. Louis.

- To znaczy w Missouri?

- Tak. Przepraszam, że nie powiedziałem od razu. To taki spory budynek koło lotniska. Facet, który zajmował się weryfikacją, to pan... - przerywa i sprawdza jakieś notatki - ...Collins. JackCollins. Aż trudno uwierzyć. Jestem w stolicy kraju, otoczony budynkami rządowymi, a dane personalne Armii znajdują się w Missouri. Wracam do hotelu i pytam Nancy, czy nie miałyby ochoty na krótki przystanek w St. Louis.

Wzdycha, wyraźnie przytłoczona tym wszystkim.

- Jeszcze nie sprawdziłam tych prac, a przed rozpoczęciem zajęć muszę być na zebraniu Rady Pedagogicznej...

Postanawiamy, że ona poleci do Los Angeles, a ja do St. Louis. Z samolotem nie mam żadnych problemów, ale nie zastaję pana Collinsa. Sekretarka wyjaśnia, że wyszedł na spotkanie i raczej nie będzie go przed lunchem. Zapisuję się na rozmowę.

Samolot do Lambert-St. Louis International odlatuje za dwie godziny i siedem minut. Zabijam czas próbując sobie przypomnieć kogoś jeszcze z mojej kompanii.

Budynek Państwowego Centrum Akt Personalnych jest blisko lotniska. Czteropiętrowy budynek pokrywa zasłona z betonu i szkła. Nie można powiedzieć, że jest duży - jest olbrzymi, długi jak trzy boiska futbolowe, otoczony akrami samochodów.

Recepcjonistka przyczepia mi identyfikator gościa, po czym prowadzi do biura. Do środka zaprasza mnie krępy mężczyzna o nienagannych manierach. Sprawia wrażenie, jakby każdego dnia miał do czynienia z tysiącami próśb o informacje.

- Jack Collins - mówi ściskając mi dłoń.

Wygląda na to, że jest naprawdę zaintrygowany przyczyną moich odwiedzin. Zawiadamia mnie, że na płycie pomnika znalazło się około czternastu takich pomyłek, z których tylko trzy znane są szerszemu gronu osób. Uchyła się jednak od informacji na temat ludzi z mojej kompanii, którym udało się wrócić z Wietnamu. Zasady są sztywne: dostęp do cudzych danych wymaga pisemnego zezwolenia z Wojskowego Centrum Ewidencji w Virginii. Ponadto odnalezienie moich akt w archiwum zajęłoby mnóstwo czasu. Sugeruję więc, żebyśmy najpierw sprawdzili moje nazwisko na liście ofiar.

Wyciąga wydruk komputerowy grubości encyklopedii. Oznaczony na pierwszej stronie A do M zawiera dane około połowy z tych, którzy zginęli w Wietnamie. Morganowie wypełniają półtorej strony. Jest ich co najmniej ze stu.

- To pan - mówi wskazując na wpis znajdujący się prawie na samym początku, pomiędzy Abraham Bruce a Aubrey Donald. Przy moim nazwisku napisano:

AI 16301743 MORGAN A CALVERT LAA289613SFCE512 / 05 / 68BOSTONT2322 / 3 / 48BC621SM10*10 / 3 / 6863IVBR19.

Zdażyłem się już przyzwyczaić do takiego sposobu zapisu danych, ale każda informacja ma swój własny kod i jestem zbity z tropu jak każdy laik.

- Ma pan klucz pod ręką, czy zna go pan na pamięć?
 - Nie cały - Collins wyjmując teczkę zawierającą klucze. Pierwszy z nich dzieli liczby i litery na kolumny - w tym wypadku jest ich ponad trzydzieści - i wyjaśnia, czego dotyczą. Pozostałe służą do odczytania poszczególnych wpisów.
 - Pierwsza kolumna to formacja - zaczyna -jak się pan zapewne domyśla, A oznacza Armie, w kolumnie następnej po nazwisku oznaczono kraj, w którym nastąpił zgon. LA to Laos, nie, jak mogłoby się wydawać, Los Angeles.
- Zmuszam się do uśmiechu.
- A2 oznacza śmierć od ran zadanych przez wroga.
 - To by się mogło zgadzać - stwierdzam myśląc o żołnierzu, który zginął z moimi identyfikatorami.
 - Dalej: numer sprawy, stopień, pobierany żołd, data śmierci - 12 maja 68. Miejsce urodzenia - Boston; To oznacza, że zgłosił się pan na ochotnika, następne jest...
 - Chwileczkę. 12 maja?
 - Zgadza się.
 - Dziwne. Zostałem ranny 18 kwietnia. Logicznie rzecz biorąc, to ten facet powinien zginąć tego samego dnia, w tej samej prowincji.
 - Ma pan rację - mówi Collins po chwili zastanowienia, po czym przejeżdża palcem po linii danych i zagląda do klucza. -Kod prowincji - 63, 63 to Bolikhamsai.
 - Bolikhamsai? To już naprawdę dziwne. Jest pan tego pewien?
 - Uhm. Czemu pan pyta?
 - Byłem ranny w Champasak - przed oczami staje mi zniszczona mapa Laosu, którą nosiłem ze sobą podczas akcji - Bolikhamsai leży jakieś sześćset, osiemset kilometrów na północ.
- Nie wiem, co powiedzieć. Jak to możliwe, żeby ktoś z moimi identyfikatorami znalazł się tam, co najmniej sześćset kilometrów dalej i w dodatku trzy tygodnie później? Moja teoria legła w gruzach, zanim upłynęły dwadzieścia cztery godziny. Wszystkie zebrane przeze mnie do tej pory dane są nie nie warte.
- Zawsze istnieje możliwość, że ktoś się pomylił przy wpisywaniu informacji, mógł postawić znaczek w niewłaściwym okienku, wcisnąć nie ten klawisz. I nikt potem tego nie sprawdził.
 - Wówczas musiałyby to znaczyć, że ten żołnierz tak naprawdę nie istniał - stwierdzam, rozdarty między ulgą a rozczarowaniem.
 - Możliwe. Z drugiej jednak strony, gdyby w pańskich aktach też była pomyłka - wtedy powiedziałbym, że zginął ktoś inny, ktoś kto miał pana identyfikatory.
 - Można to jakoś sprawdzić?
 - Jasne, wystarczy zajrzeć do pańskich akt. Ale najpierw będzie pan musiał wypełnić stoosiemdziesiątkę - wyjmuję z szuflady formularz, stawia czerwony krzyżyk w lewym dolnym rogu i przesuwa go w moją stronę czubkiem długopisu - proszę nie zapomnieć o podpisie.
- W formularzu 180-106-PROŚBA DOTYCZĄCA UDOSTĘPNIENIA AKT WOJSKOWYCH trzeba wypełnić więcej rubryk niż w ankiecie przed przystąpieniem do egzaminu na studia. Podczas gdy ja pracuję, Collins rozmawia przez telefon.
- Czy to naprawdę zajmie tyle czasu?
- Collins przytakuje skinieniem głowy, po czym zastanawia się nad czymś i przenosi jakieś dane z komputera na kartkę papieru.
- Chodźmy - mówi. Wychodzimy z biura. Zaczyna czytać na głos: drugie piętro, sektor N-W, korytarz dwudziesty szósty, szafa numer osiemdziesiąt cztery, piąta półka, drugie pudło.
 - Pewnie nieźle mi dadzą w kość, że sam się do tego biorę, ale... -wciska przycisk windy i spogląda na mnie smutnym wzrokiem -...straciłem tam bliskiego przyjaciela.
- Jedziemy w ciszy. Po otwarciu drzwi wkraczamy do kanionu z identycznie wyglądających pudeł ułożonych na półkach wysokich szaf. Czuję zapach atramentu i zbutwiałego papieru.
- Jeśli to pana interesuje, to na tysiącu kilometrów kwadratowych mieści się ponad sto milionów teczek. - Przedziera się sprawnie przez ten labirynt, kierując się napisami, spełniającymi tu funkcję znaków drogowych i nazw ulic. Wreszcie stawia drabinę, wspina się, wyjmując jedno z pudeł i niesie je do stołu pod oknem.

Serce zaczyna mi bić żywiej. Otwiera pudło i przerzuca teczki. Tę właśnie znajduje prawie od razu - MORGAN A. CALVERT 116301743- i zaczyna przeglądać zawarte w niej dokumenty, mające razem prawie kilkanaście centymetrów grubości.

- Czego pan szuka?

- Raportu lekarza, który opatrzył pańskie rany.

Wyciąga poźółką kartkę. Widzę napis: WIA 18/04/68 PC LA -ranny podczas akcji, 18 kwietnia 1968, prowincja Champasak, Laos. Wszystko się zgadza.

Odkładamy raport lekarza i badamy pozostałe dokumenty, żeby sprawdzić, czy któryś z nich zawiera błędne dane, które trafiły na listę.

- To chyba wszystko - mówi Collins, kiedy przekonujemy się, że nikt nie popełnił omyłki.

Ku mojemu rozczarowaniu.

- Data śmierci podczas akcji pochodzi z raportu dotyczącego ofiar?

- Tak. Jeśli ktoś natknął się na ciało, bądź jakąkolwiek jego część, i znalazł przy nim pańskie identyfikatory, to musiało to zostać odnotowane.

- Ale nie tutaj - mówię, pewien, że mam rację.

- Zgadza się. To leży w gestii Wydziału Identyfikacji Ofiar. Opadają mi ręce. Czuję, że przegrałem tę walkę.

Collins patrzy na mnie uważnie.

- Lepiej niech się pan do tego przyzwyczai.

- Aż tak źle, co?

Smętnie kiwa głową.

- Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, w co się pan miesza. Niech mi pan wierzy.

- Przecież z uzyskaniem dokumentów pogrzebowych nie powinno być większych problemów.

Wystarczy, że podam swoje nazwisko i numer seryjny.

- Tak. Ale z drugiej strony... - potrząsa głową. - Ale nie ma pewności, że tamten w ogóle był w Armii.

- Nie pomyślałem o tym - mówię nieco zaszokowany.

- O to mi właśnie chodzi. Na pana miejscu zastanowiłbym się poważnie nad sensem ciągnięcia tej sprawy.

Wkładam ręce do kieszeni i w zamyśleniu kiwam głową.

- Czy mogę panu jeszcze w czymś pomóc? Zastanawiam się przez chwilę.

- Chciałbym dostać kopię tego raportu, jeśli jest to możliwe.

- Żaden problem.

Collins rusza w kierunku najbliższej kserokopiarki, a ja zostaję sam pośród akt milionów żołnierzy, którzy odbywali służbę podczas czterech wojen naszego stulecia i myślę jak bardzo każda nowa informacja komplikuje całą sprawę, zamiast pomóc w doprowadzeniu jej do końca. Wciąż nie mam pojęcia, kim jest ten żołnierz, istnieje tylko cień szansy, że odpowiedź jest gdzieś tutaj, wśród akt zabitych, których ciała trafiły do wojskowych kostnic. Może będą to akta oznaczone moim nazwiskiem albo któryś z pozostałych 58176.

5

Znajduję się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad Wielkim Kanionem usadowiony wygodnie na dwóch siedzeniach w pierwszej klasie Boeinga 767. Całą moją uwagę pochłania ekran rozłożonego na kolanach komputera. Przestrogi Collinsa nie zmieniły niczego. Wziąłem od niego adres i numer telefonu Wydziału Identyfikacji Ofiar \ port Sam Houston w San Antonio, i jak tylko samolot oderwał się od ziemi, zacząłem pisać prośbę o dostarczenie mi kopii wszystkich danych umieszczonych przy moim nazwisku i numerze seryjnym.

W Los Angeles jest dopiero 15.35. Zwykle z lotniska odbiera mnie Nancy, dzięki czemu możemy porozmawiać, zanim zwałą się na głowę klienci, komputery i telefony. Jej rangę rover zawiera wszystkie możliwe udogodnienia, poza jednym: telefonem komórkowym. Sama zresztą tak zdecydowała. Dzisiaj jednak wiem, że jej samolot wylądował zaledwie parę godzin przed moim, więc zamiast niej czeka na mnie jeden z kierowców z mojej firmy.

W kilka chwil po lądowaniu siedzę już wygodnie na tylnym siedzeniu lincolna. Jedziemy trasą 405

w kierunku północnym. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcamy w kierunku Santa Monica i wjeżdżamy do tunelu, który wychodzi na autostradę Wybrzeża Pacyfiku. Codziennie wracam tędy z pracy. Ten tunel zawsze kojarzy mi się ze Star Trekiem - zupełnie jakbym się przenosił w czasie i przestrzeni ze świata stresu i wielkomiejskiego tłoku do krainy spokoju i naturalnego piękna.

Wkrótce potem Lincoln wspina się

drogą Malibu Canyon, gdzie pośród gór, skąpane w złotym świetle (zgodnie z projektem naszego architekta), wznoszą się białe nieregularne kształty, uzupełniające niejako ten poszarpany, nierówny krajobraz. Nancy miała rację - powinienem wrócić do domu.

Zamierzam od razu zaszyć się w swojej jaskini i skończyć list do Wydziału, ale rezygnuję. Pływam przez chwilę w basenie, potem siedzimy z Nancy na brzegu i oglądamy zachód słońca. Ale gdy tylko ostatnie bursztynowe promienie giną za nieuchronnie pochłaniającym je horyzontem, znowu zaczynam odczuwać niepokój.

- Lepiej zrób to teraz - mówi.

- Co mam zrobić? - pytam, udając głupiego.

- To, co nie daje ci spokoju. Inaczej nie będę mogła normalnie porozmawiać z tobą przy kolacji.

Idź.

Ubieram się i schodzę do mojej kryjówki. To świetnie wyposażona pracownia komputerowa, której mógłby pozazdrościć mi szef każdej firmy. Kopiuje list z laptopa na komputer PC połączony w sieci z moim biurem, po czym drukuję go na drukarce laserowej. Zaczynam sprawdzać, ale nagle powracam myślą do niezgodności miejsca i czasu. Dopiero wejście Nancy sprowadza mnie na ziemię.

- Długo jeszcze, Cal?

- Przepraszam, duchem byłem gdzie indziej.

- Nie muszę chyba pytać, gdzie? Uśmiecham się i kręcę przecząco głową.

- Myślałem o helikopterach.

- No popatrz, a ja o jedzeniu. Co powiesz na Geoffrey's? - pyta. Geoffrey's to modna restauracja, położona na urwisku podmywanym przez fale Pacyfiku.

- Brzmi nieźle - odpowiadam bez przekonania. Wyłączam komputer i podchodzę do niej - wiesz, że sądząc z listy ofiar, ten, który zginął jako ja, został zabity trzy tygodnie później i na dodatek sześćset kilometrów na północ od miejsca, w którym mnie trafili?

- Dziwne.

- Tak, nie daje mi to spokoju. Właśnie doszedłem do wniosku, że może odpowiedź tkwi w helikopterze medycznym.

- To znaczy?

- Każdy szpital i kostnica obsługiwały kilka miejsc. Możliwe, że moje identyfikatory i mój dowód zostały w helikopterze, którym mnie zabrali.

- I myślisz, że ten sam helikopter znalazł się później w innym rejonie.

- Mogło tak być. Parę tygodni później trafia do tamtej prowincji. Ląduje pod koncentrycznym ostrzałem i wysiadają z niego nowi młodzi ludzie: niektórzy są żywi, inni ranni, paru śmiertelnie. Gdzieś wala się mój dowód i któryś z przerażonych dzieciaków kładzie go przy bezimiennym trupie.

- To możliwe.

- No to co? Nadal nie czuję się lepiej.

- Bo nic nie jadłeś. Wiesz, że jak jesteś głodny, to mózg odmawia ci posłuszeństwa.

- Racja. Potrzebuję białka! Żadnych sałatek, grzybków. Chodź na stek.

Następnego ranka Nancy wychodzi o 7.15. Ja spędzam pół godziny na symulatorze wiosłowania, próbując zrzucić zbędne kalorie i rozmyślając nad tym, czego dowiedziałem się w Waszyngtonie i St. Louis. Czuję, że coś w tym wszystkim nie gra, ale jeszcze nie wiem co. Biorę prysznic, ubieram się < jadę do biura.

Moja firma mieści się w jednym z pokrytych aluminium wieżowców w Century City w pobliżu centrum finansowego. Obok rozciąga się rząd budynków należących do przemysłu elektronicznego i obronnego. Wszystko to w zachodniej części miasta.

Zostawiam auto w podziemnym garażu i wjeżdżam windą na dwudzieste trzecie piętro, którego połowę zajmuje moja firma. Zgodnie z naszą ideą optymalnych warunków pracy wystrój i meble są proste, dekoracje nowoczesne. Wrzucam do skrzynki list zaadresowany do Wydziału Identyfikacji Ofiar i kieruję się do mojego biura. Siadam przy biurku, i wtedy sekretarka przekazuje mi wiadomość, że dzwoni Waszyngton.

Jednak Komisja uwzględniła moją ekspertyzę. Jeden ze współpracowników senatora, któremu została zlecona przeróbka tekstu Ustawy według dostarczonych przeze mnie danych, potrzebuje pomocy. Nie mogę tego załatwić przez telefon, ale sprawa jest na tyle prosta, że zlecam ją jednej z moich urzędniczek, inteligentnej dziewczynie, która pomagała mi w przygotowaniu raportu, po czym spotykam się z grupą rzeczoznawców, by przeanalizować błędy w badaniu średniej emerytury.

Nie ma żadnych wątpliwości - nasza ankieta została źle skonstruowana.

- Ze śmieci nie wybuduje się pałacu - pouczam. - Źle sformułowane pytania na pewno nie dadzą właściwych odpowiedzi. Dlatego też... -przerwywam. Olśnienie. Już wiem, co dziś rano nie dawało mi spokoju. Do tej pory kierowały mną tylko uczucia i impuls, brakowało racjonalizacji. Nie podjąłem próby zdefiniowania problemu i zaplanowania konkretnych działań w celu rozwikłania go. Zostaję sam w biurze i dzwonię do Państwowego Centrum Akt Personalnych.

- Już pan wie, o co w tym wszystkim chodzi? - pyta natychmiast Collins.

- Zmieniłem podejście do sprawy.

- Oj, panie Morgan, chyba nie wiem, o co panu chodzi.

- Zadawałem niewłaściwe pytania - mówię. A teraz mi głupio, że objechałem swoich pracowników.

- Cały czas próbowałem się dowiedzieć, przy czyich zwłokach odnaleziono moje identyfikatory, a przecież powinienem raczej spytać: w jaki sposób wojsko „rozliczyło się” z tego faceta? Skoro jego ciało lub jego szczątki zostały zidentyfikowane jako moje, to co - ich zdaniem - stało się z nim? Jak zareagowali, kiedy nie znaleźli go ani wśród żywych, ani martwych? Mogę być w błędzie, ale widzę tylko dwie możliwości: albo uznali go za zaginionego, albo za dezertera.

- Coś w tym jest.

- Czy może mi pan pomóc?

- Po pierwsze, wątpię, żeby uznali go za dezertera.

- Dlaczego?

- Okoliczności. Żołnierze nie dezertują w takich miejscach jak prowincja Bolikhamsai, czy którekolwiek inne pole bitwy. Widziałem mnóstwo akt wojskowych i wiem, że dezertery byli z reguły widziani po raz ostatni w którymś z większych miast -Sajgonie, Bangkoku czy Chiang Mai.

- W burdelach i naćpani - dodaję nieświadomie i zdaję sobie sprawę, jak wybiórcza stała się moja pamięć. Znałem chłopaków, którzy dezertowali. Nie było ich czasem parę dni, czasem parę tygodni, a niektórzy wciąż uciekają... - to było dawno, ale wierzę, iż to, co pan mówi, ma sens.

- Rozumując logicznie trzeba przyjąć, że najprawdopodobniej znajduje się na liście zaginionych.

Nie ma innej możliwości.

- Można się jakoś upewnić?

- Bez nazwiska nie da rady - przerywa, ale za chwilę dodaje- -Nie wiem, czy to coś da... sprawdzę, co jest pod pańskim nazwiskiem. Proszę zaczekać.

Po chwili słyszę głuchy odgłos, a potem szelest przewracanych stron.

- Jest - mówi Collins - w rubryce oznaczonej „Stan Ciała” napisali CNO, to znaczy - ciała nie odnaleziono.

Tego się zupełnie nie spodziewałem. Jestem kompletnie zaskoczony.

- Nic nie rozumiem - myślę na głos - sądziłem, że moje identyfikatory znalazły się przy jednym z zabitych i dlatego moje nazwisko trafiło na pomnik.

- Też tak myślałem. Dlatego wcześniej tego nie sprawdziłem. Czy pańska rodzina została powiadomiona o pańskiej śmierci?

- Nie. To była jedna z pierwszych rzeczy, o które się dowiadywałem.

- No, to by się zgadzało. Przed wysłaniem wiadomości rodzinie ciało musiało być opisane. Nie było ciała, to i nie było listu.

- Ani żadnych akt - dodaję. Zdaję sobie teraz sprawę, że mój list do Biura Identyfikacji Ofiar był stratą czasu - w każdym razie, przy założeniu, że nikt się nie pomylił wprowadzając dane. A ten, którego poszukuję, istnieje tylko jako jeden z zaginionych w akcji.

- Zgadza się. To już zawęża krąg poszukiwań. Zaginionych jest (tylko około 2300.

- Dwa tysiące trzysta - powtarzam, słysząc po drugiej stronie przerzucanie kartek.

- Dokładnie 2273, przynajmniej według ostatnich danych -poprawia Collins.

Obliczam, że z całkowitej sumy 58176 wyeliminowałem %,093% możliwości.

- No - to mały krok naprzód, ale wciąż nie mam najmniejszego pojęcia, co robić dalej,

- Na pana miejscu spróbowałbym skontaktować się z Krajowym Stowarzyszeniem Rodzin - sugeruje - to autorytet w sprawach osób zaginionych. Jeśli nawet nie będą w stanie pomóc, to poradzą, do kogo się zwrócić.

- A gdzie jest ich biuro? Na Alasce?

- W Waszyngtonie - odpowiada tłumiąc śmiech - ostrzegałem pana.

Kończę rozmowę, biegnę do dziewczyny, której zleciłem rozwiązanie problemu Komisji i sugeruję, żeby zmieniła plany. Nie pojedzie do Waszyngtonu w przyszłym tygodniu. Pojadę ja.

6

Pomimo zawężenia kręgu poszukiwań do 2273 ludzi wciąż pozostaje tyle samo pytań, co odpowiedzi. Nie wygląda na to, żeby przyczyną całego zamieszania była pomyłka przy wprowadzaniu danych. Moje akta personalne są w porządku - wszystko się zgadza - data, miejsce, przyczyna i rodzaj rany. Ale przy moim nazwisku umieszczonym na liście ofiar sprawy zaczynają się komplikować - identyfikatory są bez wątpienia moje, natomiast cała reszta to ktoś inny. Collins uważa, że jakiś anonimowy żołnierz, zabity podczas walki, został omyłkowo uznany za mnie. No tak, ale miejsce i dzień jego śmierci są dość odległe od miejsca i dnia, w którym ja zostałem ranny. Teoria identyfikatorów pozostawionych w helikopterze mogłaby to wyjaśnić; ale, zgodnie z tą koncepcją, ciało żołnierza powinno zostać odnalezione, inaczej moje nazwisko nie trafiłoby na pomnik. A - jak wiadomo z listy ofiar zwłok nie odnaleziono.

Cały mój czas wolny spędzam na konstruowaniu komputerowego modelu wszelkich możliwych kombinacji czasu, miejsca i personelu. Pracuję nad tym już tydzień i nie posunąłem się ani o krok do przodu. Wciąż pozostaje tylko jedna sensowna odpowiedź: człowiek, przy którym odnaleziono moje identyfikatory, jest uznany za zaginionego w akcji. Mam nadzieję, że w rozwikłaniu całej tej zagadki pomoże mi Krajowe Stowarzyszenie Rodzin.

Łąduję na lotnisku Dulles. Wychodzę z samolotu z walizką w dłoni i jadę taksówką na Capitol Hill. Praca związana z uwzględnieniem dostarczonych wcześniej danych do nowej wersji Ustawy została zaplanowana na wczesne godziny ranne -w biurach senatora w Russell Building na Delaware Avenue. Potrwa dobrych kilka dni.

- A cóż pan tu robi - pyta senator, najwyraźniej zdziwiony moim widokiem. - Myślałem, że ktoś pana zastąpi.

- Zmieniłem zdanie - wyznaję i mówię mu o Krajowym Stowarzyszeniu Rodzin.

- Odważni ludzie - stwierdza, unosząc brwi z uznaniem. -Rzucili rękawicę rządowi, i wygrali. Na samym początku nikt nikomu nie ufał. Teraz są jak stare dobre małżeństwo.

- Nie wiedziałem.

- Organizacja powstała w końcu lat sześćdziesiątych. Ludzie mieli już dość wojny, a rząd jakby zapomniał o problemie zaginionych i więźniów wojennych. Prezydenci Stanów Zjednoczonych mieli już inne, ważniejsze sprawy: nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Chinami, Watergate, konflikt Begin-Sadat, rozmowy SALT. Ale ci, których dotknęła wojna, nie dali za wygraną. Pisali listy do władz federalnych, zbierali fundusze, podawali sprawy do sądów i naprawdę wielu napędzili stracha. Teraz jest inaczej. Biorą nawet udział w sprawowaniu władzy jako integralna część GW.

GW? W moim fachu spotykam się ze skrótami niemal na co dzień, ale teraz dochodzę do wniosku, że moja wiedza w tej dziedzinie pozostawia wiele do życzenia.

- Niestety nie wiem, co to jest, senatorze.

- Grupa Wewnętrzna: jej członkami są Departament Obrony, Stanu, Krajowa Rada

Bezpieczeństwa, wywiad wojskowy, Szefowie Połączonych Sztabów oraz właśnie KSR. W spotkaniach z rządami Azji Południowo-Wschodniej uczestniczy przewodniczący Stowarzyszenia, a wszystkie nowe dane dotyczące zaginionych bądź więźniów przekazywane są ich rodzinom, bez względu na ich znaczenie czy wiarygodność. Walka o te prawa była ciężka i długa, proszę mi wierzyć.

Po zakończeniu pierwszego spotkania senator wraz ze swoim sztabem udaje się na posiedzenie Komisji. Ja łapię taksówkę i jadę do budynku Krajowego Stowarzyszenia Rodzin przy Connecticut Avenue. Nastrój jest tu zupełnie inny niż w biurach „Przyjaciół Pomnika Weteranów Wojny Wietnamskiej”. Tam panowała wręcz zadziwiająca cisza, tutaj nieprzerwanie dzwonią telefony, urzędnicy

siedzą przy długich stołach zajęci porządkowaniem informacji, przygotowaniem korespondencji, rozmowami telefonicznymi. Przypomina to finał kwesty telewizyjnej.

Podchodzę do biurka zajmowanego przez młodą kobietę, która właśnie rozmawia przez telefon. Nie wygląda na wiele starszą od moich córek. Otacza ją aura prawości i wręcz boskiego natchnienia. Jest tak zajęta, że opuszczam przydługi wstęp - historię odkrycia na pomniku mojego nazwiska i tego wszystkiego, co nastąpiło potem - mówię tylko, że mam informacje, które w razie zgodności z życiorysem któregoś z zaginionych mogą przyczynić się do ustalenia czyjejś tożsamości.

- Przykro mi, panie Morgan. Nie mamy tych danych na komputerze - wyjaśnia. Przekazuje plik karteczek z uzyskanymi przez telefon informacjami przechodzącej za moimi plecami kobiecie. -

Mamy tylko adresy ludzi, którzy biorą udział w akcjach zbierania funduszy i pisania listów do władz. Nic poza tym.

- Przecież jesteście ekspertami w tej dziedzinie. Trudno mi uwierzyć, że nie macie żadnych danych dotyczących zaginionych żołnierzy.

- Oczywiście, że jesteśmy i mamy mnóstwo danych - pokazuje mi zajmujące całą ścianę szafy z teczkami - większość tego przysłały nam rodziny. Listy, zdjęcia, wycinki z gazet lokalnych, pamiątki. Proszę nie zapominać - jesteśmy organizacją skupiającą ludzi, a nie bezдушnych biurokratów.

- Spróbuję - mówię. Jej gorliwość zamiast denerwować tylko mnie rozśmiesza. - To znaczy, że nie macie żadnych informacji dotyczących zaginięć żołnierzy? Mogę podać dokładne dane: 12 maja 68 roku, prowincja Bolikhamsai, Laos.

- Możliwe, że coś jest - odpowiada, jedną ręką zapisując informację, a drugą sięgając po słuchawkę wściekle dzwoniącego telefonu. - Bez nazwiska nie da rady tego sprawdzić.

- Tylko tego mi brakuje - mówię nie kryjąc rozczarowania. - Szukam właśnie nazwiska.

Po mniej więcej szóstym dzwonku odbiera telefon, każe rozmówcy chwilę poczekać, po czym kontaktuje się z jakimś biurem za pomocą interkomu.

- Generał na drugiej linii - odkłada słuchawkę i odwraca się w moją stronę. - Przepraszam, taki tu dziś bałagan.

- Co się dzieje?

- Za tydzień rozpoczyna się nasz coroczny zjazd. Zwykle jest w lipcu, ale tym razem zmieniliśmy termin. Trudności z rezerwacją miejsc w hotelach. A propos, zgłosił to pan w Biurze Identyfikacji Ofiar?

- Tak. Byłem też w FWM, NPRC, no i teraz... - przerywam, lekko zirytowany. - Szczerze mówiąc, nie tego się spodziewałem. Myślałem, że ucieszy was wszystko, co mogłoby...

Wydyma wargi i powoli wypuszcza powietrze z płuc.

- Przykro mi, ale nie zdaje pan sobie sprawy z tego, ile informacji otrzymujemy. Większość z nich jest bezużyteczna, a wiele jest związanych z identyfikatorami. Rozchodzą się plotki, że płacimy za każdą dostarczoną wiadomość. Wtedy ktoś fabrykuje dane i fałszywe personalia zostają sprzedane zdesperowanym uchodźcom, dla których stają się przepustką do nowego życia.

Przysyłają nam zdjęcia identyfikatorów, dane z nich przepisane, cudownie odnalezione identyfikatory, podrobione identyfikatory, zdjęcia żołnierzy, listy - i tak bez końca. Mniej niż cztery procent tego wszystkiego ma związek z którymkolwiek z zaginionych.

- Moje dane nie są sfabrykowane - ucinam, wskazując palcem kartkę, na której zapisała moja

informację. - Czy mogłaby mi pani chociaż powiedzieć, ilu ludzi zostało uznanych za zaginionych w Laosie?

- Pięciuset czterdziestu siedmiu - odpowiada ze skruczą. Dziękuję. Szybko obliczam i mówię, że właśnie wyeliminowałem

1726 z 2273 możliwości, to znaczy 75,93%. To już coś.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym prosi koleżankę, by ją na chwilę zastąpiła przy telefonach.

- Nie powinnam tego robić - mówi nieomal szeptem i odchodzimy na bok. - Z reguły nie popieramy poszukiwań prowadzonych na własną rękę, ale jest w naszej organizacji osoba, która może panu pomóc. Jej mąż zginął w Laosie. Kiedy tamtejszy rząd nie chciał wypłacić odszkodowań, stworzyła związek skupiający rodziny poszukiwanych. Kongres zainteresował się całą tą sprawą, no i ostatnio rząd Laosu wyraził zgodę na respektowanie układów o repatriacji i umożliwienie dostępu do miejsc, w których rozbiły się nasze samoloty.

- To musi być energiczna osoba.

- Jeszcze jak. Nazywa się Kate Ackerman. Powinien się pan z nią skontaktować.

- Ale... ona jest w Laosie - mówię, mając nadzieję, że nie jest to prawda.

Uśmiecha się.

- Na Pennsylvania... - poprawia mnie i po chwili dodaje z jeszcze szerszym uśmiechem - ...Avenue.

- W Waszyngtonie? - prawie wykrzykuję, myśląc, że najwyższa pora, by szczęście uśmiechnęło się także do mnie.

- Mieszka w Alexandrii, ale dzisiaj jest w hotelu Marriott. Tam odbędzie się zjazd. Proszę jej szukać w sali balowej.

- Hotel Marriott.

- Czternasta Ulica po drugiej stronie placu Lafayette. Może pan iść piechotą.

- Dziękuję - mówię i kiwam ręką na pożegnanie. Odprowadza mnie do drzwi. Zastanawiam się, czy to dlatego, że jest dobrze wychowana, czy też chce się upewnić, że już nie wrócę.

- Czuję, że się polubicie. To znaczy pan i Kate - dodaje, gdy dochodzimy do windy.

- Taak?

- Obydwoje jesteście indywidualistami.

7

Szalejący wiatr pcha mnie w kierunku skrzyżowania Connec-ticut Avenue z Siedemnastą Ulicą i dalej, aż za plac Lafayette ze statuą Andrew Jacksona, otoczoną starymi, zardzewiałymi działami, które już dawno przestały spełniać jakąkolwiek funkcję. Po raz pierwszy od dawna młoda kobieta nazwała mnie indywidualistą. I był to naprawdę miły komplement.

Marriott to stojący przy Teatrze Narodowym długi gmach zbudowany z brązowej cegły i marmuru.

Wchodzę wejściem od Czternastej Ulicy i trafiam do górnej części atrium. Wystrój wnętrza przytłacza przepychem - mahoń, marmur, mosiądz i miękkie orientalne dywany. Do tego wszystkiego całość wieńczy rząd łukowych sklepień. Cztery balkony połączono szybkimi windami. Jedną z nich zjeżdżam na kondygnację, na której znajduje się sala balowa i przeciskam się przez potężne, bogato zdobione drzwi.

- Chcę się upewnić, czy dobrze się zrozumieliśmy - słyszę zdecydowany głos kobiety. Kobieta stoi pod jednym z kryształowych żyrandoli, otoczona przez grupkę młodych pracowników technicznych. Jest dość wysoka i dobrze ubrana - więc zróbcie to dla mnie i powtórzmy wszystko jeszcze raz. Zgoda?

Przytakują.

- Eksponaty na wystawę są na ciężarówce, tak?

- Zgadza się - odpowiada, jak się domyślam, kierownik grupy.

- No, a gdzie jest ciężarówka?

- W doku załadunkowym.

- Tym tutaj, czy w magazynie?

- Tutaj.

- No to dlaczego jeszcze nie została rozładowana?

- Bo jeszcze nie zjechała z platformy.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, że jest tutaj? Mężczyźni wybuchają śmiechem.
- No, bo jest, proszę pani - wyjaśnia kierownik, gdy pozostali wreszcie cichną. - Z tą platformą to tak... no, powiedzmy, że ciężarówka jeszcze nie przeszła przez miejscową kontrolę celną.
- Aha, rozumiem. W porządku. Zadzwońcie teraz do swojego szefa i powiedzcie mu, że w jutrzejszym Washington Post znajdzie się artykuł o tym, że jego ludzie próbują wyłudzać okupy od rodzin zmarłych żołnierzy.

Odwraca się na pięcie i odchodzi.

Stoję z boku, ukryty za jedną z kotar dzielących salę na części.

- Pani Ackerman?

Zmienia kierunek i szybkim krokiem podchodzi do mnie. Wygląda na kobietę zadowoloną ze swojego wyglądu. Jej ładną twarz okalają długie, szesane do tyłu ciemnobrązowe włosy, co wyraźnie uwydatnia wystające kości policzkowe i mądre, trochę nierówno osadzone bursztynowe oczy. Po tym, jak potraktowała pracowników, spodziewam się, że ujrzę w nich ogień. Zamiast tego widzę smutek, przygaszony blask pasujący do połyskującej na jej ręce miedzianej bransoletki z napisem Zaginiony w akcji.

- A pan w jakiej sprawie? - rzuca - jedzenie, napoje, sprzedaż pamiątek?
- Jestem weteranem - odpowiadam i przedstawiam się. - Nieźle pani sobie z nimi poradziła.
- Dziękuję. To brudna robota... - przerywa, po czym dodaje: -...ale wspaniała rozrywka.
- Zasłużyli sobie. Słyszałem, że jest pani nieoficjalnym ekspertem Stowarzyszenia w sprawach Laosu.

- Tak - mówi z uśmiechem - nie mogą sobie beze mnie poradzić, ale ze mną też im nie za dobrze.

- To jest nas już dwoje.

- A to dlaczego?

- Próbuję poznać nazwisko jednego z zaginionych w Laosie. Chcę, żeby zostało umieszczone na pomniku. Powiedziano mi, że pani może mi pomóc.

- Z przyjemnością - w jej oczach pojawia się błysk, po czym znów ciemnieją. - A skąd pan wie, że jeszcze go tam nie wpisali?

- Jak już powiedziałem, został uznany za zaginionego w akcji.

- To jeszcze o niczym nie świadczy.

- Nie? Przykro mi, pani Ackerman, ale chyba nie rozumiem.

- No tak - mówi, kiwając z politowaniem głową - nic pan przecież nie wie, prawda?

- Co pani przez to rozumie?

- To, że jest pan jednym z tych, którym udało się przeżyć i którzy potem udawali, iż nic się nie stało.

- Tak, próbowałem o tym zapomnieć. Proszę mi wierzyć, nie było łatwo.

- Chyba próbował pan aż za bardzo.

- Pani Ackerman, nie przyszedłem do pani, żeby wysłuchiwać impertynencji. Pomoże mi pani, czy nie?

Mierzy mnie wzrokiem, po czym nagle podejmuje decyzję.

- Panie Morgan, czy ma pan pół godziny czasu? - pyta tajemniczo.

Przytakuję. Ciekawe, co teraz.

- Coś panu pokażę.

Zjeżdżamy windą do podziemnego garażu hotelowego. Podchodzimy do volvo turbo. Wsiadamy i samochód rusza z piskiem opon. Jedziemy w kierunku Trzynastej Ulicy, potem w lewo do Ogrodów Konstytucji. Jedno ze skrzyżowań przejeżdżamy na czerwonym świetle; pani Ackerman sięga po wciśnięty między siedzenia telefon komórkowy i naciska guzik przywołujący zapisany w pamięci numer,

- Cześć, tu Kate. Ten facet z Georgii... możemy już to przekazać? Cholera jasna. Miej to na oku. Sprawdź wykaz w Post, dobra? Z góry dziękuję. Powinam wrócić o wpół do piątej. Najpóźniej.

- Zajmuje się pani handlem nieruchomościami?

- Uhm. Niezły rynek. Jakoś sobie radzę.

- To zauważyłem - mówię, wskazując samochód.

- Serio? Pewnie zapyta mnie pan teraz, dlaczego jako członek Krajowego Stowarzyszenia Rodzin nie kupiłam amerykańskiego auta, prawda?

- No, skoro już pani o tym...

- Miałam zamiar. Potem zobaczyłam tę reklamę. Wie pan, o którą mi chodzi? Tę, w której volvo wjeżdża wprost w betonowy mur i wychodzi z tego cało - przerywa dramatycznie, po czym dodaje: - Mój mąż oddał życie za ten kraj, dlatego zdecydowałam, że Ackermanowie i tak zrobili już więcej niż do nich należało. W jej głosie brzmi smutek, jakaś moc, ale też i coś zabawnego. Staram się nie wybuchnąć śmiechem.

- Proszę się nie powstrzymywać - mówi, przewidując moją reakcję - wszystkich to rozśmiesza. W każdym razie lubię pracę w handlu nieruchomościami, bo mogę dowolnie gospodarować czasem i brać udział w pracach Stowarzyszenia.

Skręca w prawo, przejeżdża sześć, siedem przecznic w sporym tłoku, i wjeżdża na ukryty na tyłach ogromnego wapiennego budynku parking. Na tablicy widnieje napis: Tylko dla Upoważnionego Personelu.

- Jest pani pewna, że tu można parkować?

- Jestem jak trzystukilogramowy goryl - umieszcza za przednią szybą oficjalny znak Stowarzyszenia - staję tam, gdzie mi się podoba - wysiada, włącza autoalarm i przechodzi przez jezdnię, prześlizgując się pomiędzy samochodami.

Nie znam zbyt dobrze tego miasta, ale gdy tylko zauważam pomnik Waszyngtona i światła odbijające się w wodzie, wiem, dokąd jestem prowadzony.

- Uwielbiam podchodzić od tej strony. To takie zaskakujące - przemierza zdecydowanym krokiem trawnik i zatrzymuje się na krawędzi nagle pojawiającego się urwiska. Niżej znajduje się pomnik Weteranów Wojny Wietnamskiej.

Stoimy dosłownie na szczycie muru, tuż pod nami widać odwiedzających. Obserwujemy ich przez chwilę, po czym podchodzimy na drugi koniec urwiska, gdzie biegnąca równoległe do pomnika ścieżka zaczyna prowadzić w dół. Słońce schowało się za chmurami i gdy mijamy granitową ścianę, promienie załamują się w wyrytych literach, sprawiając wrażenie, że każde nazwisko jest podświetlone od wewnątrz.

Podchodzi do jednej z tablic i jak ktoś niewidomy, delikatnie przejeżdża opuszkami palców po wypukłościach granitu.

JOHN W. ACKERMAN.

- Pani mąż.

Przytakuje skinieniem głowy.

- Widzi pan to? - pyta pokazując odstęp między tym i następnym nazwiskiem.

Podchodzę bliżej i widzę wyrzeźbiony w granicie krzyżyk.

- Wie pan, co to oznacza?

- Nie, ale jestem pewien, że pani mi wytłumaczy.

- Gdyby się pan przyjrzał dokładnie, to zauważyłby pan, że po większości nazwisk jest wyryty romb; ale niektóre mają to.

- Nie zwróciłem uwagi - przyznaję ostrożnie, oczekując kolejnych wymówek.

Jednak pani Ackerman zmienia zamiary. Uśmiecha się. Mówi z cieniem skruchy w głosie:

- Szczerze mówiąc, panie Morgan, niewiele osób to zauważa. Obawiam się, że wcześniej zachowałam się niewłaściwie. Jestem panu winna przeprosiny.

- Nie ma o czym mówić - odpowiadam i odwzajemniam uśmiech. - Miała pani rację. Wiem rzeczywiście niewiele - podchodzę do muru i dotykam krzyżyka czubkiem kciuka. - To oznacza, że jest uznany za zaginionego w akcji, czyż nie?

- Zgadza się. Początkowo nazwiska wszystkich, których uznawano za zaginionych, a było ich ok. 2500, umieszczono na pomniku. Po analizie okoliczności, w jakich zaginęli, mniej więcej 1300 z nich uznano za zmarłych.

- Zabity podczas akcji, ciała nie odnaleziono - mówię wspominając spotkanie z Collinsem w St. Louis.

Kate kiwa głową.

- Ginęli głównie wskutek rozbicia samolotu. Załogi, ludzie z oddziałów specjalnych, obsługa karabinów - przerywa w zamyśleniu, po czym dodaje: - Wielu z nich to piloci.

- On był pilotem?

- Tak - odpowiada i znowu się ożywia - uwielbiał latać; ale jeszcze bardziej uwielbiał niebezpieczeństwo. To mnie do niego przyciągnęło. Był moim zupełnym przeciwieństwem.

- Na volvo to on już nie ma co liczyć? Potrząsa głową i uśmiecha się smutno.

- Wiesz - zauważam, że zwraca się do mnie mniej oficjalnie. -To chyba dobry znak - wiele miesięcy po tym, jak ich wszystkich uznano za zmarłych, ktoś, kto przelatywał nad miejscem, w którym spadł samolot, zauważył wypalone w trawie inicjały i datę zaginięcia.

- Myślisz, że on jeszcze żyje?

- Nie, to mało prawdopodobne. Ale zawsze jest promyk nadziei. Oczywiście po dwudziestu, trzydziestu latach większość rodzin musi pogodzić się z rzeczywistością. Ja to zrobiłam.

Na granicy obok nas pojawiają się pierwsze krople deszczu. Ruszamy dalej. Ona zdaje się szukać czegoś na murze. Po chwili znajduje. Pokazuje mi odstęp między dwoma nazwiskami.

- Widzisz?

Symbol, który mi pokazuje, jest kombinacją tych, które już znam - krzyż wpisany w romb.

- To oznacza zaginionego w akcji, którego szczątki zostały zidentyfikowane i przywiezione do kraju... -jej głos załamuje się, przerywa na chwilę, próbując opanować wzruszenie. - Dodali romb, żeby było wiadomo, że jego los jest znany.

- Tego właśnie chcesz, prawda?

- Tego chcą wszystkie rodziny. Poznać los ukochanej osoby. Uzyskać ostateczną odpowiedź i pochować go z honorem, bez względu na to, ile z niego pozostało.

W jej oczach daje się zauważyć bolesna tęsknota; mimo to widzę w niej jakąś drzemiącą, spokojną moc, która przypomina mi Nancy. Wtedy, gdy z takim trudem i poświęceniem pomagała mi zapomnieć... Nie próbuję oprzeć się myśli, że gdyby los i Opatrzność inaczej pokierowały moim życiem, to właśnie Kate mogłaby zostać moją żoną.

- A gdyby któryś z nich przeżył? - myślę na głos.

- Wtedy dodadzą okrąg, nie romb - odwraca się na chwilę, po czym dodaje: - Coś takiego jeszcze się nie zdarzyło.

Zaczyna siąpić deszcz. Zawracamy, ale nagle coś przychodzi mi do głowy.

- Chwileczkę, chcę coś sprawdzić. Idę wzduż muru i znajduję właściwą tablicę. Już ją widziałem, ale mimo to czuję przeszywający mnie dreszcz. Przy moim nazwisku widnieje krzyż, nie romb.

- Wszystko w porządku? - pyta, widząc moje zamyślenie.

- Tak. W tym właśnie problem - odpowiadam, pokazując symbol - to nie ma sensu.

- To znaczy?

- Sama powiedziałaś, że krzyż oznacza, iż ciało nie zostało odnalezione, mam rację?

- Uhm.

- Czyli ktoś - któryś z jego kumpli, dowódca czy pilot -musiał zobaczyć lub domyślić się, co się stało i odnotować go jako zaginionego w akcji.

- Tak. Do czego zmierzasz?

- Byłem ranny. Wynieśli mnie moi ludzie. Sprawdziłem moje akta personalne. Widziałem nawet raport lekarzy. Nie było pomyłki. Nikt nie uznał mnie za zaginionego.

- No więc co się mogło stać?

- Wiem na pewno, że gdy zostałem ranny, zginęły moje identyfikatory i dowód tożsamości.

Najprawdopodobniej ktoś kto je miał potem zginął.

- Ale z tego wynika, że aby twoje nazwisko mogło znaleźć się na pomniku, musiano by odnaleźć ciało tamtego.

- Dokładnie. Ale go nie odnaleziono - mówię pokazując krzyżyk. - To właśnie do niczego nie pasuje.

- I pewnie nigdy nie będzie pasować - mówi zrezygnowanym tonem. Potem unosi nieco podbródek i pyta: - Co właściwie robisz? To znaczy gdzie pracujesz?

- Przepowiadam przyszłość.
- Słucham?
- Przeprowadzam analizy statystyczne.
- Jesteś buchalterem?
- Można to i tak nazwać.
- Nie podoba ci się to określenie.
- Zwykle mówi się o nas rzeczoznawcy ubezpieczeniowi, chociaż są i tacy, którzy uważają, że istotę naszej pracy lepiej oddaje określenie bezosobowi urzędnicy. Dlaczego pytasz?
- Och - mówi i śmieje się cicho - byłam po prostu ciekawa skąd ta twoja teoria, że wszystko musi się zgadzać.
- Bo taka jest natura rzeczy.

Uśmiecha się i wzrusza ramionami dając mi do zrozumienia, że jest innego zdania. Potem spogląda na zegarek i oznajmia:

- O mało nie zapomniałam. Muszę zaklepać jeden dom.
- Nie ma sprawy. Złapię taksówkę.
- W takim deszczu nie ma szans - mówi, sprawdzając natężenie deszczu wyciągniętą dłonią. - Gdzie mieszkasz?

- W Hay Adams.
- To po drodze. Jedziemy.

Gdy dochodzimy do auta, zaczyna lać. Jedziemy Dwudziestą Czwartą w kierunku północnym. Zbliżamy się do Washington Circle, gdzie trafiamy w sam środek korka. Wtedy zdaję sobie sprawę, iż szczegóły zaabsorbowały mnie tak bardzo, że przeoczyłem ich znaczenie.

- Jeśli tego człowieka uznano za zaginionego w akcji, to jego nazwisko jest na pomniku - oznajmiam radośnie.

Kate uśmiecha się i przytakuje.

- Ilu żołnierzy mogło zostać uznanych za zaginionych 12 maja 1968 roku w prowincji Bolikhamsai?

- Coś mi mówi, że wiesz, jak to sprawdzić.

Dzwonię do biura „Przyjaciół Pomnika Weteranów Wojny Wietnamskiej” z telefonu Kate, podaję urzędnikowi niezbędne dane i mówię, że poszukiwany przeze mnie facet został uznany za zaginionego w akcji i proszę o odszukanie jego namiarów.

Ruch zamarł. Wycieraczki poruszają się po przedniej szybie jak metronomy; każdy ich niemal hipnotyzujący ruch zdaje się wydłużać w nieskończoność oczekiwanie na odpowiedź. Urzędnik wraca do telefonu w chwili, gdy wreszcie zaczynamy się powoli przesuwać do przodu. Przełączam telefon na opcję rozmowy przez głośnik - w ten sposób możemy oboje usłyszeć odpowiedź.

- Mam dwudziestu trzech zaginionych w^ prowincji Bolikhamsai - stwierdza - ale żaden z nich nie zaginął 12 maja. Powiem więcej, w całym maju 1968 roku nie odnotowano ani jednego zaginięcia.

- Żadnego. Jest pan pewien?

- O ile mi wiadomo.

- O ile panu wiadomo? To znaczy?

-Jak już mówiłem, to nowy program. Trzeba nad nim jeszcze trochę popracować. W tak dziwnym przypadku jak pański istnieje możliwość, że nazwisko zostało wymazane. Żałuję, ale nie mogę pomóc.

- Dziękuję i za to - mówię ponuro i wyłączam się.

- Przykro mi - słyszę miły głos Kate.

- Jesteś pewna, że nazwiska wszystkich zaginionych w akcji są umieszczone na murze?

- Na sto procent. Może jest wymieniony jako dezertier - myślałeś o tym?

- Tak jakby.

- To by wyjaśniało, dlaczego nie trafił na pomnik.

- Pewnie tak. Nie powiem, że bym był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, gdyby ten facet okazał się dezertierem.

- Może nim nie jest. To, że kogoś umieszczają na liście dezertierów, wcale nie musi oznaczać, iż ten

ktoś jest dezertorem. Przecież żołnierz na przepustce mógł zostać napadnięty przez bandytów, zamordowany przez sympatyków wroga, a jego ciało ukryte. Zdarzały się takie przypadki. Tych, którzy nie wracali do jednostki, automatycznie uznawano za uciekinierów. Czasami upłynęło wiele lat, zanim ujawniono prawdę.

- Nie pomyślałem o tym. Tyle że Collins z NPRC uważa, że w tym przypadku dezercja jest mało prawdopodobna, i ja się z nim zgadzam. Może rzeczywiście nastąpiło gdzieś jakieś przekłamanie.

- Możliwe. Jestem pewna, że pan Collins zna się na tym, co robi, ale jeśli chodzi o tych, których los wciąż jest nieznanym, nikt nie wie więcej niż CIL. Na twoim miejscu tam właśnie bym poszła.

- CIL? - mówię, nie próbując nawet ukryć uśmiechu na myśl

o kolejnej organizacji. - A co to jest?

- Centralna Baza Identyfikacji. Odnajdują i identyfikują szczątki zaginionych. Mają wszystkie oryginalne akta.

- W komputerze?

- Uhm. Wielokrotnie sprawdzone - wyprzedza ciężarówkę i wjeżdża na pas szybkiego ruchu. - Nasze Stowarzyszenie blisko z nimi współpracuje. Dość dobrze znam ich szefa, pułkownika Webstera, i niektórych ludzi z jego sztabu.

- A gdzie jest ich biuro?

- Na Hawajach.

- Dziwne, że się nie domyśliłem.

- Ale oni wszyscy przyjadą tu za tydzień, na zjazd.

- Za późno. Muszę wreszcie wrócić do pracy.

- Mnie możesz zostawić swoje dane. Przejrzę je z pułkownikiem.

- Dziękuję, ale przecież mogę to sam załatwić. Prześlę wszystko faksem.

Przytakuje, po czym przechyla głowę tak, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

- No, wiesz - mówi w końcu poważnym głosem - pułkownik będzie prawdopodobnie dość zajęty.

Poparcie nieoficjalnego eksperta Stowarzyszenia do spraw Laosu na pewno ci nie zaszkodzi.

Rozważam to przez chwilę, po czym mówię:

- W porządku, pani Ackerman, zgadzam się.

- Co cię przekonało - mój urok osobisty czy zmarszczona brew?

- Ani jedno, ani drugie. Zdecydowałem się postąpić zgodnie z zasadami, które wpajam moim klientom i założyć przedstawicielstwo.

- Świetnie. Możesz odetchnąć.

- Serio?

- Jestem pewna, że CIL go odnajdzie. Teraz to tylko kwestia czasu. Najpóźniej w przyszłym tygodniu będziesz wiedział, kim on jest.

Dwadzieścia minut później podrzuca mnie do hotelu i odjeżdża w strugach padającego deszczu. Nie chcę przyznać sam przed sobą, jaki to był ciężar, dopiero teraz czuję ogarniającą mnie wielką ulgę.

Mimo to nie mogę wymazać z pamięci krzyżyka. Niezależnie od tego, czy ten facet został uznany za zaginionego w akcji, dezertera, czy też po prostu popełniono jakiś błąd w spisach, listach, ewidencjach, to jeżeli ciało nie zostało odnalezione jest niemożliwe, by moje nazwisko trafiło na pomnik. Tymczasem krzyżyk na granitowej ścianie i odkryte przeze mnie dokumenty wskazują wyraźnie, że ciała nie odnaleziono. Kate Ackerman ma rację. To się nie zgadza i to właśnie nie daje mi spokoju.

8

Deszcz zmienił się w rozszalałą burzę. Jem kolację w hotelu i resztę wieczoru spędzam przy moim laptopie. Zamknięcie całej bazy danych na kilku kartkach papieru zajmuje mi ładnych parę godzin. Następnego ranka, podczas mojego spotkania ze sztabem senatora, jedna z jego sekretarek jest na tyle miła, że robi wydruk całości i przesyła go faksem do biura handlu nieruchomościami w pobliskiej Alexandrii, gdzie pracuje Kate Ackerman. Kończę „poprawianie” Ustawy i wracam samolotem do Los Angeles. Na lotnisku jest już Nancy. Wsiadamy do rangę rovera i podczas jazdy opowiadam jej o wszystkim, co się zdarzyło.

- Cudownie - mówi z uśmiechem - wreszcie masz to z głowy i będziesz mógł wrócić do

normalnego życia.

- Dlaczego? Co tu w ogóle słyszać?
- Same ciekawe rzeczy. Po pierwsze dostałam bilety na Upiora w operze. Idziemy za dwa tygodnie, w czwartek. Umówiłam się już z Grantami.
- To świetnie. Ile zapłaciłaś? A może nie powinienem pytać? Uśmiecha się szeroko i podnosi dwa palce.

- Stówę?

Przytakuje skinieniem głowy.

- Za jeden?

Ta sama odpowiedź.

- Najlepsze miejsca.
- No tak, Gil to ważny klient.

Wyjeżdżamy na nabrzeżną autostradę i słyszę przytłumiony, rytmiczny łoskot.

- Wciąż coś nie w porządku? Nancy przytakuje ze skruchą.
- Myślałem, że zawieszysz go do naprawy. Przecież mogłaś wziąć mojego mercedesa.
- Wiem. Miałam mnóstwo roboty w szkole i jakoś nie znalazłam czasu. Nie zdążyłam nawet zająć się swoją fryzurą.
- Nancy! - wykrzykuję, jakbym doznał największego szoku w moim życiu i mierzę jej modnie, krótko przystrzyżone włosy. -A myślałem, że to twój naturalny wygląd.

Zaczyna się śmiać.

- Każda z nas ma swój sekret.
- Stęskniłem się za tobą, kochanie.
- Ja też.

Wkrótce jedziemy kanionem w stronę znajomych gór. Ależ to był tydzień! Nancy koniecznie chce, żebym trochę odpoczął i umawia się na weekend pod żaglami z naszymi przyjaciółmi. W poniedziałek do mojego biura dzwoni Kate Ackerman. Mówi, że rozmawiała z pułkownikiem Websterem, szefem Centralnej Bazy Identyfikacji. Cała sprawa wyraźnie go zaintrygowała i obiecał, że zajmie się nią po powrocie do Honolulu. Nareszcie mogę na chwilę zapomnieć o pomniku i poświęcić swój czas pracy, rodzinie i przyjaciołom.

Ranek, kilka tygodni później. Ubieram się, a Nancy, która zawsze się spieszy, całuje mnie na pożegnanie i wychodzi z sypialni. Słyszę cichnący odgłos silnika rangę rovera i schodzę do mojej jaskini. Wkładam jakieś akta do walizki, i wtedy rozlega się dzwonek telefonu.

- Cześć, to ja, kochanie.
- Nancy?
- Tak, dzwonię ze stacji benzynowej, tej na dole.
- Coś nie tak?
- Nie, skąd. Wiesz, pewnie to nic takiego, ale kiedy odjeżdżałam, zauważyłam, że przy naszym domu stoi jakiś samochód i ktoś w nim siedzi.

Wyglądam przez okno. Na poboczu, przy samym zakręcie ulicy, stoi niebieski sedan, chyba oldsmobile, a może buick? - nigdy nie mogłem ich rozróżnić. Za kierownicą siedzi mężczyzna w ciemnych okularach. Wydaje mi się, że sączy kawę ze styropianowego kubka.

- Taki niebieskawy?
- Uhm.
- No, widzę go. A co w nim takiego dziwnego?
- Wiesz, wydaje mi się, że to nie jest samochód żadnego z naszych sąsiadów, no a od czasu tych włamań w Mountain View zwracam większą uwagę na takie szczegóły.
- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tak bardzo, kochanie. To dość drogie auto. Słyszałaś przecież plotki o tej, no, jak ona się nazywa, tej, co mieszka obok. Chyba facet to ją ma na oku, nie ich pieniądze. Najprawdopodobniej czeka cierpliwie, aż mąż pojedzie do pracy.
- Pewnie masz rację - śmieje się - ale zdaje mi się, że ten sam facet był tam też wczoraj.
- No widzisz?

- Cal...
 - Dobra, sprawdzę, jak będę wychodził. Pamiętaj, że w końcu zapłaciliśmy dwanaście tysięcy za system antywłamaniowy.
 - Przepraszam, wiesz, że czasami za bardzo się przejmuję. Kiedy wyruszam do pracy, niebieskiego samochodu już nie ma.
- Wyobrażam sobie, jak ta seksowna aktoreczka i tajemniczy wielbiciel zabawiają się na tarasie jej domu. O dziesiątej jestem umówiony z klientem w jego biurze, w centrum miasta. Dlatego zamiast jechać jak zwykle nabrzeżną autostradą wybieram drogę przez kanion. Po kilku ostrych zakrętach wyjeżdżam wreszcie na prowadzącą wprost do miasta dwupasmówkę. Zauważam za sobą jakieś auto. Możliwe, że jest niebieskie, ale z tej odległości nie jestem w stanie tego stwierdzić. Dziesięć minut później jestem na Ventura i dojeżdżam do skrzyżowania z Czterysta Piątą, gdzie, jak zawsze o tej porze, jest olbrzymi korek. Rozlega się świergot telefonu.
- Tu Cal Morgan... - mówię barytonem, którego używam tylko do celów oficjalnych.
 - Cześć, tatusiu - słyszę chichot młodej kobiety. To nasza najstarsza, dwudziestojednoletnia córka Laura. Studiuje muzykę w Berkeley.
 - Cześć. Zawsze mnie jakoś znajdziesz, co?
 - No, dzwoniłam już do domu i do biura...
 - Ile ci tym razem potrzeba? - pytam, drażniąc się z nią.
 - A ile masz? - odbija piłeczkę bez zastanowienia. - A tak naprawdę to chciałam się ciebie poradzić w jednej sprawie. Nie wiem, czy zapisać się na kurs jako wolny słuchacz, czy też zaliczać go na ocenę. Dzisiaj muszę zdecydować.
 - Łatwiej by było, gdybym siedział przy swoim biurku.
 - Tato - powtarza cierpliwie - chcę, żebyś mi poradził.
 - Najlepiej, jak mogę.
 - Wiedziałałam, że tak się skończy - karci mnie z czułością w głosie.
 - To naprawdę żaden problem. Stoję w korku. Poczekaj sekundę - przełączam telefon na głośnik, otwieram i włączam leżący na siedzeniu pasażera komputer. - OK. Gotów. Jaki to kurs?
 - Psychologia. Poziom zaawansowany.
 - Jak ci poszło na podstawowym?
 - Pięć minus.
 - Dobra - mówię. Zatrzymuję samochód i wprowadzam dane do komputera - ilu jest studentów na roku?
 - Stu pięćdziesięciu, może dwustu.
 - Mieścisz się w pierwszej dwudziestce?
 - Po tej trój z historii Europy? Nie ma mowy.
 - No dobra, teraz powiedz mi ile... -przerywam.
- Kątem oka zauważam coś, co powoduje, że patrzę ponownie w lusterko wsteczne. Po prawej stronie, jakieś dwa, trzy samochody za mną, stoi metaliczny niebieski sedan. Oldsmobile? Buick? Nie mam pojęcia. Kierowca ma na nosie ciemne przeciwsłoneczne okulary. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że wszyscy inni tkwiący w tym korku również.
- Tato, jesteś tam?
 - Tak, tak. Przepraszam. Musiałem trochę pokręcić kierownicą. No to jak? Ile punktów za skończenie tego kursu?
 - Cztery.
 - No to nieźle - mówię i dokonuję ostatnich obliczeń. Wreszcie mogę ruszyć do przodu.
 - Jeśli zdecyduję się na ocenę, będę miała o wiele więcej nauki, będzie mniej czasu na muzykę.
- Spoglądam na ekran komputera.
- Co nie zmienia faktu, że prawdopodobieństwo następnej piątki minus jest równe jednej szóstej.
 - To mogłoby nieźle wpłynąć na średnią ocen.
 - Taaa, a ja mógłbym wreszcie pochwalić się znajomym. Śmieje się. A potem, udając, że właśnie o czymś sobie przypominała, mówi:
 - Tak a propos, mama opowiadała mi o waszym pobycie w Waszyngtonie. U ciebie wszystko OK?

- Jak najbardziej - mówię patrząc w lusterko.

Niebieski samochód nadal jedzie za mną. Teraz widzę, że facet przypomina trochę tego, który stał przy naszym domu, ale nie jestem pewien. Kierowca zdaje się nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi - chyba przez chwilę dałem się ponieść fantazji. Ale wszystko jest już w porządku.

- Jeśli chciałbyś kiedyś pogadać...

- Dzięki, księżniczko. Kocham cię.

- Też cię kocham, tatusiu.

Rozłączam się i spoglądam jeszcze raz we wszystkie trzy lusterka. Nic. Samochód odjechał. Jeśli nie, to musiał się świetnie zakamuflować. Wreszcie dochodzę do wniosku, że mam zbyt bujną wyobraźnię. Mniej więcej dziesięć procent samochodów w Los Angeles jest pewnie koloru będącego jakimś odcieniem niebieskiego, gdzieś tak połowa z nich to sedany, a to oznacza, że na tej drodze i w tej chwili mogą być ich setki. No, a poza tym, po co ktoś miałby mnie śledzić?

Zadziwiające, jak łatwo popadamy w paranoi-dalne obsesje. Z drugiej strony, tuzin, czy ileś tam zabójstw tygodniowo w samym Los Angeles nie wpływa dobrze na równowagę psychiczną.

Nareszcie jadę. Znów patrzę w lusterko. Zaraz, zaraz, czy zza przedniej szyby samochodu jadącego za mną nie wystaje kawałek czegoś niebieskiego? Przestań się wygłupiać, Morgan - mówię do siebie. Myśl o pracy. Jeśli już koniecznie musisz mieć jakiś problem, to spójrz w bok - na kobietę, która przy szybkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę robi sobie makijaż.

Około pół godziny później wjeżdżam na parking w podziemiach wielkiego biurowca. Spotkanie z klientem kończy się dopiero po lunchu. Nie wiem, czym to tłumaczyć, ale odczuwam ulgę, że podczas jazdy do mojego biura nie zauważam żadnych niebieskich sedanów. Moja sekretarka wita mnie plikiem kartek z przekazanymi przez telefon informacjami. Układam je w kolejności, w jakiej należy oddzwonić, a ona dodaje:

- Jeszcze jeden. Kapitan Sullivan.

- Kapitan Sullivan?

- Mówił, że jest pracownikiem Centralnej Bazy Identyfikacji w Fort Shafter na Hawajach.

- O, to ważne. Proszę do niego natychmiast zadzwonić.

- Nie da rady. Dzwonił parę godzin temu. Mówił, że wyjeżdża i nie będzie uchwytany przez telefon. Chciał wpaść tutaj i przekazać panu jakieś informacje.

- Mówił kiedy?

- Dzisiaj. Powiedziała mu, że wróci pan po lunchu. Umówiłam go na drugą trzydzieści.

- Świetnie.

Wchodzę do swojego biura. Wiedziałem, że pani Ackerman ma znajomości, ale nie myślałem, że aż takie. Inaczej po co ten kapitan jechałby taki kawał drogi? Żeby mi podać to nazwisko?

9

Rozmawiam przez telefon z klientem, kiedy nagle przez inter-kom rozlega się głos mojej sekretarki. Oznajmia przybycie kapitana. Błyskawicznie doprowadzam konwersację do nieuniknionego końca i chwilę później na matowej szybie oddzielającej moje biuro od korytarza pojawiają się dwa cienie.

- Kapitan Sullivan -mówi sekretarka i wprowadza go do biura. Jest mężczyzną może niezbyt wysokim, ale za to świetnie

zbudowanym i opalonym na brąz. Wygląda na mniej więcej czterdzieści lat. Na epoletach jego doskonale skrojonego munduru widnieją belki kapitana, spodnie mają nienaganny kant załamujący się lekko dopiero przy błyszczących jak lustro półbutach. W ręku trzyma aktówkę. Jego irlandzki nos zdobią przeciwsłoneczne okulary, takie jakie noszą piloci.

Ściskamy dłonie, po czym przechodzimy na drugi koniec stołu, gdzie stoją fotele.

- Nie spodziewałem się pana w Los Angeles.

- Przepraszam, że nie przedziłem wcześniej.

- Żaden problem. Po prostu myślałem, że pan zadzwoni lub napisze.

- Normalnie pewnie tak bym postąpił, ale miałem właśnie do załatwienia sprawę w naszej kostnicy portowej w Travis.

- To na północny wschód od San Francisco?

- Zgadza się. Miałem zamiar dziś zadzwonić i umówić się z panem na czwartek lub piątek, ale okazało się, że właśnie mam wolne...
- To świetnie. Ma pan dla mnie to nazwisko?
- Panie Morgan, zanim do tego przejdziemy - zaczyna mętnie, co mnie niepokoi - pułkownik Webster kazał panu przekazać, że pańskie rozumowanie jest ze wszech miar słuszne. Jeśli zmarły żołnierz został omyłkowo uznany za pana, wówczas jego los musiał być oficjalnie nieznanym.
- Zasada eliminacji - mówię, próbując ukryć zniecierpliwienie.
- Tak, jej zastosowanie jest w naszej pracy nieodzowne. Niestety, w tym wypadku wszystkie możliwości zostały wyeliminowane.
- Wszystkie - powtarzam i czuję, jak moje nadzieje zamieniają się w popiół.
- Niestety, taka jest prawda. Nie znaleźliśmy nikogo, kto odpowiadałby przedstawionym przez pana parametrom miejsca i czasu.
- Prowincja Bolikhamsai, 12maja 1968 -mówię z ociąganiem, mając jeszcze cień nadziei, że gdzieś jednak nastąpiło przekłamanie.
- Zgadza się - otwiera aktówkę i wyciąga kopie danych, które przesłałem Kate Ackerman. - Wszystko jest tu zapisane. Nazywamy to historią zaginięcia. Pani Ackerman poinformowała nas, jak bardzo panu zależy - chyba nawet powiedziała obsesja - na rozwiązaniu tej zagadki.
- Można to i tak nazwać - mówię z wymuszonym uśmiechem. - Nie znaleźliście niczego, nawet w okolicach tej daty?
- Co pan przez to rozumie?
- Jakichś zaginięć kilka dni przed lub po 12 maja. Przecież ktoś mógł błędnie wpisać datę do raportu.
- O takiej możliwości nigdy nie zapominamy. Pierwsze, co zrobiliśmy, to przekazaliśmy pańskie informacje do analizy danych dotyczących ofiar. Wykonano przeszukanie kołowe, co polega na tym, że zaznacza się wskazane miejsce na mapie i zakreśla wokół niego okrąg o promieniu piętnastu kilometrów, po czym sprawdza dane wszystkich zaginionych, których ostatni raz widziano w obrębie tego koła, następnie zwiększa się promień koła i ponownie sprawdza dane.
- Czyli sprawdzono wszystkich żołnierzy, którzy zaginęli w Laosie?
- Zgadza się.
- A co z deztererami?
- Ich również. Prawdę mówiąc ten przypadek był stosunkowo mało skomplikowany. Zwykle identyfikacja szczątków zajmuje nam miesiące, a nawet lata. Nie da się ukryć, że pracujemy pod dużą presją oczekujących na odpowiedź. Wprowadziliśmy sztywne zasady - nie ujawniamy odkrycia, dopóki nie jesteśmy pewni. Tym się kierujemy i nie pozwalamy nikomu na choćby najmniejsze odchylenie od tej reguły.
- Kapitanie Sullivan, czuję, że chce mi pan wmówić, że ten człowiek w ogóle nie istniał. Przytakuję z ponurą miną.
- Właśnie do takiego wniosku doszliśmy. Wypuszczam powietrze z płuc i odchylam się w fotelu. Czuję się, jakby ktoś rąbnął mnie z całej siły w brzuch, potem nie wiem dlaczego zauważam, że szkła jego okularów są przezroczyste. Ciemnieją pod wpływem światła. Też mam takie. Nagle dostrzegam jego oczy. Nie ich kolor, a kształt: wąskie, skośne - wyraźnie azjatyckie. Zauważa, że mu się przyglądam.
- Każdy tak samo reaguje, panie Morgan - mówi z dobrodusznym uśmiechem. - Moja matka pochodzi z Filipin, mój ojciec był wojskowym.
- Ach tak - próbuję ukryć zawstydzenie.
- A propos - mówi kapitan - wróćmy do naszej sprawy. Pańska sensowna teoria zakłada, że ciało nieznanego zabitego żołnierza zostało odnalezione i przez pomyłkę zidentyfikowane jako pańskie. Kiwam smętnie głową. Wiem już, do czego zmierza.
- Ale ciała nie odnaleziono. Potwierdzają to wszystkie akta.
- Wiem. Wystarczy spojrzeć na pomnik. Widzę go oczyma duszy - ze wszystkich stron, pod różnymi kątami, niby powtórkę z akcji w meczu

piłkarskim. Zbliżenie: od ściany czarnego, wypolerowanego granitu do mojego nazwiska i wreszcie niepozornego krzyżyka, który stał się symbolem tej nie wyjaśnionej, irytującej zagadki. Zagadki, która nie daje mi od paru tygodni spokoju.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że na całym murze jest czternaście takich „nieporozumień”?

- Tak.

- Sam pan widzi, w porównaniu z ponad pięćdziesięcioma ośmioma tysiącami to prawie nic.

- 0,0002413 procent.

- A gdy chodzi o tamto tajemnicze ciało, trzeba powiedzieć, że jego brak wyjaśniłby, dlaczego na podstawie pańskich „danych” nie mogliśmy nic znaleźć.

- No dobra - mówię, wstaję z fotela i zaczynam krążyć po gabinecie - ale skąd się te dane w takim razie wzięły? Ja nic nie wymyśliłem. No i przecież żyję. A nigdy nie byłem w prowincji Bolikhamsai. Tym bardziej nie mogło mnie tam być kilka tygodni po tym, jak mało co nie straciłem nóg.

- Prawdopodobnie wszystko to należy złożyć na karb błędu przy wprowadzaniu informacji. Na pewno słyszał pan o przypadkach ludzi, których komputer ni stąd, ni zowąd uznał za zmarłych i wymazał ich konta bankowe, ubezpieczenie, karty kredytowe, wszystko dlatego, że ktoś nacisnął niewłaściwy klawisz. Poza tym, jeśli nawet znaleziono ciało z pańskimi identyfikatorami i dowodem, to zmarły żołnierz, bez względu na wszystkie możliwe dowody tożsamości czy potwierdzenia składane przez kolegów z oddziału, otrzymywał status „uważany-za takiego a takiego”, dopóki w kostnicy nie dokonano ostatecznej identyfikacji zwłok. Nawet przy założeniu, że miał pańskie identyfikatory, nie ma mowy, żeby nie wykryto pomyłki.

Obracam fotel w bezsilnym gniewie i podchodzę do okna. Wreszcie, choć uważam, że jest to beznadziejne, ryzykuję jeszcze jedno pytanie:

- Nawet jeśli nie było głowy, rąk czy innych znaków rozpoznawczych?

- Panie Morgan - kapitan mówi do mnie jakby strofował upartego dzieciaka - może to pana zadowoli. Nasi naukowcy muszą robić analizy wymieszanych z ziemią fragmentów kości odnalezionych w miejscach, w których samoloty spadały na ziemię. Proszę pana, oni nie tylko są w stanie rozróżnić szczątki jednego człowieka od drugiego; oni nawet potrafią dokonać identyfikacji! Proszę mi wierzyć, mamy niezwykle osiągnięcia. Niech pan przyjmie przedstawione przeze mnie rozwiązanie tej sprawy. Inaczej nie da ona panu spokoju.

- Nie bez powodu.

- Proszę mi wybaczyć, ale rozumiałbym pana, gdyby był pan zrozpaczoną żoną jednego z zaginionych w akcji - przerywa, patrzy mi w oczy, po czym bardziej zdecydowanie dodaje: - Panie Morgan, ten człowiek nie istnieje. Niech pan da sobie z tym spokój. Dla własnego dobra.

Jego słowa trochę za bardzo przypominają ostrzeżenie, a ponadto, mimo całej wojskowej pompy, w głosie kapitana wyczuwam jakiś chłód - oczy wypełnia mu niepokojąca pustka. W pierwszej chwili kojarzę to z tym, o czym mówił wcześniej. Może jest tak, że podobnie jak lekarz opiekujący się nieuleczalnie chorymi, musi bronić się przed zalewem uczuć... Ale przychodzi mi też do głowy inna myśl.

- Wie pan, kapitanie, wydaje mi się, że jak na kogoś tak blisko związanego z całym tym problemem, zachowuje pan spory dystans.

- No, nie chciałem wydać się...

- Nie widział pan ludzi ginących w walce, nieprawdaż?

- Nie, sir, nie widziałem.

- A to już różnica.

- Nie dla mnie. Zapewniam pana, że kiedy widzę kogoś palącego naszą flagę, czuję takie samo obrzydzenie jak pan.

- Naprawdę? Może będzie pan miał szczęście i następnym razem zlecą panu sprzątnięcie jednego z tych liberalnych gnojów.

Wstaje gwałtownie, wyraźnie dotknięty moim stwierdzeniem. Taki był mój cel. Stoimy twarzą w twarz. Mówi:

- Uważam, że to nie było potrzebne. Nie mam już panu nic więcej do zakomunikowania.

- Ma pan rację, kapitanie, to było nie na miejscu. Zachowałem się tak celowo, chciałem zwrócić pańską uwagę na pewien fakt. Na moich oczach zginęło mnóstwo ludzi. Zginęli, bo bronili naszych praw - a jedno z tych praw to wolność słowa.

Przytakuje skinieniem głowy, najwyraźniej zadowolony.

- Rozumiem, panie Morgan - w jego oczach pojawia się błysk i pyta - lubi pan muzykę country?

- Nie bardzo - odpowiadam nieco zbity z tropu.

- Kilka tygodni temu pokazywali na HBO koncert Johnny'ego Casha. Jedna z jego piosenek nazywa się „Ragged Old Flag” („Stary Wyśluzony Sztandar”). Wie pan, co powiedział przed jej wykonaniem?

Wzruszam ramionami, nadal nie wiedząc, do czego zmierza.

- Brzmiało to mniej więcej tak: dzięki Bogu, żyjemy w kraju, który daje nam prawo do palenia naszej flagi. Dzięki Bogu, mamy też prawo do posiadania broni - więc marny los sukinsyna, który spróbuje ją spalić.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Kapitan wydaje się zadowolony, że ostatnie słowo należało do niego i ściska moją dłoń.

- Panie Morgan, mam nadzieję, że moja rada nie pójdzie na marne. Wiele rodzin pozostało rozdartych, zmuszonych do życia w ciągłym bólu. Nawet gdy dowody są jednoznaczne, niektórzy wciąż nie tracą nadziei.

- Czasem trudno uczyć się na błędach innych.

- W pańskim interesie leży, żeby pan jednak spróbował. Odprowadzam go do recepcji, gdzie sekretarka podaje mu bilet

umożliwiający wyjazd z podziemnego parkingu. Nie wiem dlaczego - może ze względu na jego nagłe pojawienie się w moim biurze, może z powodu jego pewności siebie, która spowodowała, że czułem się, jakby mnie sprawdzano, a może dlatego, iż człowiek nigdy nie pozbywa się uprzedzeń nabytych w czasie walki, w każdym razie, kiedy wychodzi, wyobrażam sobie, jak przykrywające jego azjatyckie oczy okulary stopniowo ciemnieją i prawie widzę, jak wsiada do niebieskiego sedana. Przychodzi mi do głowy szalona myśl i postanawiam zrobić coś, czego na pewno będę żałował. Wracam do biura, odnajduję numer w komputerowym spisie telefonów i wykręcam go.

- Agencja Nieruchomości Capitol, słucham - słyszę kobiecy głos.

- Tu Cal Morgan. Chciałbym rozmawiać z Kate Ackerman.

- Proszę chwileczkę zaczekać.

- Cześć! Właśnie znalazłam świetne mieszkanie w Georgetown: ładny widok, taras, kominek, nowoczesnie urządzona kuchnia - wyrzuca z siebie po podniesieniu słuchawki. - Co ty na to?

- Biorę. Skoro już wiesz, skąd wziąć pieniądze na kolejną wpłatę za samochód, to przejdźmy do rzeczy. Mam się spotkać z człowiekiem z CIL, no i...

- Znaleźli coś ciekawego?

- Nie wiem, ale przyszło mi do głowy, że nigdy tego faceta nie widziałem. Nazywa się kapitan Sullivan. Jak on wygląda? Jest wysoki, niski, gruby, chudy? Jak go rozpoznać?

- Kapitan Sullivan? - pyta, najwyraźniej zdziwiona. - Nie znam go. Pewnie jakiś nowy. Tak a propos - w jej głosie brzmi radość - też mam dobre wieści. Chodzi o mojego męża.

- Znaleźli go?

- Czekamy na listę nazwisk. Zajmuje się tym rząd Laosu. Szczątki, które odkryli, były niedaleko miejsca, w którym ostatni raz widziano Johna.

- Brzmi obiecująco.

- Tak, próbuję nie dawać się ponieść emocjom. Poczekać chwilę, dobrze? Przykro mi, muszę kończyć, dzwoni klient. Daj mi znać, jak poszło spotkanie.

- Oczywiście. Powodzenia.

Powoli odkładam słuchawkę. Myliłem się. Sprawa zaczyna wyglądać podejrzanie. Postanawiam zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. Wykręcam numer.

- Centralne Biuro Identyfikacji, słucham - odbiera kobieta mówiąca z filipińskim akcentem.

- Proszę pani, jestem umówiony na spotkanie z waszym pracownikiem, kapitanem Sullivanem, ale nie mam pojęcia, jak on wygląda. Czy mogłaby mi pani go opisać, tak żebym...

- Będzie w mundurze, a po prawej stronie nad kieszenią ma przypięty znaczek z nazwiskiem. Miałem nadzieję... myślałem, że okaże się, iż nie zna nikogo takiego. Jestem lekko zbity z tropu. Chcę się upewnić.

- A jeśli będzie w cywilu? Chodzi mi o to, jak go poznam...

- Z tym nie będzie problemu. Wiem, że to zabrzmie niewiarygodnie, ale kapitan Sullivan ma azjatyckie rysy i wspaniały irlandzki nos. Cały czas mu to wypominamy.

Staję przy oknie i spoglądam w dół, na przemykający pomiędzy biurkami sznur ludzi. Czy to wszystko jest wytworem mojej wyobraźni? Czy cierpię na jakąś obsesję spowodowaną poczuciem winy, że próbowałem zapomnieć? Nic nie może mi pomóc. Jestem w ślepej uliczce i czuję wypełniającą mnie pustkę.

Kilka następnych dni minęło jak zły sen. Dom, biuro i dołek psychiczny. Wreszcie, w sobotę rano, Nancy przypomina mi, że obiecałem jej posadzić jakieś tam drzewo przy oknie jadalni.

Próbuję oponować, po czym z dużymi oporami idę do garażu po motykę i łopatę. Biorę się do roboty. Dawno nie padało, ziemia jest twarda jak beton. Rozpaczliwie macham motyką, ale nie widać rezultatów. Czuję, że natura rzuca mi wyzwanie. Kiedyś wykopałem kryjówkę w ziemi przy użyciu maczety. Inna sprawa, że wtedy miałem ku temu lepszy powód. Następny zamach - motyka zagłębia się w grunt. Wyciągam ją i w ten sposób zmiękczam powierzchnię. Jeszcze kilka uderzeń i praca zaczyna mnie naprawdę wciągać. Wkrótce jestem zlany potem, ręce i twarz pokrywa brud, a buty czerwona ziemia. Przy domu wyrasta pagórek, a ja stoję po kolana w dziurze. Jest o wiele za szeroka i za głęboka na posadzenie drzewa. Brakuje mi tylko mojego M-16 i wrogów.

Wspomnienia wrogów. Przerzywa je szum silnika samochodowego. Odrzucam łopatę na bok i wychodzę z dołu.

Widzę, jak wśród skał przejeżdża coś niebieskiego.

Biegnę do miejsca, z którego widać drogę. Widzę znikający na szczycie wzgórza samochód listonosza. Podchodzę do skrzynki i wyciągam codzienny stosik gazet, rachunków i innych śmieci.

Wracam do domu, przeglądając to wszystko po drodze. Spomiędzy papierów wystaje adres wypisany wyraźnym, wojskowym charakterem pisma. Wyciągam kopertę. Widnieje na niej napis: Wydział Identyfikacji Ofiar. Od czasu, kiedy wysłałem do nich list, upłynął prawie miesiąc.

Zupełnie o tym zapomniałem. Koperta zawiera pojedynczą kartkę papieru, na której, jak się spodziewam, znajdę suchą informację, że pod moim nazwiskiem i numerem nie znaleziono żadnych akt. Ale... gdy przebiegam ją wzrokiem, zatrzymuję się jak wryty i czuję nagły przyptyw adrenaliny. Biegnę w kierunku domu, czując, że za chwilę serce wyskoczy mi z piersi.

- Nancy?! - krzyczę - Nancy, zobacz! Wybiega przed dom, myśląc, że stało się coś złego.

- A jednak było ciało - wyrzucam z siebie, wpychając jej kopię raportu. - A jednak odnaleźli ciało! Z moim nazwiskiem i numerem seryjnym.

10

Nagłówek na kopii raportu brzmi A. Calvert Morgan. Nie mam wątpliwości, że to właśnie przez ten dokument moje nazwisko znalazło się na pomniku. Zostawiam raport na biurku w moim pokoju i przez cały weekend próbuję coś wydedukować na podstawie ogromu informacji w nim zawartych. Mam potwierdzenie nie tylko tego, że odnaleziono ciało z moimi identyfikatorami i wojskowym dowodem tożsamości, ale również miejsca i czasu jego odnalezienia - 12 maja 1968, prowincja Bolikhamsai, Laos. Zawiera ponadto trzy nazwiska i podpisy, które być może stanowią obietnicę, że dowiem się czegoś więcej:

Sierżant Richard A. Foster - oficer zajmujący się rejestracją ofiar, 24 jednostka ewakuacyjna, potwierdza, że ciało nie tylko zostało odnalezione, ale również, że nazwisko trafiło do raportu.

Plutonowy Mario Farina - pilot helikoptera, 1 Pułk Lotniczy, potwierdza, że nazwisko trafiło do rejestru i że ciało zostało przekazane do kostnicy.

Sierżant sztabowy John Bartlett - podoficer zatrudniony w głównej kostnicy - jego podpis znaczy, że ciało znalazło się w kostnicy i personel je przyjął.

Ale wciąż nie wiem, kim jest ten mylnie zidentyfikowany żołnierz i nie znam odpowiedzi na pozostałe pytania.

Dlaczego na liście ofiar znalazł się wpis „ciała nie odnaleziono”?

Skąd krzyżyk na pomniku?

Dlaczego prowadzone przez CIL poszukiwania nie przyniosły rezultatu? Przecież kapitan Sullivan przyznał, że ten żołnierz, kimkolwiek był, musiał zostać uznany za zaginionego, jeżeli odnalezione ciało zidentyfikowano jako moje. A tak właśnie było.

Raport zawierał jeszcze jedną niespodziankę: w rubryce „Przyczyna Śmierci” wpisano co następuje: Zabity przez wroga, trafiony ogniem z broni małego kalibru w klatkę piersiową. Z tego wynika, że rany nie zniekształciły jego twarzy - jak wobec tego moje identyfikatory i dowód tożsamości z moją fotografią mogły zostać uznane za należące do niego? Dochodzę wreszcie do wniosku, że Biuro nie musiało przekazać mi całego kompletu dokumentów.

Jest poniedziałek rano. Siedzę na tarasie, sączę kawę i już nie wiadomo który raz przeglądam raport, kiedy z domu wychodzi Nancy; niesie dzbanek i gazetę. Zatrzymuje się przy stole, spogląda w kierunku drogi, po czym powtarza kwestię z jakiegoś horroru, którego tytułu nie mogę sobie przypomnieć:

- Powrócili.
- O czym mówisz?
- Spójrz - odpowiada i pokazuje niewidoczny z mojego miejsca zakręt za naszym domem. Odwracam się i dostrzegam wśród ^drzew kawałek niebieskiej karoserii.
- Masz rację. To ten sam samochód.
- Jak myślisz, co się dzieje?
- Nie wiem jeszcze, ale zaraz się dowiem - mówię i podnoszę się z krzesła.
- Cal...
- Nie martw się, nic mi się nie stanie.

Powoli schodzę z tarasu i zbliżam się do drogi, która znajduje się jakieś czterdzieści metrów dalej, po drugiej stronie skalistego zbocza. Porastające je krzaki są rzadkie i karłowate. Przez prześwit między drzewami dostrzegam postać za kierownicą. Jestem prawie pewien, że to ten sam mężczyzna, którego widziałem parę dni temu. Patrzy prosto przed siebie i dopiero po dłuższej chwili wyczuwa, że go obserwuję. Odwraca się błyskawicznie w moją stronę. Światło odbijające się od przedniej szyby zamazuje jego rysy, ale mogę dojrzeć, że facet wygląda na trzydzieści parę lat, ma wąską, opaloną twarz i ciemne, przylizane do tyłu włosy. Czuję jego przenikliwe spojrzenie i jest mi coraz bardziej nieswojo. Nancy jednak miała rację. Może rzeczywiście nie był to taki świetny pomysł. Zatrzymuję się, po czym przypominam sobie, że następstwem poddania się strachowi jest tylko silniejszy strach i apatia. Idę więc dalej. Jestem prawie w połowie drogi, kiedy słyszę szum zapalnego silnika i samochód rusza z miejsca. Stoję przez dłuższą chwilę i patrzę w ślad za znikającym w oddali niebieskim sedanem, po czym wracam do domu i dzwonię do szeryfa.

- Nie zapamiętał pan numeru rejestracyjnego, czy chociaż jego części? - pyta oficer dyżurny.
- Niestety nie. Był za daleko.
- Panie Morgan, jak panu zapewne wiadomo, ostatnio odnotowaliśmy kilka włamań w pańskiej okolicy. Prawdopodobnie przestępca czeka, aż właściciele wyjadą do pracy, po czym zabiera się do roboty. Zwiększyliśmy już liczbę patroli.
- Mam nadzieję, że odstraszyłem go na dobre.

Nancy i ja sprawdzamy wszystkie drzwi i okna, włączamy alarm i wychodzimy z domu.

Natychmiast po wejściu do swojego biura dzwonię do Wydziału Identyfikacji Ofiar w San Antonio. Telefon jest zajęty. Chwała Bogu za przycisk umożliwiający automatyczne powtarzanie ostatniego numeru - na mojej liście wynalazków zajmuje trzecie miejsce, za kołem i komputerem. Jednakże gdy wreszcie udaje mi się dodzwonić, dowiaduję się, że raport, który mi przysłali, to jedyny dokument znajdujący się w moich aktach.

- Czy to normalne? - pytam.
- Nie, proszę pana.
- A co jeszcze powinno się w nich znaleźć?
- Cała kupa rzeczy. Zaraz, gdzieś tu mam listę - odpowiada nieco zbyt gorliwie - powinien być identyfikator przyczepiany do zwłok w kostnicy, anatomiczna plansza przedstawiająca

umieszczenie i rodzaj ran, poświadczenie zabalsamowania ciała i przygotowania do transportu, dokumenty przewozu i numer skrzyni, w której przewieziono zwłoki oraz formularz numer 1300, będący oficjalnym stwierdzeniem zgonu.

- Wygląda na to, że trochę brakuje.

- To prawda.

- Nie wie pan, dlaczego?

- Chyba wiem. Ktoś gdzieś popełnił niezłą gafę.

- Gdyby tak nie było, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, prawda?

- No tak, rzeczywiście - mówi, wyraźnie zafascynowany swoją tępotą, - Oczywiście od tego czasu upłynęło ponad dwadzieścia lat, a ja jestem tu nowy. Nie mogę teraz tego panu wyjaśnić, ale popytam ludzi.

- Byłbym wdzięczny. Skontaktuję się jeszcze z panem - mówię, by skończyć tę rozmowę.

Rozsiadam się w fotelu i odwracam w stronę okna, pogrążony w myślach. Jeśli możliwe jest znalezienie jakiegoś klucza do rozwiązania tej zagadki, to niczego nie dokonam bez ludzi, którzy przed dwudziestoma czterema laty podpisali ten raport. Jeśli oczywiście jeszcze żyją. Jeśli pamiętają. Na szczęście znam kogoś, kto pomoże mi ich odnaleźć. Dzwonię do NPRC w St. Louis, proszę Jacka Collinsa i opisuję krótko o co chodzi.

- Niesamowite - mówi, wyraźnie zaintrygowany faktem istnienia ciała.

- Jack, muszę znaleźć tych ludzi. Pomożesz mi? Słyszę, jak wypuszcza powietrze z płuc.

- Oficjalnie nie mogę, ale prywatnie to co innego. Cholernie mnie cała ta sprawa interesuje. Daj mi trochę czasu, jak coś znajdę, to do ciebie zadzwonię.

Kilka godzin później telefon od Collinsa.

- Mam dobre i złe wieści - mówi z entuzjazmem, co napawa mnie optymizmem. - Farina, pilot helikoptera, zginął, ale dwaj pozostali jeszcze żyją.

- Masz ich namiary?

- Jednego z nich. Fostera. Mieszka w miasteczku o nazwie Paradise, niedaleko Las Vegas. Jest muzykiem, pracuje w hotelu Stardust.

- A co z Bartlettem, tym z kostnicy? - pytam, pracowicie zapisując informacje.

- Na jego temat niewiele. Ostatni znany adres to szpital weteranów w stanie Wyoming. To było osiem lat temu. Po wypisaniu gdzieś zniknął. Spróbuję tam popytać.

- Świetnie. Póki co - wystarczy.

Odkładam słuchawkę i uśmiecham się szeroko. Nie tylko znalazłem trop, ale do tego prowadzi on do Vegas, do którego leci się z Los Angeles krócej niż godzinę. Na dodatek to jedno z moich ulubionych miejsc. Jeździmy tam z Nancy przynajmniej parę razy w roku.

- No to co ty na to? - pytam ją przy obiedzie. - Masz ochotę wyskoczyć jutro do Vegas?

- Jasne. Powiem moim uczniom, że robię sobie wolny dzień i jadę poszaleć w kasynach.

- Nancy, dadzą sobie przecież radę przez jeden dzień bez ciebie.

- Dlaczego nie chcesz pojechać tam w weekend?

- Czułem, że to powiesz.

- Bo to dopiero za pięć dni i nie ma mowy, żebyś tak długo siedział beczynnie, prawda?

- Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

- Niby mógłbym - odpowiadam i uśmiecham się szeroko - ale wtedy nie miałbym pretekstu, żeby jechać do Vegas.

- Czułam, że to powiesz.

- No, a poza tym - tłumaczę już bardziej poważnie - jest coś takiego, co trudno mi wyjaśnić. Muszę spotkać tych ludzi, spojrzeć im w oczy, wiesz, o co chodzi?

Przytakuje zamyślona i całuje mnie w policzek.

Następnego ranka załatwiam szybko bieżące sprawy i jadę na lotnisko. W lusterku wstecznym nie widzę żadnego niebieskiego sedana. Wsiadam do samolotu lecącego na ukryte pośród piasków pustyni na południowy wschód od Las Vegas międzynarodowe lotnisko Mc Carran. Na miejscu wynajmuję limuzynę z szoferem i jadę do Stardust.

To jeden z najstarszych i najbardziej luksusowych hoteli w mieście. W niczym nie przypomina

przesadnie rozbudowanych obiektów jak Excalibur czy Mirage. Jest trochę unowocześnionym pałacem gry z lat pięćdziesiątych, przyozdobionym imponującą neonową wieżą. Na frontonie budynku wirują reklamy Lido de Paris i występującej tam trupy tancerek w stroju topless. Świetnie urządzone hol rozbrzmiewa setką dźwięków przywodzących na myśl kasyno. Czuję dreszcz podniecenia. Pytam recepcjonistkę o Richarda Fostera. Pokazuje mi plakat, na którym widnieje napis: Sala Constellation, Improwizacje na fortepian w wykonaniu DICKA FOSTERA i dodaje, że właśnie trwa jego występ. Przeciskam się pomiędzy stolami do gry w karty i wchodzę do słabo oświetlonej groty na drugim końcu kasyna.

Przy fortepianie siedzi przystojny Murzyn i gra bluesa. Widać, że robi to nie tylko dla słuchaczy, ale również, a może przede wszystkim dla siebie. Biorę do ręki serwetkę, piszę na niej CAL MORGAN KOMPANIA G, RANGERSI i proszę kelnerkę o jej przekazanie. Pianista kiwa głową, potwierdzając przyjęcie wiadomości, a moją uwagę przykuwają na chwilę dwie wysokie, niezwykle atrakcyjne kobiety w obcisłych spódniczkach. Żony milionerów? Czy raczej dziwki? Pewnie jedno i drugie. Tak to już jest w Vegas. Jedna z nich uśmiecha się do mnie. Udaję, że nie zauważam, z nadzieją, że nie uznała mojego zainteresowania za zaproszenie. Kilka minut później pianista kończy grę i przysiada się do mnie.

- Morgan, kompania G - mówi Dick Foster. Ma delikatny akcent człowieka pochodzącego z głębokiego Południa. Patrzy na mnie uważnie, jakby próbował przypomnieć sobie moją twarz. - Spotkaliśmy się gdzieś?

- Tak jakby. O tym właśnie chcę z panem porozmawiać. Zamawiamy drinki i pokazuję mu kopię podpisanego przezeń

raportu. Opowiadam pokrótce moją historię i pytam, czy pamięta otwarcie worka ze zwłokami i znalezienie w nim mojego dowodu tożsamości i identyfikatorów. Twarz Fostera pochmurnieje, a kiedy kończę, odrzuca raport, jak coś co parzy, odchyła się do tyłu i spogląda na mnie ze złością w oczach. Z automatu wylewa się deszcz srebrnych monet dolarowych - tylko to zakłóca panującą przy naszym stoliku ciszę.

- Nie potrzeba mi tego, człowieku - mówi wreszcie. - Pół życia straciłem, by o tym zapomnieć.

- Przykro mi. Myślałem, że rozumie pan, jakie to dla mnie ważne.

- Ale nie dla mnie.

- Pan złożył podpis pod tym raportem. Trzymał pan w dłoni moje identyfikatory. Dzięki panu być może zdołam rozwiązać tę zagadkę. Proszę spróbować przypomnieć sobie tego faceta.

- Do cholery, wiesz pan, ile worów z trupami przewinęło się przez moje ręce? Tysiące. Poza tym jedyną rzeczą, o której byłem w stanie myśleć przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, było przeżycie - unosi kształtne dłonie, po czym dodaje: - w jednym kawałku. Tylko to miałem w głowie.

- No i panu się udało. Próbuję oddać przysługę komuś, kto nie miał tyle szczęścia.

- I uważasz pan, że to powód, żeby przychodzić do mnie i przypominać mi o tym zajebanym piekle?

- Oczywiście, do kurwy nędzy - odpowiadam, przejmując jego sposób mówienia. - Za dużo widziałem zabitych, żeby odpuścić sobie całą tę sprawę. A teraz spróbuj pan sobie przypomnieć, co?

Wzdycha i opuszcza przygniecione ciężarem wspomnień ramiona.

- Pamiętam, człowieku, jeszcze jak pamiętam - mówi wreszcie, po czym w reakcji na pojawiający się na mojej twarzy wyraz ulgi dodaje z obrzydzeniem: - Nie, kurwa mać, nie twoje pieprzone identyfikatory. Pamiętam krwawe kawały ludzkiego mięsa, tak, właśnie to pamiętam. Nasi ludzie zbierali je do kupy i kładli przy nich identyfikatory, które leżały najbliżej. Trudno było nie popełniać błędów.

- Dobra, ale niech pan spojrzy - nalegam i podsuwam mu raport - trafiony w pierś ogniem małego kalibru. Ten facet nie był zmasakrowany. Jak można było popełnić taki błąd?

Zastanawia się przez chwilę i wzrusza ramionami.

- Dobre pytanie. Może w kostnicy coś pochrzanili. Kto to może wiedzieć?

- Przecież mieli odciski palców, akta dentystyczne.

- Nie wiem - mówi zniechęcony - pracowałem na punktach zbiórki. Z tego co pamiętam, każdy zabity wpisywany był do akt jako uważany - za.

- Wiem. Miałem jedynie nadzieję, że uda się panu przypomnieć coś, co mogłoby mi pomóc. Chcę tylko wiedzieć kim naprawdę był ten biedak.

Kiwa głową i ponownie spogląda na raport.

- A. Calvert Morgan - mówi powoli, zastanawia się przez chwilę, po czym potrząsa przecząco głową. - Nic, zupełnie nic. Biała plama.

Zaciskam usta i kiwam smętnie głową.

- Dziękuję, że przynajmniej pan próbował - mówię zrezygnowany.

Czuję się pokonany i ogarnia mnie zniechęcenie. Wiem, że on to widzi, i wtedy w jego oczach zamiast gniewu dostrzegam współczucie.

- Przepraszam, że wcześniej tak na pana napadłem - mówi i po krótkiej przerwie dodaje: - Dobrze, że pan to robi.

Uśmiecham się, po czym pokazuję fortepian.

- Pan też. Świetnie pan gra.

- Dziękuję.

- Zna pan „Dock of the Bay”?

- Za kogo pan mnie ma? Na samym początku w Wietnamie rządził Otis Redding, dopiero później pojawiła się cała reszta.

- Jimi, Aretha i B.B. King -mówię bez zastanowienia.

- Niekoniecznie w tej kolejności - dorzuca. Dopija drinka, po czym wstaje i patrzy na fortepian. - Chyba nie powinienem narzekać. Ilu ludzi może, tak jak ja, zarabiać na tym, co najbardziej lubi robić?

- Na pewno jest takich o wiele za mało.

- No - mówi i uśmiecha się dość gorzko - chociaż tutaj trzeba pamiętać, żeby nie oddawać pieniędzy tym, którzy przedtem płacą.

Podchodzi do fortepianu, przesyła mi lekki ukłon, siada przy klawiaturze i wyczarowuje z niej pierwsze rytmiczne, melodyjne dźwięki, po czym zamyka oczy i gdzieś z głębi duszy wydobywa słowa.

Siedzę w gorączce poranka, i nie odejdę stąd aż nadejdzie wieczór, patrzę na statki wpływające do portu, a potem widzę, jak odpływają. Tak, siedzę w doku nad zatoką, patrzę na znikające w oddali fale, siedzę w doku nad zatoką, tracę czas. Opuściłem mój dom w Georgii, przyjechałem tu, do Frisco Bay. Nie mam już po co żyć, Nie mam nadziei...

Zostało mi jeszcze trochę czasu do odlotu. Słucham przez chwilę, dopijam drinka i wrzucam stówę do stojącej na fortepianie pustej szklanki po brandy. Kiedy wstaję, czuję lekki zawrót głowy i omal nie tracę równowagi. Po jednym drinku? To adrenalina, znam to uczucie jeszcze z Wietnamu. Robię kilka głębokich wdechów i kieruję się ku stołom do blackjacka. W myśli przygotowuję opracowaną wcześniej strategię gry.

Hazard, w którym liczy się przede wszystkim szczęście, jest darem Bożym dla rzeczoznawców ubezpieczeniowych. Blackjack jest chyba najlepszą grą, dlatego że po zakończeniu jednej rundy wszyscy zawodnicy pokazują swoje karty. Chociaż krupier ma 18% przewagi nad słabymi graczami i średnio 5,90% przewagi nad wszystkimi, gracz, który jest w stanie zapamiętać te karty, które już zeszły, obliczyć, ile w talii pozostało dziesiątek i innych kart i zamienić ten stosunek na ułamek dziesiątyny, może ją znacznie zmniejszyć. Najlepsi gracze zmniejszają przewagę do 2,3% - w dodatku na swoją korzyść. Mnie się to udaje już od drugiej klasy liceum.

Przegrywam kilka rozdań, żeby zobaczyć schodzące karty, po czym zaczynam wygrywać i podwajać stawkę. Przynoszą mi drinki na koszt firmy. Wypijam tylko jeden, nie chcę tracić koncentracji. Około pół godziny później jestem już prawie sześćset dolarów do przodu i wtedy uświadamiam sobie, że pora wziąć gotówkę i ruszyć na lotnisko. Kiedy wstaję, żeby zebrać moje żetony, świat zaczyna wirować mi przed oczami. Nogi mam jak z waty i czuję, że się chwieję.

Kilku graczy próbuje mi pomóc.

- W porządku, kolego? - pyta krupier.

- Zaraz będzie w porządku - słyszę miękki kobiecy głos i czuję obejmującą mnie rękę. -

Przyprowadził nas tutaj i gdzieś zniknął. Wszędzie go szukałyśmy.

Tak? - dziwię się, a moje nozdrza wypełnia dławiący zapach mocnych perfum. Widzę podwójnie, a może nawet potrójnie. Kątem oka dostrzegam zarys długich blond włosów, błyszczący jaskrawoczerwony owal ust i brązowe, ciasno opięte spódnica ciało, przypominające kobietę z baru.

Wreszcie orientuję się, że są przy mnie dwie kobiety i jedna z nich zabiera mi żetony i chowa je do swojej torebki, po czym przytrzymuje mnie, żebym nie upadł.

- No, trzeba cię zanieść do pokoju - stwierdza.

- Pokoju? Nie mam pokoju - mamroczę. Kasyno wiruje coraz bardziej; biorą mnie z dwóch stron i zaczynają prowadzić.

Idziemy do windy. Czuję, że zaraz stracę przytomność. Winda zatrzymuje się. Wprowadzają mnie do jednego z pokoi i wpychają do środka. Padam bezwładnie na łóżko, słyszę trzask zamykanych drzwi. Leżę twarzą do dołu, a moje porywaczki przeszukują mi kieszenie, wyciągają portfel, pieniądze, zdejmują zegarek, obrączkę i ubranie. Próbuję stawiać im opór, ale jakaś mocna dłoń chwyta moją rękę i wykręca ją boleśnie. Na plecach przytrzymuje ją coś, co prawdopodobnie jest kolaniem. Udaje mi się nieco przekreślić głowę w bok.

Cały pokój odbija się w lustrze, znajdującym się na suficie. Wszystko widzę jakby za mgłą, ale mogę jeszcze rozróżnić poszczególne kształty. Widzę już trzy, nie dwie sylwetki. Jedna z nich to z całą pewnością mężczyzna w ciemnych okularach. Ten z niebieskiego samochodu? Nie wiem.

Trzyma w dłoni coś błyszczącego. Pistolet? Nóż?! Rzucam się w bok, próbując się uwolnić. Facet przeklina. W górnej części ramienia odczuwam ostry ból. Jakby prąd przeszył całą rękę. Czuję łaskotanie w opuszkach palców, po czym ból dochodzi do samej głowy. Nagle zdaję sobie sprawę, że nikt mnie już nie trzyma. Słyszę trzaśnięcie drzwiami.

Nie słyszę nic prócz ogłuszającego walenia mojego serca, próbującego wyrwać się z klatki piersiowej. Zsuwam się z łóżka na podłogę, po czym powoli, chwytając się rozpaczliwie dywanu, czołgam się do drzwi. W jakiś sposób sięgam do klamki i mam jeszcze tyle siły, żeby z wielką trudnością podnieść się i ją nacisnąć. Jestem zlany potem i moja ręka ześlizguje się z wypolerowanego kawałka mosiądzu. Wtedy świat znika nagle i widzę jakieś białe błyski. Potem ogarnia mnie dziwnie przyjemne uczucie. Tracę równowagę i bezwładnie padam na podłogę.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest lustro na suficie. Widzę w nim odbicie półnagiego mężczyzny leżącego na szkarłatnym dywanie. Ten facet wygląda zupełnie jak ja.

11

Pierwsze, co rozpoznaję, to mocny, drażniący zapach środka odkażającego; potem jakieś odgłosy - ludzie biegający we wszystkie strony, gorączkowe rozmowy, pracujące maszyny. Wyczuwam jednak, że cały ten zgiełk nie ma nic wspólnego ze mną. Otwieram oczy. Natychmiast oślepia mnie jaskrawy blask zawieszonych bezpośrednio nade mną lamp fluorescencyjnych. Po chwili jestem w stanie rozróżnić zarys zielonej szpitalnej zasłony. Widziałem to już kiedyś. Tyle że teraz moje nogi nie są w bandażach, a świat nie ma koloru khaki i brązu. Przez dłuższą chwilę leżę w miejscu, nie wiedząc, co się właściwie dzieje. Od czasu do czasu pojawiają się lekarze lub pielęgniarki - mierzą mi puls i ciśnienie krwi.

- W porządku - mówi wreszcie ktoś z nich - wkrótce będzie pan zdrowy.

Czuję się źle. Szczerze mówiąc, „źle” to za mało powiedziane, czuję się okropnie, jakbym miał kaca, który będzie trwał wiecznie. Na zasłonę padają cienie podchodzących i rozmawiających ze sobą ludzi. Dwóch, może trzech mężczyzn i kobieta, której głos skądś znam. Myślę, że to może być Nancy. O Boże, to naprawdę Nancy.

- Panowie się mylą - mówi chłodnym tonem - mój mąż nie bierze żadnych narkotyków.

- Pani Morgan, na pewno ma pani rację - odpowiada ponury męski głos - ale tu, w Vegas, z ludźmi dzieją się naprawdę dziwne rzeczy. Przyjeżdżają pograć w kasynach, a kończy się zupełnie inaczej.

- On nie po to tu przyjechał - gwałtownie wtrąca Nancy.

- Może taka była oficjalna wersja wydarzeń.

- Przecież znam mojego męża.

- Pani Morgan, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale gdybym za każdym razem, kiedy słyszę takie

wytłumaczenie dostawał pięć dolarów, to w tej chwili mógłbym spłacić nasz dług państwowemu.

Ludzie myślą, że znają swoich współmałżonków, ale proszę mi wierzyć - tak nie jest.

- Znam mojego męża - powtarza z uporem Nancy.

- Wolałbym, żeby nie siedziała pani z nim za długo - słyszę inny męski głos. Brzmi bardzo poważnie i jakoś oficjalnie; dochodzę do wniosku, że to mój lekarz. Zasłona odsuwa się wreszcie i pojawia się Nancy. Na jej twarzy maluje się smutek. Podchodzi do mnie, za nią podążają dwaj mężczyźni w krawatach i kurtkach prosto od J.C. Penneya.

- Jak się czujesz? - mówi, pochyla się nade mną i przytula mnie ostrożnie, jakby się bała, że jeśli dotknie mnie za mocno, to jeszcze się połamię.

- Może być. Jak długo tu jestem? Jak długo ty tu jesteś?

- Około pół godziny. Zadzwonili do mnie do szkoły. Natychmiast przyleciałam. Naprawdę się przestraszyłam.

- O Jezuu, tak mi przykro - mówię i czuję pulsujący ból w skroniach. - Nie wiem, co się stało.

- Policjanci powiedzieli - pokazuje dwóch stojących za nią mężczyzn - że sprzątaczką ze Stardust znalazła cię w jednym z pokojów. Leżałeś na podłodze i nie dawałeś znaku życia.

Na tamto wspomnienie przechodzą mnie dreszcze. Przed oczami migają mi jakieś niewyraźne obrazy.

- Nie wiem. Coś pamiętam, jakbym się potknął i upadł... - przerywam i wreszcie wzruszam ramionami. - A o co chodzi z tymi narkotykami?

- Nie mam pojęcia. Pytali, czy bierzesz.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że nie. Mimo to chcą z tobą porozmawiać. Wzruszam ramionami.

- W porządku.

Cofa się i kiwa głową w stronę dwóch detektywów. Patrzą na siebie, po czym ten niższy, wąsatymi wyglądający na zmęczonego mówi do Nancy:

- Może woli pani poczekać na zewnątrz - przemawia tonem, który wyraźnie sugeruje, że będzie dla niej lepiej, jeśli oszczędzi sobie wstydu.

- Zostanę tu, z moim mężem - odpowiada bez namysłu. Detektyw wykonuje gest mający oznaczać „jak pani woli”

i bierze do ręki pilota umożliwiającego kontrolowanie ustawienia łóżka.

- Lubię patrzeć ludziom w oczy, kiedy z nimi rozmawiam - wyjaśnia, podczas gdy silniczek umieszczony gdzieś nad podłogą powoli unosi mnie do pozycji siedzącej. - Jestem sierżant Figueroa, a to detektyw Waliach - wskazuje swojego młodszego, starannie ogolonego współpracownika - jesteśmy z policji w Las Vegas. Zanim pan cokolwiek powie, muszę odczytać przysługujące panu prawa.

- Dlaczego? - pytam zaskoczony - czy jestem aresztowany?

- Nie, proszę pana. To tylko takie zabezpieczenie. Kątem oka zauważam ulgę na twarzy Nancy.

- Znam swoje prawa - mamrocze już nieco podenerwowany.

- To świetnie - mówi policjant i mimo to wykonuje swój obowiązek - ale teraz przejdźmy do rzeczy: czy wie pan, co się z panem stało?

Wzruszam ramionami i rozkładam ręce.

- Miałem nadzieję, że panowie mi to powiecie.

- No pewnie - spogląda z uśmiechem na swojego towarzysza.

- Po pierwsze - mówi ten ogolony i przeprasza skłaniając głowę w kierunku Nancy - mamy kilku świadków, którzy twierdzą, że odszedł pan od stołu do gry w towarzystwie dwu dość ponętnie wyglądających kobiet. Może to odświeży panu pamięć?

- O Boże - zaczynam sobie przypominać. Patrę na Nancy i marzę tylko o tym, żeby zniknąć bez śladu. - Tak, tak, teraz pamiętam - opowiadam jak o mało nie zemdlałem w kasynie i pomogły mi dwie kobiety - udawały, że jestem ich znajomym. Chyba wypatrzyły mnie w sali barowej, chociaż nie mam pewności. Prawdopodobnie wrzuciły coś do mojego drinka, żeby było im łatwiej mnie obrobić czy coś w tym rodzaju. Nie mogłem im stawić oporu. Byłem za słaby.

Detektywi patrzą na siebie sceptycznie. Przedstawili się na początku tej koszarnej rozmowy, ale

nie mogę przypomnieć sobie ich nazwisk. Dla mnie jeden z nich to Wąsal, a drugi Ogolony.

- Co to wszystko znaczy? - pytam ze złością.

- Panie Morgan, mamy dwa tuziny spraw tego typu tygodniowo - przejmuje pałeczkę Wąsal. - Ludzie przyjeżdżają tu, żeby się zabawić, no i zabawa kończy się trochę inaczej niż sobie wyobrażali. Jeśli podejmie pan współpracę z nami, to całkiem możliwe, że...

- Zabawić?! - wybucham wściekły. Wysiłek i gniew powodują nawrót bólu głowy. Kładę się na poduszce i ból w końcu przechodzi. - Nie przyjechałem tu się zabawić - wyjaśniam tak spokojnie, jak to tylko możliwe w tej sytuacji - powtarzam, te dwie kobiety nafaszerowały mnie narkotykami i zabrały do pokoju, po czym...

- Wiemy - przerywa z zadowoloną miną. - Pokój został wynajęty na pańskie nazwisko.

- Moje nazwisko?

- Zgadza się. Leżało tam porzucane pańskie ubranie; na stoliku zostało jeszcze trochę kokainy, butelki alkoholu, kasety video z pornosami, kamera... Wszystko, co niezbędne, żeby się dobrze zabawić.

- Nie, to niewiarygodne. Poza tym byłem w tym pokoju tylko kilka minut.

- Od przerywania gry do chwili odnalezienia pana przez sprzątaczkę? - pyta ironicznie. - Raczej kilkaset.

- Trzy godziny? - mówię z niedowierzaniem.

- Prawie - uśmiecha się. - W pana organizmie znaleziono i kokainę, i heroinę, że nie wspomnę o innych ciekawostkach. Dlatego też myślimy, że nie był pan tam tylko po to, żeby się zdrzemnąć. Jestem wściekły i zaskoczony, dlatego słowa więzną mi w gardle.

- To jeszcze bardziej niewiarygodne. Nie biorę narkotyków. Wypiłem dwa drinki. Jednego w barze z pianistą, drugiego podczas gry w blackjacka. Możecie to sprawdzić u kelnerek, one...

- Panie Morgan, lekarz stwierdził, że kiedy pana tu przywieziono, był pan kompletnie naćpany.

- Ile razy muszę wam powtarzać, że naszpikowano mnie jakimiś narkotykami i obrabowano? Nie wiem czym, ale pamiętam, jak przeszukiwały mi kieszenie. Zabrały zegarek, portfel...

- Jak to zwykle bywa.

- Proszę mi wierzyć, przyjechałem tu w sprawie osobistej. Nie zamierzałem się zabawiać.

- Najwyraźniej te dziwki tego nie zauważyły.

- Zaraz, zaraz - przypominam sobie z trudem odbicia w lustrze na suficie - wydaje mi się, że był tam też mężczyzna. Tak, tak - przypominam sobie coraz lepiej - dwie kobiety i mężczyzna.

- Jest pan tego pewien?

- Stuprocentowo. To on wykręcił mi rękę. Przez niego boli mnie całe ramię.

Policjanci wymieniają spojrzenia, tym razem niepewne, co być może znaczy, że tym razem zawiodła ich intuicja.

- No, to może zmieniać postać rzeczy - mówi Ogolony i przechodzi na drugą stronę łóżka. - Ten facet mógł być alfonsem tych dziwek, ale oni z reguły nie mieszają się do samej akcji, dlatego możliwe, że pan nie kłamie. W mieście jest kilka gangów zajmujących się obrotem rolexami. Jeśli to ich sprawa, to facet prawdopodobnie był ich szefem.

- Tak, czasami działają tak, żeby wyglądało to na niefortunne zakończenie miłej zabawy - dodaje Wąsal - wtedy mogą mieć pewność, że ofiara nie zgłosi kradzieży. Mieliśmy już sporo takich przypadków.

- Aż trudno uwierzyć - mówię ze złością.

- Czy potrafiłby pan ich opisać? - pyta chłodno, nie zwracając uwagi na moje słowa.

- No, do pewnego stopnia - odpowiadam i przerywam na chwilę, chcąc odzyskać spokój - wszystko było jak za mgłą. Pamiętam, że gość miał okulary i... - przerywam, nie przypominam sobie niczego więcej, wzruszam ramionami - to wszystko. Jak już mówiłem, nie byłem w stanie dobrze mu się przyjrzeć.

- No a panienki?

- Wysokie, seksowne blondynki - odpowiadam rozkładając ręce - bardzo seksowne.

Wąsal wydaje z siebie radosny rechot.

- Jestem pewien, że nie będziemy mieć kłopotów z ich odnalezieniem - mówi najbardziej

sarkastycznie jak potrafi.

Zdaję sobie sprawę, że właśnie opisałem wygląd połowy kobiet z Las Vegas.

- Co teraz?

- To już zależy od prokuratora. Niech pan jedzie do domu i trochę odpocznie. Spiszemy raport i prześlemy panu kopię wyciąga wizytówkę z kieszeni koszuli i kładzie ją przede mną na łóżku. - Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, proszę nas szukać pod tym numerem telefonu - podciąga spodnie, kłania się Nancy i kieruje się ku wyjściu.

Zatrzymuje się, odwraca w moją stronę i dodaje: - Oczywiście, gdyby ta sprawa miała mieć ciąg dalszy, wiemy, gdzie pana znaleźć.

12

Budzi mnie niesamowity ból. Jest jeszcze ciemno i bardzo cicho, w oddali słyszę fale uderzające o brzeg. W domu znaleźliśmy się grubo po północy. Długo nie mogłem zasnąć.

- Co się dzieje? - pyta Nancy, wyrwana z głębokiego snu przez moje przewracanie się z boku na bok - Boże, dopiero dochodzi wpół do szóstej.

- Boli mnie ręka - siadam na łóżku, zapalam lampkę i biorę się do rozpinania piżamy.

Nancy opiera się na łokciu i patrzy na mnie zza przymrużonych powiek.

- Wiesz, jak to jest, tygrysie - drażni się ze mną głosem seksownym, ale i pełnym sarkazmu - co za dużo, to niezdrowo.

- To nie jest śmieszne - rzucam i krzywię się z bólu próbując podciągnąć rękaw - boli jak diabli.

Zobacz.

- O rany - mówi i marszczy brwi na ten widok.

Część lewej ręki pomiędzy ramieniem i łokciem jest spuchnięta, niebieskopurpurowa i pokryta różowożółtymi plamkami. Przypomina wczesne płótna Rothko. Nancy poważnie i przeprowadza coś w rodzaju badania - dotyka mojej ręki w różnych miejscach.

- Au! Ostrożnie.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też nie.

Dopiero rano mogę złożyć wizytę naszemu internście. Doktor Marcel Koppel jest chudym pedantem belgijskiego pochodzenia.

Kiedy kończę opowieść o tym, co zdarzyło się w Las Vegas, w jego oczach pojawia się złośliwy ogień. Dokładnie ogląda siniaka, którego nazywa krwiakiem.

- Prześwietlili to w szpitalu?

- Nie, wtedy jeszcze nic nie było widać. Zaczęło się dopiero wczoraj wieczorem. Dziś rano...

- Jakiś opóźniony krwotok.

- Co jest tego przyczyną?

- Zwykle osłabienie naczynia krwionośnego spowodowane jakimś urazem.

Każe mi iść na prześwietlenie. Po półgodzinie wracam ze zdjęciami, które doktor dokładnie ogląda pod światło. Unosi brwi.

- Tego jeszcze nigdy nie widziałem - stwierdza, wyraźnie zaintrygowany tym, co dostrzegł na zdjęciach.

- To znaczy czego?

- O, tego - odpowiada, wskazując ostrzem ołówka ostro zakończoną cienką czarną kreskę. Ma około dwóch centymetrów długości.

- Wiesz, co to jest? Zaprzeczam.

- Igła ze strzykawki.

- O Jezu.

- Wiesz co, widziałem setki igieł zagiętych, ale jeszcze nigdy złamanej. Ktokolwiek robił ci ten zastrzyk, prawdopodobnie zarabia na życie pracując przy młocie pneumatycznym - ogląda zdjęcia, zauważa coś i kiwa głową ze zrozumieniem. - To wszystko wyjaśnia. Widzisz? - przejeżdża ołówkiem po bladej, zakręconej linii zakończonej mikroskopijnym kraterem. - Igła trafiła na kość, ześliznęła się po niej, weszła głębiej i złamała się.

Przytakuję z mądrą miną. Po chwili dociera do mnie, że to, co widzę na zdjęciu, to moja ręka, ręka,

w której tkwi igła.

- No i co z tym zrobimy?

- No wiesz, jak to mówią, co wejdzie... - przerywa, łapie mnie za rękę i delikatnie kciukami naciska skórę. Boli jak cholera, ale wkrótce ze zsiniałej plamy wyłania się czubek igły. Bierze do ręki kleszcze, zaciska i wyciąga igłę z mojego mięśnia - ...musi kiedyś wyjść.

Wpatruję się w moją rękę.

Z miejsca, z którego doktor Koppel wyciągnął igłę, wypływa mała kropelka krwi.

On tymczasem patrzy pod światło na kleszcze ściskające niepozorny przedmiot, który sprawił mi tyle bólu.

- Niewłaściwa średnica.

- To znaczy?

- No, igły używane do iniekcji podskórnych i domięśniowych mają zwykle średnicę dwadzieścia-dwadzieścia trzy. Im większa średnica, tym ostrzejsza igła. To jest co najwyżej osiemnastka, używana do pobierania krwi.

- Mówiłeś mi kiedyś, żebym trzymał się z dala od szpitali, pamiętasz?

- Pamiętam - odpowiada z uśmiechem - ale żaden zawodowiec nie popełniłby takiego błędu.

- Za to facet w pokoju hotelowym mógłby - mówię i przypominam sobie coraz więcej szczegółów.

- Pamiętam, że miał w ręku coś błyszczącego. Próbowalem z nim walczyć i nagle poczułem silny ból w ramieniu. Pewnie wtedy złamała się igła.

Przytakuje skinieniem głowy.

- Pewnie wiedzieli, że to, co ci dodali do drinka, nie działa długo i po pewnym czasie będziesz mógł wezwać pomoc albo nawet pobiec za nimi. Dlatego próbowali ci wstrzyknąć coś, co działałoby nieco dłużej.

- Heroinę z kokainą.

Doktor patrzy na mnie pytająco.

- W szpitalu powiedzieli mi, że przeprowadzone testy wykazały obecność jednego i drugiego.

Poważnieje.

- Kiedyś pracowałem w jednym ze szpitali w centrum miasta. Miałem do czynienia z wieloma przypadkami przedawkowania narkotyków. Wygląda na to, że dali ci coś co ćpuny nazywają speedballem.

- Speedball - powtarzam powoli i nagle ogarnia mnie groza. -Czy to nie zabiło Johna Belushi?

Doktor przytakuje ponuro.

- Ciebie też mogło zabić, ale podejrzewam, że nie dali ci całej dawki.

- Dlaczego?

Wyjmuje coś z szuflady, otwiera papierowe opakowanie i wyciąga ze środka igłę.

- To jest dwucentymetrowa osiemnastka.

- Taka sama jak tamta.

- Dokładnie - porównuje nową igłę z tą wyjętą z mojego ramienia. Są tej samej długości. Robi ostrzem ołówka dziurkę w plastikowej podstawie i wkręca ją do strzykawki. - Widzisz? Złamała się dokładnie przy podstawie, co znaczy, że musiała się złamać nad powierzchnią skóry.

Przechodzi mnie dreszcz na samą myśl o tym, jak niewiele brakowało, żebym już nie żył.

- Prawdopodobnie przez pewien czas będzie to dość brzydko wyglądać - zapisuje mi antybiotyk i łagodny środek przeciwbólowy.

Przed wyjściem proszę go, żeby przesłał kopię wyników badań sierżantowi Figueroa z policji w Las Vegas.

Przez parę następnych dni wychodzę późno do pracy i wracam wcześniej, zaraz po Nancy. Zawsze siedzi w salonie i przez około pół godziny gra na pianinie. Do jej repertuaru należą Cole Porter, Gershwin i klasycy. Dzisiaj dom wypełnia coś, co brzmi jak sonata Mozarta, choć nie mogę z całą pewnością tego stwierdzić -jestem muzycznym analfabetą. Gra, żeby się zrelaksować, choć czasem robi to tylko dla mnie. Jest bardzo utalentowana i skromna, co stanowi część jej niezaprzeczalnego uroku.

- Cześć, kochanie - mówi wesoło, kończąc utwór. Wstaje od pianina, całuje mnie na przywitanie i

bierze ze stolika popołudniówkę. - Złapali tego włamywacza.

- Tego, który działał w naszej okolicy?

- Uhm. Złapali go jak próbował ukraść samochód, gdzieś na Alta Vista.

Przeglądam artykuł i zamyślam się na chwilę.

- Co się stało?

- Zaczekaj chwilę.

Podnoszę słuchawkę telefonu i wykręcam numer biura szeryfa w Malibu Civic Center.

- Tu Morgan z Sea View. Nie, nie, nic się nie stało. Słyszałem, że złapaliście tego włamywacza.

Tak, tak, gratulacje. Czy może mi pan powiedzieć, jaki był jego samochód? - słyszę szelest papierów

po drugiej stronie i wreszcie uzyskuję wiadomość. - Aha, w porządku, dziękuję.

Odkładam słuchawkę.

Nancy patrzy na mnie pytająco.

- Toyota.

Nagle wszystko powraca: niebieski sedan, kierowca w ciemnych okularach, facet z hotelu też w okularach, straszliwy ból ramienia, kawałek igły... słyszę słowa- heroína, kokaina... speedball... - to mogło cię zabić... zabić... zabić. Wtedy dobiega mnie mój głos -obcy jakby zza jakiejś bariery:

- Może chcieli mnie zabić.

Nancy błyskawicznie odwraca się do mnie.

- Chcieli cię zabić? - pyta z niedowierzaniem.

- Tak. Jak to mówił ten facet z policji?

- Gang zajmujący się obrotem rolexami?

- Nie, nie, nie o to mi chodzi.

- Ach, niefortunne zakończenie wesołej imprezy.

- O właśnie. Biznesmen jedzie do Vegas, znajduje towarzystwo, o jakim zawsze marzył, bierze trochę koki, stwierdza, że mu mało i zgadza się, żeby jedna z pańienek wstrzyknęła mu...

- Wcześniej mówiłeś, że chcieli cię po prostu unieszkodliwić.

- Bo tak myślałem. Ale z drugiej strony, jeśli chodziło im tylko o to, to dlaczego po prostu nie rąbnęli mnie w głowę?

Wzrusza ramionami.

- Ale dlaczego chcieliby cię zabić?

- O właśnie! Wyjęłaś mi to z ust.

- Może to po prostu zwykły pech.

- Mało prawdopodobne. Facet, który siedział obok mnie, wygrał ponad dziesięć tysięcy. Dlaczego nie namierzili jego? Po cholere podejmować takie ryzyko dla nędznych pięciuset czy sześciuset dolarów?

- Nie wiem. Poza tym nikt nie wiedział o twoim wyjeździe.

- Mogli mnie śledzić.

- To kiedy znaleźliby czas na opracowanie tak misternego planu?

- Nie wiem, nie wiem. Ale jeśli ich celem nie były pieniądze, to bardzo mi przykro, ale poza moim życiem na niczym innym nie mogło im zależeć.

- No dobra, załóżmy, że chcieli cię zabić. Po co byłaby im wtedy cała ta szopka z pozorowaniem wypadku?

- Żeby policja nie szukała motywu. Żeby nikt nie mógł zapytać: „Dlaczego ktoś zabił Cala Morgana?”

Patrzy na mnie.

- Ja zadam to pytanie. Dlaczego?

- Nie wiem. A dlaczego ten facet w niebieskim sedanie obserwował nasz dom?

- A co on może mieć z tym wspólnego? Cał, mógł przecież być kimkolwiek. Innym włamywaczem, kochankiem tej jak ona się nazywa... itp. itd. Zaczynasz się zachowywać jak paranoik.

- Hej, nie potrzebuję psychoanalizy!

- Nie zapominaj, że jestem twoją żoną -mówi cicho, najwyraźniej zraniona moim tonem - i martwię się o ciebie. Zmieniłeś się od naszego pobytu w Waszyngtonie. Chyba przesadzasz. Nie znam nikogo, kto mógłby być twoim wrogiem, a ty mimo to...

- W końcu nie musisz ich znać osobiście.

- Kochanie, zastanów się. Nikt nie zabija bez powodu.

- Nancy - przerywam jej - mówisz zupełnie jak ci gliniarze. Chcesz na wszystko mieć gotową odpowiedź. Zaraz zaczniesz mi wmawiać, że naprawdę pojechałem do Vegas po to, żeby się zabawić.

- Nonsens.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy.

Patrzmy na siebie w ciszy. Dzwoni telefon. Nancy odbiera, po czym przekazuje mi słuchawkę.

- Pan Collins - mówi chłodno.

- Jack?

- Cześć. Znalazłem tego Bartletta. Wiesz, pracownika kostnicy.

- To świetnie. Dzięki.

- Nie ciesz się za bardzo. Facet leży w szpitalu weteranów w Denver, podobno w dość złym stanie.

- Jak złym?

- Ma AIDS. Na twoim miejscu nie traciłbym czasu. Powiedzieli mi, że pociągnie jeszcze góra dwa tygodnie, a prawdopodobnie nawet mniej.

- Aż tak źle?

- Uhm. A jak tam rozmowa z Fosterem?

- Nic nowego. Krótko mówiąc miły facet, dobry muzyk, nic nie wie, chce zapomnieć. Kiedyś ci o tym opowiem. Masz adres tego szpitala? - zapisuję na kartce papieru, odkładam słuchawkę i idę do kuchni po piwo. Zamykam lodówkę i widzę, że za mną stoi Nancy.

- Chcesz? - pytam i podnoszę rękę z butelką. Kiwa przecząco głową i krzyżuje ramiona.

- Co jest grane? - pyta podejrzliwie.

Wzruszam nonszalancko ramionami, wyjmuję otwieracz z szuflady, otwieram butelkę i biorę duży łyk. Gram na zwłokę. Od chwili odłożenia słuchawki. Nancy o tym wie i dlatego przyszła tu za mną.

- Muszę jechać do Denver - mówię wreszcie i nie przychodzi mi to łatwo.

Bierze głęboki oddech.

- Kiedy?

- Jutro.

- Mieliśmy iść na Upiora.

- Wiem. Przykro mi.

- Naprawdę? - pyta z ironią w głosie.

- Nancy - mówię najspokojniej, jak tylko potrafię - ten człowiek umiera. A tylko on może mi pomóc poznać przeszłość. Najprawdopodobniej to moja ostatnia szansa.

- Wiesz co - odzywa się cicho - szczerze mówiąc mało mnie to obchodzi.

- A ty wiesz co?! - napięcie między nami rośnie. - A ty chyba nie masz pojęcia, co tak naprawdę jest ważne.

- Ty jesteś dla mnie najważniejszy. Nie widzisz, co się z tobą dzieje?

- Może byłoby inaczej, gdybyś zamiast narzekać trochę mi pomogła.

- O Boże - mówi głosem pełnym rozczarowania i niedowierzania -jakbym cię słyszała dwadzieścia lat temu.

- A co to niby, do cholery, ma znaczyć?

- To paranoja, no... wiesz, o co mi chodzi. Spójrz na siebie, pomyśl o tym co robisz! Najpierw wmawiasz mi, że jacyś ludzie chcą cię zabić, a po chwili zamierzasz lecieć do Denver. I to nazywasz rozsądkiem?

- Ach, tak - jestem wściekły i czuję, że zaczynam tracić panowanie nad sobą, że muszę się na kims wyżyć. Zupełnie jak kiedyś.

- Wiesz przecież - mówię - jak to jest z tymi rąbniętymi weteranami. Albo mają koszmary o

walkach, napalmie, albo łażą po miastach i miasteczkach i czekają na dogodną chwilę, żeby postrzelać sobie do Bogu ducha winnych przechodniów.

- Cal, proszę cię - głos Nancy załamuje się, a w jej oczach pojawiają się łzy. - Wiesz, że nie mogę tego znieść.

Biorę potężny łyk piwa, potem jeszcze jeden. Próbuję przełknąć rosnącą w gardle gulę, oznakę przepełniającego mnie gniewu, gniewu, który narodził się w Wietnamie.

- Nie możesz tego znieść, czyli mnie nienawidzisz - akcentuję ostatnie słowo pstryknięciem kapsla. Spada ze stołu i leci przez całą długość kuchni jak miniaturowy krążek hokejowy.

- No, Nancy - naigravam się, choć wiem, że ją ranię, nie mogę się jednak powstrzymać - powiedz wprost, jeśli ci to pomoże. Jestem już duży, nie będę płakał.

- Wiesz, że cię nie nienawidzę. Sprawiasz mi ból - wzdycha z rezygnacją, po obu jej policzkach spływają łzy. Obchodzi stół z drugiej strony, podchodzi i obejmuje mnie - delikatnie, z czułością. Sztywnieję i nie zamierzam ustąpić. Ignoruję ją i dopijam piwo, po czym odsuwam się.

- A ja to co? Myślisz, że jestem z kamienia?

- Cal, przestań. Już raz to przerabialiśmy i chociaż cię kocham, to drugi raz nie wytrzymam.

- Ja też nie, do cholery! - krzyczę i ciskam butelką. Uderza w kamienne obramowanie kominka, rozbija się. Spada na nas deszcz piwa i kawałków szkła.

13

Stoję przed naszym sypialnianym lustrem i zawiązuję krawat. Jest szykowny i drogi - z czystego jedwabiu - ale nie noszę go zbyt często. W pracy nie wyglądałaby dobrze ta mieszanka zieleni, czerni i jasnej żółci, że nie wspomnę o czerwonych akcentach. Dostałem go od Nancy. Zakładałam go, żeby przesłać jej subtelny sygnał, coś w rodzaju przeprosin za moje wczorajsze niewybaczalne zachowanie. To ja jestem winny i to mnie dręczą wyrzuty sumienia. Straciłem panowanie nad sobą i powróciło widmo przeszłości - kolejny atak paranoidalnej złości, która zatruwała nam życie zaraz po moim powrocie z Wietnamu. Nancy miała rację. Jednak po całej nocy spędzonej na rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że mój zamiar podróży do Denver nie jest objawem paranoi. Pomimo ostatnich wydarzeń, wciąż za wszelką cenę chcę poznać tożsamość tego żołnierza. Nancy wychodzi spod prysznica. Od wczoraj nie odezwała się do mnie jednym słowem i dziś też mnie ignoruje. Krawat niczego nie załatwił.

- Kochanie, nie chcę wyjeżdżać ze świadomością, że najprawdopodobniej nie chcesz mnie znać.

- Znowu zabierasz swój samochód? - urywa szorstko.

- O co ci chodzi?

- Zamierzałam zawieźć rovera do mechanika, kiedy poleciałeś do Vegas, ale nie miałam drugiego samochodu.

- Nie zaczynajmy od nowa, co? Wiesz, że musiałem jechać tam prosto z biura.

- A auta służbowe?

- Nie przyszło mi to wtedy do głowy. Powiedziałem ci przecież, że na dziś rano zaklepałem sobie jednego z szoferów.

- Dużo ostatnio mówisz - rzuca i czesze się. Ręka ze szczotką porusza się szybko i energicznie.

Nancy wten sposób sygnalizuje złość.

- Jeszcze raz przepraszam. Powiedziałem, że to moja wina. Naprawdę nie chcę wyjeżdżać ze świadomością, że jesteś na mnie wściekła.

- A kto ci każe wyjeżdżać?

- Nancy... wiesz, że muszę. Wracam samolotem o 7.55. Będziesz na lotnisku?

- Będę w teatrze z Grantami.

- Wiesz, wczoraj... nie skończyło się na butelce. Unosi brwi.

- Zadzwoiłem do Gila i powiedziałem, że nie możemy iść. Wiem, że to z mojej strony...

- Co zrobiłeś?

- Powiedziałem, że przyjechała-^aura. Kazałem szoferowi zawieźć bilety do jego biura.

- Wszystkie? Przytakuję ze skruchą.

- Pójdą z jednym z akcjonariuszy firmy i jego żoną. Przepraszam, naprawdę coś się wtedy ze mną działo. Teraz już za późno, żeby je odebrać.

Nawet nie próbuje ukryć gniewu.

- Morgan, ty masz tupet.
- Powiedz: „A” jak „aleś ty bezczelny” - rzucam, rozpaczliwie próbując poprawić jej humor.
- Tak bym tego nie ujęła.
- Poza tym wiem, jak uwielbiasz odbierać mnie z lotniska.

W jej oczach płonie gniew. Wreszcie, bardzo powoli, przechodzi w rezygnację.

- No to jak?
- Robisz mi coś takiego od czasów liceum, prawda?
- „A” jak „aleś pamiętliwa” - odpowiadam uśmiechając się szeroko.
- W porządku - mamrocze ze złością - będę tam.
- Dziękuję. Może wtedy będziemy mogli porozmawiać.
- Może.

Chcę, żeby się uśmiechnęła, ale nic z tego.

Lot do Denver powinien trwać dwie godziny i osiemnaście minut. Ze względu na różnicę czasu, przylatuję na lotnisko Stapleton tuż po 12.45. Wynajęcie samochodu zajmuje mi pół godziny, a na wyjazd z centrum miasta tracę dwa razy tyle czasu. Kieruję się do Fort Logan, znajdującego się przy trasie 285 blisko Sheridan, malowniczego regionu otaczającego jezioro Marston - osiemdziesiąt kilometrów na południowy zachód od miasta.

Droga prowadząca do szpitala weteranów porośnięta jest z obydwu stron młodymi drzewami i równo przyciętym żywopłotem. Na pierwszy rzut oka to miejsce bardziej przypomina kurort niż budynek rządowy. Czar pryska po wejściu do środka - to tutaj niegdyś dumni bohaterowie, świetni żołnierze, którzy walczyli dla kraju, pełni poświęcenia piloci odrzutowców, snują się smętnie po labiryncie korytarzy, oczywiście jeśli mają sprawne nogi, bądź jeśli w ogóle je mają. Na myśl o tym, że tak niewiele brakowało, żebym stał się jednym z nich, przechodzą mnie dreszcze. Czuję, że mój garnitur od Armaniego i skórzane półbuty są tu zdecydowanie nie na miejscu, że już nie wspomnę o krawacie...

Recepcjonistka tłumaczy mi, jak trafić na oddział chorych na AIDS. Tam przeżywam kolejny szok. Spotykam chodzące żywe trupy. Puste, zapadnięte oczy. Papierowa skóra obciążająca kości. Poczucie beznadziejności. Wiem, że to nie więźniowie obozu koncentracyjnego, choć wyglądają wręcz identycznie.

Pielęgniarka prowadzi mnie do pokoju, w którym przy oknie siedzi mężczyzna w wózku inwalidzkim. Jest odwrócony plecami do drzwi, głowę ma lekko przechyloną. Za nim stoi butla z tlenem. Nad nim kroplówka przymocowana do oparcia wózka - jak kosa wędrującej tu Śmierci. Choć wiem, w jaki sposób przenoszony jest wirus, to jednak zatrzymuję się na chwilę w miejscu. Przeraza mnie myśl, że jestem tu, z człowiekiem, który umiera, dziwnie się czuję wiedząc o tym, o AIDS.

- Czy pan Bartlett? - wyrzucam z siebie wreszcie.

Po kilku sekundach jego ręce chwytają koła wózka, palce zaciskają się powoli i w końcu odwraca się do mnie.

Przedstawiam się, mówię, że jestem weteranem Wietnamu i pytam, czy może mi poświęcić kilka minut.

Kiwa niemal niedostrzegalnie głową i nie patrząc mi w oczy zapraszającym gestem pokazuje krzesło stojące pod ścianą. Przysuwam je bliżej i siadam. Tuż nad nadgarstkiem plastikowa rurka wprowadza do jego organizmu mieszanek destryzy i soli. Inna prowadzi nad ramieniem do górnej wargi i nozdrzy. Świeżo ogolona twarz ma woskowy połysk, który intensyfikuje wrażenie wypełniającej ją pustki. Przygląda mi się przez chwilę, mruży powieki, jakby nie dowierzał, po czym wyraźnie zaszokowany otwiera oczy i opada bezwładnie na oparcie wózka.

- Co się stało? - pytam w obawie, że ma atak czy coś takiego - chce pan, żebym wezwał pielęgniarkę?

Kiwa przecząco głową. Widzę, że obserwuje mnie kątem oka.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku?

Przytakuje słabo, po czym kościstą ręką dotyka mojej twarzy, jakby chciał się upewnić, że

naprawdę istnieję. Chcę się cofnąć. Nie robię tego jednak, nie chcąc go urazić.

- Pan - mówi chrapliwym szeptem i czuję jego nieświeży oddech, od którego robi mi się niedobrze - pan... pan nie żyje.

Czyżby rzucił na mnie kłtwę? A może to jakiś makabryczny żart?

- Jak mam to rozumieć? - śmieję się nerwowo.

- Widziałem pańskie zwłoki.

- A teraz widzi pan mnie. I nadal nic nie rozumiem.

- Miał pan brata bliźniaka?

- Nie.

- W takim razie miał pan sobowtóra w Wietnamie - wyjaśnia ledwie słyszalnym, świszczącym głosem. - Wyjmowałem go z worka.

- Pamięta pan każdego zabitego żołnierza, którego pakował pan do worka?

- Oczywiście, że nie, ale tego nie zapomnę za żadne skarby.

- Dlaczego?

- Bo to był dziwny, naprawdę dziwny przypadek - przerywa i wciąga powietrze do płuc, oczywisty znak, że będzie to dłuższa historia - to było w... kwietniu? Nie, nie, w maju. Pierwszy albo drugi tydzień maja 68 roku. Właśnie zaczynałem dwunastogodzin-ny dyżur. Pamiętam, to było rano... wchodzę do kostnicy i wszędzie nic, tylko trupy. Na stołach, na podłodze, poupychane, gdzie tylko się dało; schowane do worków, owinięte kocami, kawałkami namiotów... pierwszy raz w życiu widziałem coś tak potwornego. Ciała sięgały mi prawie do wysokości bioder. Wyjmuję, więc z worka tego faceta... - łapie powietrze do płuc i jeszcze raz przygląda się mojej twarzy. - Jeśli to nie był pan - mówi po chwili i potrząsa z niedowierzaniem głową - to naprawdę miał pan tam sobowtóra.

- Chyba zaczynam rozumieć - wiem już, że w tym przypadku pomyłka przy identyfikacji mogła nie być żadną pomyłką. - Pamięta pan, jak on zginął?

- Trafiony w klatkę piersiową.

Wyjmuję z walizki podpisany przez niego raport i podsuwam mu by obejrzał.

- Czy to ten człowiek?

Trzyma kartkę w kościstej, trzęsącej się dłoni i przypatruje się jej przez dłuższą chwilę. Kiedy zaczynam już myśleć, że umarł i nigdy nie poznam prawdy, słyszę szept:

- A. Calvert Morgan - wrusza ramionami i opuszcza głowę na wychudzoną klatkę piersiową - możliwe. Nie przypominam sobie nazwiska.

- Mój sobowtór - mówię, próbując jak najdelikatniej wydobyć z niego coś więcej. - Jego tożsamość nie została potwierdzona, prawda?

- Zgadza się - odpowiada wyraźnie zaskoczony moją pewnością.

- Dlaczego?

Opiera się wygodniej i odchyła trochę do tyłu, żeby spojrzeć mi w twarz. Próbuje mnie wy badać, stwierdzić, czy naprawdę tak bardzo zależy mi na tej wiadomości. Podejmuje wreszcie decyzję i kiwa głową.

- Teraz albo nigdy, co? - pyta, jakby wyjawienie tej tajemnicy oznaczało dla mnie śmierć albo życie. - Jak mówiłem, wyciągam to ciało z worka, żeby wpisać dane do rejestru, kiedy nagle podchodzi do mnie jeden z dyżurujących podoficerów. Patrzy na zwłoki i nagle nieruchomieje. Na początku pomyślałem, że to pewnie jakiś

jego kumpel, bo widywałem tego zabitego w naszej bazie. Wtedy ni stąd, ni zowąd ten podoficer bierze mnie na stronę i każe mi zapakować go z powrotem.

- Dlatego tak dobrze pamięta pan tego zabitego? Przytakuje z pewnym siebie wyrazem twarzy.

- Jakby to było wczoraj.

- Dlaczego miałby kazać panu to zrobić?

- Dobrze pytanie.

- Pan go nie zadał. Bartlett zaprzecza.

- Ten rozkaz był sprzeczny z regulaminem, prawda? Potwierdza.

- Ale mimo to wykonał go pan?

- Uhm.
- Dlaczego?
- Nie miałem wyboru.
- Ten podoficer był starszy rangą?
- Nie, wręcz przeciwnie.
- No to dlaczego nie odmówił pan wykonania rozkazu i nie zameldował o wszystkim przełożonym?
- Ten człowiek nie musiał być starszy rangą. I tak miał mnie w garści.
- Jak to?

Robi gest wskazujący na swoje wycieńczone ciało.

- Wiedział o tym, przez co teraz umieram. Ale dostał za swoje. Ktoś pokroił tego sukinsyna na kawałki.

- Pan?

- Niestety nie - uśmiecha się. - Widział pan Morderstwo w Orient Expressie?

- Uhm. Rozumiem, że ten człowiek miał wielu wrogów. Bartlett natychmiast potwierdza skinieniem głowy.

- Wszyscy go nienawidzili. Jego zabójcy nigdy nie odnaleziono. Policja po prostu przestała szukać.

- Pamięta pan, jak się nazywał? Niestety nie może sobie przypomnieć.

- To o czym mówimy... to był niezwykle przypadek, dlatego trochę pamiętam. Ale po tylu latach... przykro mi.

- Szantażował pana. Jest pan homoseksualistą?

Bartlett sztywnieje na moment, po czym jego twarz rozjaśnia się. Podjeżdża do stojącej przy oknie szafki, wyciąga z szuflady portfel i wraca na poprzednie miejsce. Wyjmuje z portfela fotografię i podaje mi ją. Widnieje na niej kobieta, trójka małych dzieci i dobrze zbudowany mężczyzna, w którym z trudnością rozpoznaję Bartletta. Ma długie baki i ubranie według mody z lat siedemdziesiątych. Na wszystkich twarzach widać uśmiechy, są nieco zniekształcone rysą na powierzchni zdjęcia.

- Pańska rodzina?

- Uhm. Nie widziałem ich od lat.

- Przepraszam, pomyliłem się.

- Hej, mam w tych kręgach mnóstwo przyjaciół - rzuca i wybucha ironicznym śmiechem, który przeradza się w suchy, głośny kaszel - próbują, próbują... ale nie udało... im się jeszcze...

zmonopolizować rynku AIDS - opanowuje wesołość i rękawem szpitalnego szlafroka ociera ślinę z podbródka. Patrzy mi w oczy i rzuca z obojętnością kogoś, kto spędził pół życia na odwyku - jestem narkomanem.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Znam w końcu te sprawy z pierwszej ręki.

- Pewnie zaczęło się w Wietnamie. Opuszcza powieki i przytakuje.

- Każdy ma swoją granicę wytrzymałości. Miałem już dość tej jatki. Niektórym udawało się kompletnie wyłączyć, traktować to wszystko jak coś najnormalniejszego w świecie. Większość chlała, pierdoliła co popadnie i ćpała.

- Nie był pan sam. Wszyscy robili, co mogli, by jakoś przetrwać dwadzieścia cztery godziny.

- Problem w tym, że po powrocie nie mogłem już przestać - wyjaśnia i przygryza wargę, żeby się opanować. - Moje małżeństwo się rozpadło, straciłem dzieci, dom, pracę, stałem się bezdomnym ćpunem, no i skończyłem z zakażoną strzykawką w żyłę.

Zapada nieprzyjemna cisza.

Wstaję i podchodzę do okna. Wdycham świeże wiosenne powietrze i podziwiam nie skażone ludzką działalnością piękno rozciągającego się aż po horyzont krajobrazu.

- Wychodzi pan stąd?

- Ostatnio nie - odpowiada z nadzieją.

- No to może wybierzemy się na spacer. - Zdejmuję marynarkę i krawat, rzuca je na krzesło i wywożę go z pokoju.

Po chwili jesteśmy już za podwójnymi drzwiami na końcu korytarza i zjeżdżamy z rampy

prowadzącej do płataniny ścieżek. Dojeżdżamy do małego lasku, z którego roztacza się widok na jezioro. Zatrzymujemy się na polanie. Wokół osiki i sosny. Bartlett blokuje koła swojego wózka, a ja siadam na kamieniu naprzeciwko niego.

- Ten podoficer groził, że doniesie o pańskim nałogu, jeśli nie będzie pan słuchał jego poleceń? Bartlett zaciska pięści i przytakuje.

- Pamięta pan, jaka była kara za posiadanie?

- Jasne - odpowiadam i znowu słyszę głos mojego dowódcy: natychmiastowy proces przed sądem wojskowym, wysoka grzywna, degradacja, dziewięćdziesiąt dni aresztu...

- ...i spora szansa na wyrzucenie z wojska - Bartlett kończy rozpoczętą przeze mnie litanię.

- Miał pana w garści.

- W dodatku byłem żołnierzem zawodowym i nie mogłem wylecieć. Straciłbym prawo do emerytury, wszelkie przywileje przysługujące weteranom - a kto by zatrudnił człowieka wyrzuconego z armii? Sukinsyn mógł robić ze mną co chciał i doskonale o tym wiedział. Wydał rozkaz: „Bartlett, to ciało z powrotem do worka”. Więc tak zrobiłem. Nie zadawałem zbędnych pytań.

- Co się stało ze zwłokami?

- Zniknęły.

To jedno jedyne słowo tłumaczyło wszystko: brak dokumentów w aktach, wpis „ciała nie odnaleziono” na liście ofiar i krzyżyk na pomniku.

- Często zdarzało się coś takiego?

- Tylko ten jeden raz. Nasze przepisy były bardzo rygorystyczne. Zwłoki dostarczano nam helikopterami, ciężarówkami, czasem nawet samolotami. Ja musiałem potwierdzić ich odbiór i wpisać do rejestru. Wyglądał jak notatnik staromodnego księgowego, wie pan? - kolumny, tabele, kratki - na nazwisko, stopień, numer seryjny, jednostkę, datę, wszystko co było wiadomo o danej osobie. Używaliśmy długopisów. Żadnych ołówków, gumek ani komputerów. Każde ciało miało numer porządkowy, po czym wsadzano je

do wielkiej chłodni. Nie mogło zostać zabrane z budynku, dopóki nie nastąpiła oficjalna identyfikacja, zabalsamowanie i umieszczenie w specjalnej skrzyni przeznaczonej do transportu.

- Ale w tym jednym wypadku tak się nie stało. Bartlett potrząsa głową i zaczyna się śmiać.

- Kurczę, ten biedak nawet nie dostał numeru porządkowego. Dzięki temu nawet gdyby z raportu pilota helikoptera wynikało, że przywieziono na przykład dziesięciu zabitych, a ja wpisałem do rejestru dziesięciu, nikt by nie zadawał zbędnych pytań.

- Czy dowiedział się pan, dlaczego ten podoficer wydał panu takie polecenie?

- Nie. Słyszałem tylko różne plotki. Pamięta pan, jak szybko wszystko się rozchodziło?

- Pamiętam, że najczęściej było w nich sporo prawdy.

- W tym wypadku mówiono, że ten zabity był wplątany w przemyt narkotyków.

Nic nie rozumiem. Mam pustkę w głowie.

- Jest pan pewien?

- Powiedziałem panu - to była tylko plotka, ale przypominam sobie, że wszczęto nawet jakieś dochodzenie.

- Gdzie? W kostnicy?

- Podobno ścigali go ludzie z Agencji ds. Zwalczania Narkotyków za przemyt heroiny w samolocie - wzrusza ramionami.

- Był pilotem?

- Uhm.

- Air America?*

- Siły powietrzne.

- Latał na helikopterach medycznych?

Bartlett przytakuje, po czym jego oczy rozbłyskują na jakieś wspomnienie i zaczyna śpiewać jak dziecko:

- Pepsi-Cola to jest cud, za pięć centów masz jej w bród...

- O co panu chodzi?

- Był taki bar przy ulicy Tu Do, w którym przesiadywali piloci zajmujący się transportem zwłok. Od czasu do czasu zalewali się i zaczęli wyśpiewywać tę piosenkę. A ci, którzy siedzieli w przemyśle narkotyków, nazywali swoje kursy lotami po Pepsi-Colę.

* Podczas wojny wietnamskiej tajna amerykańska linia lotnicza.

- Dziwne. Nie wie pan, dlaczego?

- Tak to już było w Wietnamie, zresztą sam pan wie najlepiej. Na wszystko trzeba było znaleźć jakiś skrót lub określenie. Mój ukochany podoficer wymyślił nawet kryptonim dla tego trupa.

- To znaczy tego, który zniknął.

- Unm - mówi i marszczy brwi próbując sobie przypomnieć. - Whiskey, właśnie tak. Którejś nocy piliśmy i wtedy on zaczął nazywać tego faceta Whiskey.

- Dlaczego?

- Bez powodu, takie tam przezwisko. Za to dobry alkohol -popada w nostalgiczny nastrój - myśmy pili tylko Calvert Reserve. Chyba tyle, że można by w tym zabalsamować wszystkie trupy, które przeszły przez naszą kostnicę.

- Pamiętam, pamiętam. W Wietnamie wypłem więcej wódki niż kiedykolwiek...

Nagle doznaję olśnienia. Calvert, Calvert Reserve. Teraz wiem już na pewno, że moje identyfikatory i dowód tożsamości znalazły się u człowieka, którego zwłoki ukrył Bartlett. Wiem jeszcze więcej - ten człowiek był przestępcą i pilotem helikoptera sanitarnego.

Nie potrzebuję komputera, żeby odtworzyć bieg wydarzeń. Był dezertorem i chciał się ukryć pod cudzym nazwiskiem, a miał pod ręką wielu zabitych i rannych żołnierzy. Z tego wynika, że pilotował helikopter, którym zabrano mnie do szpitala polowego. Moje identyfikatory i dowód nie zginęły jak myślałem, ale je skradziono, a ja nie zostałem wybrany przypadkowo - byłem do niego ładząco podobny.

Nazwisko człowieka, który je ukradł i* z nimi zginął, nazwisko, którego tak rozpaczliwie poszukiwałem, leży w mojej walizce. Od czasu rozmowy z Collinsem w St. Louis.

14

Koniec poszukiwań.

Podczas lotu nad ośnieżonymi szczytami gór otaczającymi Den-ver tylko o tym mogę myśleć.

Chciałem, żeby na pomniku umieszczono nazwisko człowieka, który oddał życie za ojczyznę i którego pamięć przez pomyłkę nie została odpowiednio uczczona. Tymczasem on okazał się przestępcą, przemytnikiem narkotyków. Ciężko mi na myśl, że mój szlachetny zamiar doprowadził do takiego końca. Nie zyskałem nic poza bólem, zsiniałym ramieniem, przeciętym łukiem brwiowym i perspektywą procesu o posiadanie narkotyków. Jeśli tak dalej pójdzie, to jako pierwszy człowiek w historii złapię AIDS przez kontakt słowny.

Przecież Nancy, Collins i kapitan Sullivan mnie ostrzegali! A ja nie chciałem tego zrozumieć.

Trzeba było ich posłuchać. Cała ta sprawa nie powinna zostać ujawniona - tak by było najlepiej. W dodatku okazuje się, że wcale nie mam nazwiska tego człowieka w moich papierach. Pismo pilota helikoptera jest nieczytelne; bez wątpienia celowo, żeby ktoś taki jak ja nie mógł poznać jego prawdziwej tożsamości. Może to i lepiej.

Wydaje mi się, że lot nigdy się nie skończy. Nie analizuję informacji uzyskanych od Bartletta.

Nawet nie wprowadzam ich do komputera. To już nie ma żadnego znaczenia. Wpatruję się w zalegającą za oknem ciemność i sączę drugi kieliszek wódki, kiedy słyszę głos pilota informującego o burzach w rejonie Los Angeles.

Pasażerowie reagują na tę wiadomość wybuchem radości - od jakichś ośmiu miesięcy w ogóle nie padało.

Humor poprawia mi się dopiero, gdy samolot ląduje na mokrym od deszczu pasie startowym.

Naprawdę popsulem Nancy te ostatnie kilka tygodni i nie mogę się doczekać chwili, w której powiem jej, że już po wszystkim, poproszę o wybaczenie i nasze życie powróci do normy.

Wpadam do terminalu, przekonany, że Nancy jak zwykle będzie wypatrywać mnie w tłumie witających, ale nigdzie jej nie widać. Odchodzę nieco na bok w nadziei, że po prostu ją

przeoczyłem i zaraz gdzieś się pojawi, mijają jednak minuty i nic. Ludzie rozchodzą się, zostaję sam.

Wiem, że na pewno nie poszła do teatru. Rano była na mnie naprawdę wściekła. Może po prostu zmieniła zdanie i postanowiła po mnie nie przyjeżdżać. Nie zdziwiłbym się. Oczywiście możliwe, że utknęła w jakimś korku i teraz mnie przeklina. W Los Angeles wystarczą trzy krople deszczu, żeby zdeorganizować ruch uliczny. Prawdopodobnie zawiozła swoje auto do naprawy i wzięła mojego mercedesa. Na szczęście jest w nim telefon komórkowy. Wykręcą numer.

- Dziękujemy za korzystanie z naszych usług telefonicznych -słyszę elektroniczny głos - niestety, nie jesteśmy w stanie uzyskać połączenia. Rozmówcy nie ma w samochodzie lub znajduje się poza naszym zasięgiem.

Odkładam słuchawkę i dzwonię do domu. Odzywa się automatyczna sekretarka.

- Cześć, kochanie, to ja - mówię po sygnale - jestem na lotnisku. Pewnie właśnie po mnie wyjechałaś.

Może jednak wzięła rangę rovera. Może z powodu tego opóźnionego lądowania wchodziliśmy innym wejściem, o czym nie poinformowano oczekujących?

- Chwileczkę, lot siedem trzy jeden... -mówią mi w informacji po sprawdzeniu danych w komputerze - trzydzieści cztery B. Nie, to wejście, co zwykle. - Proszę jeszcze, żeby tak dla pewności wezwano Nancy przez megafony. Czekam dziesięć minut i w końcu wsiałam do taksówki.

Powoli przestaje padać. Kiedy dojeżdżamy do Malibu Canyon, po deszczu pozostaje już tylko wspomnienie. Jedziemy po krętej dwupasmówce i kiedy jesteśmy już kilka kilometrów od domu, musimy się nagle zatrzymać. Daleko przed nami migają w ciemności światła ostrzegawcze. Po obydwu stronach ruch jest zatrzymany. Wygląda na to, że jedno pasmo zostało zamknięte. Przy drugim stoi policjant z drogówki i usiłuje kierować ruchem. Posuwamy się do przodu w iście żółwim tempie, słyszę jednostajny warkot krążącego w górze helikoptera. Wreszcie bierzemy ostry zakręt i trafiamy wprost na kawalkadę złożoną z samochodów policyjnych, karetki, holownika i pojazdu straży pożarnej - najwyraźniej był tu jakiś wypadek. Kiedy mijamy to miejsce, zauważam ślady opon i wyłamaną barierę. Z korka wyjeżdżamy prawie po dwudziestu minutach.

No, to już wiem, co się stało. Nancy pewnie dopiero dojeżdża do lotniska. A może zrezygnowała i wróciła do domu?

Kiedy podjeżdżamy pod nasz dom, kierowca zaczyna mamrotać coś o ciężkiej drodze powrotnej, dlatego do ustalonej opłaty dorzucam spory napiwek. Nie przestając mamrotać odjeżdża.

- Nancy? - wołam po przekroczeniu progu. - Nancy, jesteś w domu? - odpowiada mi tylko echo.

Podchodzę do automatycznej sekretarki: telefon ode mnie, od znajomych, żadnej wiadomości od Nancy. Dzwonię na lotnisko i jeszcze raz proszę o wezwanie jej przez głośniki, ale znowu nic to nie daje.

Gdziekolwiek pojechała, niewątpliwie kiedy wróci, będzie w okropnym nastroju. Muszę spróbować jakoś załagodzić sytuację. Dzwonię do Galloping Gourmet, agencji zajmującej się dowożeniem dań z pobliskich restauracji, i zamawiam elegancką kolację dla dwojga - homary. Następnie nakrywam do stołu - obrus, srebrne sztuce, kieliszki. Będziemy jedli w sypialni, bo z jej okien roztacza się wspaniały, romantyczny widok miasta. Zapalam świece, po czym wyjmuję butelkę Santa Margherita Pinot Grigio, ulubionego wina Nancy. To, że woli właśnie to wino od modnych teraz białych win kalifornijskich, jest jeszcze jednym z powodów, dla których tak bardzo ją kocham. To ona dokonuje zakupów, próbuje i zapamiętuje smaki. Zabieram się do wyciągania korka, kiedy słyszę jakiś samochód na podjeździe. Błyskawicznie nalewam wino. Kieruję się w stronę garażu, kiedy zatrzymuje mnie dzwonek przy drzwiach frontowych.

Odwracam się i zbiegam po schodach do przedpokoju. Nancy pewnie uznała, że pójdziemy gdzieś na kolację i dlatego nie wjeżdża do garażu. Otwieram drzwi i zaczynam się zastanawiać dlaczego zadzwoniła, przecież ma klucz, i wtedy na chwilę zostaję oślepiiony kolorowymi światłami z policyjnego samochodu zaparkowanego za plecami stojących w drzwiach dwu umundurowanych oficerów.

- Pan Morgan?

- Tak, zgadza się.
- Sierżant Downing, a to plutonowy Flores. Jesteśmy z biura szeryfa Los Angeles County. Możemy wejść?
- Ależ proszę bardzo - odpowiadam, coraz bardziej zaintrygowany.
- Czy jest pan mężem Nancy Elizabeth Morgan?
- Tak. Dlaczego pan pyta? Coś się stało!?

Nie odpowiada na moje pytania i wyjmuję coś z kieszeni.

- To pańska żona?

Podaje mi prawo jazdy ze zdjęciem Nancy, jej podpisem i naszym adresem domowym.

- Tak - mówię i zaczynam się coraz bardziej niepokoić - o co chodzi?
- Przepraszam, że trzymam pana w niepewności. W tych sprawach musimy być jednak całkowicie pewni. Obawiam się, że mam dla pana złą wiadomość. Pańska żona zginęła dzisiaj wieczorem w wypadku.

Krew odpływa mi z głowy, nogi uginają się pode mną i czuję się, jakbym miał zaraz zwymiotować. Patrzę na nich niewidzącym wzrokiem i myślę: Czy ja się czasem nie przesłyszałem? Czy to się dzieje naprawdę? Czy on naprawdę powiedział zginęła! Nancy nie żyje? Teraz wiem, jakie to uczucie, kiedy dusza opuszcza ciało. Wydaje mi się, że wszystko jest za jakąś przezroczystą barierą, gdzieś daleko ode mnie.

- Nie wygląda na to, żeby ktoś inny miał w tym udział - podejmuje policjant. - Najwyraźniej straciła panowanie nad kierownicą na jednej z tych serpentyn i samochód przeleciał przez barierę. W deszczu te drogi są strasznie śliskie.

- Nancy, Nancy, o mój Boże - słyszę swój głos. Słowa zmieniają się w jęk rozpacz. Wpadam w histerię, nie wiem, co ze sobą robić. Rzucam się do drzwi. Policjanci są szybsi i silniejsi, powstrzymują mnie bez najmniejszego problemu. Nogami mam jak z ołowiu.

- Musicie mnie tam zawieźć - próbuję oponować, podczas gdy oni prowadzą mnie w kierunku najbliższego fotela. - Proszę. Chcę tam być. Chcę być przy niej.

- Zabraliśmy już ciało - tłumaczy drugi policjant. - Nie udało się jeszcze wyciągnąć samochodu. Bezwiednie kiwam głową. Nie bardzo rozumiem co mówią i co w ogóle dzieje się wokół mnie.

- Czy chce pan, żebyśmy do kogoś zadzwonili? Panie Morgan? Wzruszam ramionami i potrząsam przecząco głową. Policjant zapisuje coś na odwrocie wizytówki.

- To adres kostnicy. Prosimy, żeby pan zidentyfikował zwłoki. Niech pan przyjedzie jutro o jakiegokolwiek porze. Bardzo nam przykro.

Zamykam za nimi drzwi i opieram się o nie czołem. Słyszę jak odjeżdżają. Odwracam się i patrzę na swój dom, jakbym widział go po raz pierwszy. Każdy mebel, obraz, każda rzeźba wydają się osobne, oddzielone od siebie, jakby powstała między nimi jakaś luka. Nie mogę zebrać myśli. Przed oczami mam ostatnie wydarzenia: dzwonek. Otwieram drzwi. Dwaj policjanci mówią o śmierci żony. Nie żyje? Nancy? Skąd wiem? Zamierzam to przyjąć ot, tak sobie? Całe życie odmienione w taki sposób? Myślę o tym co mnie jeszcze czeka: kostnica, pogrzeb, telefon do naszych rodziców, do córek. Jak mam im powiedzieć, że ich matka nie żyje?

Nie pamiętam, jak wszedłem na górę, ale teraz siedzę w fotelu stojącym przed jadalnią z pustym kieliszkiem w dłoni i wpatruję się w pianino. Nancy gra, tylko dla mnie. Patrzę na mały stolik. Tam też widzę Nancy, uśmiechniętą, z twarzą skapaną w świetle świec, podkreślającym jej urodę. Nic nie może mnie przekonać, że dzisiaj nie wróci do domu. Na ścianach tańczą cienie, wpatruję się w nie i nie zauważam upływu czasu. Nagle z transu wyrывa mnie silnik samochodu. Ktoś podejżdża pod dom. Wstępuje we mnie nadzieja. Zrywam się na równe nogi i rzucam się do drzwi.

To wóz dostawczy. Podchodzi do mnie młody człowiek z dwoma koszykami.

- Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać - mówi trochę zdziwiony. - To przez ten wypadek na drodze. Gdzie mam postawić?

Wskazuję podłogę, po czym wyciągam pieniądze z kieszeni i wciskam mu do ręki.

- Dziękuję. Życzę miłego wieczoru.

Zapach homara doprowadza mnie do mdłości. Idę do kuchni, napełniam kieliszek wódką i patrząc na telefon wypijam ją duszkiem. Zmuszam się wreszcie do wykonania tych jakże bolesnych

telefonów. Cztery rozmowy, rozpacz, łzy... Czuję się jak wrak. Mógłbym co prawda zadzwonić do któregoś z przyjaciół i poprosić o przyście, ale nie wiem, czy dałbym radę wytrzymać jeszcze jedną taką rozmowę. Nie teraz.

Wschodzi słońce. Nie zmrużyłem oka przez całą noc. Nie przebrałem się.

Przyjeżdżają nasze córki.

Janie - zmienna, ambitna brunetka, uwielbiająca pracę z komputerem, geniusz matematyczny, podobna do mnie. Przyleciała z Arizony.

Laura - towarzyska, chętna do pomocy, włosy ciemnoblonde; uzdolniona muzycznie i artystycznie, zupełnie jak jej matka. Jechała pół nocy z Berkeley.

Są zrozpaczone.

Próbujemy pomóc sobie wzajemnie, ale nie jesteśmy w stanie. Dopiero po paru godzinach odzyskuję jako takie panowanie nad sobą i sporządzam listę spraw, które trzeba będzie załatwić.

Na pierwszym miejscu wpisuję kostnicę.

Idziemy do garażu. Jest pusty. No tak, zupełnie zapomniałem. Mercedes został zniszczony. Range rover odprowadzony do mechanika. Jedziemy więc jetta Laury. Ja prowadzę. Dziewczęta wyjmują mapę ze schowka i pilotują. Jedziemy autostradą do Centrum Medycznego, wielkiego kompleksu znajdującego się tuż przy autostradzie Golden State. Wjeżdżamy na parking przy kostnicy na tyłach głównego budynku.

Po długich namowach udaje mi się przekonać dziewczęta, żeby zostały w recepcji. Sanitariusz prowadzi mnie do małego pokoiku. Czuję zapach chemikaliów. Wokół mnie chrom, metal, granit, szkło - twarde, wyciosane kształty. Wiem, co się tu odbywa. Co robią, żeby poznać przyczynę zgonu. Jak dokonują sekcji i przeprowadzają analizę poszczególnych organów. Nigdy nie wyraziłbym zgody żeby zrobili to z Nancy, ale niestety nie mam na to wpływu.

Na środku pokoju stoi skąpany w ostrym świetle wózek.

Sanitariusz unosi jeden z narożników prześcieradła.

Zamykam oczy i modlę się, żeby to była pomyłka, żebym zobaczył kogoś innego. Tyle w życiu przeszedłem. Widziałem, jak wyleciał w powietrze mój najlepszy przyjaciel, zabijałem własnymi rękami i mężczyzn, i kobiety, trzymałem w ramionach rannych chłopców i obiecywałem im, że przeżyją, choć wiedziałem, że kłamię. Ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym, co mam zrobić teraz.

- Panie Morgan? - ponagla sanitariusz.

Otwieram oczy. Patrzę pustym wzrokiem na zabrudzoną, posiniaczoną i opuchniętą twarz kobiety. Poznaje ją. Byliśmy razem trzydzieści lat, od liceum. Nigdy jeszcze nie czułem takiej pustki i rozpacz. Delikatnie dotykam jej policzka. Jest zimny i sztywny. Obiecuję sobie, że zapamiętam ją taką, jaka była za życia.

- Czy to pańska żona?

Nie chcę przytakiwać, ale to robię.

15

Minęło kilka dni.

Ogłędziny wstępne wystarczają do ustalenia, że Nancy zginęła w wyniku obrażeń spowodowanych wypadkiem, dlatego też nie ma potrzeby dokonywania sekcji. Szczęście w nieszczęściu - choć niewiele mi to pomaga. Prowadziła nowy typ mercedesa, wyposażony w najnowocześniejsze systemy zabezpieczające przed wypadkiem - poduszka powietrzna, doskonałe hamulce, wzmocniona karoseria, pasy bezpieczeństwa itp.

- Jak to możliwe? - pytam. - Jak ona mogła zginąć?

Lekarz delikatnie napomyka, że wszystkie te urządzenia zaczynają działać dopiero podczas samego zderzenia. W przypadku Nancy utrata panowania nad samochodem i poślizg na mokrej drodze spowodowały, że uderzyła głową w szybę tak mocno, że zgon był natychmiastowy. Niedługo powinny być wyniki testów na obecność alkoholu i leków we krwi. Jej ciało przenoszą do lokalnej kostnicy, w której zostanie przygotowane do transportu do Bostonu.

Pogrzeb odbędzie się jutro.

Późnym popołudniem przylatujemy - ja i moje córki - na lotnisko Logan International. Patrzą na przemykających korytarzami terminalu pasażerów i zastanawiam się, ilu z nich przeżywa teraz to, co ja. Z zadumy wyrzywa mnie brat Nancy. Mieszka nadal w rejonie South Bay, tam gdzie wszyscy dorastaliśmy. Jest to smutne przywitanie i cieszę się, że nie towarzyszyli nam rodzice. Zatłoczone lotnisko nie jest dobrym miejscem na takie spotkania.

Jedziemy tunelem Callahan na południe, w kierunku drogi 93, w ten sposób omijamy centrum.

Czterdzieści minut później jesteśmy już przed domem moich rodziców - zbudowaną z czerwonej cegły kamienicą, stojącą na Chadwick Street naprzeciwko Orchard Place.

Rodzice Nancy już są. Jest gorzej niż się spodziewałem. Od pięciu miesięcy, od Święta Dziękczynienia, kiedy ich ostatnio widzieliśmy, postarzeliz się o jakieś dwadzieścia lat. Co prawda, pewnie dokładnie to samo myślą o mnie. Ciekaw jestem, czy ten, kto ukuł tezę o sile tkwiącej w masach, brał kiedykolwiek udział w takim zjeździe rodzinnym. Atmosfera staje się nie do zniesienia, proponuję więc w końcu, żebyśmy poszli coś zjeść.

Potem wracamy do domu moich rodziców, tym razem tylko ja i dziewczęta. Oglądamy wiadomości, jakiś film i wreszcie próbujemy się wyspać. Kilka godzin później wciąż wpatruję się w sufit pokoju gościnnego, niegdyś należącego do mnie, w którym Nancy i ja słuchaliśmy razem muzyki, całowaliśmy się, odrabiali lekcje. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem tu bez niej. Jestem przerażony i czuję się winny jej śmierci. Myślę o tamtej nocy, wyobrażam sobie chwilę, w której Nancy traci panowanie nad wozem, walczy z ciemnością i deszczem. Rozpaczliwie próbuje utrzymać się na jezdni, wiedząc już, że się nie uda.

Schodzę na dół i krążę po domu. Wszędzie pełno naszych zdjęć - moich, Nancy i dziewcząt. Nie ma dokąd uciec. Wchodzę do salonu i włączam telewizor w nadziei, że może złapię jakiś stary film.

Nagle niemal bezwiednie ustawiam komputer na biurku ojca, starym drewnianym meblu, przy którym siadywał wieczorami zajęty planowaniem wydatków i wypisywaniem zbyt niskich rachunków za naprawę samochodów. Podłączam modem do gniazdka telefonu i po chwili - jak zwykle, kiedy chcę się wyłączyć - pogrążam się w statystyce. Psychiatra prawdopodobnie określiłby to jako obsesyjną ucieczkę od rzeczywistości.

Łączę się z moim biurowym komputerem w Los Angeles. Po kilku godzinach uzyskuję dane dotyczące wypadków na Malibu Canyon Road z ostatnich dziesięciu lat. Gdy wreszcie mam wszystkie potrzebne informacje, po kilku milisekundach uzyskuję odpowiedź, że prawdopodobieństwo śmierci przeciętnego kierowcy na tej drodze wynosi 1 do 10000000.

Następnie wprowadzam dane Nancy. Choć nie znam wyników testów na obecność alkoholu we krwi, to wiem, że nie piła przed jazdą, nie była też młodą, nieuważną osobą, a samochód był nowy i bezpieczny. Ponadto jechała dobrze znaną drogą, przemierzała tę trasę przynajmniej dwa razy dziennie, prawdopodobnie około tysiąca razy w roku.

Przywołuję program dokonujący analizy porównawczej i maksymalnie skupiony wprowadzam dane: czas, datę, pogodę, wiek kierowcy, płeć, kolor oczu, grupę etniczną, roczny dochód, lata jazdy, markę samochodu, liczbę pasażerów, rodzaj nawierzchni, umiejscowienie drogi i średnią liczbę jadących nią o tej porze pojazdów.

Kiedy nad horyzontem pojawiają się pierwsze promienie wschodzącego słońca, obliczam, że prawdopodobieństwo śmierci Nancy w takim wypadku jest bardzo małe: wynosi nie 1 do 10 milionów, tylko 1 do 250 milionów. Krótko mówiąc stało się coś praktycznie niemożliwego. Ona nie żyje, a ja patrząc zmęczonymi oczami na ekran opadam na fotel i zdaję sobie sprawę, że choćbym przeprowadził miliony obliczeń, symulacji, permutacji, nic nie jest w stanie przywrócić jej życia. Cała moja zdolność przewidywania przyszłości za pomocą komputera, całe moje doświadczenie tym razem zawiodły. Nie byłem w stanie przewidzieć śmierci najbliższej mi osoby.

Z drzemki wyrzywa mnie krzątająca rodziców w kuchni. Z góry schodzą dziewczęta ubrane w swoje uniwersyteckie bluzy. Widać po ich zmęczonych twarzach, że też nie mogły zasnąć.

- Tato, lepiej zacznij się przygotowywać - mówi Janie i obydwie przytulają się do mnie.

Wychodzimy przed dom. Jest piękny wiosenny poranek. Powietrze jest wciąż chłodne i orzeźwiające. Czuję specyficzny zapach. Zawsze uważałem, że jego przyczyną są towarzyszące

zmianie pór roku gwałtowne burze, które oczyszczają i „odmładzają” atmosferę. Teraz przynosi tylko bolesne wspomnienia.

Witraże kościoła pod wezwaniem św. Patryka na Lagrange Avenue mienią się w słońcu. Wracam pamięcią do czasów, w których służyłem do mszy. Podczas całej ceremonii w kościele jestem pogrążony w odległych wspomnieniach. Dopiero na cmentarzu uświadamiam sobie z przerażeniem, że kobieta, dzięki której zwalczyłem widmo Wietnamu, odkryłem na nowo radość życia, której zwierzałem się z najgłębszych przeżyć i lęków, odeszła na zawsze. Już nigdy jej nie zobaczę, nie usłyszę i nie wezmę w ramiona. Nigdy.

Po pogrzebie dziewczęta i ja nie wiemy, czy wracać do Los Angeles, czy też pozostać jeszcze z rodziną. Na szczęście rodzice Nancy i moi są mądrymi i doświadczonymi ludźmi i namawiają nas do powrotu, twierdząc, że ona na pewno życzyłaby sobie, żebyśmy wrócili do naszych codziennych zajęć i pozwolili życiu toczyć się dalej.

Wracamy więc do Los Angeles.

Janie od razu odlatuje do Arizony.

Laura jedzie ze mną do domu po samochód. Wchodzimy ostrożnie, z lękiem. Laura podchodzi do pianina, staje i dygoce, po czym zamyka klawiaturę. Wiem, że któregoś dnia będę musiał coś zrobić z rzeczami Nancy, ale na razie wydaje mi się to niemożliwe. Biorę się do przeglądania korespondencji. Znajduję list z Wydziału Identyfikacji Ofiar.

Zostaję powiadomiony, że ludzie z FWM poinformowali ich o moim dochodzeniu i sprawa została przekazana CIL. W wyniku poszukiwań stwierdzono, iż w dostępnych aktach ofiar nie ma nikogo, kto odpowiadałby przekazanym przeze mnie danym.

Z sardonicznym uśmiechem podchodzę do automatycznej sekretarki. Złe wiadomości najwyraźniej nie zawsze przychodzą szybko. Kilka telefonów do Nancy. Parę od miejscowego dealera jaguara, u którego kupiliśmy rangę rovera. Naprawiony, można odebrać.

Następnego ranka Laura zawozi mnie tam, po czym rusza do Berkeley. Patrząc, jak odjeżdża i robi mi się ciężko na sercu. Każde pożegnanie jest teraz o ileż bardziej smutne niż kiedyś.

Pół godziny później jadę roverem do domu. To duży błąd. Zewsząd otaczają mnie rzeczy Nancy: okulary przeciwsłoneczne, notatnik, długopisy, drobne monety do automatów parkingowych - wszystko starannie ułożone w schowku. Do przedniej szyby przyczepiony jest znaczek zezwalający na parkowanie na szkolnym parkingu. W kieszonce osłony przeciwsłonecznej - pilot od systemu alarmowego chroniącego nasz dom i kubek po kawie ze śladem szminki. Czuję zapach jej perfum. Mógłbym otworzyć okna, ale tego nie robię. Przypominam sobie tę straszną chwilę kiedy otworzyłem drzwi, żeby ją przywitać i zamiast niej zobaczyłem dwóch policjantów. Próbuję zapomnieć, ale coś uparcie nie daje mi spokoju, coś, o czym tylko napomknęli, ale co wobec wydarzeń i moich analiz statystycznych, może zupełnie zmienić postać rzeczy.

Jadę do komisariatu w Malibu Civic Center i podaję nazwisko młodej policjantce dyżurnej. Krótkie, spalone przez słońce włosy wskazują, że czas wolny najchętniej spędza nad morzem.

W jej oczach pojawia się cień współczucia.

- Przykro mi z powodu pańskiej żony, panie Morgan.

- Dziękuję. Chciałbym się dowiedzieć, czy mógłbym w jakiś sposób się upewnić, że nie było tam jeszcze jakiegoś samochodu.

- Ależ oczywiście. Zaraz znajdę raport - obraca się razem z fotelem i wyjmując teczkę z jednej z szuflad - chwileczkę... - przerywa i przegląda jej zawartość - nie, nic tu nie ma.

- A co mogłoby być?

- Na przykład ślady hamowania dwóch samochodów. W tym wypadku nie było żadnych.

- W ogóle?

- Zgadza się. Przyczyną była ulewa i mokry asfalt. Prawdopodobnie wpadła w ostry poślizg.

- Co nie wyklucza udziału innego pojazdu, prawda?

- No... - zastanawia się przez chwilę - ...nie, nie całkiem.

- Czy mogłyby być też jakieś inne ślady?

- Tak, farba. Jeśli to było zderzenie, to na wraku zostałyby jej ślady.

- Ale w tym wypadku tak nie było.

Patrzy ponownie na raport z miejsca wypadku.

- Nie ma tu nic na ten temat. Policja nie zażądała przeprowadzenia analizy pod tym kątem.

- To znaczy?

- Jeśli istnieje podejrzenie, że wypadek nie był przypadkowy, do akcji wkraczają detektywi i przeprowadzają dokładne oględziny wraka.

- W tym wypadku nie było takiej potrzeby.

- Zgadza się. O, widzi pan, samochód został odesłany na złomowisko - podsuwa mi teczkę i pokazuje miejsce, w którym widnieje odpowiednia pieczęć.

- Chciałbym go obejrzeć.

- Jest pan pewien? - pyta ze współczuciem w głosie. - To znaczy, ma pan, oczywiście, prawo. Chciałam po prostu oszczędzić panu bólu.

- Dziękuję bardzo. Ból już minął. Robi ponurą minę.

- Może wyślę tam jeden z naszych patroli - telefonuje. Każe przyjechać mi do Coastline Towing, jedyne go zakładu w okolicy prowadzącego ten interes. Mam tam być o 15.30.

Zostało mi kilka godzin. Jadę więc do domu, wmuszam w siebie lunch, przeglądam korespondencję, dzwonię do biura, po czym pełen złych przeczuc jadę na złomowisko. Jestem tam dwadzieścia minut za wcześnie. Na miejscu wita mnie huk miazdzonego metalu i tłuczonego szkła wydobywający się z jednego z ogromnych walców. Po chwili widzę, jak stary, dobry pochłaniacz benzyny z Detroit zamienia się w stalowy naleśnik.

- W czym mogę pomóc? - krzyczy młody latynoski operator z kolorową przepaską na głowie.

- Chcę rzucić okiem na swoje auto - odpowiadam usiłując przekrzyczeć hałas.

Podnosi kciuki do góry, kończy robotę, po czym schodzi ze stanowiska i prowadzi mnie poprzez stosy zniszczonych aut i szczątki części zamiennych na oddzielony od reszty złomowiska teren oznakowany tabliczką: Oficjalny Garaż Policyjny.

- Czarny mercedes - mówię w chwili, gdy zauważam go za łańcuchami. Nie jest z nim aż tak źle. Przód jest co prawda do wymiany, przednia szyba i okno od strony kierowcy zniszczone, ale poza tym wszystko wydaje się być w porządku.

- Sam go wyciągałem - chwali się podczas otwierania bramy - miałem fart. Jak usłyszałem, że leży w kanionie, pomyślałem: eee, nic z tego nie będzie. Wie pan, jak to jest - lądują na dnie i potem nie ma co zbierać, no nie? Bez helikoptera ani rusz.

Mruczę coś pod nosem i próbuję nie zwracać uwagi na to, co mówi.

- Ale z tym było inaczej - ciągnie podekscytowany - przeleciał przez barierę, sześć, siedem metrów i trach! prosto w te skały. Prawdę mówiąc, cholernie mi to ułatwiło sprawę. Wrzuciłem hak do środka i wciągnąłem go jak tuńczyka. Łowi pan ryby?

Ignoruję go i obchodzę samochód ze wszystkich stron, myśląc, jak to możliwe, żeby ktoś był tak niewrażliwy i okrutny, ale - z drugiej strony - pewnie w tym hałasie nie usłyszał, co mówię i bierze mnie za kontrolera z firmy ubezpieczeniowej. Od strony kierowcy zauważam długie jasne pasma na czarnym tle. Serce zaczyna mi bić szybciej - zadrapania czy farba z jakiegoś innego samochodu? Podchodzę bliżej. To z całą pewnością farba. Ale jej kolor rozwiewa złudzenia.

- Wygląda, że to od jakiegoś białego auta, co?

- Taaa. Biały kolor to dla mięczaków. Rozumie pan? Mój kuzyn ma boskiego jasnożółtego pontiaca. To dopiero wóz.

- Wolałbym, żeby był niebieski - mówię z rezygnacją. Zauważam plamy na rozpostartej na kierownicy poduszce powietrznej. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to krew. Krew Nancy. Ta policjantka miała rację. Robi mi się niedobrze.

Na terenie złomowiska pojawia się nagle szary sedan plymouth, odróżniający się od innych samochodów jedynie wystającą z bagażnika anteną. Wsiadają z niego dwaj policjanci w cywilu. Przedstawiają się jako sierżant Daniels i inspektor Molina i przystępują do oględzin mercedesa. Kilka minut później Daniels spogląda na mnie i kiwa głową.

- Nie ma żadnych wątpliwości, te ślady farby pochodzą od innego pojazdu.

- A te czarne nazywamy „gadką opon” - włącza się Molina i pokazuje półokrągłe ślady na

drzwiach.

- Ktoś spowodował wypadek i uciekł - podsumowuje Daniels - gdy ofiara ginie, jest to poważne przestępstwo.

Przytakuję bezwiednie. Wciąż mam przed oczami zakrwawioną poduszkę powietrzną.

Daniels wyjmuje z kieszeni metalowy przyrząd używany do zeszkrobawania farby ze szkła.

Odwraca się w stronę samochodu, przykładając ostrze do karoserii i zaczyna je powoli przesuwając po powierzchni.

- Co pan robi?

- Zabieram próbkę do przebadania. Analizy spektroskopowej - dokładnie mówiąc. Czasami to nic nie daje, ale nieraz dzięki temu możemy określić niemal wszystko - markę, model, rok produkcji, gdzie auto było kupione...

- Teraz przynajmniej wiemy, jakiego było koloru - mówię ponurym tonem obserwując, jak zbiera do ręki odpadający od karoserii kawałek białej farby.

- Nie, to tylko grunt -- rzuca obojętnie, po czym pokazuje mi go z drugiej strony, tej, którą był przyklejony do mercedesa. - To właściwy kolor.

Nie jestem w stanie ukryć zaskoczenia.

Niebieski. Metaliczny niebieski. Ten niebieski.

Wiem już teraz wszystko.

Nie mam co prawda jeszcze dowodów, ale mam przynajmniej pewność, że nie zachowywałem się irracjonalnie czy paranoicznie. W Vegas naprawdę próbowano mnie zabić. A Nancy... to nie był wypadek. Wszystko się zgadza. Statystyka nie kłamie.

- Jak będziemy mieli trochę szczęścia - podejmuje Daniels, wrzucając próbkę do specjalnego woreczka - to uda nam się zidentyfikować tego drugiego kierowcę. Wyślemy raport do biura koronera. Będzie musiał zmienić oficjalną przyczynę zgonu. To był wypadek spowodowany przez drugą osobę.

- Ona została zamordowana - mówię ze złością.

- Wiemy, co pan czuje, panie Morgan, ale niech pan nie ulega emocjom - radzi Molina. - Nie możemy uznać tego drugiego kierowcy za winnego tylko dlatego, że uciekł z miejsca zdarzenia. Jest możliwe, podkreślam, możliwe, iż wina leżała po stronie pańskiej żony. Mogła być pod wpływem alkoholu, albo wyprzedzać inny pojazd w sposób niezgodny z przepisami...

- Nie, nie, pan mnie nie zrozumiał - przerywam jego wywód - chodzi mi o to, że ją zamordowano. Z zimną krwią.

Moje słowa robią na nich spore wrażenie.

- To znaczy, że to było zabójstwo? - pyta Daniels.

- Z premedytacją.

Teraz są już całkowicie zbici z tropu. Zmieniają swoją strategię i próbują zaatakować mnie z innej pozycji.

- Panie Morgan - zaczyna sceptycznie Molina - czyżby pan sugerował, że ktoś chciał śmierci pańskiej żony?

- Nie. Mojej śmierci. Myśleli, że to byłem ja. Wymieniają spojrzenia.

- Słucham? Mógłby pan to jakoś uzasadnić?

- Jasne. Popełnili błąd. Jej samochód był u mechanika, dlatego

jechała moim. Szyby mercedesa były zaciemnione, była noc, padał deszcz, a do tego Nancy miała krótko obcięte włosy. Mordercy obserwowali nasz dom, zauważyli odjeżdżającego mercedesa i uznali, że to ja siedzę za kierownicą. Co za sukiny! - przerywam i próbuję opanować narastającą wściekłość. - Wszystko jest jasne. Wiedzieli, że przy takim deszczu zostanie to uznane za nieszczęśliwy wypadek i policja nie będzie niczego podejrzewać. Próbowali zrobić coś takiego parę tygodni wcześniej w Vegas.

- W Vegas? - powtarza Daniels ze zdziwieniem.

- Tak. Wtedy im się nie udało.

- Komu?

- Nie wiem, w każdym razie też próbowali upozorować wypadek. Miało to wyglądać, jakbym

przedawkował podczas zabawy.

- To znaczy dziwki i koka?

- Właśnie tak. Teraz już nie mam wątpliwości, że to nie był zwykły pech. Może pan zadzwonić do policji Las Vegas. Niech pan prosi sierżanta... - wyciągam wizytówkę z portfela - ...Figuroa. Spoglądają na bilet, wymieniają kilka niezrozumiałych dla mnie uwag i dokładniej przyglądają się okrągłemu otarciu na drzwiach mercedesa, pozostawionemu przez koło pojazdu, który spowodował wypadek.

- Tak na oko koło obracało się w tym kierunku - zauważa Daniels tonem świadczącym o doniosłości swojego odkrycia.

- Pojazdy z całą pewnością jechały w tym samym kierunku - dodaje Molina. - To już może być coś.

- Dlaczego? - pytam nie próbując nawet ukryć zniecierpliwienia. - Dlaczego uważacie, że to takie ważne?

Daniels podnosi się, krzyżuje ramiona i opiera się o samochód.

- Po prostu bardzo rzadko się zdarza, żeby na krętej dwupasmów-ce wypadkowi uległy dwa samochody jadące w tym samym kierunku.

- To znaczy, że mam rację.

- Częściowo. Nie można wykluczyć, że ten drugi kierowca nieprzepisowo wyprzedzał pańską żonę i przeciął jej drogę próbując uniknąć pojazdu nadjeżdżającego z przeciwka.

- W dzień może byłoby to prawdopodobne, ale w nocy? Przecież wszyscy mają wtedy włączone światła i doskonale widać, co dzieje się na drodze.

- Słusznie, mimo to nadal mnie pan nie przekonał.

- Mówię wam, Nancy została zepchnięta z drogi.

- Jest taka możliwość.

- Tak było, wierzcie mi.

- Panie Morgan, proszę pojechać z nami na komisariat. Tam będą lepsze warunki do rozmowy i będzie nam pan mógł wszystko opowiedzieć od początku do końca.

Piętnaście czy dwadzieścia minut później siedzimy - w izbie przesłuchań i sącymy kawę ze styropianowych kubków. Nie ma tu żadnych okien, jest bardzo jasno, na środku stoi szary metalowy stół i krzesła - wszystko jak kadr z serialu kryminalnego.

- Na początek proszę nam powiedzieć - mówi Daniels i zaczyna krążyć po pokoju - dlaczego uważa pan, że komuś zależy na pańskiej śmierci?

- Nie jestem do końca pewien - odpowiadam w obawie, iż moja odpowiedź zabrzmiała jak kompletny absurd - to znaczy jest to chyba związane z czymś, co zdarzyło się przed dwudziestoma czterema laty w Wietnamie.

Kiwają równocześnie głowami. Zastanawiają się.

- To znaczy, że był pan tam w coś zamieszany? - wyrzuca z siebie wreszcie Daniels. - W coś, co mogłoby dać nam motyw albo głównego podejrzanego?

- Nie, nie, to zaczęło się całkiem niedawno. Powiedziałbym, parę miesięcy temu w Waszyngtonie.

Molina siedzi przy stoliku i pracowicie notuje wszystkie wymieniane przeze mnie wydarzenia: Nazwisko na pomniku.

Poszukiwania zabitego żołnierza.

Dane czas/miejsce z FWM.

NPRC w St. Louis, Jack Collins.

Stowarzyszenie Rodzin, Waszyngton.

Kate Ackerman, żona zaginionego w Laosie.

Przekazanie danych pułkownikowi Websterowi. CIL, Fort Sha-fter, Hawaje.

Niebieski sedan, starszy model buicka lub oldsmobile'a.

Kierowca - okulary przeciwsłoneczne, trzydzieści parę lat, ciemne włosy.

Spotkanie w Los Angeles, kapitan Sullivan z CIL.

Raport z kostnicy.

Las Vegas. Foster. Napad.

Denver. Bartlett. Powiązania z narkotykami.

Wypadek. Śmierć żony.

Na dłuższą chwilę zapada cisza. Wygląda na to, że obydwaj zastygli w przyjętych wcześniej pozach. Nie wiem, czy to z przejęcia, czy z niedowierzania.

- No, panie Morgan - mówi wreszcie filozoficznym tonem Molina - ani chybi jest pan żywym dowodem słuszności przysłowia, że nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło.

- Coś pan chyba przekreślił.

- Jeszcze kilka pytań - wtrąca Daniels, ignorując moją uwagę. - Skąd pan wie, że to był ten sam wóz?

- Kolor. Identyczny z zebraną przez pana próbką.

- Ale nie widział pan rejestracji.

- Nie.

- Jeszcze jedno. Ten facet w Denver powiedział panu, że ludzie z Agencji ds. Zwalczania Narkotyków aresztowali tego pilota?

- Nie, szukali go. Uciekał przed nimi.

- Nie ma pan jego nazwiska?

- Nie. Marszczą brwi.

- Panie Morgan, jak pan myśli, co się tu dzieje? - Daniels nie chce się poddać.

- Nie jestem pewien. Jedyne sensowne wytłumaczenie to takie, że w jakiś sposób przeszkadzam handlarzom narkotyków.

- Możliwe - wyrokuje Daniels grobowym tonem.

- Teraz wszystko się jakoś wiąże z narkotykami - włącza się Molina. Zapisuje coś w notatniku, po czym odchodzi na bok, żeby naradzić się ze swoim partnerem.

- Jeszcze jedno, panie Morgan -mówi Daniels po zakończeniu konsultacji. - Mówił pan, że chcieli upozorować wypadek.

- Tak. Najprawdopodobniej zależało im na tym, żeby policja nie zadawała żadnych pytań.

- Zawalili sprawę, co?

- Na to wygląda.

- Jeśli jest tak, jak pan twierdzi, to lepiej, żeby podczas śledztwa nie pokazywał się pan publicznie. Przynajmniej nie za często.

- Chodzi panu o to, żeby myśleli, że im się udało?

- Nie - odpowiada Daniels i wykrzywia się z obrzydzeniem. -Na pewno w gazetach napiszą o wypadku. Co prawda nie na pierwszej stronie, najprawdopodobniej poświęcą trochę miejsca w dodatku lokalnym. Jakiś nekrolog czy coś w tym rodzaju. Panie Morgan, proszę mi wierzyć, nie mamy wyboru, musimy uznać, że prędzej czy później dowiedzą się, że pan żyje.

- Niestety ma pan chyba rację. Zmusza się do uśmiechu i kiwa głową.

- Chodzi o to, że ktoś, kto chce pana zabić, nie ma już po co pozorować wypadku.

Mówi to obojętnie, co jednak nie poprawia mi nastroju. Prawda jest straszna - teraz w każdej chwili ktoś może podejść do mnie na ulicy, wyjąć pistolet i z zimną krwią strzelić mi w łeb.

16

Uruchomiłem więc lawinę zdarzeń tak potężną, że mogę stać się jedną z jej ofiar. Jak dotąd nigdy nie cierpiałem z powodu poczucia winy. Teraz nadrabiam zaległości. Prześladowuje mnie wciąż ta sama myśl: Nancy żyłaby, gdybym jej posłuchał. Sądziłem, że najgorsze mam już za sobą, że minęły te przerażające chwile zaraz po otrzymaniu wiadomości o jej śmierci; niestety, świadomość, iż zginęła zamiast mnie, że ktoś ją zamordował z zimną krwią, jest po stokroć straszniejsza.

Dlaczego? Kogo obchodzi afera sprzed dwudziestu lat? Czy warto dla niej zabijać kogoś takiego jak moja Nancy? Mój Boże, to musi być coś naprawdę poważnego. I modłę się, żeby tak było.

Te uczucia są mi aż nadto dobrze znane. Przez siedem miesięcy w Wietnamie patrzyłem obojętnie, jak młodzi, przyzwoici ludzie zmieniali się w okrutne dzikie bestie, po czym umierali, nie wiedząc nawet, za co. Próbowałem znaleźć jakąś przyczynę, jakieś usprawiedliwienie tego wszystkiego, i jak do tej pory bezskutecznie. Prawdę mówiąc, przestałem o tym myśleć w dniu, w którym

uznałem, że mogę już zapomnieć. Teraz wszystko wróciło. Nie wiem, od czego powinienem zacząć, ale tym razem robię to dla Nancy i wiem, że nie zrezygnuję.

Wychodzę z komisariatu i ruszam do samochodu. W zamyśleniu o mało nie wchodzę wprost pod koła przejeżdżającego auta i przypominam sobie, że moje życie jest wciąż w niebezpieczeństwie. Wsiadam do rangę rovera, zamykam wszystkie drzwi i jadę do domu. Jadę bardzo ostrożnie, zatrzymuję się jak najrzadziej. Nie spuszczam oka z szosy i lusterka wstecznego.

Gdy wjeżdżam na naszą ulicę, zauważam za sobą samochód. Jakbym go skądś znał - pewnie to któryś z sąsiadów - ale nie chcę ryzykować. Mijam nasz dom i jadę prosto, dopóki tamto auto nie skręca w którąś z bocznych uliczek. Wtedy zawracam i wjeżdżam na nasz podjazd. Zwalniam, żeby sprawdzić pilota od alarmu antywłamaniowego. Czerwone i bursztynowe światelka nie migają, a to oznacza, że nikt nie próbował dostać się do środka. Wyłączam alarm i otwieram garaż, wjeżdżam, zamykam drzwi i ponownie go włączam.

W domu panuje chłód, cisza i spokój. Kiedy wchodzę do kuchni, zauważam kątem oka jakiś ruch. Nade mną jest cień, cień skradającego się mężczyzny! Zamieram w bezruchu, przerażenie ściska mi gardło i dopiero po dłuższej chwili zdaję sobie sprawę, że to mój własny cień. Każde lustro, każda błyszcząca powierzchnia przyprawiają mnie o palpitacje serca. Przeszukuję swój dom jakbym przeszukiwał wioskę wroga; znów jestem na patrolu - czujny, gotowy do ataku. Skradam się schylony od okna do okna, zatrzymując je kolejno i przeklinając ich niezliczoną ilość. A jeszcze niedawno były jednym z głównych powodów, dla których kochałem ten dom.

Czuję się jak w pułapce.

Dom jest za duży, zbyt obszerny, stoi na uboczu i w dodatku nie ma stąd jak uciec. Wystarczy zablokować samochodem podjazd, żebym nie mógł dostać się na jakąkolwiek z dróg. Poza tym teren jest nierówny, skalisty, a w dodatku otoczony kamiennym ogrodzeniem. Nawet rangę rover, który jest przecież dużym, potężnym wozem, nie stanowi dostatecznej ochrony. Łatwo go wytopić i śledzić w tłoku, na dodatek nie zainstalowałem w nim telefonu, nie będę więc mógł wezwać pomocy w razie, gdyby mnie ścigano lub zaatakowano.

Nie wiem, co powinienem teraz zrobić. Bezwiednie wlokę się na dół, do mojej jaskini, i włączam telewizor. Przerywam przynajmniej tę okropną ciszę, nie odczuwam takiej pustki. Przeskakuję z kanału na kanał w poszukiwaniu jakiegoś sportu, kiedy trafiam na CNN. Nadają właśnie reportaż o repatriacji z Laosu szczątków amerykańskich żołnierzy. Dwudziestoletnie rozmowy między naszymi rządami do czegoś jednak doprowadziły. Kate Ackerman mówiła coś na ten temat. Dzwonię do biura handlu nieruchomościami. Właściwie nie wiem po co, może mam nadzieję, że Kate obdaruje mnie swoją energią i odwagą.

Odbiera jakaś kobieta.

- Przykro mi, ale nie ma jej w tej chwili. Czy mogę panu w czymś pomóc?
- Nie, jestem jej znajomym. Proszę jej przekazać, że dzwonił Cal Morgan.
- Dobrze, ale nie sądzę, żeby szybko oddzwoniła. Jest na urlopie.
- Niech zadzwoni, kiedy będzie mogła. - Ciekawe, czy jej nieobecność ma coś wspólnego z tymi repatriacjami? - myślę. Odkładam słuchawkę. Nie udało mi się z nią skontaktować, ale to nic. Już wiem co mam robić. Odpowiedzi na najważniejsze pytania zwykle pojawiają się wtedy, gdy o nich nie myślę.

Podchodzę do biurka i otwieram szufladę. Cholera. Nie ma pudełka, które właśnie teraz by mi się przydało. Przeglądam dokładnie wszystkie zakamarki w domu, po czym wywracam garaż do góry nogami - bez rezultatu. Przeczesuję najgłębsze otchłanie mózgu i świta mi, że przecież mogłem zostawić to w biurze. Natychmiast dzwonię do sekretarki, tak czy owak miałem to zrobić.

- Hej, Grace, tu Morgan. Nieźle, nieźle. Jakoś sobie radzę. Dziękuję. Proszę posłuchać: niech pani idzie do mojego biura, otworzy sejf i podejdzie z powrotem do telefonu.

Czekam chwilę. Przez kilka minut mam wątpliwą przyjemność słuchania jakiegoś rapu; obiecuję sobie, że gdy tylko znajdę się w biurze, natychmiast zmienię taśmę.

- W porządku, czego pan potrzebuje? - pyta wreszcie.
- Czy na dolnej półce leży duża koperta? Słyszę szelest przesuwanych papierów.

- Tak. Jest dość ciężka, zdaje się, że w środku są jakieś pudełka.
- Świetnie, właśnie o nią mi chodziło. Proszę ją zakleić i kazać szoferowi przywieźć ją do mojego domu. Teraz niech pani notuje. Ma tu przyjechać punktualnie o czwartej piętnaście. Powinien zdążyć. Nie chcę, żeby przyjechał za wcześnie i czekał. Niech nie podjeżdża pod drzwi frontowe, tylko stanie przy skrzynce na listy, nie wyłącza silnika i otworzy bagażnik. Koperta ma leżeć na tylnym siedzeniu.

Przebieram się w dżinsy i pulower, a następnie wyciągam z garażu dwie walizki. Do większej z nich ładuję strój oficjalny, do mniejszej upycham ciuchy do noszenia na co dzień, kilka butelek wina i ćwiartkę wódki.

Punktualnie o 16.13 wchodzę z walizkami i aktówką na długi podjazd. W chwili, gdy jestem jakieś sześć metrów od drogi, słyszę silnik zbliżającego się samochodu. Po chwili pojawia się mój służbowy lincoln i zatrzymuje tuż przy mnie. Kłapa bagażnika otwiera się na oścież. Wrzucam do środka walizki i zatraskuję bagażnik. Podbiegam do tylnych drzwi i wskakuję do środka. Moją uwagę natychmiast przyciąga leżąca na siedzeniu koperta.

- Jedziemy do biura. Inną trasą niż zwykle. Jak najmniej przystanków.

Reakcja szofera jest natychmiastowa, rusza z piskiem opon jak nieodpowiedzialny nastolatek.

Otwieram kopertę i wyciągam z niej dwa pudełka. Jedno zawiera pociski, drugie berettę kaliber 25 - dziewięciostrzałowy półautomatyk, lekki i poręczny pistolecik, mieszczący się równie dobrze w dłoni, kieszeni czy torbie.

Kupiłem go jakieś osiem lat temu dla Nancy. Pracowała wtedy w technikum w South Central - dzielnicy Los Angeles bardzo niebezpiecznej, opanowanej przez przestępców i handlarzy narkotyków. Nauczyciele, przychodząc na zajęcia, ryzykowali życie. Okazało się, że tylko komendant policji Los Angeles ma prawo wydawania zezwoleń na posiadanie broni i bardzo rzadko żeń korzysta. Nancy za nic nie chciała pistoletu, zwłaszcza że było to nielegalne, i nie nosiła go ze sobą aż do dnia, w którym jedna z jej koleżanek została porwana, pobita i zgwałcona przez dwóch uczniów. Przyczaili się na tylnym siedzeniu jej samochodu. Mniej więcej trzy lata później Nancy pojawiła się nagle w moim biurze, rzuciła coś na temat zdawania odznaki i rewolweru, po czym oznajmiła, że przeniesiono ją do szkoły w pobliżu Palisades High. Cieszyła się z opuszczenia South Central, ale zawsze miała wyrzuty sumienia z powodu „porzucenia” uczących się tam dzieciaków. Od tej pory beretta leżała w moim biurze.

Kiedy lincoln pokonuje kolejne zakręty, ja wyjmuję pistolet z pudełka i wyciągam magazynek. Jest pusty, podobnie jak komora; tego się należało spodziewać. Naciskam umieszczoną tuż nad cynglem dźwigienkę i wysuwam lufę nieco do przodu. Jej oczyszczenie i naoliwienie zajmuje mi zaledwie kilka minut.

Do magazynka wkładam osiem nabojów, dziewięty umieszczam w komorze. Dzięki temu nie będę musiał bawić się w ładowanie przed odbezpieczeniem rewolweru i pierwszym strzałem, po którym będzie działać automatycznie. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat trzymam w dłoni broń, której zamierzam użyć. Zabezpieczam pistolet i wkładam go do kieszeni spodni.

Przed nami jeszcze dziesięć minut jazdy. Dzwonię do prywatnej agencji ochrony i zamawiam uzbrojonego strażnika do pilnowania firmy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Czy zachowuję się paranoicznie? Nie, nie. To nie pierwszy raz, kiedy ktoś próbuje mnie sprzątnąć.

Pierwsza noc mija bez zakłóceń, choć oczywiście nie mogę spać. Do mojego biura prowadzą rozmaite schody i jeździ tu mnóstwo wind, dlatego też nie mam poczucia odosobnienia czy zamknięcia w pułapce. Przez resztę tygodnia śpię na sofie i myję się pod prysznicem, który zainstalowałem z myślą o całonocnej pracy. Jem, śpię i pracuję zawsze z pistoletem pod ręką. Większość posiłków zamawiam przez telefon, czasami wychodzę na miasto, ale nigdy nie odwiedzam dwa razy tej samej restauracji. Moja sekretarka twierdzi, że zmieniam się w Jasira Arafata. Jak dotąd mam tyle szczęścia, co on.

Od paru tygodni kierowanie firmą przejął jeden z wicedyrektorów. Już wcześniej przygotowywałem go do przejęcia większej liczby obowiązków; chciałem mieć więcej wolnego czasu. Nie myślałem, że będę go spędzał jako wdowiec tropiony przez anonimowego mordercę. Siedzimy właśnie w moim pokoju i przeglądamy projekty, kiedy sekretarka informuje mnie o przybyciu sierżanta

Danielsa i inspektora Moliny.

Umundurowany strażnik wprowadza ich do środka.

Daniels przygląda mu się uważnie i, choć nic nie mówi, zdaje się zgadzać z moją linią postępowania. Mogę się mylić, ale mam wrażenie, że mają na sobie te same ciuchy co tydzień temu.

- Przepraszamy za najście - mówi Molina, podczas gdy mój współpracownik zabiera papiery i wychodzi z biura wraz ze strażnikiem. - Chcielibyśmy z panem chwilę porozmawiać. Postaramy się nie zająć panu zbyt wiele czasu.

- Jeśli teraz zamiast „Mamy tego gościa” powiecie coś innego, będę bardzo rozczarowany.

- Niestety, jeszcze go nie mamy - mówi Daniels. Wzruszam ramionami z rezygnacją.

- Napijcie się panowie czegoś? Kawy, coli? Odmawiają.

Molina siada i wyciąga notatnik z kieszeni. Daniels rozgląda się i podchodzi do okna.

- Szukaliśmy tego samochodu po wszystkich złomowiskach i warsztatach, i nic. Nasi specjaliści zbadali farbę i określili markę wozu. Przekazaliśmy to wszystkim patrolom. Wczoraj jeden z nich poinformował nas o znalezieniu odpowiadającego opisowi auta gdzieś na pustyni w pobliżu Barstow. Ma uszkodzoną karoserię po lewej stronie. Może to ten.

- Wiecie panowie, kto jest jego właścicielem?

- Samochód został wynajęty w firmie Hertz na lotnisku w San Francisco trzy tygodnie temu.

- Przez kogo?

- Mężczyznę o nazwisku Thomas Sullivan - odpowiada Molina. Słowa więzną mi w krtani.

- Przypominam sobie, że mówił pan o jakimś kapitanie Sul-livanie - podejmuje Molina i zaczyna spokojnie przeglądać notatnik, nieświadomy lub nieporuszony wrażeniem, jakie wywarły na mnie jego słowa.

Czuję dziwny ucisk w żołądku, za wszelką cenę staram się powstrzymać narastającą wściekłość. Co za skurwiel.

- O, jest - oznajmia Molina. - Powiedział pan, że pracował w Centralnym Biurze Identyfikacji na Hawajach. Nie zapisałem imienia. Thomas?

- Nie wiem - odpowiadam przez zaciśnięte zęby - przedstawił się jako kapitan.

- Ten, który wynajął auto, miał na imię Thomas - zza moich pleców dobiega głos Danielsa. - Nie podał żadnego stopnia wojskowego.

- Nie wiedzą panowie, czy miał wygląd Azjaty?

- Azjaty? - z niedowierzaniem powtarza Molina i ponownie przystępuje do kartkowania notesu. - Dzwoniliśmy do faceta zajmującego się wynajmem. Mówił, że dziennie obsługuje mnóstwo klientów. Przypomniał sobie, że ten człowiek mógł mieć trzydzieści-czterdzieści lat, okulary przeciwsłoneczne i zwyczajne ubranie cywilne.

- Tak samo wyglądał tamten kierowca.

- Podobnie jak większość mężczyzn w Kalifornii - mówi Daniels i wzrusza ramionami w przeproszającym geście.

- Włącznie z kapitanem - dodaje ostrym tonem.

- Panie Morgan, chodzi o to, że wbrew temu, co się mówi, opisy naocznych świadków są najmniej wiarygodne.

Biorę do ręki słuchawkę i kontaktuję się z moją sekretarką.

- Grace, sprawdź, czy masz w swoich notatkach imię kapitana Sullivana. Jesteś pewna? - przerywam połączenie i oddycham głęboko. - Nie, nie ma. Proszę mi wierzyć, to on zabił moją żonę.

- Może tak, może nie - dodaje Daniels sceptycznym tonem - pewnie zastanawia się pan, dlaczego nie jesteśmy przekonani. Otóż Thomas Sullivan ma alibi.

- Rozmawialiście z nim?

- Nie, facet z biura Hertz powiedział, że dzień przed wypadkiem dostał od Sullivana wiadomość o kradzieży samochodu. Podobno zaparkował go w garażu hotelowym i nie wyjeżdżał stamtąd przez parę dni. Kiedy wreszcie zebrało mu się na przejażdżkę, okazało się, że wóz zniknął.

- Gówno prawda. Dobrze to sobie zaplanował.

- Całkiem możliwe - potwierdza Molina - ale mógł też mówić prawdę. Mówił pan, że przyjechał z Hawajów?

Przytakuję niecierpliwie, z ledwo skrywaną złością.

- Facet, który wynajął samochód, miał kalifornijskie prawo jazdy.

- Kalifornijskie?

- Tak, z adresem w San Francisco.

- No i co? Przecież kapitan mówił, że często przyjeżdża tu w interesach.

- Sprawdzaliśmy w drogówce. Wszystko było w porządku. Poza tym nigdy nie był notowany, o ile to o czymkolwiek świadczy.

- Panowie - mówię zrozpaczony -jak to mam rozumieć? Ktoś ukradł samochód, postanowił sobie nim pojeździć i przy okazji zabił moją żonę?

- Bywały już dziwniejsze wypadki. Chodzi tylko o to, że nie wiemy z całą pewnością, czy człowiek, który wynajął samochód, prowadził wóz podczas wypadku, ani czy był to Sullivan.

Wydaję z siebie gniewny pomruk.

- W każdym razie - podejmuje Molina - to, że wynajął samochód, nie przesądza jeszcze o jego winie.

- Ale wystarcza, żeby go uznać za podejrzanego?

- Oczywiście - odpowiada Daniels. Siada na narożniku mojego biurka i zaczyna bawić się moim notesem. - Nie mówimy, że to nie on. Po prostu w tej sytuacji wszystko jest możliwe i takie założenie musimy przyjąć. Nie uchylimy żadnych drzwi, dopóki nie dowiemy się, gdzie one są - w San Francisco? na Hawajach? - i kogo spotkamy po drugiej stronie.

- Mogę wam powiedzieć.

- Ma pan numer tej organizacji z Hawajów?

- CIL?

- Nie pamiętam, jak to się nazywało. To z Fort Shafter.

- Sierżancie, w tym notatniku są tylko nazwiska klientów.

- Gdzie?

- Chce pan zadzwonić do kapitana Sullivana?

- Do CIL.

- Nie spłoszycie go?

- Panie Morgan, wiem, co robię. Za to mi płacą. Wykrzywiam się, znajduję numer na komputerze, wykręcę

i podaję słuchawkę Danielsowi.

- Z kapitanem Sullivanem poproszę - mówi Daniels pewnym tonem, jakby dzwonił do niego codziennie.

Już chcę zaprotestować, kiedy zauważam, że jego palec spoczywa na widelkach - rozumiem, że przerwie rozmowę w razie, gdyby zgłosił się Sullivan.

- Jest pani pewna? Uhm, rozumiem. Czy mogłaby mi pani podać swoje nazwisko? Dziękuję. Przepraszam za kłopot - odkłada słuchawkę i rzuca mi wyzywające spojrzenie. - Nawet o kimś takim nie słyszeli.

- Co proszę? - robi mi się słabo. Nic nie rozumiem.

- Słyszał pan. Żaden Sullivan tam nie pracuje.

- Z kim pan rozmawiał?

- Z panią OSdham. Powiedziała, że jest sekretarką pułkownika.

- Webstera?

- Tak, on jest tam dowódcą. Zauważył pan, czy mówiła z akcentem?

- Bez akcentu. Dlaczego pan pyta?

- Nabrałem co do Sullivana jakichś niejasnych podejrzeń i kiedy wyszedł z biura, postanowiłem go sprawdzić i zadzwoniłem do CIL. Kobieta, która odebrała, potwierdziła, że Sullivan u nich pracuje.

- I to ona mówiła z akcentem?

- Tak. Pochodziła z Filipin.

- Dlaczego jest pan tego taki pewien?

- Podczas wojny spędziłem trochę czasu w Manili.
- Wojny w Wietnamie? Potwierdzam.
- Ma pan jej nazwisko?
- Niestety nie.
- Jest pan pewien, że dzwonił pan pod ten numer?
- Na sto procent.
- Kurwa mać, coś tu nie gra - rzuca Molina.
- Można znaleźć jedno wytłumaczenie - mówię w chwili, kiedy zdarzenia zaczynają układać się w logiczną całość - Sullivan robi jakieś lewe interesy i ma współniczkę w CIL.

Daniels i Molina przytakuja.

- Nie chcę zmieniać tematu, ale jest jeszcze jedna sprawa.
- Proszę bardzo - mamrocze Daniels.
- Mam dwie córki, teraz są na studiach. Nie mieszkają ze mną. Martwię się o nie, ten facet przecież mógłby... no, wiecie... porwać je czy coś takiego.
- Wszystko się może zdarzyć - stwierdza sceptycznie Daniels. - Carl?

Molina wyraża swój sprzeciw energicznym ruchem głowy.

- Jeśli miałby coś takiego zrobić, to już by to zrobił. Co by mu to dało? Zakładnika? A co potem? Wymiana? Przypuszcza, że po tym wszystkim poszedł pan na policję. Porwanie stałoby się więc skomplikowane i ryzykowne, a poza tym wygląda na to, że facet ma inne metody działania.

Teraz skontaktują się z policją w San Francisco i poproszą ich o sprawdzenie adresu z prawa jazdy Sullivana.

Podjęli decyzję. Ja też.

Zarezerwowałem miejsce w samolocie na Hawaje.

Zaczął się w chwili, gdy poprosiłem o pomoc Centralne Biuro Informacji. Teraz jadę w specjalnej misji: muszę odnaleźć kobietę mówiącą z filipińskim akcentem. Zanim potwierdziła istnienie Sullivana, musiała wykorzystać swoje stanowisko, żeby donieść mu o moim prywatnym śledztwie.

Teraz ja ją wykorzystam do odnalezienia jego, potem się dowiem, o co chodzi i rozwalę mu łeb.

Mam jeden spory problem.

Zmagałem się z nim przez cały weekend.

W nocy z niedzieli na poniedziałek przychodzi mi nagle do głowy, że mogę go rozwiązać przy użyciu komputera. Dosłownie. Wyjmuję laptopa i kładę go na biurku. Z boku jest mała klapka. Otwieram ją i delikatnie wyciągam baterię. Na szczęście okazuje się, że beretta wręcz idealnie wpasowuje się w prostokątny otwór. Zabieram się do zamykania klapki, kiedy wyczuwam czyjaś obecność i podnoszę wzrok.

W drzwiach stoi Laura. W rękę trzyma torbę z zakupami, a na jej twarzy maluje się zdziwienie. Przyjechała w piątek. Nie powiedziałem jej o moim planie, wiedząc, że będzie próbowała mnie zniechęcić. Większą część weekendu spędziliśmy na maratonie filmowym w Los Angeles. Dziś stwierdziła, że musi zrobić trochę zakupów do szkoły. Nie poszedłem z nią, wymawiając się nawałem pracy.

- Co robisz? - pyta podejrzliwie.
- Sprawdzam baterię.
- Tato, widziałam, co robiłeś przed chwilą.

Muszę jej powiedzieć. Nie dziwię się widząc, jak niepokój rozszerza jej źrenice. Gdy kończę, gwałtownie protestuje.

- Nie - rzuca chłodno - nie, uważam, że powinienesz zostawić to policji i wrócić do pracy.

Nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, jak jej gesty i ton przypominają mi Nancy.

- Próbowałem. Siedzę tu całą dobę i za nic nie mogę się skoncentrować. Poza tym, jak długo można żyć w lęku przed powrotem do własnego domu?
- A co mnie to obchodzi? Nie chcę, żebyś niepotrzebnie się narażał.
- Kochanie, w tej chwili jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Śpię z pistoletem pod poduszką. Chodzę z nim nawet do łazienki! A wiesz przecież, że nie jestem kimś, kto ukrywa się i pozostawia

walkę innym.

- Może gdybyś nim był - mówi z goryczą - mama żyłaby jeszcze.

Odwracam się zraniony jej uwagą. Podbiega i obejmuje mnie. W oczach ma łzy.

- Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć.

- Wiem. Nie ma sprawy.

- Straciłam już matkę. Nie chcę stracić i ciebie.

- Nie martw się, wiem, co robisz.

- Tatusiu, ten człowiek jest mordercą.

Na chwilę wracają wspomnienia. Kiwam ponuro głową i odwracam się od Laury w stronę laptopa.

Zamykam klapkę, pod którą spoczywa rewolwer i słyszę swoje własne słowa:

- Ja też.

17

Wczesnym rankiem szofer podwozi mnie do terminalu linii United na lotnisku LAX. Jak zwykle zabieram ze sobą bagaż i od razu ruszam do stanowiska odprawy. Kiedy podchodzę do punktu kontroli bezpieczeństwa, czuję, że mam wilgotne dłonie, a mój żołądek podskakuje prawie do gardła. Jestem jednym wielkim kłębkim nerwów, choć w zasadzie nie mam ku temu powodu. Obleciałem w swoim życiu wiele lotnisk i ani razu nie musiałem przepuszczać komputera przez wykrywacz metali lub urządzenie prześwietlające bagaż. Nigdy. Spowodowałoby to całkowite wymazanie danych, a nikt przecież nie może sobie na to pozwolić. No, Morgan, uspokój się - wmawiam sobie i beztrząsco stawiam dwie walizki i torbę podręczną na przesuwającym się pasie - jesteś przecież tylko umęczonym całodzienną harówką biznesmenem, w dodatku masz na sobie nienaganny garnitur.

- To komputer - wyjaśniam oficerowi ochrony lotniska - nie mogę ryzykować wymazania danych z twardego dysku.

Przygląda mi się z kamienną twarzą i każe podejść do stojącego obok stolika. Ustawiam na nim komputer, po czym rozpinam futerał, w którym znajdują się również bateria i pomocniczy kabel zasilający. Odchylam górną część, komputer zostaje w środku.

Oficer przejeżdża dłonią po wnętrzu futerału i patrzy na mnie.

- Czy mógłby pan to włączyć?

Serce zaczyna mi bić nieco szybciej, ale nie popadam w panikę. Spodziewałem się tego. Zawsze każą to zrobić. Unoszę ekran,

odsłaniając w ten sposób klawiaturę, po czym podłączam kabel do wbudowanego w stół gniazdko i uruchamiam komputer, który wydaje z siebie elektroniczny bip. W chwilę później na ekranie pokazuje się długa lista programów.

Oficer jest najwyraźniej usatysfakcjonowany i kiwa głową.

Pakuję komputer, zostawiam go strażnikowi i bez żadnych przygód przechodzę przez wykrywacz.

Ochroniarz obchodzi maszynę do prześwietlania bagażu i oddaje mi laptopa.

Kilka chwil później, kiedy siedzę już w startującym Boeingu 767, przypomina mi się lot z Rzymu w 1986 roku. W ostatnich latach terroryści z przerażającą regularnością uprowadzają i wysadzają samoloty obsługujące linie międzynarodowe. Kiedy znaleźliśmy się w powietrzu i nie pojawili się żadni brodacze z uzi w dłoniach, odetchnąłem z ulgą, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że przede mną jeszcze dziesięć godzin lotu, dziesięć godzin, w ciągu których samolot może wybuchnąć w przestworzach. Zastanawiam się, jak bardzo Sullivanowi i jego ludziom zależy na mojej śmierci?

Po pięciu niespokojnych godzinach na horyzoncie zauważam szlaczek wysp. Ponad plamami bujnej zieleni obramowanej błyszczącymi w słońcu turkusowymi falami unoszą się aureole świecącej mgły. Dolatujemy do międzynarodowego lotniska w Honolulu na wyspie Oahu - wtedy czar pryska. Wsiadam z samolotu i natychmiast udaję się do najbliższej toalety, zamykam się w kabinie, wydaję pistolet z komputera i chowam go do kieszeni. Następnie wsiadam do jednego z tych różowych autobusów wicki-wicki, dowożących pasażerów do miejsca odbioru bagażu i przystanków komunikacji miejskiej.

Biała taksówka marki Cadillac jest nieskazitelnie czysta i klimatyzowana. Z radia płyną łagodne dźwięki muzyki poważnej. Prowadzi uprzejmy i elegancko ubrany skośnooki kierowca. To jest raj. Mówię mu, że chcę jechać do Centralnego Biura Identyfikacji. Powtarza nazwę i rusza H-1 na wschód, w kierunku autostrady Lunalilo. Od czasu rekonwalescencji byłem tu wiele razy w interesach i na wakacjach i nieźle znam wyspę. Bez trudu rozpoznaję wznoszący się na stromym brzegu w kierunku północnym Szpital Wojskowy Tripler i rozpościerający się obok, po drugiej stronie

wzgórz, Fort Shafter. Zbliżamy się do pomnika Wojny na Pacyfiku, gdzie droga rozgałęzia się; taksówkarz skręca w prawo na autostradę Nimitza, nie, jak oczekiwałem, w lewo.

- Przepraszam bardzo, czy droga do Fort Shafter nie prowadzi w górę wzgórz?
- Tak, to tam, u podnóża gór - odpowiada wystawiając rękę w lewo - to tereny wojskowe.
- To znaczy, po prostu myślałem, że tam właśnie mieści się Biuro...
- W Fort Shafter?
- Tak mnie poinformowano.
- Nie, biuro jest tutaj, na nabrzeżu.
- Centralne Biuro Identyfikacji...
- Proszę mi wierzyć. Byłem tam wiele razy.

Nie jestem pewien, czy czuję się głupio, czy też jestem nie-przekonany. Jedno wiem na pewno, jestem zaniepokojony. Czy już mnie mają? Co teraz? Następny zaaranżowany przez Sullivana wypadek? Wsuwam dłoń do kieszeni i kładę ją na pistolecie.

Kierowca dodaje gazu. Taksówka błyskawicznie nabiera prędkości, a ja zostaję niemalże wgnieciony w oparcie. Obraziłem go? A może uznał, że jestem zbyt domyślny i trzeba mnie jak najszybciej oddać we właściwe ręce? Gdy samochód mijają kolejne uliczki zastawione przez oczekujące na załadunek ciężarówki, czuję narastający lęk i już widzę moje zwłoki na dnie zatoki Honolulu.

Skręcamy wreszcie w prawo przy znaku oznajmającym MOLO nr 38-44. Krótka uliczka prowadzi do opuszczonej chatki, w której niegdyś mieścił się punkt kontroli ruchu. Mijamy ją, jedziemy po nierównym asfalcie w kierunku ciężarówek, wagonów i kontenerów stojących w cieniu potężnych dźwigów.

Zaciskam dłoń na rękojeści pistoletu i odbezpieczam go kciukiem, po czym układam dłoń tak, żeby w razie potrzeby jak najszybciej wyciągnąć broń.

Taksówka skręca w prawo i przejeżdża przez bramę w ogrodzeniu okalającym dwa małe budynki i parking. Kamień spada mi z serca, kiedy dostrzegam amerykańską flagę łopocącą nad pokrytą płaskim dachem bryłą, a obok niej napis Armia Stanów Zjednoczonych, Honolulu, Hawaje, Centralne Biuro Identyfikacji.

Pomimo jasno świecącego słońca i czystego, niebieskiego nieba, nad pobliskimi górami wisi ponura mgła, a całą okolicę zalega

dziwna niepokojąca cisza. Dopiero po odjeździe taksówki zaczyna mi świtać, że to właśnie tu, w opuszczonym zakątku nabrzeża Honolulu, do dwóch nie wyróżniających się niczym budynków stojących naprzeciwko Mola nr 40 dostarczane są szczątki żołnierzy zaginionych w akcji, tu naukowcy wykorzystują swoje makabryczne umiejętności, tu poznaje się ostateczne odpowiedzi.

Wejście znajduje się z boku budynku, obok schodów prowadzących na piętro. Przechodzę przez drzwi i jestem w samym centrum dość dużego, pełnego urzędników pokoju.

Nie przypomina w niczym klinicznie czystego laboratorium. Zamiast rzędu nowoczesnych biur i specjalistów w białych kitlach, widzę wyższej klasy koszary, gdzie pracownicy noszą mundury odświętne, polowe i ubrania cywilne. Pracują w beżowych i bladozielonych pomieszczeniach pokrytych boazerią z imitacji drewna, oświetlonych jaskrawym światłem jarzeniówek. Szare stalowe biurka z przydziału, krzesła biurowe i szafy z aktami przemieszane są z wygodnymi fotelami i kanapami. W jednym z bocznych biur dostrzegam jakże dobrze mi znany blask ekranu komputera.

Najprawdopodobniej nie mam co liczyć na spotkanie tu kapitana Sullivana, ale pewnie gdzieś tu, w tym budynku, pracuje kobieta mówiąca z filipińskim akcentem. Nie wiem, jak ona może wyglądać,

nie wiem też czy może w całą tę sprawę jest wplątany jeszcze ktoś inny z CIL, dlatego pozwoliłem sobie przejąć taktykę mojego znajomego kapitana i nie umówiłem się wcześniej. Czy się zdziwią, że jeszcze żyję?

Odstawiam torby na bok i podchodzę do stojącego biurka. Na tabliczce widnieje napis PANI OLDHAM. Kojarzę nazwisko, to sekretarka pułkownika. Znad maszyny do pisania unosi się okrągła, skośnooka twarz rozjaśniona miłym uśmiechem. Przedstawiam się, przepraszam za brak uprzedzenia o przyjeździe i proszę o zezwolenie na wizytę u pułkownika.

Pani Oldham wyjaśnia, że pułkownik ma naradę. Te ostatnie repatriacje spowodowały, że wszystko wokół toczy się w gorączkowym tempie, jednak to spotkanie nie powinno potrwać długo. Po około dwudziestu minutach za jej plecami otwierają się drzwi oznaczone wizytówką PUŁKOWNIK WEBSTER. Z pokoju wypływa strumień wojskowych i cywilów. Na biurku pani Oldham dzwoni interkom. To pułkownik. Sekretarka zapisuje przekazane przez niego instrukcje, po czym informuje, że jestem i prowadzi mnie do biura.

A jest to duży, kwadratowy pokój umeblowany mniej więcej tak samo, jak cała reszta. W przeciwległym rogu stoi duże drewniane biurko, ustawione ukośnie. Nad nim wisi amerykańska flaga z drzewcem przyozdobionym złotym orłem na czubku. Na ścianach pozawieszano plakaty, a na długim stole ustawiono pamiątki po więźniach i zaginionych w Wietnamie. Na jednym z plakatów jest napis: Korpus Walczących Kwatermistrzów.

- Obawiam się, że nie pojawia się pan w najodpowiedniejszej chwili - mówi pułkownik Webster flegmatycznie, podnosi się zza biurka i podchodzi do mnie. Jest wysokim, barczystym, czterdziestoparoletnim mężczyzną o postawie prawdziwego żołnierza, ale o niezwykle delikatnym uścisku dłoni.

- Wiem, rozmawiałem z pańską sekretarką - odpowiadam, udając skruchę, podczas gdy on zapraszającym gestem wskazuje fotel i siada za biurkiem. - Właśnie miałem coś do załatwienia na Hawajach i pomyślałem, że wpadnę i przedyskutuję z panem moją sprawę.

- Morgan - mówi, jakby właśnie doznał olśnienia. - To pańskie nazwisko trafiło na pomnik.

- Zgadza się - postanawiam zachować ostrożność póki się nie dowiem, czy jest w to wszystko zamieszany. W każdym razie nie wydaje się zaszokowany moim widokiem.

- Interesująca sprawa - zastanawia się pułkownik - ale nie pierwszej wagi, choć pani Ackerman, jak pan się zapewne domyśla, próbowała zasugerować co innego. Bardzo mi przykro. Nie mieliśmy jeszcze okazji przeprowadzić dochodzenia.

Marszczę brwi zdumiony.

- To chyba jakaś pomyłka, pułkowniku. Przecież jeden z pańskich ludzi już o tym ze mną rozmawiał. Właśnie chciałem się z panem zobaczyć w związku z informacjami, które mi przekazał.

- Jeden z moich ludzi? - patrzy nie kryjąc zdziwienia. - Nie widzę takiej możliwości. Jak panu zapewne wiadomo, nasze zasady są bardzo rygorystyczne. Nic nie wydostaje się z tego budynku bez mojej wiedzy i zgody, absolutnie nic.

- No, kapitan Sullivan bardzo dokładnie przedstawił mi wasze dotychczasowe osiągnięcia w mojej sprawie. Przyjechał do...

- Powiedział pan: kapitan Sullivan? - przerywa, wyraźnie zaniepokojony.

Kiwam obojętnie głową, postanawiając doprowadzić grę do końca.

- Thomas.

- Nie znam nikogo takiego.

- Przyjechał do mojego biura w Los Angeles, powiedział, że dokładnie zbadał moją sprawę i doszedł do wniosku, że żołnierz, który zginął rzekomo zamiast mnie, w ogóle nie istniał. Pamiętam nawet, że mówił coś o pani Ackerman.

- To dziwne. Nie mam pojęcia, kim jest ten kapitan Sullivan i dlaczego miałby robić coś takiego.

- Już od paru tygodni zadaję sobie dokładnie takie same pytania. Po przemyśleniu uważam, że to była forma rekonesansu. Kapitan chciał zobaczyć, z kim mu się przyjdzie zmierzyć.

- Chyba nie rozumiem.

- Od początku czułem, że coś się nie zgadza. Dziwiło mnie, że

o wyniku swoich działań nie zawiadomił mnie po prostu telefonicznie. Chyba chciał spotkać się ze mną osobiście i zobaczyć jak zareaguję, a potem nakłonić mnie do rezygnacji z dalszych poszukiwań. Było to dla niego tak ważne, że śledził mnie w drodze do pracy, a tego dnia, w którym nie poszedłem do firmy, zadzwonił do sekretarki i przekazał, że pojawi się w moim biurze.

- W jakim celu miałyby to robić?

- Żeby nie rozmawiać ze mną przez telefon. Potrzebowałem tylko nazwiska. Albo je zdobył, albo nie - o niczym innym nie chciałem rozmawiać. Spotkanie nie miało więc sensu.

- Wie pan może o co chodzi?

- Częściowo. Ten człowiek z całą pewnością nie chce, żeby ta sprawa posunęła się dalej. Niestety, nie wiem dlaczego.

- Ja też nie wiem - rzuca już wyraźnie zirytowany Webster -

I skąd on, do cholery, wiedział o tym wszystkim?

Wzruszam ramionami. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia, zanim wspomnę o kobiecie z filipińskim akcentem.

- Miałem nadzieję, że pan mi to powie. Pułkownik kiwa głową w najwyższym zdumieniu.

- Może starszy sierżant będzie coś wiedział - podnosi słuchawkę i wykręca numer. - Znasz jakiegoś Thomasa Sullivana? Uhm,

kapitan. Tak myślałem - spogląda na mnie i ruchem głowy daje mi do zrozumienia, że odpowiedź brzmi „nie” - słuchaj, przynieś to, co dostaliśmy od Kate Ackerman. No, tę historię. - Odkłada słuchawkę, odchyła się w fotelu z dłońmi złożonymi pod głową i spogląda na sufit w zamyśleniu, po czym odwraca się do mnie i mówi: - Ona tu jest, wiedział pan?

- Kto?

- Pani Ackerman.

- Nie, nie wiedziałem.

- Teraz postępujemy według zasady pełnego i natychmiastowego ujawniania danych, no i...

- Tak, słyszałem coś o tym.

- ...przyleciała tu, jak tylko dowiedziała się o swoim mężu.

- No tak, tego można się było po niej spodziewać.

- Nie ona pierwsza... Ale Kate... - przerywa i uśmiecha się z czułością. - Kate to dopiero numer.

Prawie cały tydzień przesiedziała pod drzwiami mojego biura. Właśnie rozpatrywałem z personelem sprawę jej męża. To...

Przerywa mu pukanie. Wchodzi sierżant. Nie ma żadnych dokumentów. W porównaniu z opalonym na brąz pułkownikiem wygląda blade i niewyraźnie, ale jego oczy błyszczą jak diamenty.

- Ta teczka gdzieś się zapodziała, sir.

- Zapodziała?

- Myślałem, że znajdę ją w aktach spraw przeznaczonych do rozpatrzenia, ale nie ma jej tam. Może została tutaj, u pana?

Pułkownik wzrusza ramionami i przegląda stosy akt zalegających biurko i stół, niestety, bez rezultatu.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

- Chyba ze dwa tygodnie temu. Dałem ją Carli, żeby ustaliła, kiedy będzie można zacząć tę sprawę.

- Aha - rzuca obojętnie pułkownik.

- Czy z jakiegoś powodu nie możemy dowiedzieć się niczego więcej? - nalegam nieśmiało.

- Carla jest na urlopie - odpowiada.

- Pani Oldham uważa, że ktoś mógł zostawić te akta w laboratorium - dodaje sierżant - właśnie poszła sprawdzić.

Pułkownik opuszcza ręce z rezygnacją, po czym przedstawia mnie sierżantowi. Właśnie ściskamy dłonie, kiedy do biura wchodzi pani Oldham z tekturową teczką pod pachą. Podaje ją pułkownikowi.

- Gdzie była?

- Między aktami do wyrzucenia - odpowiada z nutą zdziwienia w głosie - na samym dnie szuflady.

Pułkownik marszczy gniewnie brwi i zabiera się do przeglądania dokumentów. W papierach

dostrzegam coś znajomego.

- Wygląda na kopię raportu dotyczącego rzekomo moich zwłok.

- Tak, w takich sprawach kontaktujemy się najpierw z Wydziałem Identyfikacji Ofiar.

Rozumiem już o co chodzi. Sullivan dostawał informacje stąd, już z tego biura - wciąż nie wiem w jaki sposób, zdobył też kopię raportu. I dlatego wiedział, że pojedę do Vegas spotkać się z Fosterem. Może nie znał dokładnej daty ani godziny, ale wiedział do kogo jadę, i to wystarczyło. Miał mnóstwo czasu, żeby opracować plan. Prawdopodobnie nie pokazał się w Denver, bo Bartletta było o wiele trudniej znaleźć.

- Jak wyglądał ten Sullivan? - pyta pułkownik. Przedstawiony przeze mnie opis kapitana irlandzko-azjatyckiego pochodzenia spotyka się z głuchym milczeniem. Oczy pułkownika ciemnieją z niepokoju. Spojrzenie sierżanta zdradza, że wie o kogo chodzi. Spoglądają po sobie. Webster pierwszy przełamuje milczenie.

- Wiem, co myślisz, Top. No, mów.

- To chyba mąż Carli.

Pułkownik przytakuje z ponurą miną, po czym wstaje i podchodzi do tablicy zawieszanej po przeciwnej stronie pokoju.

- To pańska sekretarka? - pytam sierżanta. Zaprzecza.

- Tylko on ma tu sekretarkę - szepce wskazując Webstera ruchem głowy. - Carla to taka nasza złota rączka. Odbiera telefony, przegląda papiery, układa akta.

Pułkownik wraca od tablicy ze zdjęciem w dłoni i podaje mi je.

- Święta Bożego Narodzenia, zeszły rok.

Bez trudności zauważam Sullivana w grupce osób stojących wokół błyszczącej choinki.

- To on.

- Carla stoi przed nim - mówi pułkownik i pokazuje mi ładną, trzydziestoparoletnią Azjatkę. Jej czarne włosy są upięte do tyłu

i uwydatniają wyraźnie zarysowane kości policzkowe.

- Jest Filipinką?

- Uhm. Dlaczego pan pyta?

- Jak już mówiłem, coś podejrzewałem. Postanowiłem więc sprawdzić Sullivana. Kobieta, która odebrała telefon, potwierdziła, że jest waszym pracownikiem. Mówiła z filipińskim akcentem.

Webster unosi brwi.

- On też jest Filipińczykiem - dodaje sierżant. - I nie nazywa się Sullivan, tylko Surigao.

- Surijago? - pytam, nie będąc pewny właściwej wymowy nazwiska.

- Sur-i-ga-o - poprawia - Sean Surigao. Znam ich. To mili ludzie.

- On jest wojskowym?

- Nie, aktorem - odpowiada sierżant.

Czuję jak twarz mi tężeje. To cholernie dużo wyjaśnia.

- Na ogół pracuje jako kaskader. Gra też w miejscowym teatrze, dają mu małe role. Tu, na wyspach, kręci się mnóstwo seriali. Widziałem go kiedyś w kinie. Nieźle mu wychodziło.

- Za przedstawienie w moim biurze powinien dostać Oscara.

- Miał dobrego instruktora - mówi gorzko pułkownik. - Carla pracowała u nas od czasu, gdy przenieśliśmy się tutaj w '76 z Bangkoku. Wie o wszystkim. Była też z nami w Waszyngtonie.

- Jej mąż nie grał żadnej roli, kiedy próbował mnie zabić.

- Zabić?

- Zgadza się. Dwa razy. On... - przerywam celowo, choć teraz nie muszę udawać wzruszenia.

Potrzebne mi ich wsparcie i przygotowuję się do rzucenia argumentu, dzięki któremu wiem, że osiągnę mój cel - przez pomyłkę zamordował moją żonę.

To wywiera wrażenie. Wymieniają pełne zakłopotania spojrzenia. Pułkownik jest wręcz zaszokowany. Ich organizacja, w odróżnieniu od egzaltowanego Krajowego Stowarzyszenia Rodzin, wydaje się preferować spokojne rozumowanie i oddanie swojej misji, dlatego wierzę, że jego reakcja jest prawdziwa.

- Przykro mi, panie Morgan - mówi wreszcie i wypuszcza powietrze z płuc - musi pan zrozumieć,

to spadło na nas jak grom z jasnego nieba. Na pewno jest jakieś wytłumaczenie.

- Też tak uważam. Potrzebuję tylko pańskiej pomocy, aby je odnaleźć.

- Zanim zdecyduję, po czyjej stronie powinienem się znaleźć - dodaje pułkownik już nieco bardziej surowym tonem - chciałbym porozmawiać z Carłą.

- Ja też. Podnosi słuchawkę.

- Pani Oldham? Czy ma pani gdzieś pod ręką numer telefonu Carli?

- Chyba nie należy do niej dzwonić - ostrzegam, podczas gdy on notuje cyfry na kartce papieru.

- Może ma pan rację.

- Zna pan ich adres?

- Mieszkają w Theatre Arts Complex - odpowiada sierżant - pamiętam, że Carla wspominała coś o lekcjach, których udziela jej mąż w jednej z pracowni aktorskich.

- To jakieś piętnaście minut stąd - tłumaczy Webster. - Kiedyś były tamminy. Teraz są teatry, szkoły tańca, butiki, mieszkania.

- No to może posłuchamy osobiście, co Carla ma do powiedzenia? - sugeruję.

Webster zastanawia się przez chwilę, patrzy na zegarek i ponownie podnosi słuchawkę.

- Pani Oldham? Proszę w moim imieniu odwołać to spotkanie o drugiej trzydzieści w Fort Shafter.

Tak, niech pani wymyśli jakiś powód. Dziękuję - odkłada słuchawkę, odwraca się w stronę

sierżanta i podaje mu moje akta. - No, Top, do roboty. Chciałbym mieć coś przed wieczorem. - Rusza w stronę drzwi.

- Pułkowniku? - mówię ostrym tonem. Zatrzymuje się w pół kroku. Czekam na wyjście sierżanta, po czym pokazuję mu mój pistolet - ten człowiek to morderca.

Marszczy brwi.

- Jeśli ma pan rację.

- Na razie dobrze byłoby przyjąć takie założenie, prawda? Przytakuje niechętnie i podchodzi do szafy. Kręci pokrętkę od

zamka szyfrowego, otwiera jedną z szuflad i wyciąga pistolet. To standardowa

dziewięćmilimetrowa beretta z wojskowego przydziału - o wiele większa od mojej.

18

Siedzę obok pułkownika w wojskowym samochodzie. Jedziemy wzdłuż nabrzeża po autostradzie Nimitza. Kiedy Webster zręcznie manewruje w popołudniowym tłoku, ja wyciągam berettę z kieszeni i sprawdzam, czy wszystko jest w porządku.

- Ciężko się tego wyzbyć - mówi.

Chodzi mu o to, co robię z pistoletem. To stare jeszcze z Wietnamu przyzwyczajenie - każdy rozsądny żołnierz przeprowadzał dokładne oględziny sprzętu nie tylko przed, ale i podczas walki. Ci, którzy zapominali, lub po prostu świadomie tego nie robili, z reguły nigdy już nie wracali. Cieszę się, że wciąż o tym pamiętam. Teraz nawyki doświadczonego żołnierza mogą okazać się przydatne.

Wjeżdżamy do Chinatown. Nimitz przechodzi w Bulwar Ala Moana, jedną z największych dróg publicznych łączących Honolulu z Waikiki.

- Kiedy poznał pan Kate? - nagabuje pułkownik.

- Parę miesięcy temu - odpowiadam, wyjmując magazynek i opróżniając komorę. - Szczerze mówiąc tylko raz się z nią spotkałem.

- Tak też myślałem.

- Co pan przez to rozumie?

- No, próbowała sprawić wrażenie, że jesteście starymi znajomymi, ale po prostu chciała mnie w ten sposób przekonać do ruszenia tej sprawy. Tak to odebrałem.

Odbezpieczam berettę i naciskam spust. Działa cicho i gładko. Wprowadzam nabój z powrotem do komory. Pułkownik nie jest typem człowieka, który lubi zbędną gadaninę. Już drugi raz zaczyna coś mówić o Kate Ackerman i przeczuwam, że do czegoś zmierza.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Ach, bez powodu - unika odpowiedzi - dobrze mieć ją za swojego sprzymierzeńca. Wygląda na to, że Kate Ackerman zrobiła dla mnie o wiele więcej, niż się spodziewałem i pułkownik chce, żebym o tym wiedział. Zaczynam myśleć o czymś innym i uznaję, że nie ma co drażnić tematu.

- Chyba jestem jej winien przysługę.

- Nie tylko pan, ja też. Ciężko mi było, kiedy wciąż zbywałem ją niczym. Czasami aż mnie kusi, żeby powiedzieć tym ludziom dokładnie to, co chcieliby usłyszeć. Ważne jest zachowanie pewnego dystansu, dlatego też wprowadziliśmy w życie...

- Cały system zabezpieczeń - przerywam. - Mówił mi o tym „kapitan Sullivan”. Wydawał się dobrze zorientowany w waszych procedurach i zasadach.

- Carla... - pochmurnieje - nadal trudno mi uwierzyć, że mogła się wplątać w coś takiego.

- Mam przecucie, że o to im właśnie chodziło - wsuwam magazynek do rękojeści pistoletu.

Przez pozostałą część drogi żaden z nas nie przerywa milczenia. Po przejechaniu nad kanałem Ala Wai na wschodnim końcu parku Ala Moana, mijamy jachtklub, przy którym cumują osiemnastometrowe jachty, potem skręcamy prosto na Theatre Arts Complex. To prawdziwe tour de force przedwojennej architektury przemysłowej. Na długim moło stoją potężne ceglane, obite metalem budynki z dachami w kształcie zębów na ostrzu piły i długimi rzędami okien dachowych.

Wszystkie dokładnie odnowione.

Pułkownik znajduje wolne miejsce na parkingu i wchodzimy głównym wejściem w uliczkę krytych straganów. Na wystawie budki informacyjnej znajduje się schemat przedstawiający poszczególne budynki i oferowane w nich usługi. Odnajdujemy domy mieszkalne i podążamy przez labirynt budynków ku apartamentom.

W miarę zbliżania się do celu odczuwam coraz silniejsze ssanie w żołądku. Umysł pracuje mi jak komputer - analizuje poszczególne możliwości: czy Surigao vel Sullivan będzie w domu? Jeśli tak, to jaka będzie jego reakcja? Zaprzeczy wszystkiemu? Przynajmniej ja tak zachowałbym się na jego miejscu. Będzie udawać chęć pomocy i pokorę? Tak czy inaczej to ja mam przewagę, to ja go zaskoczę. Idę za Websterem i przez cały czas trzymam w kieszeni dłoń zaciśniętą na rękojeści pistoletu. Pułkownik wchodzi na schody. Przystaje na górze. Prześlizguję się obok niego i powoli skradam do jednego z okien. Czeka cierpliwie, podczas gdy ja, zachowując maksymalną ostrożność, zaglądam do środka. Nie ma nikogo. Daję Websterowi znak ręką i czekam, żeby zobaczyć, kto otworzy mu drzwi.

Nikt.

- Carla? Carla? Tu pułkownik Webster. Jesteś tam? - puka do drzwi, po czym parokrotnie naciska dzwonek, ale bez rezultatu.

Zamierzamy już zrezygnować, kiedy z góry dobiega nas kobiecy głos:

- Szukacie Seana i Carli?

Schodzimy na dół i zadzieramy głowy. Z balkonu obok wychyla się zgrabna, opalona kobieta w bikini.

- Tak - odpowiada pułkownik.

- Od tygodnia ich nie widziałam. Zdaje się, że się wyprowadzili.

- Cholera - mamrocę pod nosem.

- Jest pani pewna? - pyta pułkownik.

- Nie, ale pamiętam, że Sean wspominał coś o zdjęciach w terenie.

- Powiedział gdzie? - rzucam.

- Niestety nie - odpowiada i odwraca się w moim kierunku - jesteście z tej branży?

- Przykro mi, mamy już obsadę - reaguję automatycznie. Sporo moich klientów jest związanych z showbusinessem. Słyszałem to pytanie już nieskończoną ilość razy i opracowałem cały zestaw delikatnych odpowiedzi odmownych.

- Wygląda na to, że po prostu uciekli - mówi pułkownik ponuro, kiedy opuszczamy to miejsce.

Przytakuję.

Wciąż myślę o filmach.

Wyobraźnia podsuwa mi obraz planszy z wykaligrafowanym na setki różnych sposobów napisem

KONIEC.

To nie do przyjęcia.

Idziemy do windy i jedziemy do biura kierownika osiedla. Siedzący za biurkiem mężczyzna - Hawajczyk, ubrany w szykowny lniany garnitur, czarną bawełnianą koszulę, roztaczający woń mocnej wody kolońskiej - potwierdza, że Sean i Carla Surigao przeprowadzili się.

- Wie pan dokąd? - pytam.

- Niestety nie.

- Nie zostawili żadnego adresu?

- A co z korespondencją?

- Mnie nie. Możecie panowie sprawdzić na poczcie.

- Moglibyśmy obejrzeć ich mieszkanie?

- Dlaczego? Chce je pan wynająć?

- Niewykluczone - odpowiadam i rzucam pułkownikowi porozumiewawcze spojrzenie. - Dlatego właśnie staram się znaleźć państwa Surigao.

- To moi dobrzy znajomi - włącza się pułkownik. - Sean napomknął, że będą musieli wyjechać na pewien czas, dlatego powiedziałem panu Morganowi żeby się do nich zwrócił.

- To chyba jakieś nieporozumienie - mówi kierownik, a w jego głosie daje się wyczuć nutę wyższości. - Widzi pan, Surigaoowie tylko wynajmowali tu mieszkanie.

- Ach, tak? A kto jest jego właścicielem? - pytam.

- Niejaki pan Ajacier. Wydaje mi się, że jego przedsiębiorstwo jako jedno z pierwszych zainwestowało w te budynki. Kilka mieszkań zachował dla siebie i odnajmuje je różnym ludziom.

- Mieszka gdzieś w okolicy?

- Och, nie, to - można powiedzieć - obywatel świata. Pan Ajacier ma wiele rezydencji. Jedna z nich jest gdzieś w... - przerywa i marszczy brwi w zamyśleniu - ...San Francisco? Ale nie jestem pewien. Chyba sobie nie przypomnę.

San Francisco? Ukrywam zaskoczenie i postanawiam zapamiętać to nazwisko, wymawiane przez niego A-dża-si-er.

- Słyszałem, że to bardzo przyjemne mieszkanie - mówię i wręczam kierownikowi jedną z moich wizytówek - można je będzie wynająć?

- Doradztwo - mruczy oglądając bilet. - Myślałem, że może jest pan producentem, jak pan Surigao. Pułkownik nie może ukryć grymasu.

Najwyraźniej przez cały czas miał nadzieję, że to wszystko to jakieś nieporozumienie. Nie mogę go winić. Dopiero teraz dostrzega, jak go oszukiwano.

- Mam nadzieję, że praca w teatrze nie jest jednym z wymogów - żartuję, próbując rozładować atmosferę.

- Wystarczy szacunek dla sztuki - śmieje się kierownik i wyczarowuje skądś swoją wizytówkę. - Proszę zatem ze mną, panie Morgan! Pokażę panu to mieszkanie.

Podchodzi szybkim krokiem do lustra z ozdobną ramą, odsuwa je na bok i odsłania szafkę wypełnioną wiszącymi na oznakowanych haczykach kluczami. Znajduje właściwy zestaw i wychodzimy z biura. Zjeżdżamy windą na dół.

- Jestem pewien, że się panu spodoba - mówi kierownik, kiedy wreszcie zatrzymujemy się przy wejściu do mieszkania. Ruchem ręki zaprasza nas do środka.

Ma rację. Eleganckie meble, trzy poziomy, i umiejscowienie zaraz nad lustrem wody, co jest niespodzianką, bo z zewnątrz nie widać morza. Okna przykryte są zasuwanyściankami, kuchnia świetnie wyposażona, a w salonie komin. Przewód kominowy jest zrobiony z nierdzewnej stali i przebija upstrzony oknami sufit. Z okien każdego pokoju roztacza się widok na port i niebieskozielony Pacyfik.

- Jeśli szukał pan raj, to ośmielam się twierdzić, że właśnie tu go pan znalazł.

- Na to wygląda.

- Nie jestem pewien, ile zażąda właściciel. Poprzednio czynsz wynosił dwa tysiące pięćset miesięcznie, ale teraz mógł pójść w górę.

Pułkownik znowu się wykrzywia.

- Chciałbym się trochę porozglądać, jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu. Żona zada mi tysiące pytań.

- Ależ proszę bardzo - mówi przyjacielskim tonem - niech się pan nie spieszy. Decyzja w tym wypadku należy do serca, nie do rozumu czy książeczki czekowej. Proszę tylko pamiętać o zamknięciu drzwi, kiedy pan skończy. Wie pan, gdzie mnie znaleźć.

- Strata czasu - cedzi pułkownik przez zęby, gdy kierownik wychodzi.

- Może nie. Może znajdziemy jakiś adres. Pułkownik spogląda na mnie z uznaniem.

Rozdzielamy się i zaczynamy przeszukiwanie mieszkania - sprawdzamy każdy pokój, szafę, szufladę i półkę. Właśnie przeglądam zawartość biurka, kiedy na krętych schodach pojawia się pułkownik.

- Jak mówiłem... - urywa i rozkłada bezradnie ręce.

- Tu też nic - wzruszam z rezygnacją ramionami i zatrząskuję jedną z szuflad.

Mieszkanie zostało dokładnie wyczyszczone. Nie ma nic, ani wieszaków w szafach, ani kawałeczka papieru w koszu na śmieci, kompletnie nic. Prawdę mówiąc, nie ma nawet dowodu na to, że Carla i Sean Surigao kiedykolwiek tu mieszkali, a co dopiero mówić o jakiegokolwiek wskazówce dotyczącej ich obecnego lokum. Dlaczego zdecydowali się właśnie teraz uciec. Może sierżant Daniels jednak nie miał racji? Może Surigao uznał, że nie żyję? W innej sytuacji po co wracałby na Hawaje? No, Morgan, mówię sobie, nie pora na kapitulację. To, że nie ma go tutaj, nie musi wcale znaczyć, że nie ma go na wyspie, że nie siedzi po drugiej stronie ulicy i nie obserwuje rozwoju wydarzeń.

- Nie wiedziałem, że statystom i kaskaderom tak dobrze się powodzi - mówię, wkładam rękę do kieszeni i zaciskam dłoń na pistolecie. Gdy czuję pod palcami chłodny metal, nabieram pewności siebie.

- Na pewno nie opłacali swojego gniazdka z pensji Carli. Płaciliśmy jej 565 tygodniowo - stwierdza pułkownik z sarkazmem. - Skąd wzięli pieniądze na takie mieszkanie?

Znam odpowiedź i nadeszła pora, żeby się nią podzielić, uderzyć odważnie, mocno, pora na szybki, zdecydowany atak.

- Narkotyki.

Pułkownik reaguje jakby usłyszał strzał.

- A to niby skąd?

Opowiadam mu o Bartlecie i nie spuszczam z niego oczu. Przez jego twarz przebiega grymas, gdy wspominam o plotkach dotyczących śledztwa prowadzonego przez Agencję ds. Zwalczania Narkotyków w kostnicy Ton Son Nhut.

- Możliwe, że wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu w Wietnamie - podsumowuję - ale założę się, że wtedy się nie skończyło.

Mruży w zamyśleniu oczy. Przez chwilę trwa w tej pozycji i milczy jak zakłęty. Nie jestem pewien, czy znieważylem go, czy też może czymś mu zagroziłem. Może odgrywał swoją rolę lepiej ode mnie i sam jest w to wszystko zamieszany? W każdym razie zakładam, że nie będzie do mnie strzelał i że zareaguje, jakbym go obrzucił stekiem najgorszych wyzwisk i poprosi - nie, zażąda - żebym wyjaśnił, jaki to ma związek z CIL, po czym potępi mnie za rzucanie bezpodstawnych podejrzeń. Zaskakuje mnie jednak, gdy mówi:

- Powinien pan rozmawiać z jednym z moich pracowników.

19

Mężczyzna, który oczekuje mnie w sali konferencyjnej CIL, jest cywilem. Siedzi samotnie na końcu długiego stołu. Jego sylwetka wyróżnia się na tle pokrywającego całą ścianę - od sufitu do podłogi - ekranu. Jego twarz przesłaniają kłęby dymu papierosowego. Podnosi się na moje przywitanie i uśmiecha się niewyraźnie.

Jest wysoki, szczupły, zaczyna łysieć i wygląda na pięćdziesiąt parę lat. Ma bladą, surową twarz. Koszulę wyciągniętą ze spodni pokrywa wyszywany biały wzorek przypominający magiczne runy. W jego spojrzeniu drzemie nieufność, wskazująca na to, że człowiek ten ma za sobą ciężkie i

tragiczne przeżycia, które pozostawiły na jego duszy trwałe piętno - i tak było.

Pułkownik powiedział mi wcześniej, że Jason Ingersoll był w czasie wojny szefem kostnicy wojskowej w Bazie Powietrznej Ton Son Nhut pod Sajgonem. Codziennie pod drzwiami znajdował stosy worków ze zwłokami, przywożone przez ciężarówki i helikoptery. Jego zadaniem było przywracanie okaleczonym ciałom w miarę ludzkiego wyglądu, oczywiście o ile to było możliwe, i przekazywanie ich rodzinom. Po zakończeniu wojny zaczął pracować w CIL. Od prawie dwudziestu lat zajmuje się odnajdywaniem, identyfikacją i transportem szczątków tych, którym nie miał okazji pomóc w Wietnamie.

Wymieniamy uścisk dłoni.

Siada na swoim miejscu i zapala kolejnego papierosa.

Ja usadawiam się w jednym z foteli otaczających stół, na którym leżą notatniki, ołówki, termos z kawą, filiżanki i trzydziestopięcio-

milimetrowy odtwarzacz slajdów. Pod zawieszonym na przeciwległej ścianie znakiem CIL

ustawiono katedrę i stojak. Po zwyczajowej wymianie grzeczności przystępuję do rzeczy i mówię o przemyśle narkotyków w Wietnamie i śledztwie prowadzonym przez Agencję ds. Zwalczania Narkotyków.

Na twarzy Jasona Ingersolla natychmiast pojawia się smutek.

Wiem, że go zraniłem.

- Dlaczego to taki drażliwy temat? - pytam łagodnym tonem.

- Nieprzyjemne wspomnienia - w jego spojrzeniu pojawia się błysk. Zastanawia się, czy dzielić się ze mną swoją przeszłością, dodaje jednak:

- Byłem jednym z tych, których poddano śledztwu.

To stwierdzenie jest jak grom z jasnego nieba. Pułkownik najwyraźniej pobierał lekcje u swoich współpracowników.

- W sprawie przemytu narkotyków? Ingersoll niemal niezauważalnie przytakuje.

- Przykro mi, nie wiedziałem o tym.

- Twierdzili, że po zakończeniu autopsji wypełnialiśmy ciała paczkami heroiny, wydobywanymi następnie przez naszych współników w Dover lub Travis, zależnie od portu, do którego zwłoki były przewożone.

Mam wreszcie odpowiedź. Powinienem się cieszyć, ale czuję tylko obrzydzenie. Dopiero po dłuższej chwili odzyskuję panowanie nad sobą.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Bo starano się to zatuszować. Opublikowano parę artykułów, ale poza tym media okazały godne podziwu poczucie racji stanu. Pewnie dziennikarze doszli do wniosku, że Wietnamczycy wystarczająco dają nam w kość. Oskarżenia były zresztą całkowicie nonsensowne; fabrykowało je kilku zgorzkniałych oficerów. Zostałem oczyszczony z wszelkich zarzutów.

- Coś takiego nigdy się nie zdarzyło?

- Zgadza się.

W jednej chwili straciłem punkt zaczepienia i czuję się, jakby ktoś rąbnął mnie pięścią w brzuch.

- A czy mogło się wydarzyć bez pańskiej wiedzy?

- Nie widzę takiej możliwości. Nasze procedury były ściśle określone. Każda czynność była szczegółowo opisywana w raportach. Nie mogliśmy sobie pozwolić na jakiegokolwiek uchybienia. Średnio przez nasze ręce przechodziło 50 do 100 zwłok dziennie. Na wiosnę 68 roku, podczas najcięższych walk, było ich około 4000 miesięcznie.

- O ile mi wiadomo, to właśnie w '68 kwitł przemyt narkotyków.

- Domniemany przemyt - poprawia łagodnym tonem, nie zauważa najwyraźniej nie kończącego się strumienia dymu wydobywającego się z jego ust - panie Morgan. Pracowałem w kostnicy. Nie miałem ani chwili odpoczynku, nadzorowałem wszystkie etapy operacji.

- Na pewno nie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie, ale na jednej zmianie pracowało kilkudziesięciu ludzi. Ci, którzy zajmowali się balsamowaniem zwłok, stali praktycznie jeden obok drugiego. Bez przerwy toczyły się jakieś

rozmowy, o kobietach, sporcie, rodzinie, trochę czarnego humoru - mówili o wszystkim, co mogłoby w jakiś sposób poprawić nastrój. Z pewnością zauważyliby kogoś wnoszącego do środka woreczek białego proszku. Przecież to nie brylant czy kawałek mikrofilmu.

- Krótko mówiąc, musiałby istnieć spisek.

Przytakuje skinieniem głowy i pozwala sobie na blady uśmiech. Pytano go już o to.

- I to potężny. Musieliby być w to wplątani.

- Co działo się ze zwłokami po zakończeniu balsamowania?

- Przygotowywano je do transportu. Pracowaliśmy na dwie zmiany po dwanaście godzin. Ciało zabalsamowane w dzień pakowano w nocy i odwrotnie.

- Rozmawiałem ostatnio w Denver z kimś, kto pracował w kostnicy. Nazywa się Bartlett. John Bartlett. Pamięta go pan?

Ingersoll namyśla się przez chwilę.

- Tak, chyba tak. Wysoki chłopak, zajmował się przyjmowaniem zwłok, przynajmniej tak mi się coś kojarzy.

- Zgadza się. To on dał mi do zrozumienia, że działo się coś dziwnego.

- Naprawdę? Dlaczego tak uważał?

Opowiadam mu o nałogu Bartletta i o tym jak jeden z podoficerów kazał mu zapakować z powrotem ciało pilota helikoptera, ciało, które następnie zniknęło.

- Zniknęło? - powtarza z niedowierzaniem Ingersoll - nie, to raczej niemożliwe. Ktoś musiałby zauważyć lukę w raporcie -przecież facet wjechał do kostnicy.

- Nie odnotowano jego przyjęcia.

- Ach, tak. Kiedy to było?

- Około dwunastego maja.

- Wtedy śledztwo było już zakończone. Od paru miesięcy. Był już spokój. Kto i po co miałby to robić?

- Żeby śledztwo nie zostało wznowione. Agencja ds. Zwalczenia Narkotyków była na tropie tego gościa. Wasi ludzie z pewnością odkryliby jego prawdziwą tożsamość...

- Oczywiście. Rutynowym postępowaniem w takich sytuacjach było sprawdzanie odcisków palców i akt dentystrycznych.

- ...Agencja dowiedziałyby się o tym i kto wie, co dalej? Unosi brwi, przyznając w ten sposób rację moim argumentom.

- Bartlett mówił coś o lotach po Pepsi-Colę. Słyszał pan o czymś takim?

- Pamiętam loty po piwo i pizzę. Nie przepadaliśmy za napojami niealkoholowymi.

- Powiedział mi, że piloci zajmujący się przemytem narkotyków nazywali tak niektóre kursy.

Ingersoll wzrusza ze zdziwieniem ramionami.

- Czy ta nazwa nie padła w śledztwie?

- Nie przypominam sobie - przerywa na chwilę i gasi papierosa w popielniczce. - Nie wie pan czegoś o tym podoficerze, który ukrył zwłoki pilota?

- Nie znam jego nazwiska. Bartlett mówił, że był zniechęcony i w końcu ktoś go załatwił.

Oczy Ingersolla rozbłyskują na chwilę.

- Tak, coś pamiętam - zamyśla się, po czym potrząsa przecząco głową - to było tak dawno. Przykro mi, nie mogę sobie przypomnieć jak się nazywał.

- Czym się zajmował?

- Pakowaniem i transportem zwłok.

- Wkładał je do skrzyń transportowych? - widziałem o wiele za dużo tych aluminiowych trumien.

Każdy z nas miał w Wietnamie koszmarne sny, w których kończył w jednej z nich.

- Uhm. Przygotowywał też listy załadunkowe i nadzorował przewóz trumien na pokład C-141.

- Jego też przesłuchiowano?

- Chyba nie, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czy on mógł szmuglować heroinę?

- To znaczy patroszyć tych biedaków? - wybucha.

Nagła zmiana nastroju zbija mnie nieco z tropu. Kiwam głową z przepaszającym wyrazem twarzy.

- W samym środku budynku pełnego ludzi? - podnosi głos. - I jeszcze może dałby radę wepchnąć worek heroiny do jego klatki piersiowej?
- Panie Ingersoll, przepraszam, nie chciałem pana urazić, ale znalazłem się w samym środku jakichś wydarzeń, których nie rozumiem. Próbowano mnie zabić i chcę się dowiedzieć, dlaczego.
- Pułkownik opowiadał mi o tym - mówi już spokojniejszym głosem. - Wiem, co się stało z pańską żoną. Bardzo mi przykro.
- Kiwam głową i zmuszam się do uśmiechu.
- Nikt nie mógłby tego zrobić podczas ostatniej fazy przygotowywania zwłok do wywozu - wraca do tematu - kostnica składała się z czterech budynków; w jednym przyjmowano i balsamowano zwłoki, w drugim dokonywano identyfikacji, w trzecim była administracja i magazyny, a w ostatnim przeprowadzano wszystkie czynności końcowe - tam pakowano zwłoki i zamykano raporty. Także...
- Przepraszam, czy to, co pan przed chwilą powiedział, nie dowodzi że mam rację? Podoficer, który zajmował się przygotowywaniem zwłok do transportu, miał pełnię władzy w tym ostatnim budynku, prawda?
- Zgadza się. Ale musi pan wiedzieć, że tam praca odbywała się w wielkiej, białej sali. Nie mogło być żadnej plamki. Nawet podłoga była pomalowana na biało.
- Wiem, co chce powiedzieć. Przygryzam wargę, a żołądek zaczyna podchodzić mi do gardła.
- Panie Morgan, nie chcę, żeby zabrzmiało to obraźliwie, ale w wypadku, gdy ciało nie było zmasakrowane bądź okaleczone, poddawano je zabalsamowaniu pod ciśnieniem, potem dla zabezpieczenia przeguby rąk, kolana i kostki przewiązywano gazą. Na koniec zwłoki owijano w czyste białe prześcieradło, którego rogi zakładano jak na pryczy wojskowej, po czym pieczętowano. Gestykułuje długimi, szczupłymi dłońmi, dłońmi, które oddały ostatnią przysługę tak wielu żołnierzom, spośród których mogłem się znaleźć i ja. Niewiele brakowało.
- Czyli, wszystko to musiałyby być zdjęte w tej nieskazitelnie czystej sali, że nie wspomnę o konieczności przecięcia klatki piersiowej, co wymagałoby sporych umiejętności i hałaśliwej piły elektrycznej, oraz wyjęcia wnętrzości. Bóg co prawda zaprojektował nas w dość ekonomiczny sposób, ale to, co mamy w środku, po wyciągnięciu zajmuje sporo miejsca. No i niech pan to sobie teraz wyobrazi...
- Obawiam się, że tak - mówię niepewnie, próbując nie myśleć o kostnicy, w której na stalowym stole leżała Nancy.
- Czy to się mogło naprawdę zdarzyć? - pyta retorycznie i wyjmuję kolejnego papierosa. - No, co najwyżej raz. Dwa razy - to już raczej niemożliwe.
- A ciała, które poddano autopsji? Może z nimi było łatwiej?
- Raczej nie - zapala zapalną. Pomiędzy nami płynie obłok dymu - na ogół nie przeprowadzaliśmy sekcji. Tylko jeśli był to jedyny sposób, by ustalić przyczynę zgonu.
- W jakich przypadkach?
- Na przykład kiedy samolot spadł na ziemię bez trafienia przez wroga. Musieliśmy się dowiedzieć, czy pilot miał atak serca, czy przyczyną była utrata świadomości spowodowana dużym przyspieszeniem, czy cokolwiek innego.
- Jak długo ciała leżały w kostnicy?
- Dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin, chyba że nie można było zidentyfikować zwłok. Z reguły szczątki wracały do najbliższej rodziny w przeciągu tygodnia po ich odnalezieniu. Często najbliżsi nie chcieli przyjąć straty do wiadomości, jeśli nie widzieli ciała na własne oczy. Dlatego taki szybki transport - w ten sposób dawało się utrzymać coś, co określaliśmy nazwą „rozpo-znawalności” - zaciąga się głęboko, po czym podnosi się z fotela.
- Mam jeszcze sporo pytań, ale wyczuwam, że już pora na podsumowanie spotkania, więc czekam co powie Ingersoll.
- Widzi pan, panie Morgan - podejmuje łagodnym tonem - byliśmy dobrymi ludźmi. Profesjonalistami poświęcającymi swoje zdolności dla sprawy. Mieliśmy ścisłe zasady. A stres, z którym musieliśmy się zmagać dzień w dzień, ból na widok tych amerykańskich chłopców... -jego głos się załamuje, i zapala papierosa - nie wyobraża pan sobie, ile nas kosztowało patrzeć na ich

śmierć.

- Wiem, o czym pan mówi.

- Ależ oczywiście - rzuca przepraszającym tonem, po czym wydmuchuje kłęb dymu - po prostu nie jestem sobie w stanie wyobrazić, żeby którykolwiek z moich ludzi mógł być wplątany w coś tak potwornego. Nie wierzyłem w to wtedy i teraz też nie uwierzę.

Jego słowa przejmują mnie do głębi i chciałbym już skończyć, ale mam jeszcze jedno pytanie.

- Naprawdę? Sztywnieje.

- Chodzi panu o małżeństwo Surigao - to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak. Wiem, że to chwytnie się brzytwy, ale jeśli to działo się w Wietnamie bez pańskiej wiedzy... czy mogłoby tak być i teraz?

- Za pośrednictwem naszej organizacji? - pyta z niedowierzaniem.

Przytakuję skinieniem głowy. Oczekuję kolejnego wybuchu gniewu.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co przywozimy do kraju? - rzuca ostrym, wyzywającym tonem. - Ma pan w ogóle jakiegokolwiek pojęcie, co te rodziny, czekające przez prawie trzydzieści lat, w końcu grzebią w ziemi?

- Wyobrażam sobie.

- Pokażę panu - mówi ponuro. Obraca się na pięcie i przechodzi na drugi koniec stołu.

Obawiam się tego, co może zaraz nastąpić i już chcę powiedzieć, że to nie będzie konieczne, kiedy gasną światła i ciemność zostaje przeszyta promieniem światła z projektora. Zmusiłem tego człowieka do ujawnienia przede mną swojego bólu i jeśli w taki sposób muszę za to zapłacić to wiem, że nie mam wyboru.

Pierwszy obraz.

Wracają wspomnienia o Nancy i zamykam oczy, chcąc zebrać odwagę. Kiedy je wreszcie otwieram, widzę w powiększeniu oślepiająco białe prześcieradło. Ułożone są na nim w kolejności anatomicznej fragmenty ludzkiego szkieletu: połowa pozbawionej większości zębów szczęki dolnej, rząd kręgów, strzępy klatki piersiowej, pozostałości miednicy, resztki palców i kość udowa, przełamana na dwie części jak zwalona gałąź. To wszystko. Poddane działaniu wody i różnych chemikaliów kości wyglądają jak brązowe, porowate kamienie. Nie ma w nich nic ludzkiego; równie dobrze mogłyby to być szczątki jakiegoś prehistorycznego stworzenia.

- To całkiem sporo - mówi obojętnym tonem Ingersoll - często mamy jeszcze mniej...

Przerywa i wyświetla następny slajd.

- Ten stosik fragmentów kości zmieści się w pańskiej dłoni. Aha, gdyby pan chciał wiedzieć, to szczątki transportuje się w tych skrzyniach.

Następny obraz.

Przy rządzie leżących na stole drewnianych pudeł stoi grupa Azjatów i jeden Amerykanin. Skrzynie wykonane są z grubego na mniej więcej pół centymetra mahoni. Pokrywy odłożono na bok.

Przymocowuje się je za pomocą gwoździ; na zdjęciu zostały już częściowo wbite w drewno. Na podstawie stojących przy pudłach ludzi próbuję obliczyć przybliżony rozmiar skrzyni. Wychodzi mi około 75 x 30 x 40 cm.

Ingersoll wyłącza projektor. W ciemności widać tylko przesuwający się ku włącznikowi światła rozżarzony czubek jego papierosa.

- Nie jest to coś, w czym można by przemycać heroinę - podsumowuje, gdy rozbłyśka jaskrawe światło.

Mrużę oczy i decyduję się na atak z innej strony.

- Czy kiedykolwiek przeprowadzono transport kompletnych zwłok?

- Nie.

- Ani razu?

- Zgadza się.

- A dezercerzy lub ci, którzy zostali w Wietnamie i umarli tam śmiercią naturalną?

Zaprzecza gwałtownym ruchem głowy. Chyba zaczyna tracić cierpliwość.

- I nie było żadnego przypadku śmierci jednego z jeńców i repatriacji jego ciała?

- Przynajmniej nic mi o czymś takim nie wiadomo, choć słyszałem, że widziano żywych jeńców.

Rządy Azji Południo-wo-Wschodniej twierdzą, że nie ma już żadnych... - przerywa i sceptycznie unosi brwi - ...znajdujących się pod ich kontrolą. Może pan sam wyciągnąć wnioski.

Jestem wyczerpany.

Siedzimy przez chwilę w ciszy.

Ingersoll uważnie strzepuje popiół do popielniczki.

- Coś jeszcze?

- Nie, panie Ingersoll, to chyba wystarczy. Dziękuję.

Kiwa głową z ciepłym uśmiechem, po czym podchodzi do okna i rozsuwa zasłony. Na jego piersi światło słońca krzyżuje się z cieniem. Po chwili spogląda na mnie i przywołuje mnie kiwnięciem ręki.

- Widzi pan ten beżowy samochód? - pyta i pokazuje stojącego na parkingu rozpadającego się gruchota. Farba jest wyblakła i schodzi całymi płatami. Na jednym z kół brakuje piasty. Antena wygięła się pod działaniem wiatru.

-To pański?

- Uhm. Chevy, rocznik '78. Trzeba wymienić hamulce, opony i zrobić ogólny przegląd całości.

- Rozumiem.

- Tak też myślałem. Na wypadek, gdyby to pana interesowało, wynajmuję mały domek w Kaimuki - żadnych pięknych widoków i z dala od plaży.

Przytakuję posłusznie jak skarcony uczeń i ściskam mu dłoń.

- Jeszcze raz dziękuję za rozmowę i przepraszam, że nie umiem wyrazić lepiej swojej wdzięczności.

Jego oczy łagodnieją i uśmiecha się. Rozgrzesza mnie w ten sposób z wszelkich przewinień, po czym zapala papierosa i odwraca się plecami.

Najwyraźniej chce spędzić kilka chwil w samotności, żeby odpędzić wspomnienia. Ruszam w kierunku drzwi, kiedy słyszę głos:

- Ac... to chyba było Ac-coś tam.

- Słucham?

- Nazwisko tamtego podoficera - denerwuje się, że nie może sobie przypomnieć. Drapie się zawzięcie po czole. - Pamiętam, że jego rodzina miała coś wspólnego z przedsiębiorstwem pogrzebowym. Mogę się mylić. Wielu naszych pracowników miało takie pochodzenie. Cholera jasna.

- Proszę się nie przejmować, to nie takie ważne.

- Nie wiem dlaczego, ale w jakiś sposób kojarzę go z San Francisco. Chociaż nie jestem przekonany.

San Francisco? To jest ważne.

- Acacia? - zastanawia się - nie, nie, nie tak. W każdym razie coś podobnego. Ależ to irytujące. Mam na końcu języka.

Ja też.

- Może Ajacier?

W jego oczach pojawia się błysk.

- O właśnie. Tak, Ajacier. Skąd pan wiedział?

- A, słyszałem już gdzieś to nazwisko.

20

- Ajacier? - powtarza Webster pełnym zdumienia szeptem. Natychmiast skojarzył nazwisko podoficera z właścicielem mieszkania Surigao. W jego oczach nie widzę już gniewu, raczej frustrację. Patrzy na mnie zza swojego biurka. - Panie Morgan, to od pana wszystko się zaczęło. Zapytam jeszcze raz i oczekuję odpowiedzi. Co tu jest grane?

- Pułkownik, to pytanie trzeba rozbić na dwie części. Co było grane wtedy w Wietnamie i co jest grane teraz. Jeśli chodzi o przeszłość, pan Ingersoll otworzył drzwi na oścież, po czym je natychmiast zatrzasnął. Najprawdopodobniej został świetnie przygotowany przez swoich

adwokatów w czasie śledztwa. Dlatego uważam, że albo kłamię, albo...

- W to nie uwierzę.

- Miałem zamiar powiedzieć, że jest uczciwym człowiekiem, którego wykiwano. Przynajmniej takie zrobił na mnie wrażenie. Nie miał najmniejszego pojęcia, co knuł Ajacier.

- A cóż to właściwie było? Przemyt narkotyków pod przykrywką przewozu ciał zmarłych żołnierzy?

- Tak. Z drugiej strony jestem cholernie ciekaw, jak oni to robili, skoro śledztwo nic nie wykazało.

- Dobre pytanie - Webster rozsiada się w fotelu i zaczyna znęcać się nad spinaczem do papieru. - W każdym razie jeśli Ajacier działał w Wietnamie, to kostnica należąca do jego rodziny stanowiła punkt przeładunkowy w Stanach.

- To byli cywile, a transport zwłok zabitych żołnierzy był operacją wojskową.

- Podczas wojny ciała wielu żołnierzy trafiły do kostnic w południowo-zachodnich Stanach.

Stamtąd dopiero odbierały je rodziny. Do dzisiaj zwłoki przekazywane są cywilnym pośrednikom.

- Jak to?

- Po zakończeniu identyfikacji przez CIL szczątki zostają przewiezione do kostnicy w Travis.

Podpisaliśmy kontrakt z tamtejszym przedsiębiorstwem pogrzebowym.

- Oni zapewniają siłę roboczą. Przytakuje skinieniem głowy.

- To nie takie zaskakujące, jak by się mogło wydawać. Personel Hickam Field, miejscowej bazy lotniczej, składa się w osiemdziesięciu procentach z pracowników cywilnych. W każdym razie w Travis odbywa się przenoszenie szczątków ze skrzyń transportowych do standardowych trumien. Asystują przy tym wojskowi, którzy pilnują, żeby wszelkie odznaczenia i ordery zostały przypięte w odpowiedniej kolejności.

- Jak się nazywa ten kontrahent?

- Przedsiębiorstwo Pogrzebowe Golden Gate. Współpracujemy z nimi od niepamiętnych czasów - przerywa i uśmiecha się na myśl o tym, co za chwilę powie - właściciel nie nazywa się Ajacier.

- OK. Właśnie powróciliśmy do teraźniejszości. Sytuacja jest taka: mamy tego drugiego Ajaciera, też z San Francisco, i zakładamy, że jest w jakiś sposób spokrewniony z tym z Wietnamu -to jego brat, ojciec, kuzyn, ktoś taki. On i Surigao współdziałają ze sobą, chociaż nie wiemy jeszcze dokładnie, na jakim polu.

- Nawet nie wiemy, czy w ogóle to się wiąże z przeszłością.

- Tu się nie zgodzę. Wiemy, że tak musi być, bo moje poszukiwania w jakiś sposób im zagroziły.

- To prawda, chociaż nie mamy pojęcia jak. Szczerze mówiąc kompletnie nic nie wiemy.

- Jeśli ta rodzina zajmowała się pogrzebami dwadzieścia lat temu, to może zajmuje się tym i dziś.

- Od czegoś trzeba zacząć - pułkownik podnosi słuchawkę, dzwoni do informacji w San Francisco i dostaje wiadomość, że nazwisko Ajacier nie widnieje ani w katalogu firm, ani w spisie telefonów domowych.

Coś mi zaczyna świtać.

- Pewnie to zeznanie „kapitana Suliivana” nie było kłamstwem.

- Jakże?

- Że był w San Francisco - opowiadam o policjantach prowadzących dochodzenie w sprawie śmierci Nancy i ich odkryciu, że samochód, który spowodował wypadek, został wynajęty przez człowieka posiadającego kalifornijskie prawo jazdy z adresem w San Francisco. Następnie wyjmuję z portfela wizytówkę sierżanta Danielsa i sięgam po telefon.

Pułkownik kładzie dłoń na widelkach.

- Co pan zamierza?

- Chcę się dowiedzieć, czy odkryli coś nowego.

- Najpierw powiem panu, czego ja chcę.

- Proszę bardzo.

- Chcę jednak zachować porządek. Sprawa więźniów i zaginionych w akcji jest niezwykle delikatna i w ciągu tych wszystkich lat nie udało się nam uniknąć błędów. Oskarżano nas o wszystko począwszy od pseudonaukowego charakteru badań, a skończywszy na zwykłym oszustwie.

- Chodziło o identyfikację?

Webster wykrzywia się na samo wspomnienie i przytakuje skinieniem głowy.

- Czy wie pan, że w czasie drugiej wojny światowej zaginęło bez śladu przeszło siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy?

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy? - powtarzam ze zdumieniem. Potwierdza z ponurą miną.

- O nich już zapomniano.

- Czasy się zmieniły.

- Jeszcze jak. W każdym razie chodzi o to, że jeśli rodziny nam nie zaufają, niczego nie będziemy w stanie dokonać. Strawiłem mnóstwo czasu i energii, żeby to zaufanie zdobyć. Gdy teraz media dowiedzą się o czymś takim, wie pan, jak to jest, upłyną lata, zanim oczyścimy się z wszelkich zarzutów.

- Rozumiem. Z drugiej strony policja pewnie już sprawdziła, kto mieszka pod adresem z prawa jazdy Sullivana. Lepiej będzie dla pana, jeśli dowiemy się, czy mają coś ciekawego.

Zastanawia się przez dłuższą chwilę.

- Pod jednym warunkiem. Nie ujawnimy wszystkiego. Nie wyłożymy naszych kart.

- Zgoda - wykręcam numer. Odbiera oficer dyżurny. Nie ma Danielsa ani Moliny. Zostawiam telefon do Halekulani, hotelu w Waikiki, w którym zamierzam spędzić noc.

- Ma pan rację - mówi Webster kiedy odkładam słuchawkę. - Jak pomyślę, że ktoś mógłby wykorzystać CIL do przemytu narkotyków... - urywa w pół zdania, najwyraźniej przerażony widmem skandalu.

- Pan Ingersoll twierdził, że nie można było tego przewozić w zwłokach ani w drewnianych pudłach. Co pozostaje? Skrzynie transportowe?

Pułkownik zaprzecza.

- Nie widzę takiej możliwości. Nie ma tam gdzie schować.

- Nic nie jest niemożliwe. Kto odpowiada za cały transport?

- To zależy od etapu: Baza Lotnicza Andersen na Guam, my lub Travis. Współpracujemy z kilkoma rządami Azji Południowo-Wschodniej, ale większość repatriacji rozpoczyna Wietnamskie Biuro Poszukiwań Zaginionych. Oni przekazują nam na lotnisku Noi Bai w Hanoi drewniane pudła zawierające szczątki żołnierzy. Stamtąd przewozi się je do Andersen, gdzie wkłada się je do skrzyń transportowych.

- Jedno pudło na jedną skrzynię?

- Dokładnie. Przez cały czas transportu jedna skrzynia zawiera szczątki jednego żołnierza.

Oznaczamy je za pomocą systemu alfabetyczno-liczbowego. CIL kreska: jeden, dwa, trzy itd., zależnie od tego, ile ich jest. Do tej pory doszliśmy do stu kilku.

- No, dobrze. Co potem?

- Przewozi się je do Hickam Field. Natychmiast po zakończeniu ceremonii powitania zostają załadowane do medycznego mikrobusu i przywiezione tutaj.

- Czyli macie wszystko pod kontrolą?

- Tak, począwszy od Hanoi.

- A po wyjęciu szczątków?

- Drewniane pudła są niszczone, a skrzynie zostają tutaj aż do zakończenia procesu identyfikacji, potem wykorzystuje się je znowu przy transporcie szczątków do kostnicy.

- Gdzie przekłada się je do standardowych trumien i przekazuje rodzinie.

- Tak jak mówiłem.

- A co wtedy dzieje się ze skrzyniami?

- Zostawia się je przed kostnicą...

- Pod cywilnym nadzorem.

- Zgadza się. Kiedy zbiera się ich wystarczająco dużo, żeby zapełniły ładowarkę, przewozi się je z powrotem do Clark.

- Clark?

- Znaczy do Andersen. Siła przyzwyczajenia. Z Filipin wyrzucił nas ten wulkan.

- Kontrahent z San Francisco może i nie nazywa się Ajacier, ale jest tam, gdzie być powinien.

Webster przytakuje w zamyśleniu.

Wszystko zaczyna prowadzić do niezaprzeczalnie intrygujących wniosków.

- Jeśli mam rację, to znaczy, jeśli rzeczywiście przemycają narkotyki w tych skrzyniach i rozładowują towar w kostnicy w Travis, to wygląda na to, że heroina jest w nich tu i teraz, czyż nie?
- chcę zasięgnąć jego opinii, ale jeszcze bardziej ciekawi mnie jak zareaguje. Poczucie się zagrożony? Będzie zaprzeczał? Uzna to za nonsens?

W jego oczach pojawia się błysk, ale nie wściekłości - raczej zgody pomieszanej z gniewem.

- Cholera jasna, zgadza się.
- Przecież sam pan mówił, że nie da się tam nic ukryć?
- Jest jednak jedno takie miejsce: dok-tuba.
- Słucham?
- Tuba na dokumenty. To wbudowany w skrzynię cylinder, do którego wkłada się zwinięte w trąbkę dokumenty dotyczące zmarłego. Otwór zostaje zaplombowany druciano-ołowianą zaty-czką.
- Czy pańscy ludzie nie zauważyliby, że coś tam jest w środku?
- Nikt tam nigdy nie zagląda. Nawet nie pamiętam czy kiedyś otwierałem którąś z nich.

Webster podnosi się gwałtownie. Z trudem dotrzymuję mu kroku; biegniemy przez korytarz, wypadamy na zewnątrz i po chwili stajemy przed siatką oddzielającą od siebie dwa budynki.

Otwiera furtkę i wyjaśnia mi, że tutaj mieści się właściwe laboratorium, w którym przechowuje się i bada szczątki, jest tu także

główna kartoteka dotycząca zaginionych. Wchodzimy drzwiami, nad którymi widnieje znak oznajmiający:

DLA OKAZANIA SZACUNKU ZMARŁYM

PROSIMY

O ZDJĘCIE NAKRYCIA GŁOWY

Podążam za Websterem w kierunku ułożonych pod ścianą aluminiowych skrzyń transportowych. Ustawiono je w trzech, a czasami nawet czterech rzędach. Razem dwadzieścia albo trzydzieści.

Inaczej niż tradycyjna trumna skrzynia składa się z dwu oddzielnych części: dno przypomina bardzo płytką tacę; góra jest wydrążona i umocniona prętami wygiętymi w kształcie litery V i zgrzewanymi punktowo do pokrywy, boków i końców. Po połączeniu obie części są praktycznie nierozzerwalne. Na jednym z boków, gdzie przymocowana jest tabliczka z wrytym napisem GŁOWA, zainstalowano regulator ciśnienia, a obok niego, w prawym górnym rogu, metalowy dysk o średnicy około pięciu centymetrów, przypominający mały korek wlewu paliwa.

- O tym właśnie mówiłem - stwierdza pułkownik i odkręca jedną z zatyczek, która zwisa bezwładnie na kawałku splecionego drutu. Zagląda do wchodzącej do wnętrza metalowej tuby o mniej więcej czterocentymetrowej średnicy, po czym wsuwa do niej palec.

- Nic nie ma.

- Jak głęboko to sięga?

- Prawie trzydzieści centymetrów, może nawet mniej. Proszę mi pomóc.

Chwytny skrzynię z dwu stron za mocne uchwyty, zdejmujemy ją ze stosu i kładziemy na podeście. Po dłuższej chwili udaje nam się otworzyć wszystkie dziesięć zamków; po zakończeniu tej dość męczącej czynności unosimy górną część i kładziemy ją do góry nogami obok dolnej.

Wnętrze tworzy gładka aluminiowa powierzchnia z zaokrąglonymi rogami, co ma ułatwić czyszczenie. Jest wręcz oczywiste, że tu nie da się niczego ukryć. W jednym z narożników sterczy metalowy cylinder, od tej strony zaplombowany na stałe.

Przystępujemy do otwierania kolejnych skrzyń. W myśli obliczam objętość cylindra - pi razy r do kwadratu razy h - $3,14 \times 1,875 \times 1,875 \times 25$.

- O ile to ma jakiegokolwiek znaczenie, wejdzie tu około 266 centymetrów sześciennych. To mniej więcej tyle, co jedna trzecia kwarty mleka.

- Kilogram to ile? Trochę więcej niż dwa funty?

- Dwa przecinek dwa zero cztery sześć. Kilogram heroiny wypełniłby pół tuzina tych tub.

- Niezbyt efektywny sposób i duże ryzyko wpadki - wyciąga ostatnią zatyczkę i potrząsa głową.

Wszystkie tuby są puste.

Podchodzę jeszcze raz do otwartej skrzyni. Krawędzie, które tworzą zamknięcie, mają mniej więcej dwa i pół centymetra grubości. Chwytam górną część i próbuję zmierzyć grubość aluminiowej ścianki. Nie więcej niż trzydzieści milimetrów.

Montujemy całość z powrotem i zatraskujemy zamki.

- Są cięższe niż się spodziewałem - mówię, kiedy stawiamy skrzynię na jej poprzednie miejsce.
- Puste ważą sto dwadzieścia jeden funtów. Przychodzi mi do głowy szalona myśl.
- Dokładnie?
- Tak.
- Macie tu gdzieś wagę?
- Oczywiście, potrzebna nam do przeładunku. Chce pan zważyć którąś z nich?
- Uhm.
- Po co?

Opukuję jeden ze wsporników.

- Skąd możemy wiedzieć, że tego nie ma w środku? Na każdą skrzynię przypada z siedemdziesiąt centymetrów pustej przestrzeni wewnątrz tych prętów. To daje ponad dziesięć razy większą objętość niż którakolwiek z tych tub. Swobodnie wystarcza na kilka kilogramów.
- No tak, ale one są zgrzewane.
- Oglądał pan Francuskiego łącznika"?

Webster przytakuje i przywołuje kilku żołnierzy, którzy bezzwłocznie przenoszą jedną ze skrzyń do małego doku załadunkowego po drugiej stronie budynku. Stawiają ją pionowo i kładą na wadze. Pułkownik przesuwając wskaźniki na skali, większy ustawia na stu funtach, mniejszy przesuwając poziomo końcem palca. Stan równowagi ustala się dokładnie na 121 funtach. Po półgodzinie stoimy bez marynarek, z podwiniętymi rękawami koszul, a po twarzach spływają nam strumienie potu. Zważyliśmy wszystkie dwadzieścia sześć skrzyń.

Każda - dokładnie 121 funtów.

- Co teraz? - pyta pułkownik ze zdziwieniem i pewną ulgą.
- Żebym to ja wiedział.

Wracamy do głównego budynku i idziemy korytarzem w stronę jego biura, kiedy pojawia się starszy sierżant. Ma ze sobą jakieś akta.

- Pettibone, Richard M. - oznajmia z pełnym satysfakcji uśmiechem.
- Człowiek, który zabrał mój dowód tożsamości?
- Trafiłem na niego w aktach dezerterskich. Idealnie pasuje.
- Był pilotem helikoptera?
- Zgadza się.
- Zbierał zabitych i rannych? Sierżant potwierdza skinieniem głowy.
- Jak skończył? - pyta pułkownik i wchodzi do swojego biura. Idziemy za nim.
- Według akt ostatni raz widziano go, jak w Ton Son Nhut wsiadał do samolotu, którego punktem docelowym było Vientiane w Laosie. Pilot został zmuszony do awaryjnego lądowania na terytorium wroga z powodu uszkodzenia maszyny. Zanim na miejsce dotarli nasi, żołnierze zdążyli zabić wszystkich.

- Ale w raporcie nie znalazło się nazwisko Pettibone'a - doznaję nagłego olśnienia - tylko moje.
- Zgadza się.

Czyli Pettibone ukradł moje papiery. Dlatego ludzie z oddziałów pomocniczych umieścili moje nazwisko w raporcie. Zabranie ciała z kostnicy spowodowało, że sprawa ucichła.

- Chwileczkę, ale jeśli Pettibone miał moje papiery, to jak informacja o jego śmierci mogła trafić do jego akt, a nie do moich?
- Jego dowódca włączył ją do akt podczas składania meldunku o zaginięciu - wyjaśnia sierżant. - Ktoś kto go widział wchodzącego na pokład tego samolotu zgłosił się, gdy usłyszał wiadomość o wypadku.
- Jednego jeszcze nie rozumiem: dlaczego dezerterski miałby uciekać do Vientiane, a nie do Bangkoku czy choćby Hongkongu?
- Nie mam pojęcia - wzdycha pułkownik -jesteś pewien, że nie ma żadnej innej możliwości, Top?

- Na sto procent. Przecież tak czy inaczej, sir, to tylko formalność - sierżant kładzie teczkę na biurku i otwiera ją. Na wierzchu znajduje się fotografia Pettibone'a. Twarz pułkownika tężeje, bo to jest także moja fotografia. Podobieństwo jest uderzające. Bartlett miał rację. Ten facet był moim sobowtórem. Kiedy tak wlepiam wzrok w zdjęcie, dociera do mnie, że wreszcie mam to, czego chciałem. Nazwisko. Tyle że teraz to już nie ma najmniejszego znaczenia.

- Dobra robota, Top - Webster jest wyraźnie zadowolony. - Teraz sprawdź, czy Sean Surigao kiedykolwiek służył w wojsku.

Oczy sierżanta rozbłyskują jeszcze jaśniej.

- W '68. Był członkiem załogi helikoptera sanitarnego. Zgadnijcie, z kim latał?

- Z Pettibone'em - mówimy jednocześnie.

- Z Pettibone'em - potwierdza sierżant zawiadaczko. Wszystko się zgadza i tworzy spójną całość.

Pettibone i Surigao

przewozili swoim helikopterem narkotyki, niewątpliwie głównie heroinę od nieznanego dostawcy. Dostarczali towar Ajacierowi do kostnicy Ton Son Nhut. Ten następnie ekspediował go do rodzinnego przedsiębiorstwa pogrzebowego w San Francisco, gdzie zajmowano się dystrybucją. No i mamy ogniwo łączące to wszystko z teraźniejszością: Surigao, jedyny, któremu udało się przeżyć, po wojnie nawiązał współpracę z rodziną Ajaciera.

Uzyskaliśmy sporo odpowiedzi, ale to jeszcze nie wszystko. Wciąż nie wiemy, w jaki sposób przemycali narkotyki do kraju i jak to robią teraz. Zważywszy, że jestem tu dopiero pięć godzin, powinienem tryskać radością. No i może rzeczywiście odczuwam lekką satysfakcję, ale tak naprawdę niewiele mnie to wszystko obchodzi. Wciąż nie dostałem człowieka, który zamordował Nan-cy - a to jest teraz moim jedynym celem.

21

Wojskowy mikrobus odwozi mnie do hotelu.

Pułkownik uznał, że zanim podejmiemy jakiegokolwiek działania, sam musi wszystko przemyśleć. Umówiliśmy się na ponowne spotkanie w jego biurze jutro rano. Sam jestem niezłe skołowany i na dodatek nie przystosowałem się jeszcze do czasu hawajskiego. Miałem nadzieję, że uda mi się wypocząć w hotelu. Wygląda na to, że złudną.

Mój szofer nie zauważył samochodu wyłaniającego się z mola naprzeciwko CIL, gdy ruszaliśmy do hotelu. Jechał za nami aż do Waikiki. Obserwuję go w bocznym lusterku, podczas gdy kobieta siedząca za kierownicą opowiada mi o swoich planach - chce awansować na kaprała i uczyć się analizy danych. Ma nieco spłaszczony nos i zbyt szeroko rozstawione oczy, mimo to mundur koloru khaki z zawiniętymi rękawami przydaje jej swoistego wdzięku.

Podążające za nami auto pojawia się i znika. Za kierownicą siedzi znajomo wyglądająca Azjatka.

Niedaleko hotelu, na Kala-kaua Avenue, tutejszej Fifth Avenue czy Wilshire Boulevard, robi się spory korek, pojazdy zwalniają i mam okazję przyjrzeć się tej kobiecie dokładniej: wyraźnie zarysowane kości policzkowe i zaczesane do tyłu ciemne włosy. Poznają ją - to Carla.

Nawet nie odczuwam zbyt dużego zdziwienia na jej widok. W końcu Surigao wie, że jego bym rozpoznał. Mimo to popełnił duży błąd, a ja już myślałem, że plan odnalezienia go za jej pośrednictwem spalił na panewce. Teraz znowu stał się aktualny.

Na najbliższym skrzyżowaniu zapala się żółte światło.

- Proszę mi wyświadczyć przysługę - mówię mojemu szoferowi - chciałbym tu zajrzeć do jednego sklepu. Czy mogłaby mnie pani wysadzić na rogu, a bagaże zawieźć do hotelu?

- Ależ oczywiście, panie Morgan. To żaden problem.

- Świetnie - mówię, podczas gdy ona zjeżdża na krawężnik na skrzyżowaniu z Lewers - niech bagażowy przypilnuje walizek do czasu, aż przyjadę.

Zapala się czerwone światło.

Ruch zamiera. Wskakuję z wozu i znikam w tłumie stojących przed przejściem przechodniów.

Wkładam rękę do kieszeni i zaciskam dłoń na rękojeści pistoletu. Wypatruję samochodu Carli.

Zauważam go, gdy zatrzymuje się na środkowym pasie. Wchodzę na jezdnię i przemykam między pojazdami, chowając się za jakąś ciężarówką tak, żebym nie zauważony mógł podejść od tyłu. Niemalże wyskakuję przed siebie i jednocześnie odbezpieczam be-rettę. W aucie nie ma Surigao, nie pakuje się więc do żadnej pułapki. Otwieram szybkim ruchem ręki drzwi od strony pasażera i siadam obok Carli.

Odwraca się ku mnie z miną pełną zaskoczenia.

- Hejże?!

- Zachowuj" się, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi - wyciągam pistolet z kieszeni i przystawiam do jej biodra tak, aby z zewnątrz nie można było nic zauważyć. - Jeśli mnie do tego zmusisz, strzelę, rozumiemy się?

Przytakuje i wbija we mnie przerażone spojrzenie. Pewnie tak samo wyglądała Nancy, gdy mąż Carli spychał jej samochód do Kanionu Malibu.

- Proszę mnie nie zabijać. Obojętnie wzruszam ramionami.

- A to niby dlaczego? Twój mąż zabił moją żonę.

- Mój mąż? - pyta drżącymi wargami.

- Nie pora na wasze gierki. Proszę mnie do niego zabrać.

- Chyba pomylił mnie pan z kimś innym.

- Mówię poważnie.

- Ja... ja... ja też - jąka się ze strachu - pokażę panu. Moje prawo jazdy. Mam je tutaj, ze sobą - wyciąga rękę w kierunku leżącej między siedzeniami torebki.

Jestem szybszy i wyrzucam ją na tylne siedzenie, zanim Carla zdąży wyciągnąć z niej podręczny pistolecik, który, jak się domyślam, ma tam schowany. No, a poza tym skoro jej mąż miał fałszywe prawo jazdy, to czemu ona miałaby być gorsza? Pani kapitanowa Sullivan.

- Proszę... czego pan ode mnie chce? - pyta błagalnym tonem.

- Do cholery, przecież powiedziałem. Twojego męża. Gdzie on jest, do kurwy nędzy?

- W pracy.

- Gdzie?!

- W Czarnej Orchidei. Jest kelnerem. On...

- No jasne.

- Mówię prawdę. On...

- Zgoda, jedźmy tam - mówię, wyczuwając, że blefuje. - Ruszaj, zmiana świateł. Szybciej.

Uspokaja się i jedziemy w kierunku wschodnim. Nie mam pojęcia, dokąd. Jednakże po przebyciu kilkudziesięciu metrów coś sobie przypominam, coś tak ważnego, że wszystko inne nie ma już znaczenia.

- Ma pani rację - mówię zawstydzony. Czuję się głupio -pomyliłem się. Proszę się zatrzymać i wysiądę.

Spogląda na mnie z niedowierzaniem. Kiwam głową próbując potwierdzić, że nie żartuję. Oddycha z ulgą i błyskawicznie, mimo dużego ruchu, zjeżdża na krawężnik.

- Przepraszam, że panią wystraszyłem. Naprawdę, z całego serca, proszę mi wierzyć.

Przytakuje skinieniem głowy i patrzy na mnie pytająco. Odwzajemniam spojrzenie z nadzieją, że zobaczy szczerłość w moich oczach.

- Nie jestem przestępcą, tylko rozwścieczoną ofiarą. Wiem, że to może dziwnie zabrzmieć, ale chciałbym, żeby pani zapomniała o tym wydarzeniu. Gdyby policja się dowiedziała, utrudniłoby mi to wszelkie działania, rozumie pani?

Przytakuje ponownie.

- Jeszcze raz bardzo przepraszam. Naprawdę chciałbym to pani jakoś wynagrodzić - wychodzę i zatraskuję drzwi.

Rusza z piskiem opon.

Stoję wstrząśnięty i próbuję jakoś odzyskać panowanie nad sobą. Wreszcie po dłuższej chwili kieruję się w stronę hotelu. Możliwe, że ta kobieta rzeczywiście przypominała z wyglądu tamtą - ze zdjęcia, które pokazał mi pułkownik- ale pozwoliłem dać się opanować paranoi. Mało co nie przeoczyłem najważniejszego - ona nie mówiła z filipińskim akcentem.

Skrećam z Kalakua w prawo do Royal Hawaiian Shopping Center, wielopoziomowego kompleksu domów towarowych, sklepów z pamiątkami i ekskluzywnych butików. Wychodzę z drugiej strony, wprost w labirynt małych uliczek i po chwili wkraczam na Kalia Road, gdzie znajduje się hotel. Halekulani jest oazą spokojnego luksusu umieszczoną w samym centrum pełnej ludzi i samochodów Waikiki. Do środka nie prowadzą żadne drzwi - jest tylko wodospad, obok którego wznoszą się dwa łuki. Okrągły hol również nie jest ograniczony jakąś konstrukcją. Niegdyś był to jedyny hotel na południowym wybrzeżu Oahu; teraz jest ich już ponad tuzin. Są ze sobą ściśle połączone i tworzą swego rodzaju kompleks. Znajdują się mniej więcej piętnaście minut drogi od dawnego mieszkania Carli i Seana Surigao.

Recepcjonista wzywa bagażowego, który zanoszą moje walizki do pokoju, wręcza mi kartę magnetyczną zastępującą klucz i wiadomość.

Dzwoniła Kate Ackerman.

Jestem zmęczony, rozkojarzony i nie wiem, czy będę w stanie prowadzić z kimkolwiek w miarę sensowną rozmowę. Wjeżdżam na dziewiąte piętro. Pokój jest w jednym z narożników budynku i okna wychodzą na południowy wschód, ściany są białe, wiszą na nich gustowne reprodukcje; zza szerokich żaluzji wylania się widok na Pacyfik i Diamond Head. To wszystko nie poprawia mi jednak nastroju. Rozglądam się wokół, kiedy pojawia się bagażowy. Rozpakowuję się i dochodzę do wniosku, że gadatliwość Kate może mi wyjść na zdrowie i podnoszę słuchawkę.

- Kate? - Cal Morgan.

- O, cześć! Jak leci?

- Nieźle. Powiedzieli ci w moim biurze, że tu jestem?

- Nie, dowiedziałam się od pułkownika. Zadzwoił, żeby się ze mną na jutro umówić i przy okazji wspomniał o tobie.

- Miło z jego strony - stwierdzam i przypominam sobie, co pułkownik o niej mówił. Dochodzę do wniosku, że w jego postępowaniu jest jakiś motyw. Kate jest atrakcyjną kobietą, ale on przecież wie o Nancy - nie wydaje mi się możliwe, by bawił się w swata. Coś knuje. Ciekawe, co. - Wygląda na to, że wszystko idzie po twojej myśli.

- Tak, aż trudno uwierzyć. Jutro będę miała oficjalne potwierdzenie. Naprawdę strasznie się cieszę.

- To wspaniale.

- O mój Boże! - wykrzykuje Kate tak, jakby przypalał jej się obiad - prawie zapomniałam spytać.

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, miałeś spotkać się z kimś z CIL, kapitanem...

- Sullivanem.

- No właśnie. Jak poszło? Miałeś dać znać.

- To długa historia.

- Uwielbiam długie historie. Wiesz, gdzie jest drzewo hau?

- Jasne.

- Mieszkam zaraz obok, w Sheratonie. Będę tam za dziesięć minut, dobrze?

- Miałem ciężki dzień, jestem zmęczony. Ciężko chyba będzie się ze mną dogadać.

- Ależ skąd. Zamówimy po koktajlu, popatrzymy na zachód słońca i wtedy o wszystkim mi opowiesz.

- Przecież jeszcze nie wyjeżdżam. Może spotkajmy się...

- Dziś mam specjalną okazję, żeby świętować. A do świętowania potrzeba przynajmniej dwojga.

- No to chyba nie mogę odmówić. Wybucha śmiechem.

- Będę za dziesięć minut.

- Daj mi pół godziny, co? Dopiero się wprowadziłem.

Idę pod prysznic. Oddaję się urokom masażu. Stoję niemal bezwładnie i patrzę, jak woda ścieka do otworu odpływowego po torze idealnej spirali. Moje myśli rozplývają się w parze, ale po chwili wraca wspomnienie Laosu, prowincji Champasak. 18 kwietnia 1968 roku. Tamta pielęgniarka miała rację. Z baletu nici. Co mógłbym odtńczyć na takich nogach? Może w ciągu lat blizny, a z nimi i wspomnienia, są mniej wyraźne, ale ostatnio powracają coraz częściej.

Po dziesięciu minutach wycieram się i odczuwam ogólną poprawę samopoczucia, kiedy zauważam migające światełko na telefonie. Ktoś próbował się ze mną skontaktować. Wkładam aksamitny

szlafrok, przyozdobiony kwiecistą literą H wyhaftowaną na kieszeni, po czym kontaktuję się z recepcją. Dzwonił sierżant Daniels. Wykręcam jego numer i pytam o rozwój spraw w San Francisco.

- Najpierw porozmawiajmy o Vegas - kontruje Daniels. - Skontaktowaliśmy się z sierżantem Figueroa. Pamięta go pan?

- Jakże mógłbym zapomnieć.

- W zeszłym tygodniu zrobił nalot na jeden z burdeli. Jedna z dziwek zaczęła śpiewać. Oczywiście - za skrócenie aktu oskarżenia. Powiedziała, że miesiąc temu jakiś facet wynajął ją i jej koleżankę, żeby zaciągnęły jakiegoś biznesmena do pokoju w Star-dust. Gość czekał na miejscu i coś mu wstrzyknął.

- To Sullivan?

- Nie wiedziała, jak się nazywał. Dlatego przefaksowaliśmy do Vegas jego zdjęcie z prawa jazdy. Wymieszali je z kilkoma innymi. Mimo to poznała go natychmiast.

- Zupełnie jak w telewizji.

- Pana kolej. Coś nowego?

- Sullivan to nie jest jego prawdziwe nazwisko.

- To znaczy, że znalazł go pan?

- Jego mieszkanie - literuję Danielsowi nazwisko Surigao, ale nie wspominam CIL. - A co słyhać w San Francisco?

- Same ciekawostki. Adres wpisany do prawa jazdy okazał się adresem kostnicy.

- Wojskowej?

- Nie, to przedsiębiorstwo pogrzebowe. W North Beach. Nazywa się Golden Gate Mortuary Services.

Dobrze, że nie może zobaczyć mojej miny.

- Kto jest właścicielem?

- Facet nazywa się Messina. James Messina. Pojechaliśmy tam i trochę z nim pogadaliśmy. Był równie zdziwiony, jak my. Twierdził, że nic nie wie o całej sprawie i nie zna żadnego Sullivana.

Kusi mnie, żeby powiedzieć, że ten Messina kłamie jak z nut, ale pytam:

- Czy prawo jazdy nie zostałyby odesłane na jego adres?

- Nie powiedziałem, że mu wierzymy.

- Przepraszam, źle zrozumiałem.

- Wróćmy do Sullivana.

- Surigao.

- Wiem, zapisałem. Twierdzi pan, że on tam jest?

- Był. No i pewnie jest.

- To dobrze.

- Niby dlaczego?

- Ostatnio na Hawajach byłem podczas podróży poślubnej -i to z moją pierwszą żoną.

Odkładałem słuchawkę, próbując jakoś uporządkować myśli. Daniels i Molina zajmują się wypadkami. Nie mają pojęcia o funkcjonowaniu czegoś takiego jak większe przedsiębiorstwo. A ja na tym właśnie znam się dość dobrze i chyba zaczynam rozumieć, o co chodzi. Wystarczy jeden telefon do mojego biura i dowiem się, czy moje przecucia się sprawdzają; tyle że w Los Angeles jest teraz 20.30, a poza tym muszę się jeszcze czegoś dowiedzieć od Webstera. Ubieram się w miarę zwyczajnie, wkładam pistolet do kieszeni i wychodzę z pokoju.

Drzewo hau, przy którym umówiłem się z Kate Ackerman, to nie żaden drink-bar czy coś takiego, to prawdziwe drzewo, rosnące na terenie Halekulani. Wychodzę z windy i idę przez zwieńczony łukami pasaż handlowy. Dostrzegam Kate. Siedzi na wygodnej kanapie pod sklepieniem delikatnego listowia.

Legenda mówi, że ten botaniczny zabytek ma ponad dwieście lat. Był tu, kiedy kapitan Cook wylądował na wyspie w 1778 roku, kiedy sto lat później zrzucano pęta hawajskiej monarchii, kiedy Japończycy napadli na Pearl Harbor i kiedy przywieziono tu pierwsze ofiary wojny wietnamskiej. Chropowaty srebmoszary pień i gałęzie wyciągają się ku niebu w geście cierpienia.

- Cześć - woła Kate i macha do mnie z radością. Wygląda zupełnie inaczej. Zamiast w eleganckim kostiumie jest ubrana w koszulkę i wytarte dżinsy. Jej starannie wypielęgnowane włosy swobodnie opadają na ramiona. Okulary przeciwsłoneczne zsunęła na czoło i dzięki temu włosy nie zasłaniają jej twarzy.

- Cześć - odpowiadam z wymuszonym uśmiechem i siadam naprzeciwko niej - cieszę się, że cię widzę.

- No, to mogę odetchnąć z ulgą - mówi z rozbajającym uśmiechem - myślałam, że czujesz się czymś urażony.

- Przepraszam, nie chciałem, żebyś odniosła takie wrażenie. Pysznic zawsze stawia mnie na nogi.

- No to jak? Masz nazwisko tego żołnierza? - Tak.

- To wspaniale.

- No.

- No? Tyle masz do powiedzenia? Nie wygląda na to, żebyś się za bardzo cieszył.

- Miałaś rację. Ten facet był dezertorem. Przemytnikiem narkotyków poszukiwanym przez Agencję ds. Zwalczenia Narkotyków. Ukradł moje papiery, żeby móc zwać.

Przechyliła głowę na bok i przygląda mi się niepewnie.

- Nie żartuj.

- Chciałbym, żeby to były żarty.

- To okropne. Bardzo mi przykro.

- To jeszcze nie wszystko - mówię i rozglądam się nerwowo. Tuż obok drzewa przechodzi promenada łącząca hotele. W obydwie strony przesuwają się strumień ludzi ubranych na wszelkie możliwe sposoby: począwszy od mokrych kostiumów i bikini, a skończywszy na zakietach i krawatach. Wyobrażam sobie, że gdzieś w tym tłumie przemyka Surigao, nie zauważony podchodzi do mnie i strzela mi w łeb. Co za problem ukryć w zwiniętym ręczniku pistolet z tłumikiem.

- Nie wiem, czy powinniśmy tu siedzieć.

- Dlaczego?

- Wiesz jak to jest. Podniesiesz tysiąc kamieni, nic się nie stanie, a pod tysiąc pierwszym czai się wąż.

- Nadal nic nie rozumiem. Przepraszam, ale nie potrafię czytać między wierszami.

- Ktoś próbuje mnie zabić.

Zamiera i rumieńce znikają z jej policzków. Prawie szepcze:

- Dlaczego?

- Dobre pytanie - przypominam sobie, że ona zna Carłę, może nawet i jej męża. Jestem ciekaw, jak by zareagowała, gdybym powiedział jej całą prawdę, ale na razie postanawiam zostawić CIL w spokoju i opowiem jej tylko o śmierci Nancy.

Kiedy kończę, Kate wlepią we mnie błyszczące oczy, a na jej twarzy maluje się smutek i strach.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepcze.

- Może „po coś mi psuł humor”? - podsuwam, próbując jakoś rozluźnić atmosferę. - Naprawdę przepraszam. Nie powinienem ci tego mówić.

- Nie ma czym mówić. Serio. Święto jest dopiero jutro.

- Dziękuję. Jeśli nie masz nic przeciwko temu wolałbym, żebyśmy zmienili lokal. Będę się czuł bezpieczniej - wskazuję na znajdującą się za nami restaurację na powietrzu.

Przenosimy się. Wybieram stolik przy ścianie. Pojawia się atrakcyjna euroazjatycka kelnerka. Kate zamawia martini z wódką. Ja również.

- Pułkownik mówił, że postąpiłaś dość... impulsywnie, nie potrafię znaleźć lepszego określenia - zaczynam, gdy tylko kelnerka odchodzi od naszego stolika.

- To doskonałe określenie. Ale z drugiej strony, co miałam robić? Pojawiała się lista nazwisk. Był na niej mój mąż. Nie mogłam się na niczym skupić, nie mogłam zasnąć. Po tylu latach nie było już powodu tak się tym przejmować, ale cóż z tego? Łatwo powiedzieć. Wreszcie uświadomiłam sobie, że muszę coś zrobić, no i zrobiłam - wyrzuca słowa i myśli niczym pociski z karabinu maszynowego, a wszystkie ważniejsze momenty podkreśla gorączkową gestykulacją. Nagle spogląda na coś za moimi plecami. - Spójrz - mówi z namaszczeniem - o Boże, zobacz.

Zamieram na chwilę. Odwracam się gwałtownym ruchem spodziewając się, że ujrzę Surigao z pistoletem. Zamiast tego widzę zachwycające różowożółte smugi na niebie, zmieniające wzburzone chmury w góry waty cukrowej. Zachód słońca na Hawajach naprawdę zapiera dech w piersiach. Jak to zwykle w raj. Pamiętam, kiedy byliśmy tu pierwszy raz z Nancy; uważaliśmy się za intelektualistów i uparcie twierdziliśmy, że oglądanie zachodów słońca jest zbyt pospolite. Mimo to każdego dnia były coraz piękniejsze i nie mogliśmy się im oprzeć. Po pewnym czasie każdy wieczór spędzaliśmy w miejscach, z których mieliśmy najwspanialszy widok.

Kate wyjmuje z torebki mały automatyczny aparat fotograficzny i robi kilka zdjęć zachodu słońca. Patrzymy w ciszy na chowającą się za horyzontem ognistą kulę. Pasaty bezszelestnie poruszają czubki drzew.

- Wiesz co, jak by zastanowić się, to jest dość dziwne - mówię w końcu.

- To znaczy, co?

- Sytuacja, w jakiej jesteśmy. Ty czekasz niecierpliwie, żeby ci powiedziano, że twój mąż absolutnie, definitywnie, niewątpliwie, oficjalnie nie żyje. Ja wciąż nie mogę się pogodzić ze śmiercią Nancy. Modłę się, żeby któregoś dnia to wszystko okazało się złym snem.

Przytakuje ze współczującym wyrazem twarzy i wzdyga się, gdy tuż obok niej rozlega się stukot kostek lodu. Kelnerka przynosi drinki.

- Za ciebie - mówi Kate, unosi kieliszek i stuka w mój.

- Za dzień jutrzejszy.

- Dziękuję - bierze spory łyk martini i patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. - Wiesz, w dzieciństwie miałam psa. Głupiego, starego, wielkiego kundla. Pewnego dnia...

- Też miałam. Wabił się Fenway. Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

- Miałam hopla na punkcie baseballu. Nie zmienia wyrazu twarzy.

- Nic ci nie mówi Fenway Park? Stadion Red Sox? Wyławia oliwkę z kieliszka, wrzuca ją do ust i wzrusza ramionami.

- Naprawdę nic ci to nie mówi?

- Naprawdę.

- Niewiele ci w dzieciństwie mówili o życiu.

- Hej, przecież te wszystkie lata spędzone w kółku różańcowym coś znaczą.

- Kółku różańcowym? Gdzie mieszkałaś?

- W małym miasteczku o nazwie Broken Bow, w Nebrasce.

- Broken Bow.

- Uhm. Trzydzieści pięć kilometrów na południe od Victoria Springs. Ale wróćmy do mojego psa. Wabił się Hoover.

- Tak jak prezydent?

- Tak jak odkurzacz. Wiesz, dawałam mu wielką michę zarcia i w ciągu paru minut wszystko znikało. Jadł, co popadnie: śrut, gwoździe, śrubki - przerywa i smutnieje - no i nie wyszło mu to na dobre. Ktoś go otruł.

- Naprawdę?

- Uhm. Znalazłam go za silosem z kukurydzą. Przeżyłam szok.

- Trudno się dziwić.

- Nie mogłam pojąć, jak można być tak okrutnym dla takiego słodkiego stworzenia. Chciałam, żeby rodzice mi to jakoś wytłumaczyli. Ojciec powtarzał tylko: „Niezbadane są wyroki boskie”. No i od tej pory nie miałam psa; chociaż nie wiem, czy właśnie o to mu chodziło - składa ręce i śmieje się cicho. - Nawet nie byłam na randce z Mickiem Jaggerem.

- Tyle to i ja wiem.

- No tak, skoro potrafisz przepowiadać przyszłość, to cóż za problem zgadnąć.

- Jeszcze zanim zaczęłam pracować w tym fachu, w czasach mojej młodości w Bostonie wszyscy twierdzili, że Lodge'owie rozmawiają tylko z Cabotami, a Cabotowie tylko z Bogiem. Wielka rodzina. Bóg miał cholernie dużo roboty. Nie miał czasu dla mieszkańców Broken Bow.

Wybucha śmiechem.

- Ja dla Niego też nie miałam. Dopóki John nie wrócił z Wietnamu. To nie znaczy, że nagle stałam

się religijna czy coś takiego. Po prostu coraz częściej mówiłam znajomym, sobie, a nawet ojcu: niezbadane są wyroki boskie.

- Tak myślisz?

Wzrusza niepewnie ramionami.

- Sama nie wiem. Może. Nawet jeśli mój tata chciał przez to dać mi do zrozumienia, że szczęście powróci, nie powiedział, kiedy to ma niby nastąpić.

- I nadal czekasz na tę chwilę.

- Czasami człowiek nie ma wyboru.

- Może tak właśnie jest teraz.

- Żebyś wiedział - mówi z radosnym uśmiechem - jutro.

22

Pułkownik Webster siedzi z opuszczonymi ramionami za biurkiem.

Rozczarowałem go.

Kiedy wchodziłem do biura, był piękny, ciepły poranek; popsułem wszystko oznajmiając, że adres w prawie jazdy Sullivana okazał się adresem Golden Gate Mortuary Services.

- Kto reprezentuje CIL w tym przedsiębiorstwie? - pytam, kiedy jako tako się opanowuje.

- Zawsze rozmawiam bezpośrednio z właścicielem. Nazywa się Jim Messina.

- Policja już z nim rozmawiała. Są prawie pewni, że coś kręci.

- Na rany Chrystusa - jęczy pułkownik - po tym wszystkim chyba nie zaufam już nawet własnej matce. Jim i jego żona gościli w moim domu. Razem... - urywa z jękiem.

- Może to nie Messina jest właścicielem - pomyślałem o takiej możliwości już wczoraj, podczas rozmowy z Danielsem, i od tej pory nie mogę sobie wybić tego z głowy.

Pułkownik wzrusza ramionami. Patrzy przed siebie pustym wzrokiem. Jest naprawdę załamany.

- Ma pan pod ręką jakieś listy z Golden Gate? Przytakuje zamyślony.

- Mogę je zobaczyć?

- Ależ oczywiście, najmocniej przepraszam - odpowiada budząc się wreszcie z letargu. Podnosi słuchawkę i prosi panią

Oldham o dostarczenie akt Golden Gate. W tej samej prawie chwili otwierają się drzwi i na biurku pojawia się teczka.

- Czego pan potrzebuje? - pyta.

- Czegokolwiek, co ma nagłówek z ich znakiem firmowym. Wyciąga kilka dokumentów i podaje mi.

Przerzucam je i znajduję papier firmowy. Nad nazwą przedsiębiorstwa u góry kartki widnieje szkic Golden Gate Bridge. Moją uwagę przykuwa jednak to, co jest na dole - napisana małym drukiem linijka o treści: Golden Gate Mortuary Services, oddział Franco-Asian Enterprises.

- Znalazł pan coś? - pyta pułkownik widząc ożywienie w moich oczach.

- Może tak, może nie. Co pan wie o Franco-Asian Enterprises?

- Nie słyszałem o czymś takim.

Podaję mu list i palcem pokazuję tę nazwę. Marszczy brwi z zakłopotaniem.

- Nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Mamy kontakty tylko z Golden Gate.

- Trudno się dziwić.

- Myśli pan, że oni są w to zamieszani?

- To tylko przeczucie. Niedługo dowiem się, czy słuszne.

- Jak pan myśli, co tu się dzieje?

- Coś, co w naszym fachu określa się mianem gry w trzy karty. Ma pan faks?

- U pani Oldham - wskazuje ręką drzwi. Dopiero teraz dzwonię do swojego biura.

- Grace, to ja. Spokojnie. Słuchaj, zajrzyj do IRL i przefaksuj mi wszystko, co znajdziesz na temat Franco-Asian Enterprises. Jestem w CIL. Nie, poda ci go sekretarka pułkownika.

- IRL? - mamrocze Webster, kiedy odkładam słuchawkę.

- Bank Informacji. To baza danych sporządzana przez mój personel na bieżąco na podstawie

innych baz, gazet i rejestrów przysyłanych z zagranicy.

Pułkownik kiwa głową i pogrąża się w zamyśleniu.

- Dużo rozmyślałem tej nocy...

- No i?

- Współpracujemy z jednym facetem z Agencji ds. Zwalczania Narkotyków. Jest inteligentny i konkretny. Chyba powiem mu o całym tym burdelu. Zobaczymy, co on na to.

- Już współpracujecie z Agencją? - jestem kompletnie zaskoczony.

- Chodzi o co innego. Wielu zaginionych zniknęło w prowincjach, w których uprawia się opium. Głównie Luang Prabang i Houa Phan.

- Kraj Pathet Lao - przypominam sobie te dwie prowincje, leżące w północno-wschodniej części Laosu.

- Uhm. Każdego roku tamtejsi farmerzy zamiast zbóż zbierają tony opium. W ramach działań prewencyjnych Agencja współpracuje z rządem Laosu.

- W zamian za współpracę przy repatriacjach.

- Między innymi. Więzi nie są zbyt mocne, ale jak dotąd ich działania są dość skuteczne. Cały ten obszar jest dla nas bardzo ważny, jeśli chodzi o zaginionych i o jeńców.

Zastanawiam się nad tym co mówi pułkownik, kiedy do biura wchodzi pani Oldham z faksami w ręku. Jest tak, jak się spodziewałem: Franco-Asian Enterprises to prywatne przedsiębiorstwo, a jego głównym udziałowcem, człowiekiem kierującym wszystkim, jest nie kto inny, jak tylko Philippe Ajacier.

- Czyli to on jest tak naprawdę właścicielem Golden Gate Mortuaries - mówi pułkownik.

- Od 1962 roku. Wtedy kupił tę firmę. Około piętnastu lat temu odsprzedał ją Messinie, założył Franco-Asian i wykupił z powrotem.

- Krótko mówiąc, sprzedał samemu sobie. Przytakuje i przez chwilę uważnie studiuje faksy.

- Oprócz Golden Gate i tutejszego Theatre Arts Complex, Ajacier ma jeszcze udziały w firmie o nazwie Oak Creek Springs -to wytwórnia win w Kalifornii, Thonburi Film Studios w Bangkoku, Trans Asian Shipping w Manili, sieci moteli z siedzibą w Montrealu i francuskich zakładach produkujących ubrania narciarskie.

- Myślałem, że spółki prywatne nie muszą ujawniać tego typu informacji.

- Jeśli ich właścicielami są Amerykanie. Cudzoziemców obowiązują inne przepisy.

- Cudzoziemców? A skąd jest Ajacier?

- Z Korsyki.

- Z tej wyspy?

- Uhm.

- Wie pan, co to znaczy?

- Bardzo dobrze.

Każdy, kto spędził choć trochę czasu w Wietnamie, wiedział, że właścicielami wszystkich barów i burdeli w Sajgonie byli Korsykanie. Dla większości nie było również tajemnicą, że zajmowali się handlem narkotykami. Milczymy przygniecenii wagą tego najnowszego odkrycia, kiedy rozlega się brzęczenie interkomu.

- Tak, pani Oldham? - rzuca pułkownik - w porządku. Proszę ją zaprowadzić do sali konferencyjnej. Tak, przyjdę tam za parę minut - odkłada słuchawkę i przez chwilę zbiera myśli.

Wreszcie oznajmia łagodnym tonem: - to pani Ackerman.

- Rzeczywiście miała tu przyjść.

- A propos - mówi już bardziej obojętnie i wyciąga z szuflady teczkę z aktami. - Skontaktowała się wczoraj z panem?

- Tak, nawet zjedliśmy razem kolację. Chciałem panu podziękować.

- To dobrze. Dobrze. Lubię Kate.

- Ja też. Ale proszę, nie chcę pana zatrzymywać. Wiem, jakie to dla niej ważne.

- Panie Morgan, szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że przyłączy się pan do nas.

Tego się nie spodziewałem. Jestem całkowicie zbity z tropu.

- Nooo, znaczy... to znaczy, jest pan pewien?

- Ależ oczywiście. Nie prosiłbym pana, gdybym tak nie uważał. Poza tym przyda mi się pomoc - wyjmuję pudełko do przechowywania akt z za stolika za biurkiem i podaje mi je. Wstaje i rusza energicznym krokiem z teczką pod pachą korytarzem w kierunku sali konferencyjnej.

- Cieszę się, że cię widzę, Kate - rzuca Webster, kiedy wchodzimy. Ścisną ją i kładzie teczkę na długim stole. - Przepraszam, że kazałem ci tyle czekać.

Pani Ackerman promienieje radością.

- Czym jest te kilka minut wobec dwudziestu jeden lat?

- Pomyślałem, że będzie dobrze, jeśli wezmę ze sobą pana Morgana - przerywa pułkownik przygotowując się do wielkiego

finału - to znaczy, mogę się mylić, ale jestem prawie pewien, że nazywałaś go starym przyjacielem.

- Tak powiedziałam? - odpowiada Kate z uśmiechem na twarzy. Po chwili jednak poważnieje.

Wyczuwa jakieś napięcie i sztywnieje w niepewności. Czyżbym miała go teraz potrzebować?

- Niestety tak - wyznaje Webster łagodnym tonem, przechodząc do sedna sprawy - nie mamy ciała Johna. Tak mi przykro.

Kate błędnie i zaczyna się chwiać. Pułkownik doprowadza ją do stołu i podsuwa jedno z krzeseł.

Siada dosłownie na samym skraju ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi ściśniętymi między kolanami.

Stawiam pudełko z aktami obok teczki i delikatnie ściskam jej ramię, próbując dodać otuchy.

- Jak to się mogło stać? - pyta łamiącym się głosem i nerwowo zaciska palce na bransoletce z wygrawerowanym napisem Zaginiony w akcji.

- Dziwna sprawa, Kate - odpowiada Webster. Otwiera teczkę i po kolei wyjmuje z niej jakieś woreczki. - Jak ci zapewne wiadomo, kilka tygodni temu rząd laotański przekazał nam listę dziewięciu żołnierzy, których szczątki odnaleziono. Jednym z nich był John i zgodnie z regulaminem natychmiast cię o tym poinformowaliśmy. Podczas repatriacji dokonano identyfikacji wszystkich dziewięciu. Zawiadomiliśmy cię ponownie.

Kiwa bezwiednie głową. Spojrzenie utkwiała w plastikowych woreczkach, które pułkownik przed chwilą położył na stole. Zawierają jeden identyfikator, książeczkę wojskową, parę rodzinnych zdjęć i kawałek munduru lotniczego z fragmentem kieszeni i naszywki z nazwiskiem - „ACKE”. - Reszta została spalona.

Pułkownik otwiera tekturowe pudło i wyciąga hełm pilota. Kładzie go na stole. Jest częściowo zwęglony, plastikowy wizjer jest wykrzywiony, z paska na brodę został tylko popiół.

Kate wzdraga się na ten widok.

- Niestety - ciągnie Webster - dotarli do nas szczątki tylko siedmiu żołnierzy. - Rzuca w moją stronę szybkie spojrzenie, dając mi znak, że to, co teraz powie, może wywołać spory szok, po czym odwraca się z powrotem do Kate - szczerze mówiąc, wiedzieliśmy, że pośród nich nie będzie Johna. Kate Ackerman podnosi głowę i spogląda na Webstera. Ja zresztą też.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pyta pełnym napięcia głosem.

- Jak wiesz, Phantom twojego męża został trafiony rakieta typu ziemia-powietrze.

Kate ze zniecierpliwieniem kiwa głową.

- Wbrew temu, co napisano w raporcie, obydwu członkom załogi udało się uratować.

- Co?! - wykrzykuje zdumiona.

Webster potwierdza swoje słowa skinieniem głowy.

- Porucznik Fuchs, obsługujący radar w samolocie twojego męża, był jednym z jeńców zwolnionych w ramach operacji Home-coming w 1973. Stąd wiemy, co się naprawdę stało.

Kate jest wstrząśnięta. Po chwili dochodzi do siebie i w jej oczach pojawia się ogień.

- Przez te dziesięćnaście lat wiedzieliście, że John nie zginął? Dlaczego nic mi nie powiedziano?! Gdzie to wasze pieprzone pełne i natychmiastowe przekazywanie informacji?!

Webster spodziewał się tego. Przyjmuje ciosy ze spokojem i cierpliwie czeka, aż Kate skończy i nieco ochłonie. Wtedy wyjaśnia:

- Ich misja była tajna.

- E tam, tajna - stwierdza z obrzydzeniem Kate i kryje twarz w dłoniach, po czym podnosi głowę i spogląda na pułkownika. - A teraz co? Przestała być?

- Zgadza się - odpowiada Webster ze spokojem. - Zgodnie ze strategią rządu mającą na celu zachęcenie Laosu do bliższej współpracy przy repatriacji, tego typu sprawy są ujawniane.
- Siedzę tu cały tydzień, robię sobie nie wiadomo jakie nadzieje, myślę, że wreszcie to wszystko się skończy... - jej głos się załamuje, a dolna warga zaczyna drżeć. - Znałeś prawdę, do jasnej cholery. Dlaczego kazałeś czekać mi tak długo?

- Przykro mi, Kate. Nie mogłem niczego ujawnić przed zakończeniem procesu ostatecznej identyfikacji pozostałych ciał. Wiesz, jakie są przepisy.

Zaciska wargi i przytakuje niechętnie.

Twarz pułkownika jest szara i ściągnięta. Patrzy na mnie smutnym wzrokiem; najwyraźniej odczuwa ten sam ból.

- Można się wtrącić? - włączam się do rozmowy tak delikatnie, jak tylko potrafię.

- Proszę bardzo.

- Chyba nie całkiem rozumiem. Jak to możliwe, żeby odnaleziono książeczkę i hełm kapitana Ackermana, jeśli on sam się katapultował?

- To był nocny lot, a na dodatek nie świecił księżyc. Kiedy wszyscy bezpiecznie wylądowali, kapitan Ackerman uznał, że najprawdopodobniej nie dostrzeżono spadochronów. Z drugiej strony, przewidywał, że rano miejsce upadku samolotu z pewnością zostanie dokładnie przeszukane przez wroga. Dlatego uznał, że będzie najbezpieczniej upozorować śmierć całej załogi.

- Mniejsze prawdopodobieństwo, że wyślą pościg.

- Dokładnie. Wraz z Fuchsem przedarli się do wraka, wrzucili hełmy i linki spadochronowe w płomienie, po czym porzucali wokół dokumenty i strzępy ubrań.

Na ustach Kate pojawia się uśmiech. Po chwili marszczy czoło - coś tu nie gra.

- Dlaczego zwolnili porucznika Fuchsa, a nie Johna?

- Nie wiemy na pewno, że go w ogóle wzięto do niewoli, Kate. Fuchs twierdzi, że natknęli się na patrol wroga i rozłączyli. Jego złapali. Nie wiemy, co stało się z Johnem.

- Po tych wszystkich latach - mówi Kate cicho. Trzęsącymi się palcami sięga do jednego z woreczków i wyciąga książeczkę wojskową swojego męża.

Zgrzewany plastik jest wyraźnie zniekształcony długotrwałym działaniem ciepła. Mimo to na zdjęciu można rozpoznać młodego, przystojnego mężczyznę, z ciemnymi, falującymi włosami, pewnym siebie uśmiechem i przygodą w oczach.

Kate wpatruje się w nie przez dłuższą chwilę. Po jej policzkach spływają Łzy. Przyciska fotografię do piersi i podchodzi do okna. Płacze. Po chwili, nie patrząc na nas, różnym krokiem wychodzi z sali.

Przez kilka sekund nie jesteśmy w stanie ruszyć się z miejsca. Wreszcie Webster spogląda na mnie i wskazuje drzwi.

- Chyba właśnie teraz przydałby jej się przyjaciel.

Dopiero potem, kiedy biegnę za Kate, zaczynam rozumieć, o co przez ten cały czas chodziło pułkownikowi. Jestem „bezpiecznikiem”, ochroną przed emocjami, sposobem na „wyłączenie się” z tej sytuacji. Mimo przejściowej dekoncentracji spowodowanej nieoczekiwaną zdradą Carli i spiskiem Surigao-Ajacier-Messina, pomimo zagrożenia reputacji zarówno osobistej, jak i CIL, ujawnieniem afery narkotykowej, pułkownik ani na chwilę nie zapomniał o swojej najważniejszej misji - o konieczności powiedzenia Kate całej prawdy i - są przecież starymi znajomymi - pocieszenia jej i podtrzymania na duchu. Gdyby mnie tu nie było, to on musiałby teraz biec za nią. No, ale tu jestem. Webster okazał się jednak swatem, choć nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

Staję przed bramą wjazdową i próbuję dostrzec cokolwiek na rozciągających się aż do nabrzeżnej tamy akraach makadamu. W oddali widzę samotną sylwetkę. Nie mam wątpliwości - to Kate.

Dobiegam do niej. Patrzy na mnie i rusza przed siebie. Dopiero po ładnych kilku minutach zwalnia tempo.

- No, przynajmniej mnie nie zostawiasz - mówi wreszcie - to ci trzeba przyznać.

- Stąd to „A”.

- Co?

- „A” jak „alem nieugięty”. Krzywi się udając dezaprobatę.
 - Co tu robisz?
 - Upewniam się, że u ciebie wszystko OK.
 - Tego się obawiałam. Dzięki, czuję się dobrze.
 - Nie wyglądałaś zbyt dobrze na spotkaniu.
 - To tylko moja wina. Pułkownik ostrzegał mnie, a ja zawsze wiedziałam swoje. Popęłiłam falstart i poszłam za głosem serca, zamiast kierować się rozsądkiem. Wiesz, ilu ludziom odradzałam właśnie takie postępowanie? Jestem na siebie po prostu wściekła.
 - Nie zawsze łatwo robić to, co...
 - Jasne, a teraz pewnie powiesz, że niezbadane są wyroki boskie.
 - No, sprawy zawsze się jakoś...
 - Nie, Morgan. Nawet nie kończ. Mówisz jak mój ojciec. -. Już nie będę.
- Ruszamy dalej wzdłuż tamy. Powietrze jest nasycone zapachem soli i kreozotu. Kate wydaje się pogrążona w myślach. Ja przywołuję fotografię jej męża. Teraz zamiast widzieć ten zawadiacki uśmiech, wyobrażam sobie spojrzenie pełne strachu. Jest zdesperowany, w pułapce, jak ofiara ścigana przez drapieżnika. Widzę, jak zbliża się do niego patrol wroga... i wtedy ciszę przerywa gwizd z którejś z łodzi, wrywa mnie z tego swoistego transu.
- Tak właśnie się uspokajasz? Chodzi mi o spacer.
 - Nie jestem zdenerwowana - odpowiada Kate - staram się podjąć decyzję.
 - Jaką?
 - Wyjazdu.
 - Dokąd?
 - Do Tajlandii.
 - Tajlandii? Po co?
 - Odnaleźć Johna. Tam stacjonowała jego jednostka. Jestem zaskoczony i nie bardzo wiem, jak zareagować.
 - Myślisz, że on jeszcze żyje?
 - Nie ma dowodów, że zginął. Przecież odnotowano ponad 1400 informacji o żyjących wciąż w Azji byłych amerykańskich żołnierzach. Większość z nich została tak czy inaczej wyjaśniona. Poza sześćdziesięcioma.
 - Małe szanse.
 - Lepsze małe niż żadne.
 - Jakkolwiek by na to patrzeć, teraz nie pora na takie decyzje. Pomyśl o tym, kiedy ochłoniesz. Przecież trafisz w samo centrum zupełnie obcej kultury. Już język...
 - De chan hu te Kungthep khoub nung pee.
 - Słucham?
 - To po tajsku - odpowiada z uśmiechem. - Powiedziałam: „Prawie rok mieszkałam w Bangkoku”.
 - Sam tego chciałem, co?
 - Khow chai na cee.
 - Co znaczy...?
 - W luźnym tłumaczeniu - a żebyś wiedział. Nie mogę powstrzymać śmiechu.
 - To było dawno - zaczyna - w 1975 roku. Trudno mi powiedzieć, co wtedy czułam. Wojna była tak, tak odległa. Kiedy John nie powrócił, nie miałam nic - miejsc, pamiątek, obrazów, niczego, co mogłoby na dłużej pozostać w pamięci. Nie mogłam tego znieść. Większość znajomych żon zaginionych żołnierzy odczuwała to samo, tę wewnętrzną potrzebę bycia tam, gdzie to wszystko się zdarzyło.
 - Chodzi ci dokładnie o te miejsca, gdzie...
 - Niektórym się udało. Kilka moich znajomych pojechało tam, wynajęło prywatnych przewodników, helikoptery i spędziło trochę czasu tam gdzie zginęli mężowie...
 - No i to pomogło?
 - Tak mi się wydaje. Stowarzyszenie oczywiście nie pochwała takich samowolnych wycieczek.

- Domyślam się.
- Trudno się dziwić. Bez względu na pobudki, taki nieodpowiedzialny czyn może spowodować zawieszenie negocjacji. Wszyscy ci Rambo i inni niczego dobrego nie przynoszą.
- Jaka była postawa rządu?
- Naszego rządu? Wtedy? Nie robili kompletnie nic, zupełnie jakby próbowali zapomnieć. Nawet kiedy się wreszcie do tego zabrali, przez dłuższy czas nic się nie działo. To były męczarnie. Każdy dzwonek telefonu, list z oficjalnym nadrukiem przyprawiał mnie o szybsze bicie serca, a potem... - wzrusza ramionami i dodaje - nic. Fałszywy alarm.

W oddali rozlega się głośny, wysoki dźwięk. Dochodzi z drugiej strony laguny, gdzie z płyty lotniska unosi się odrzutowiec wojskowy. Rozpędza się jak strzała, po czym niemalże po kilku sekundach leci już nad naszymi głowami i ogłusza potężnym rykiem silników. Kate staje w miejscu i obserwuje jego lot ku słońcu, po czym siada na szczycie wału przeciwpowodziowego.

- W każdym razie - kontynuuje, kiedy przysiadam przy niej - miałam już dość czekania na informację, która mogła nigdy nie nadejść. Jestem cholernie energiczna, lubię panować nad sytuacją. Nie potrafię stać beczynnym i patrzeć, jak ludzie, którzy mają obowiązek coś zrobić, są kompletnie beczynni. Słyszałam o rodzinach, które tam poleciały i wyciągnęły jakieś wiadomości od wieśniaków i uchodźców, no i wreszcie spakowałam się i poleciałam.

- Z jakim skutkiem?

- Miernym. Byłam naiwną desperatką. Stałam się ofiarą rozmaitych oszustów. Są ludzie, którzy do dziś zarabiają tym na życie. Stowarzyszenie i wywiad wojskowy robią wszystko, żeby przerwać ich działalność. Jest tam taki facet, emerytowany pułkownik sił powietrznych, który wysyła rodzinom zaginionych listy. Otóż twierdzi w nich, że może zapewnić uwolnienie żyjących jeńców, ale musi za to zapłacić i potrzebuje na jutro pięćdziesięciu tysięcy, bo w innym wypadku oni zginą. W ostatnim liście pisał, że huragan zniszczył jego łódź i trzeba mu pieniędzy na jej naprawę. Stowarzyszenie szybko odkryło, że ta łódź stoi w porcie od przeszło dwóch lat, a ostatni huragan przeszedł tamtędy w '87 roku. Nie miałam okazji go poznać, ale zanim nawiązałam znajomości, o których ci wspominałam, zapłaciłam za mnóstwo informacji o miejscach pochówków i wypadków. Bywało, że płaciłam ludziom, żeby tylko mnie tam zabrali.

- I okazało się, że to pic.

- Oczywiście. Ktoś kiedyś nawet próbował sprzedać mi kości.

- Kości?

- Tak, całe pudełko. Aż trudno uwierzyć, co? Na to się nie dałam nabrać - śmieje się cicho, po czym wzdycha. - Wyjazd do Bangkoku nie był pewnie najrozsądniejszym posunięciem. Ale przynajmniej nie siedziałam beczynnym.

- Rozumiem.

- Wszystkie listy John wysyłał z miejsca zwanego Udon Thani. To na północy, przy granicy z Laosem. Nie miałam pojęcia, co on tam może robić. Dopiero wtedy, podczas tego wyjazdu poznałam prawdę.

- Wojna w Laosie. Przytakuje z poważną miną.

- Wtedy to była wielka tajemnica. Nawet pułkownik przyznał, że dopiero teraz zaczynamy przyznawać się do wielu rzeczy.

Dla mnie to nie była żadna tajemnica. Przez prawie trzynaście lat - od 1960 do 1973 roku - amerykańskie wojska broniły Laosu przed groźbą przejścia władzy przez połączone siły Północnego Wietnamu i Pathet Lao, które kompletnie ignorowały postanowienia genewskie, gwarantujące neutralność tego kraju. Zapewnialiśmy wojskom rządowym wsparcie powietrzne w północnych regionach, z dala od Szlaku Ho Cni Minha przy granicy z Wietnamem Południowym, tam, gdzie amerykańskie siły lądowe i powietrzne próbowały powstrzymać przepływ wojsk, broni i żywności z Północy. Z dala od miejsc, gdzie przepadła większość zaginionych w Laosie i gdzie ja zostałam ranny.

- Krótko mówiąc - podejmuje Kate - dowiedziałam się, co i jak, poznałam zwyczaje, poznałam kilku ludzi. Wszystkie agencje rządowe miały swoje siedziby w ambasadzie. Nadal mają. Mam tam sporo znajomych.

- Pomagali ci, chociaż wszystko było tajemnicą i byłaś tam nieoficjalnie?
 - Wystarczyło tylko pojechać. W końcu wtedy chodziło o jedną osobę w trudnej sytuacji. CIL wówczas miało tam siedzibę. Pułkownik wiele mi pomógł.
 - Rzeczywiście długo się znacie.
 - Uhm. Współpracowałam też z facetem z wydziału komunikacji ambasady. Wyglądał na bardziej zainteresowanego niż cała reszta. Umówił mnie na spotkanie z dwiema osobami, które okazały się niezwykle cennymi źródłami informacji.
 - Komunikacja. Pewnie był z CIA.
 - Nie wiem, może. Nie pytałam. Naprawdę bardzo miły facet -przerywa, żeby zastanowić się, czy powiedzieć mi coś jeszcze -chciał się ze mną spotykać, ale po prostu nie mogłam się z nikim związać. Niektóre żony jakoś sobie z tym radziły. Szczerze mówiąc, zazdrościłam im. Ja nie potrafiłam. Do tej pory jest mi trudno -wzdycha - już taka jakaś dziwna jestem.
 - Nie uważam, że jesteś dziwna, Kate. Opuszcza powieki.
- Fala uderza o wał i natychmiast pokrywa nas deszcz małych kropelek. Za nią spiętrzają się następne. Odskakujemy w bezpieczne miejsce i ruszamy z powrotem w kierunku CIL.
- No to pojedziesz i co? Popelnisz te same błędy?
 - Nie, jestem teraz starsza i mądrzejsza.
 - Brzmi to niezbyt obiecująco.
 - Wcale nie żartowałam gdy mówiłam, że mam kontakty. Poznałam wtedy amerykańskiego żołnierza, który zdecydował się tam zostać. Pomógł wielu rodzinom, które przyjechały w poszukiwaniu zaginionych. I jeszcze biznesmen z Bangkoku. Pomagał uchodźcom, wyciągał ludzi z Wietnamu, znajdował im pracę. A przy okazji pytał, co działo się w ich wioskach podczas wojny. Zdobyliśmy w ten sposób mnóstwo informacji na temat zaginionych i jeńców. Od niego zamierzam zacząć.
 - Naprawdę mówisz poważnie.
- Przytakuje skinieniem głowy. W jej oczach widzę determinację.
- No to, pani Ackerman, życzę powodzenia.
 - Dziękuję. A co ty zamierzasz zrobić?
- Nie wiem co odpowiedzieć. Właściwie to się nawet nad tym nie zastanawiałem - przynajmniej nie dzisiaj. A teraz muszę odpowiedzieć. Właśnie rozpędzają się trybiki w moim mózgu, kiedy słyszę własne słowa:
- To, po co tu przyjechałem. Znaleźć skurwiela, który zamordował moją żonę.

23

Jadę windą.

Kate została w CIL, żeby przejrzeć z pułkownikiem jakieś dokumenty. Ja wróciłem taksówką do hotelu.

O dziewiątej wychodzę z windy i ruszam korytarzem w kierunku mojego pokoju. Myślę o tym, co powiedziałem Kate. To była idiotyczna brawura, nic więcej jak tylko pobożne życzenie. Wiem, że jeśli naprawdę chcę odnaleźć Seana Surigao, sama determinacja nie wystarczy. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać. Nie wiem nawet, czy jest w ogóle na Oahu. Równie dobrze mógł się zaszyć na którejkolwiek z pozostałych wysp, na kontynencie czy w ogóle gdziekolwiek. Karta magnetyczna, ten niemalże magiczny wynalazek, robi swoje i drzwi otwierają się automatycznie. Przemierzam pokój, ciskam marynarkę i aktówkę na łóżko i odsłaniam okna. Całe wnętrze zalewa strumień światła. Wychodzę na balkon. Opieram się o balustradę, patrzę na oddzielone od hotelu pasem ziemi morze i myślę o tym, co mnie czeka. Nagle słyszę głos. Jest odległy i nierealny, docierają do mnie znajome dźwięki i nie mogę się nie uśmiechnąć. Słyszę głos Nancy.

Cal? Cal, dużo zastanawiałam się nad całą tą sprawą i uważam, że powinieneś pozostawić to władzom -mówi swoim jakże dobrze mi znanym spokojnym, pewnym siebie tonem. Serio. Pora wrócić do dawnego trybu życia. A poza tym nie powinieneś zapominać o swojej firmie. I córkach.

One cię potrzebują. Ich byt od ciebie zależy. Teraz bardziej niż kiedykolwiek, Bóg mi świadkiem. Wiem, Cal, co czujesz, ale jestem pewna, że gdybyś zapytał swojego serca, odpowiedziałoby ci: „A” nie musi wcale znaczyć „ale mściwy”.

Dobra rada.

Kusi mnie, żeby jej posłuchać, żeby zostawić Surigao i cały ten burdel pułkownikowi, Agencji ds. Zwalczania Narkotyków, policji i po prostu wrócić do Los Angeles. Jakakolwiek decyzję podejmę, muszę najpierw porozmawiać z dziewczętami; nie dzwoniłem do nich już kilka dni. Pora, żeby poznały prawdę.

Podnoszę telefon z biurka. Przewód jest wystarczająco długi, żeby można było rozmawiać siedząc na balkonie. Dzwonię do Laury. Jej współlokatorka wyjaśnia mi, że akurat w tej chwili moja córka jest na zajęciach. Każę przekazać, że wszystko jest OK, po czym wykręcam numer Janie w Arizonie. Zajęte. Telefon Janie jest zawsze zajęty. Przez kilka minut zastanawiam się nad swoją decyzją, niestety, bez rezultatu. Jeszcze raz próbuję skontaktować się z Janie. Na szczęście telefon hotelowy ma przycisk umożliwiający automatyczne wykręcenie ostatniego numeru. Próbuję jeszcze kilka razy, kiedy nagle doznaję olśnienia. Wiem, gdzie może być Surigao. Mało prawdopodobne, że coś z tego będzie, ale po wyjeździe z Hawajów w żaden sposób nie będę w stanie się upewnić i wiem, że będzie mnie to gryzło do końca życia. Odkładam słuchawkę, schodzę do holu, wsiadam do taksówki i zamawiam kurs do Theatre Arts Complex.

Po dziesięciu minutach jestem w samym sercu gigantycznego korka, ale-w oddali widać już charakterystyczne, ząbkowane dachy.

- To tam, prawda? - pytam kierowcę. - To nie dalej niż kilkaset metrów.

- Tak, ale stąd pan tam nie dojdzie - mówi zrezygnowanym tonem i wypowiada na głos pierwszą zasadę kierowców Waikiki - taksówka albo śmierć.

Plącę i docieram na miejsce pieszo. Wjeżdżam windą na szczyt głównego budynku teatralnego. Wchodzę do biura kierownika, właśnie rozmawia przez telefon. Macha do mnie radośnie i błyskawicznie kończy.

- Miło znowu pana widzieć, panie Morgan - podchodzi do mnie i ściska mi dłoń.

- Pana również. Coś mi się zdaje, że jeszcze pan tego mieszkanca nie wynajął.

- Nooo, pytało mnie już parę osób - zawiesza głos - no, ale nie muszę chyba mówić, jaką radość sprawi mi powiedzenie im, że oferta jest niestety nieaktualna.

- Tak się składa, że żona zadała mi parę pytań, na które nie umiałem odpowiedzieć. Dlatego też chciałbym, jeśli to oczywiście możliwe, przed podjęciem ostatecznej decyzji jeszcze raz obejrzeć lokal

- Ależ proszę bardzo - podaje mi klucz i rusza w kierunku drzwi.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - mówię, zachodząc mu drogę - na pewno trafię bez problemów.

- Będę czekał z umową i długopisem w ręku.

Wychodzę z windy w holu. Przechodzę przez uliczkę i labirynt budynków i trafiam do apartamentów nabrzeżnych. Wiatr rozwiewa mi włosy, zaciskam dłoń na ukrytym w kieszeni pistolecie. Podchodzę do wejścia i rozglądam się uważnie we wszystkie strony. W razie gdyby z jakiegoś powodu któreś z nich zdecydowało się właśnie teraz na powrót, naciskam dzwonek, po czym staję przy oknie tak, żeby widzieć wewnątrz mieszkania.

Nikt nie otwiera.

Wracam do drzwi frontowych, otwieram je i wchodzę do środka. Z miejsca ruszam do kuchni, gdzie, jak pamiętam, na ścianie wisi telefon. Czy ma przycisk automatycznie wykręcający ostatni wybrany numer? Czy w ogóle jeszcze działa? Z lekką obawą podnoszę słuchawkę. Tak, wszystko jest w porządku. Naciskam ten przycisk i słyszę charakterystyczne pikanie. Rozlega się trzeci, czwarty, piąty sygnał...

- Tu Pizza Hut na Kalakaua - odzywa się wreszcie umęczony głos.

- Och, przepraszam najmocniej, musiałem wykręcić zły numer. Mój rozmówca bez słowa odkłada słuchawkę.

Robię to samo, po czym stoję przez chwilę bez ruchu. Jedyne, co może łączyć Surigao z Pizza Hut to głód. Walczę z ogarniającym mnie zniechęceniem, kiedy nagle przypominam sobie, że gdzieś

chyba widziałem jeszcze jeden telefon. Biurko. To, które przeszukiwałem. Schodzę do gabinetu, staję przed składanym biurkiem i opuszczam zawieszony na zawiasach blat. Tak, jest tam telefon i podobnie, jak ten drugi, ma interesujący mnie przycisk. Tym razem piknięć jest więcej. Przy trzynastu zaczynam się gubić w liczeniu. To numer zamiejskowy. Zamiast znajomego sygnału rozlega się pulsujące, świdrujące brzęczenie.

Odbiera kobieta. Miękkim, śpiewnym tonem wypowiada zdanie brzmiące mniej więcej: „Daj to ten i siej dziś”. Następnie rzuca jeszcze parę zdań w rytmie charakterystycznym dla języków azjatyckich. To nie jest wietnamski - ten język bym rozpoznał.

- Przepraszam bardzo, czy mówi pani po angielsku?
- Tak, oczywiście - odpowiada. Ma wyraźny australijski akcent - w czym mogę pomóc?
- Na początek chciałbym się upewnić, że wykręciłem właściwy numer. Z kim rozmawiam?
- Recepcja hotelu Dusit Thani, proszę pana.

- No to wszystko w porządku. Czy mogłaby mi pani podać wasz dokładny adres?
- 946 Rama IV Road po drugiej stronie kanału patrząc od Sala Daeng Circle. Biały budynek ze złotą wieżyczką na dachu. Przypomina dużą pagodę. Jestem pewna, że znajdzie nas pan bez problemu.

- Przepraszam bardzo, a w jakim kraju?
- Och, w Tajlandii, sir. Bangkok, Tajlandia.

Przełykam ślinę, próbując powstrzymać się od jakiejś reakcji.

- Ach, rzeczywiście, mówili, że zamierzają się tam wybrać. A jednak się nie myliłem. Chciałbym rozmawiać z jednym z waszych gości, panem Surigao.

- Surigao? Przykro mi, ale widziałam niedawno, jak ci państwo wychodzili.

- To znaczy wyprowadzili się?

- Och, nie. Spodziewamy się, że zostaną u nas nieco dłużej. Może coś przekazać?

- Nie, dziękuję bardzo. To nie będzie konieczne... - odkładam słuchawkę, po czym mówię głośno: przekażę osobiście.

Zaciskam triumfalnie pięści, ale puls mam zadziwiająco spokojny. Tym razem szaleje mój umysł. Próbuję to wszystko połączyć: Surigao-aktor-Bangkok-Thonburi Film Studios-Ajacier. Zostaję w mieszkaniu trochę dłużej, zdobywam w informacji numer Shera-tona w Waikiki i dzwonię do Kate Ackerman. Nie ma jej w pokoju. Próbuję szczęścia w CIL. Pani Oldham mówi, że wyszła jakieś dwadzieścia minut temu; najprawdopodobniej jest teraz w drodze do hotelu. Oddaję kierownikowi klucze i ruszam skrótem na postój taksówek przy wejściu do Theatre Arts Complex. W pewnej chwili ogarnia mnie wizja kolejnego korka po drodze, zmieniam więc kierunek i ruszam z powrotem na piechotę.

Po piętnastu minutach jestem już w holu hotelu Sheraton. Wokół stare, pozłacane lustro, bogato zdobione żyrandole i długie korytarze odchodzące we wszystkich kierunkach. Dzwonię do Kate z recepcji. Zajęte. Wjeżdżam windą na jej piętro, biegnę korytarzem i pukam do drzwi.

- Kate? Kate, to ja, Cal Morgan.

Muszę zapukać kilka razy, zanim drzwi wreszcie się otwierają.

- O, cześć - mówi z lekko zdziwioną miną - przepraszam, rozmawiałam przez telefon. Wejdz.

Pokój jest czysty i dość skromnie wyposażony; okna wychodzą na blok mieszkalny po drugiej stronie ulicy.

Przygląda mi się uważnie i marszczy ze zdziwieniem brwi.

- Wszystko w porządku?

- Nie może być lepiej. Dlaczego pytasz?

- Wydajesz się trochę podekscytowany.

- Bo mam powód.

- Znalazłeś tego faceta?

- No właśnie. W hotelu w Bangkoku.

- Tak?

- Jest tam z żoną. Pracowniczką CIL, pewnie ją znasz. Pamiętasz Carlę Surigao?

- Carlę? - powtarza zdumiona.

- Innej nie ma - mówię i opowiadam Kate o związkach Carli i jej męża z całą tą sprawą: że Carla poinformowała Surigao o moich poszukiwaniach, że to właśnie on usiłuje mnie sprzątnąć, że chodzi o przemyt narkotyków.

Kiedy kończę, zapada cisza. Kate patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- O rany - mówi wreszcie - to naprawdę dziwne. To znaczy, jego w ogóle nie znam. Ale Carla to taka miła dziewczyna...

- Nie miałem okazji jej poznać. Wiesz o niej coś jeszcze?

- Nie za bardzo. Spotkałam się z nią tylko parę razy. Raz tu, kilka lat temu, no i od czasu do czasu widywałyśmy się w Waszyngtonie. Naprawdę łatwo się z nią dogadać. Jest typem człowieka, który zrobi wszystko, byle ci pomóc.

- Tak, a nawet zabić.

Kate wzrusza ramionami ze zdziwieniem.

- Czy żeby dostać się do Tajlandii potrzebna jest wiza?

- Jeśli na krótki pobyt, to nie.

- Co to znaczy krótki?

- Zdaje mi się, że do piętnastu dni.

- Myślałaś o wyjeździe?

Wymusza uśmiech i potakująco kiwa głową.

- Właśnie rozmawiałam z tym biznesmenem z Bangkoku, o którym ci opowiadałam. Nie mógł uwierzyć, że John przeżył. Obiecał, że przejrzy akta i spróbuje znaleźć w nich coś nowego.

- Rozumiem, że jedziesz?

Waha się przez chwilę, po czym przytakuje.

- Kiedy?

Uśmiecha się i sprawdza coś w notatniku.

- Samolot do Bangkoku odlatuje codziennie o ósmej trzydzieści wieczorem - odpowiada - i jest na miejscu o dziewiątej piętnaście rano. Są też jakieś między ósmą a dwunastą, ale nie chcę stracić dnia.

- A ja po prostu nie mogę sobie na to pozwolić. Czy mogę ci towarzyszyć?

- Owszem, chociaż nie uśmiecha mi się podróż w towarzystwie kogoś, na kogo polują zawodowi mordercy.

- Zastanawiałem się nad tym po drodze. Nie proponowałbym ci tego, gdybym uważał, że coś mogłoby nam zagrażać.

- A skąd pewność, że tak nie jest?

- Myślą, że nie żyję. Przecież gdyby wiedzieli, że to Nancy... Chcieliby naprawić swoją pomyłkę, a tak się nie stało. Surigao opuścił Los Angeles i poleciał do Bangkoku.

- Brzmi sensownie.

- Mam nadzieję. To daje mi przewagę. Dlatego jeśli nie masz nic przeciwko towarzystwu trupa...

- Powinam jakoś to przeżyć. A propos, masz przy sobie paszport?

- Jak zawsze. Kilku moich klientów mieszka za granicą, więc muszę być na wszystko przygotowany. Zamów bilety na ósmą trzydzieści. W pierwszej klasie.

- Morgan, nie stać mnie na taki luksus.

- Pokryję różnicę w cenach. Nie wiesz, gdzie można by się tam zatrzymać?

- Jest taki jeden hotel.

- Tylko nie mów, że to Dusit Thani.

- Nie, nie, ten jest o wiele za drogi. Chcesz tam zamieszkać?

- Wszędzie, byle nie tam. Oby tylko był czterogwiazdkowy. Spogląda na mnie tak, jakby właśnie coś zrozumiała.

- Jesteś bogaty, prawda?

- Powiedzmy, że nie narzekam. A ty jakoś wcale się nie przejmujesz tym, że cię nie ma w pracy.

- Rozsądnie gospodaruję pieniędzmi. Trochę mi się udało zaoszczędzić.

- Mnie też, że nie wspomnę o Donaldzie Trampie...

- Jemu udawało się do czasu.

- Cóż z tego? I tak tyle, ile zgarniam w ciągu roku, nie wystarczyłoby na zapłacenie jego rachunku telefonicznego. Raz się żyje. Dlaczego nie mielibyśmy zaszaleć?
- No właśnie - mówi z zawadiackim uśmiechem - najlepszy z nich to prawdopodobnie Oriental, no, jest też...
- Tam zamieszkamy. Zorientuj się, czy nie dałoby się znaleźć dwóch pokoi.
- Hej - sprzeciwia się ze zmarszczonym czołem - Morgan, nie jestem twoją sekretarką.
- I chwała Bogu.
- Tak, chwała Bogu.
- No jak, lepiej się czujesz?
- O wiele.
- Dobra. Nie pora na obrażanie się. To ty jesteś ekspertem i chylę przed tobą czoło. Patrzy na mnie i uśmiecha się trochę niepewnie.
- Nieźle to zabrzmiało.
- Bo to prawda.

Kate siada przy telefonie. Wracam do hotelu i robię to samo - dzwonię do biura, a potem informuję córki o moich zamiarach. Zbiegam do pobliskiej księgarni i kupuję przewodnik po Bangkoku. Przez pozostałą część popołudnia studiuję go zawzięcie.

Po kilku godzinach samolot odrywa się od betonowej nawierzchni lotniska Honolulu International i zatapia się w ciemności. Lecimy nad Pacyfikiem. Daleko za nami zostają światła Waikiki. Siedzimy z Kate wygodnie w pierwszej klasie ogromnego Boeina 747. Stewardesy to ubrane w tradycyjne sarongi Singapurki. Pod fotelem spoczywa mój laptop, a w nim beretta. Na rozkładanym blacie rozłożyłem dołączany do przewodnika plan miasta. Zaznaczono na nim autostrady, ulice, kanały, miejsca, które warto odwiedzić, stacje kolejowe i najważniejsze hotele. Najbardziej interesuje mnie Oriental, który stoi nad rzeką Chao Phraya, biegnącą przez sam środek Bangkoku. Około czterech kilometrów od Dusit Thani, który mieści się na drugim krańcu pobliskiego kanału. Zaznaczam ołówkiem wszystkie te miejsca, kiedy Kate zagląda mi przez ramię i pyta bezceremonialnie:

- A propos, jak tam ostatnie spotkanie z pułkownikiem?
- Nic ciekawego. Zanim podejmie jakąkolwiek decyzję, ma zamiar pogadać z kimś, kto z nim współpracuje.
- Ten ktoś jest pewnie z Agencji ds. Zwalczania Narkotyków?
- Skąd wiesz?
- Stowarzyszenie. Mamy nadzieję, że program wymiany upraw pomoże w przyspieszeniu repatriacji.
- Tak, pułkownik wspominał coś na ten temat. Mówił, że wiele zniknięć miało miejsce w regionach, w których uprawia się opium.
- Sto trzydzieści czy coś około. Minus siedmiu, których właśnie odesłali.
- Nie wiedziałem, że zaginęli właśnie tam.
- Tak było.
- Jesteś pewna tej liczby?
- Jestem przecież nieoficjalnym ekspertem, pamiętasz? A dlaczego właściwie pytasz?
- No, bo sto trzydzieści to dość dużo. Jeśli wziąć pod uwagę, że w całym Laosie zaginęło pięćuset czterdziestu siedmiu żołnierzy, to jest to ponad dwadzieścia procent. Dokładnie 23,766.
- Tak, jestem pewna. Zawsze sprawdzałam na moich listach, kto i gdzie zaginął, żeby skontaktować rodziny, które chcą wymienić informacje. Wiesz, treść listów, historyjki kumpli, cokolwiek, co mogłoby w jakiś sposób pomóc.
- Masz tę listę w komputerze?
- Uhm, w domu.
- Chciałbym przeprowadzić kilka obliczeń.
- Dlaczego?
- Ten mój „imiennik” działał w handlu narkotykami - może znajdę jakieś powiązanie.
- No to włącz ten swój sprzęt - mówi wyzywająco i wyciąga z torebki cienkie plastikowe pudełko.

Jest w nim trzyipółcalowa gęsta dyskietka. - To wszystko, co mam na twardym dysku. Zawsze ją wożę ze sobą. Co by było, gdyby spłonął dom, a wraz z nim dwadzieścia lat pracy?

- Znam to uczucie.

- Jakie masz oprogramowanie?

- Wszystko, co się da. Plus świetny brydż. Grasz?

- Niestety, nie. Tak na marginesie, lista jest pod Word Perfectem.

- Dobra. Jeśli nie masz nic przeciwko, to ją schowam.

- Mamy jeszcze ponad dziesięć godzin lotu. Po co czekać? Wzdycham głęboko i zniżonym głosem mówię jej o pistolecie. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Nagle nie za bardzo wie, kim właściwie jestem. Kiedy otwiera usta, chcąc wreszcie coś powiedzieć, pojawia się stewardesa rozdająca koce i poduszki. To znaczy, że będę mógł przystąpić do działania.

Przykrywam się kocem, po czym wyciągam komputer z walizeczki i kładę go na kolanach.

- Co robisz? - szepcze Kate.

- Zmieniam baterię.

Wzdycha i odwraca się w drugą stronę.

Natrafiam palcami na klapkę i zdejmuję ją. Wyciągam pistolet i chowam go do kieszeni, a następnie odkładam koc, wyjmuję baterię z torby i wkładam ją do środka.

Po kilku minutach pracuje już program analizy prawdopodobieństwa. Do stacji „A” włożyłem dyskietkę Kate. Sporządzam wykres na podstawie liczby zaginionych w każdej z prowincji. W 14 z 16 odchylenia są znikome, w granicach błędu statystycznego; nawet na południu, gdzie przecież przechodził Szlak Ho Chi Minha i ogólne straty były najwyższe. Mimo to najczęściej przypada na Luang Prabang i Houa Phan. W tych prowincjach miało miejsce 136 zaginięć; w 14 pozostałych - 411, co daje stosunek jak 68,5 do 29,285.

- Hmm... - mamrocę po wykonaniu jeszcze jednego obliczenia.

- Hmm?

- Różnica między prowincjami produkującymi opium a wszystkimi pozostałymi jest jak 1 do 2,339.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Możliwe. W moim fachu światełko alarmowe zapala się, gdy tylko cokolwiek odbiega od normy. Ale muszę mieć jeszcze trochę danych.

- Na przykład jakich?

- Liczba żołnierzy wojsk lądowych w tych regionach, liczba misji lotniczych...

- To nie moja działka.

- Na początek wystarczyłaby liczba ciał zaginionych żołnierzy, przekazanych przez poszczególne prowincje.

- Wszystkie? Uwierzyłybyś, że z całego Laosu wre o czterdzieści?

- Nie miałem pojęcia. Obawiam się, że to niewiele da. Przytakuje, po czym patrzy na mnie z powagą.

- Wiesz, w tym wszystkim jest coś, co mnie zawsze zastanawiało.

- To znaczy?

- No, ci ludzie zaginęli podczas tak zwanej tajnej wojny, prawda?

- Zgadza się.

- Zawsze myślałam, że podczas tajnych wojen, czy też jakichkolwiek tajnych misji staramy się zabrać wszystkich zabitych i rannych; nie można zostawić żadnych śladów.

- Tak, żeby nie było dowodów. W oddziałach specjalnych wpoili nam jedną ostrą zasadę: nie zostawiajcie po sobie niczego.

- No właśnie. Bardzo łatwo było zdobyć informacje na temat zaginionych w Laosie, bo wróg wykorzystywał je w celach propagandowych.

- Ale nic nie wiadomo o tych z Luang Prabang i Houa Phan -stwierdzam, bo już wiem do czego zmierza Kate.

- W każdym razie niewiele. Zwłaszcza jeśli chodzi o Houa Phan.

- Tak jakby ci ludzie nie istnieli.

- Jeden z nich istniał na pewno - mówi ze smutkiem.
- Widzę łzy w jej oczach, dlatego błyskawicznie zmieniam temat i pytam:
- Co to za nazwiska?
- To krewni.
- Wiem, chodzi mi o te oznaczone gwiazdkami.
- Och, to zmarli.
- Przepraszam, że pytam.
- Naprawdę nie ma za co. Rodzice, żony, czasem nawet dzieci umierają. Ciągłe muszę uaktualniać dane. Blisko pięć lat temu straciłam dobrą przyjaciółkę.
- Żonę któregoś z zaginionych?
- Napisała o tym książkę. Przy niej czułam się, jakbym stała w miejscu. Ona zawsze naciskała, przesiadywała w CIL, wszędzie szukała informacji. Jeździła do Tajlandii. Niezmordowana kobieta.
- Co się z nią stało?
- Była gdzieś na północy, najprawdopodobniej próbowała dostać się do Laosu. Monsun zwiął ją z drogi.
- Zginęła w wypadku samochodowym? Przytakuje obojętnie.
- Gdzie zaginał jej mąż?
- W Houa Phan. Tam, gdzie John. To był jeden z powodów, dla których stałyśmy się sobie bliskie - dopiero po chwili dociera do niej, co mogło się naprawdę stać i patrzy na mnie przerażonym wzrokiem. - Może tego właśnie szukałeś?
- Wzruszam ramionami, próbując zachować dystans.
- Z drugiej strony, czy wszystko musi być spiskiem? Pamiętaj, że ten mój facet w ogóle nie był w tamtej okolicy.
- Fakt - mówi zmęczonym głosem.
- Mamy za sobą ciężki dzień. Odpocznijmy trochę. Wzdycha, po czym podciąga koc pod samą szyję i wtula głowę w poduszkę.
- Dobranoc - mówi niemal szeptem.
- Dobranoc, Kate - wyłączam komputer i układam się do snu. Światła w kabinie przygasają. Ciszę zakłóca tylko szum powietrza ocierającego się o kadłub samolotu. Mija pół godziny, a ja wciąż nie śpię. Liczby niczego nie przesądzają, no i scenariusze zaginięcia w żaden sposób do siebie nie pasują. Ale może Kate ma rację? Może nie ja jestem pierwszy?

24

Pochłaniam drugą filiżankę kawy. Mgła niby kadzidło unosi się z gęstej dżungli. Większą część nocy zastanawiałem się, co zrobię z Surigao, kiedy wreszcie go dorwę. Ten wyjazd był tak bardzo nieoczekiwany, że w zasadzie dopiero teraz mogę wszystko jakoś rozplanować. Z drugiej strony i tak nie potrafię spać podczas lotu. Kate prawie się nie odzywa, co przecież tak rzadko jej się zdarza. Do czoła przyłożyła sobie zwilżony gorącą wodą ręcznik. Najwyraźniej też się nie wyspała. Kapitan informuje, że zbliżamy się do Międzynarodowego Lotniska Don Muang, położonego około trzydziestu kilometrów na północ od Bangkoku. W ciągu około trzynastu godzin przebyliśmy 12000 kilometrów. Przed śródlądowaniem w Seulu i Taipei przekroczyliśmy południk zerowy, następnie lecieliśmy dalej w kierunku zachodnim nad Morzem Południowochińskim, równoległe do wybrzeża Wietnamu, i wreszcie nad Zatoką Tajlandzką skierowaliśmy się ku północy, na Bangkok. Byłem już kiedyś w tej części świata. Dokładnie, prawie dwadzieścia pięć lat temu. Leciłem wtedy samolotem wojskowym, nie pasażerskim. Moim celem był Wietnam, a nie Tajlandia. Miałem wówczas ze sobą M-16, karabin półautomatyczny, a nie ukrytą w komputerze zabawkę kalibru 25. Moje ówczesne zadanie brzmiało: odnaleźć i zniszczyć. To jedno się nie zmieniło. Lądujemy i podjeżdżamy pod ultranowoczesny terminal. Jest 9.35 czasu miejscowego. Otwiera się przejście i tłumek zmęczonych podróżą pasażerów wlewa się do poczekalni. Na wszelki wypadek włożyłem beretkę z powrotem do komputera, ale kontrola paszportów okazuje

się bardzo przyjemną, choć może przydługą, formalnością. Pistolet mogłem spokojnie zostawić w kieszeni. Wchodzę do ubikacji, żeby go wyjąć, po czym przyłączam się do Kate. Stoi w kolejce do kantoru wymiany walut. Kurs wynosi dwadzieścia pięć baht do dolara. Odbieramy bagaże i wychodzimy z budynku lotniska; na zewnątrz jest trzydziestostop- " niowy, lepki upał. Na szczęście postój taksówek jest niedaleko; wkrótce uśmiechnięty szofer ładuje nas i nasze bagaże do ciasnej pułapki na kołach zmontowanej w Korei.

Zauważam brak jednej niezwykle ważnej części wyposażenia typowej taksówki.

- Nie ma licznika - mówię cicho.

- Tutaj cena jest umowna - odpowiada. Za nami rozlega się trąbienie innych samochodów. -

Poprosimy do hotelu Oriental.

- Sto pięćdziesiąt baht - stwierdza kierowca ruszając z piskiem opon zanim Kate nadaża z odpowiedzią.

Obliczam, że to się równa sześciu dolarom. Przejazd z lotniska LAX do mojego domu kosztuje ponad czterdzieści. Z Dulles do Waszyngtonu trzydzieści. Kiedy właśnie dochodzę do wniosku, że robimy bardzo dobry interes, Kate zalewa szofera strumieniem słów tajskich i energicznie targuje się o cenę. Wreszcie podnosi rękę do góry - niewątpliwie oznacza to ugodę.

- No to co jest grane? - pytam zniecierpliwiony.

- Zaczął od stu pięćdziesięciu. Skontrolowałam siedemdziesięcioma pięcioma. Skończyło się na stu.

- Kredyt o stałej czy zmiennej stopie oprocentowania?

- Nie wygłupiaj się. Właśnie zaoszczędziliśmy pięćdziesiąt baht.

- Czyli dwa dolary.

- To 33,33 procent - mówi kładąc nacisk na każde słowo i uśmiecha się szeroko.

- Dobry rynek dla nabywców.

Taksówka zwinnie przemyka w tłumie pojazdów wyjeżdżających z lotniska. Wkrótce jedziemy już z dość niebezpieczną prędkością po Mittaphap Road, uniesionej nad poziom ziemi super-autostradzie dzielącej niby strzała dżunglę, ziemie uprawne i wioski.

W żadnym wypadku nie zatrudniłbym tego taksówkarza jako mojego osobistego szofera, ale teraz potrzebny mi właśnie ktoś taki

jak on. Przypominam sobie opuszczone mieszkanie w Theatre Arts Complex i obawiam się, że tu również znajdę tylko pusty pokój hotelowy. Jeśli zdołamy dotrzeć do Orientalu, zostawię Kate z naszymi bagażami i pójdę natychmiast do Dusit Thani sprawdzić, czy Surigao jeszcze tam mieszka. Po mniej więcej półgodzinie jazdy gdzieś daleko z przodu pasy autostrady zdają się zlewać w jedną całość. Przed nami interesujący widok: nowoczesne wieżowce, otoczone połączanymi wieżycami wiekowych świątyń buddyjskich. Z przewodnika wiem, że w samym Bangkoku jest ich ponad 400. Mijamy rząd drogowskazów z nazwami w językach tajskim i angielskim, kiedy kierowca nagle zmienia pas ruchu i skręca w ulicę oznaczoną napisem Din Daeng Road. Trafiamy w sam środek gigantycznego korka.

W porównaniu z nim ulice Waikiki wydają się wymarłe. Nie ma tu żadnych pasów ruchu, porządku, policji drogowej, nic. Tylko kotłująca się masa najrozmaitszych pojazdów: samochodów osobowych, dostawczych, ciężarówek, taksówek, trzykołowych tuk-tu-ków i zapchanych pasażerami autobusów. Każdy z nich zdaje się jechać w inną stronę; tak samo jak motocykle, skutery i nieustraszeni piesi przedzierający się bezładnie środkiem ulicy. Totalny chaos to zbyt łagodne określenie tego, co się tutaj dzieje.

Taksówka posuwa się do przodu w żółwym tempie. Wiercę się niecierpliwie i raz po raz spoglądam na zegarek. Mija dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści minut. Nie ujechaliśmy nawet dwóch kilometrów.

- To normalne?

- Bywało o wiele gorzej.

- No, dobra. W takim razie zmiana planów. Najpierw jedziemy do Dusit Thani. Tam wysiądę, a ty pojedziesz z bagażami do Orientalu.

- Po co ten pośpiech? Przecież mówiłeś, że Surigao nie zamierza stąd zaraz wyjeżdżać.

- Tak twierdziła recepcjonistka, a znając moje dotychczasowe szczęście, to właśnie postanowili się

przeprowadzić.

- Może nawet już się gdzieś ukryli.

- Kto wie? Po prostu nie chcę, żeby cały ten wyjazd poszedł na marne tylko dlatego, że się parę minut spóźniłem.

- Za dużo myślisz.

- Tak. A gdyby samolot wylądował pięć minut wcześniej, gdybyśmy nie zabierali bagaży, gdyby taksówka jechała szybciej, gdybyśmy...

- Nie kuś go - żartuje Kate i informuje kierowcę o zmianie planu, co prowadzi do kolejnej rundy negocjacji. Po chwili mówi, że za dwa przystanki zapłacimy dwa razy tyle.

- Niech będzie, to ma sens. Powiedz mu, że dostanie trzy razy tyle, jeśli będziemy tam przed jedenastą.

- Trzy razy?

- Kate, to tylko dwanaście dolarów. Na to mnie jeszcze stać.

- Dai leou mai! Dai leou mai! - wykrzykuje radośnie kierowca, kiedy Kate przekazuje mu swoją ofertę. Wcisną klakson i zaczyna manewrować pomiędzy ściśniętymi w korku samochodami. Po chwili wjeżdża na wąską piaszczystą drogę.

Ruszamy przed siebie z obłądną prędkością i trafiamy w sam środek labiryntu uliczek po drugiej stronie dzielnicy teatrów. Zaczynam się obawiać, że nigdy stąd nie wyjedziemy. Jednakże kluczenie się opłaca. Wyjeżdżamy na względnie pustą jezdnię przy hotelu Siam Intercontinental. Niektóre z budynków pokrywają wielkie, rozciągające się na dwa lub trzy piętra, plakaty filmowe.

Wymalowane na nich jasne, wyraźne rysunki zdają się opanowywać całe miasto. Jedziemy dalej. Po drodze mijamy tor wyścigowy i skręcamy w lewo przy dużym parku publicznym. Niestety, mimo heroizmu kierowcy, dojeżdżamy do Dusit Thani grubo po jedenastej. Na miejscu witają nas olbrzymie ogrody tropikalne i piękne fontanny.

Hotel przypomina białą, unowocześnioną dwudziestoczeropięt-rową pagodę ze złotą wieżyczką na dachu. Stoi nad kanałem dokładnie tak, jak opisała recepcjonistka. Taksówka się zatrzymuje, a ja wyskakuję na chodnik.

- Spotkamy się w barze Orientalu o trzeciej? - rzuca Kate, podczas gdy ja rozpaczliwie przeszukuję kieszenie marynarki w poszukiwaniu pistoletu.

- Postaram się.

- No to na razie.

Eleganckie dekoracje holu migają mi tylko przed oczami. Biegnę do recepcji.

- Czy mogę panu w czymś pomóc, sir? - pyta atrakcyjna blondynka w uniformie. Ma wyraźnie australijski akcent.

- Jestem umówiony na spotkanie z jednym z waszych gości - odpowiadam pełnym wyższości tonem. - Z panem Surigao. Niestety, tak się składa, że gdzie zapodziałem numer jego pokoju.

- Zaraz sprawdzę, sir - uśmiecha się i podchodzi do komputera.

Serce mi wali jak młot. Nie mogę znieść nawet myśli o tym, że już wyjechali, że przebyłem taki kawał świata po nic.

- O, proszę bardzo - mówi radośnie - pokój 1423.

- 1423 - powtarzam obojętnie, choć tak naprawdę mam ochotę krzyknąć na cały głos: „Zdażyłem!”

No dobra, Morgan - mówię do siebie i odchodzę od biurka recepcjonistki. Teraz powoli, najpierw dobrze wszystko przemyśl - próbuję się uspokoić. Moje następne posunięcie zależy teraz od tego, czy oni są w pokoju, a jeśli tak, to czy obydwójce, czy tylko jedno z nich. Podchodzę do telefonu i zastanawiam się, co powiem, gdy ktoś odbierze. Wykręcam 1423. Przerywane sygnały. Pięć, sześć, siedem razy. Już chcę odkładać słuchawkę, gdy słyszę kobiecy głos:

- Tak? - chyba gdzieś się spieszy, ma lekką zadyszkę.

- Czy mógłbym prosić pana Surigao?

- Nie ma go w tej chwili. Kto mówi?

Rozpoznaję ten sam filipiński akcent. To Carla Surigao. Tym razem nie popełnię błędu.

- Tu odzwiniemy - odpowiadam, próbując przybrać oficjalny ton. - Jest przesyłka do pani męża. Czy możemy ją teraz doręczyć?

- Oczywiście. Dziękuję bardzo.

Odkładam słuchawkę i idę do windy. Jedzie o wiele za wolno. Wsiadam na czternastym piętrze i idę długim korytarzem. Po drodze zauważam, że drzwi do pokoiów nie mają wizjerów. Chwytam beretę, odbezpieczam broń i pukam do pokoju 1423.

Po kilku sekundach słyszę, że podchodzi do drzwi, zdejmuje łańcuch i zaczyna obracać gałkę. Przez szparę zauważam fragment jej odbicia w lustrze wiszącym w przedpokoju. Ma na sobie jedwabny czarny szlafrok i wygląda na to, że właśnie wyszła spod prysznic. Mam zamiar wyciągnąć pistolet i wdrzeć się siłą, ale Carla otwiera drzwi i odwraca się do mnie plecami. Jest zajęta rozczesywaniem mokrych włosów. Wchodzę za nią do środka.

- Proszę to postawić tam, na... - przerywa, gdy słyszy, że zamykam drzwi na zamek. Odwraca się, wyraźnie zdziwiona. Na mój widok zaczyna się cofać. Kim dla niej jestem - gwałtcielem? A może zwykłym włamywaczem? Jest szybka i dobrze wygimnastykowana, dlatego zanim mogę ją zapewnić, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, pcha na mnie stojący w pokoju wózek i błyskawicznie rusza do drzwi po przeciwległej stronie pokoju. Szczęśliwie udaje mi się odskoczyć i biegnę za nią do łazienki, zanim zdąży zamknąć drzwi. Rzuca się w kierunku stojącego na stoliku telefonu. Wyciągam beretę.

- Odlóż to - mówię stanowczo - natychmiast.

Zamiera na widok pistoletu. W jej pięknych skośnych oczach pojawia się strach.

Wyszarpuję kabel ze ściany. Przeżona cofa się do kąta.

- Nie bój się, Carla. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Chcę tylko porozmawiać.

Na dźwięk swojego imienia reaguje zdumieniem.

- Tak, wiem, kim jesteś i wierz mi, naprawdę nic ci nie grozi. Nie ma się czego obawiać.

Rozumiesz?

Przytakuje bez przekonania.

- Dobra, no to chodźmy do pokoju.

Przez cały czas wpatruje się w pistolet. Siada na fotelu, zasłania się szlafrokiem.

Przystępuję do szczegółowego przeszukania pomieszczenia. Jesteśmy w eleganckim pokoju z przylegającą małą sypialnią, widokiem na miasto i umeblowaniem w stylu Dalekiego Wschodu. Na antycznym biurku stoi torebka. Przeglądam ją w poszukiwaniu broni, następnie przerzucam poduszki i zawartość stojącej przy łóżku szafki.

- Muszę przyznać, że wasze mieszkanie na Hawajach bardziej mi przypadło do gustu -mówię. W ten sposób próbuję zastawić na nią pułapkę.

Carla spogląda na mnie z lekkim zaciekawieniem.

- Kim pan jest? - pyta drżącym głosem.

- Nazywam się Morgan. A. Calvert Morgan. Błysk rozpoznania.

- Miałem nadzieję, że coś to pani powie.

- Czego pan chce?

- Zemsty.

Wygląda na zaskoczoną.

- Pani mąż zamordował moją żonę.

- Chodzi panu o Seana?

- A niby o kogo? - odpowiadam z wściekłością. - Przecież dobrze wiesz. Spieprzył robotę. Myślał, że zabija mnie.

Mimo wszystko nadal wygląda na nieprzekonaną.

- Gdzie on jest?

- Wszedł.

- Dokąd?

- Nie wiem.

- Nie lubię się powtarzać.

- Naprawdę nie wiem. Nie mówił dokąd idzie.

- Kiedy wraca? Wzrusza ramionami.

Odsuwam krzesło trochę na bok, dzięki temu jestem w dobrej strategicznie pozycji - między Carłą a

drzwiami. Ktoś, kto wejdzie do pokoju, nie zauważy mnie, ale ja zobaczą jego odbicie w lustrze.

- No to sobie poczekamy.

Carla nerwowo kręci się w fotelu, po czym zaczyna się trząść i podciąga kolana pod brodę, obejmuje nogi; na ramiona opadają jej mokre włosy. Przypomina nieco uchodźców wietnamskich okupujących pobocza dróg podczas monsunów.

- Zimno ci? Kiwa głową.

- Jeśli chcesz, możesz się ubrać. Patrzy nieufnie.

Wyczuwam, że uważa mnie za chama, który chce, żeby przebierała się na jego oczach.

- Przebierz się w łazience. Tylko nie zamykaj drzwi. Błyskawicznie podnosi się z fotela i podchodzi do szafy. Wyjmuje ubranie z szuflad, po czym bierze torebkę i rusza do łazienki.

Po chwili wychodzi ubrana w dres, siada na tapczanie i zapala papierosa. Milczymy.

- Skoro tak już tu sobie siedzimy - mówię wreszcie - może mi powiesz, dlaczego twój mąż tak się mną zainteresował?

- Nie mam pojęcia.

- A ja niby mam w to uwierzyć?

Wzrusza ramionami i zaciąga się dymem - wyraźnie się uspokoiła.

- Niech pan sobie wierzy, w co pan chce, panie Morgan. Nie mieszam się w sprawy mojego męża, a on sam nic mi o tym nie mówił.

- Carla, obydwójce wiemy, że siedzisz w tym gównie po szyję. Wstaje i odwraca się do okna.

Ściskam jej ramię i zmuszam do

spojrzenia mi w oczy. Stoimy tak - twarzą w twarz. W oddechu Carli czuję tytoń; w jej oczach tylko pogardę.

- Próbuję być dżentelmenem, ale nic nie mogę poradzić na to, że zaraz stracę cierpliwość. Mów, dlaczego właśnie ja?

- Przecież mówię, że nie mam pojęcia. Zresztą to już tylko historia.

- To znaczy?

- Sean już zrobił swoje.

- Nadal nic nie rozumiem. Co zrobił?

- Nie wiem. Mogę powiedzieć tylko, że przyjechaliśmy do Bangkoku wziąć forszę i rozpocząć nowe życie.

- Na to wam nie pozwolę. Teraz patrzy już z nienawiścią.

- Po coś tu przyjeżdżał? Nie mogłeś nas zostawić w spokoju?! Nie reaguję.

Stoi przez chwilę w milczeniu, po czym odwraca się, jakby coś właśnie zrozumiała.

- Zabijesz go, prawda?

Patrzę na pistolet i na nią. Uśmiecham się szeroko.

- Od dnia, w którym dowiedziałem się, że zabił moją żonę, o niczym innym nie marzyłem. Była dobrą, kochaną kobietą. Przeżyliśmy razem wiele lat i bardzo ją kochałem, kochałem tak bardzo, że nie da się tego opisać. Jeśli chcesz znać prawdę, to całym sercem pragnę jego śmierci. Chcę patrzeć, jak będzie zdychał w męczarniach - przerywam, patrzę na pistolet by zwiększyć efekt, po czym dodaję: - Ale gdybym tak zrobił, byłbym taką samą szmatą jak on.

Unosi głowę z zaciekawieniem.

- Wystarczy, że go złapię. Sędzia i przysięgli już zdecydują, co z nim zrobić.

Opuszcza wzrok, gasi papierosa i zapala następnego.

- Zadzwoń na policję?

- Nie. Oddam go w ręce Agencji ds. Zwalczania Narkotyków. No, chyba że coś mu wpadnie do głowy i będę musiał go zabić. Wierz mi, zastrzelę go nawet tutaj, w tym pokoju, jeśli mnie do tego zmusi.

To jedna z decyzji, które podjąłem podczas lotu - nie chcę mieć do czynienia z miejscową policją. Najprawdopodobniej są skorumpowani. Kto wie, może nawet płaci im Surigao. Nawet jeśli tak nie jest, to nie chcę, żeby został zwolniony na mocy jakiegoś przepisu; nic nie wiem o tutejszym prawie. O nie, w chwili, gdy Surigao przekroczy próg tego pokoju, przystawię mu pistolet do głowy i zadzwonię do przedstawicielstwa Agencji w ambasadzie. Pewnie już go szukają, a jeśli nie, to

mogą sprawdzić wszystko u pułkownika i na policji Los Angeles. Gdy w myślach układam szczegółowy plan działania, rozlega się dźwięk telefonu - głośny, świdrujący brzęczek wwierca mi się w uszy.

Carla podchodzi do biurka.

- Chwileczkę - mówię ostro i idę do drugiego aparatu zainstalowanego przy łóżku. - Udawaj, że jesteś sama. Żadnych sztuczek, rozumiesz?

Posłusznie kiwa głową.

- No, odbierz.

Podnosimy jednocześnie słuchawki po szóstym czy siódmym dzwonku. Przykrywam słuchawkę dłonią.

- Słucham? - pyta.

- To ja. Gdzieś ty do cholery była? - znajomy męski głos. Głos kogoś, kogo znam jako kapitana Sullivana, drży teraz nie ze wściekłości, tylko ze strachu.

Carla patrzy na mnie spanikowanym wzrokiem.

Wskazuję łazienkę i bezgłośnie wypowiadam słowo „prysznic”.

- Carla? - warczy Surigao. - Cholera, Carla, jesteś tam?

- Jestem, Sean. Przepraszam, właśnie wyszłam spod prysznica. Co się dzieje? Mówisz tak, jakby...

- Ci skurwiele mnie oszukali.

- Co?

- To była pułapka. Ajacier w ogóle nie przylazł. Chcieli mnie zabić, ale wyczułem, co jest grane i udało mi się zwiąć.

- O mój Boże - wzdycha - Sean, o mój Boże...

- Przestań, Carla, nie pora na histerie. Ciągłe mnie szukają.

- Co chcesz zrobić?

- Nie jestem pewien, może uda mi się dogadać z drugą stroną. Wynajmij samochód i przyjeźdź na róg Khlong Thom i Yaowarat. To w Chinatown.

Bierze do ręki ołówek i zapisuje adres na kartce.

- No jak, zanotowałeś?

- Tak, Khlong Thom i Yaowarat.

- Pośpiesz się. Przyjeźdź jak najszybciej. Upewnij się, że nikt cię nie śledzi.

Połączenie zostaje przerwane.

- Sean? Sean, wszystko w porządku? - dopiero po dłuższej chwili odkłada słuchawkę. Stoi z otwartymi ustami. Skurwysyny -przeklina pod nosem - nie powinien im ufać. Zrobił, co mu kazali, a teraz, kiedy przychodzi pora płacić... -przerywa gwałtownie.

- Wygląda na to, że Sean ma kłopoty.

- To nie w porządku.

- Wyraży współczucia.

Zdenerwowana wykręca dłonie. Jest przekonana, zresztą słusznie, że nie pozwoli jej pomóc mężowi.

Nic nie mówię. Analizuję sytuację. Wygląda na to, że Ajacier również jest w Bangkoku. Jeśli wszystko dobrze rozegram, może uda mi się dopaść ich obu. Mimo to moim głównym celem jest wciąż Surigao. Teraz to tylko kwestia czasu. Nie dość, że wiem, gdzie jest i czego chce, mam również osobę, której on ufa.

- Proszę - mówi Carla z coraz większym niepokojem - proszę, musisz mi pozwolić mu pomóc.

- Nie muszę - odpowiadam tak okrutnie, jak tylko potrafię. Patrzy na mnie z nienawiścią.

- Ale mogę.

- Od czego to zależy?

- Od ciebie. Wcześniej zadałem ci pewne pytanie, na które jeszcze mi nie odpowiedziałaś. Pytam więc po raz ostatni - dlaczego usiłował mnie zabić?

- Naprawdę nie wiem.

- Przestań, do jasnej cholery. Powiedziałaś Seanowi o mnie, bo miałaś informacje z CIL. Przecież nie wyciągnęłaś mojego nazwiska z jakiegoś pierdolonego kapelusza. Dlaczego ja?!

- Nie, panie Morgan, nie wyciągnęłam pańskiego nazwiska z jakiegoś pierdolonego kapelusza - odpowiada wreszcie gorzko. -Było kilka nazwisk, na które miałam zwrócić uwagę.

- Dlaczego?

- Bo Sean mnie o to prosił. Wiem tylko tyle.

- No to trzeba przyznać, że Sean ma pecha.

- Powiedziałabym, przysięgam - przerywa na chwilę w oczekiwaniu jakiejś odpowiedzi.

Patrzę na nią w milczeniu.

- Proszę, panie Morgan - mówi dalej łamiącym się głosem. -Opowiadał pan o swojej żonie. Sean i ja jesteśmy razem od dawna, od ponad piętnastu lat. Ma swoje wady, ale... Proszę, bez względu na to, co pan o nim myśli, co panu zrobił, jest moim mężem i ja go kocham. Naprawdę.

Ma oczy pełne łez. Wygląda tak bezbrinnie, tak uczciwie i sympatycznie, że w końcu zaczynam jej wierzyć i nawet podziwiam za lojalność i odwagę.

- Nie powstrzyma mnie pan - ciągnie - nie da rady. Będzie pan musiał mnie zabić - odwraca się, łapie torebkę i pędzi do drzwi. Rzucam się za nią i przytrzymuję ją za ramię. Próbuje się wyrwać.

- Puść mnie - krzyczy - muszę mu pomóc, muszę!

- Nie, Carla -mówię chłodno, wyciągając ostatnią kartę -jeśli naprawdę chcesz mu uratować życie, to ty musisz mi pomóc.

25

- W lewo, przez ten mostek. Carla prowadzi.

Ja pilotuję z mapą w ręku.

Bangkok to dziwne miasto. Wybudowano je na bagnach. Teraz ulice płaczą się i krzyżują jak strumienie, którymi niegdyś były. Nie są nazwane według jakiegokolwiek reguły, a ponadto wiele z nich przecinają kanały, zamieniając je w pułapki bez wyjścia.

Jedziemy ulicą Charoen Krung, głównym bulwarem ciągnącym się równoległe do rzeki, i dojeżdżamy do wąskiego mostu. Samochód ledwie się przeciska, ale po chwili jesteśmy już po drugiej stronie kanału Phadung, na południowo-wschodnim krańcu China-town. Człowiek, od którego braliśmy auto w Dusit Thani, usiłował nas nakłonić do czegoś małego, mimo to zdecydowałem się na dość potężnego sedana. Mam swoje powody.

- Poproszę kartę kredytową oraz krajowe i międzynarodowe prawo jazdy - powiedział. Wyjaśnił, że bez tego ostatniego nie można w Tajlandii wynająć żadnego samochodu. Przypomniałem sobie, że pisali coś o tych przepisach w przewodniku, no, ale chwała Bogu, Surigaowie i tym razem mnie nie zawiedli. Carla miała je ze sobą.

Gdy wjeżdżamy z mostu do dystryktu Sampheng, pejzaż zmienia się nagle. Jesteśmy w obskurnej i zatłoczonej wiekowej enklawie, położonej w zakolu na wschodnim brzegu Chao Phraya. Podobnie jak w całym Bangkoku frontony budynków pokrywają rozmaite znaki, jednak tutaj, obok kanciastych i równo ustawionych liter tajskich, pojawiają się chińskie, całkowicie odmienne w swojej grafice. Skręcamy w Song-Sawat Road i przemykamy wąskimi uliczkami.

- Zbliżamy się do Yaowarat. Zjedź na bok.

- Chce pan, żebym tu zaparkowała?

- Tak, przed skrzyżowaniem. Rób, co mówię i pamiętaj - los twojego męża zależy od tego, czy i jak będziesz ze mną współpracować.

Carla sztywnieje i zjeżdża na krawężnik.

Wyprzedza nas samochód, w którym siedzą dwaj mężczyźni. Surigao co prawda ostrzegął Carłę że może być śledzona i cały czas zwracaliśmy uwagę na podejrzaną pojeżdż. Tego jednak nie widzieliśmy przedtem.

- Jechali za nami?

- Chyba nie.

- Coś ci przypominał?

- Nie.

- A ci dwaj faceci?

- Nie widziałam ich twarzy.

Mijają skrzyżowanie i jadą prosto przed siebie. Wkrótce znikają z pola widzenia. Nie ma czasu na przesadną ostrożność. Za zakrętem, kilka przecznic dalej czeka człowiek, który zabił Nancy. Stąd już nie ma powrotu.

Chowam się na tylnym siedzeniu.

- Będę tu, na dole, tak żeby Sean mnie nie zauważył - wyjaśniam i kucam na podłodze, za oparciem fotela pasażera. - Podjedziesz tam i się zatrzymasz. On usiądzie obok ciebie. Wtedy ja przyłożę mu pistolet do głowy i krótko przedstawię perspektywy na przyszłość. Podejrzewam, że nie będzie zadowolony, ale najprawdopodobniej zachowa się rozsądnie. A zresztą, pomożesz mężowi w podjęciu słusznej decyzji. Jak już się uspokoi, zawiesz nas do ambasady amerykańskiej. To dość blisko, zresztą powiem ci gdzie. Zrozumiałaś?

Przytakuje.

- Carla, ja nie żartuję - wyjmuję berettę z kieszeni - nie daj mi pretekstu, żebym musiał go zabić. Z wyraźnym lękiem spogląda na pistolet i posłusznie kiwa głową.

- Pamiętaj, ciebie też mogę zabić.

- Dobrze. Dobrze - mówi i przygryza dolną wargę. Jej akcent jest coraz bardziej wyraźny. - O Boże, a jeśli coś się nie uda?

- No, wspaniale. Po tym, co usłyszałaś od Seana, powinnaś wyglądać na przerażoną. Nie próbuj ukrywać lęku. Jedźmy. Teraz w lewo.

Carla rusza i skręca w Yaowarat - wyboistą, opustoszałą ulicę. Po obydwu stronach górują doki załadunkowe. Ustawione jeden przy drugim budynki blokują dopływ światła, przez co ocieniona ulica przypomina kanion. Jedziemy w kierunku zachodnim, w oddali widać plamę światła. Po drodze mijamy samotnego pieszego i parę kundli polujących na resztki jedzenia.

- No dobra, to już prawie Khlong Thom. Teraz powoli i spokojnie.

Przechyliłam się nieco na lewą stronę, w ten sposób przez szparę między siedzeniami mogę dostrzec, co jest na drodze przed nami. Widziane z daleka światło okazuje się placykiem umiejscowionym tuż za skrzyżowaniem, na którym uliczni handlarze porozkładali swoje towary.

Im bliżej podjeżdżamy, tym wyraźniej widać zarys postaci stojącej w drzwiach budynku na narożniku placu. Bez wątplenia jest to mężczyzna. Zauważa samochód, ale wciąż pozostaje w cieniu. Podjeżdżamy tak blisko, jak tylko można. Najwyraźniej rozpoznaje Carlę i rozglądając się rusza w stronę ulicy. Ciemne włosy ma zaczesane do tyłu, mocno opaloną twarz, a na wspaniałym irlandzkim nosie okulary lotnicze. To on. Kapitan Sullivan. To facet z niebieskiego sedana, z pokoju hotelowego i zdjęcia pułkownika. Wszystko staje się teraz jednym.

- Pamiętaj, żadnych wygłupów - przystawiam pistolet do pleców Carli i wciskam się w kąt między siedzeniem pasażera a drzwiami. Czuję się o niebo bezpieczniej, gdyby było ciemno. Na szczęście wysoko ustawione oparcie ochrania mnie wystarczająco, a ponadto -jak się zresztą spodziewałem - Surigao zwraca większą uwagę na ulicę, bazar i boczne alejki niż na samochód. W końcu to stamtąd spodziewa się ataku.

Samochód się zatrzymuje.

Chwila ciszy. Głośny tupot. Na siedzenia pada cień.

Carla patrzy z wyczekiwaniem w lewą stronę.

Czekam na odgłos otwieranych drzwi. To mój sygnał. Serce wali mi jak młot, w ustach nie mam ani odrobiny śliny, dłonie i czoło pokrywa pot. Wilgotność i upał są niemal równie nieznośne jak to napięcie.

Mija kilka sekund.

I jeszcze kilka.

Carla nie rusza się z miejsca.

I wciąż nic. Kurwa mać, coś za długo. Nie podoba mi się to. Albo udało jej się dać mu jakiś znak, albo jednak mnie zobaczył. Nie mogę dłużej czekać. Wyłaniam się spod siedzenia z berettą w dłoni. Surigao stoi na zewnątrz i wyciąga pistolet z kieszeni. Jest nie więcej niż metr ode mnie. Mierzy prosto w moją głowę, jednak patrzy w zupełnie innym kierunku. Nie widzi mnie. Nagle wyraz jego twarzy zmienia się gwałtownie. Teraz mnie zobaczył, zobaczył trupa. Był przecież pewien, że nie

żyję. Stoimy na wprost siebie, rozdziela nas tylko okno. Cholera jasna, nie chcę go zabić, chcę mieć go żywego, chcę odpowiedzi. Albo on, albo ja. W jego oczach pojawia się strach. Naciskam spust, i Carla wciska gaz do dechy. Samochód wyskakuje do przodu z piskiem opon. Nagłe przyspieszenie rzuca mnie do tyłu i kula, zamiast w Surigao, trafia w dach samochodu. Za sobą słyszę strzały. Trzy, cztery, pięć ogłuszających trzasków. Boczne i tylne szyby rozlatują się na setki drobnych kawałków. Nad głową rozlega się świst przecinających powietrze kul.

Nagle słyszę krzyk Carli. Puszcza kierownicę i osuwa się między przednie siedzenia. Jej głowa opada wprost na mnie. Widzę krew tworzącą na podłodze sporą kałużę. Na jej pięknej twarzy nie ma śladu trafienia, śliczne oczy patrzą pusto.

Samochód zarzuca najpierw w prawo, potem w lewo, obijam się o drzwi, zastanawiając się, czy też dostałem. Nie czuję bólu ani krwi, ale widziałem już ludzi, którzy umierali w równie świetnej formie.

Ponad ciałem Carli sięgam do dźwigni zmiany biegów i przesuwam ją z pozycji jazdy, poprzez wsteczny, do parkowania. Skrzynia biegów wydaje z siebie przeciągły zgrzyt.

Samochód zatrzymuje się gwałtownie.

Zostaję wyrzucony do przodu. Gdyby nie to, że trafiam ramionami w przednie siedzenia, wyleciałbym przez przednią szybę.

Przeczołguję się i wychodzę drzwiami po stronie kierowcy, przykucnięty tak, by samochód chronił mnie przed kulami Surigao. Nie słyszę jednak strzałów, tylko szum odjeżdżającego samochodu. Z koła unosi się gryzący dym. Nade mną wisi niebieskawa mgiełka. Nagłe przyspieszenie spowodowało starcie sporej części opony, ale nie udało nam się ujechać zbyt daleko. Jestem nie dalej niż osiem-dziewięć metrów od skrzyżowania. Surigao-miał dostatecznie dużo czasu, żeby podejść i mnie zastrzelić. Ale tego nie zrobił. I przepadł. Gdzie on, do cholery, jest? Za mną? A może skrada się od drugiej strony samochodu?

Padam na ziemię z pistoletem w dłoni. Patrzę pod samochód. Nikogo. Widzę małą figurkę, biegnącą w kierunku bazaru. To on. Przeciska się przez tłumek gapiów chcących podejść bliżej miejsca całego zdarzenia.

Podnoszę się i zaczynam pościg. Wciąż nie rozumiem dlaczego Surigao ucieka zamiast mnie zabić. Miał strategiczną przewagę. Przecież przez dłuższą chwilę byłem bezbronny. Tego po prostu nie mogę pojąć.

Wbiegam na plac. Wśród rozklekotanych stoisk kłębi się tłum miejscowych i turystów kupujących wszystko, począwszy od egzotycznych ziół, a skończywszy na fałszywych antykach. Większość z nich nie słyszała, albo postanowiła zignorować strzelaninę.

Surigao rozpląnął się w tłumie.

Staję w miejscu. Jestem złany potem i próbuję z trudem złapać oddech. Rozglądam się we wszystkie strony. Nagle zauważam przed sobą jakieś poruszenie - to on, rozpycha ludzi na boki, próbuje przedrzeć się przez tę nie kończącą się masę. Jest o wiele bliżej niż się spodziewałem. Ale w tym miejscu nie mogę ryzykować strzału. Wbijam się w środek tłumu i biegnę, próbując w miarę możliwości unikać zderzeń. Nie całkiem mi się to udaje. Jedni ze złością stają na mojej drodze, inni patrzą, nieliczni ustępują miejsca.

- Mój portfel! - krzyczę i czuję, jak ktoś wbija mi łokieć pod żebro - łapcie złodzieja! Zabrał mi portfel!

Oczywiście nikt nie rzuca się w pościg, ale przynajmniej niektórzy odsuwają się na bok. Droga staje się mniej więcej wolna. Biegnę jednym z przejść między straganami. Nagle zauważam błysk kolorowego materiału. Zza jakiegoś stoiska wyłania się mężczyzna. Próbuję go ominąć, ale nic z tego. Zderzam się z nim i ląduję na

ziemi. Instynktownie wyciągam ręce próbując złagodzić upadek, beretta wypada mi z dłoni. Ląduje daleko ode mnie. Zaczynam czołgać się w kierunku pistoletu, ale ktoś przebijający się przez tłum nieostrożnym postawieniem stopy kopie go jeszcze dalej. Kurwa. Przepadł. Pistolet przepadł.

Ktoś chwyta mnie za ramię i pomaga wstać. To potężny mężczyzna w kwiecistej koszuli z przewieszonym przez szyję aparatem fotograficznym; na ramieniu ma torbę. Patrzy z troską.

- Hej, naprawdę przepraszam. Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam i rozglądam się wokół. Wreszcie zauważam Surigao - jest po drugiej stronie bazaru, właśnie wchodzi w jedną z uliczek.

- Nie zauważyłem pana - ciągnie. - Mam nadzieję, że pan nie jest ranny czy coś takiego.

- Nie, nie, wszystko OK. Nie ma sprawy - mówię, próbując go ominąć.

- Jest pan pewien? - wygląda na szzzzts zaniepokojonego. Miło, ale jego wielka postura blokuje mi przejście.

- Tak, tak. Facet rąbnął mi portfel. Muszę go dogonić - wreszcie udaje mi się od niego odczepić i biegnę za Surigao, zupełnie bezbronny. Wiem, że jeśli będę teraz szukał pistoletu, to nigdy go nie złapię.

Uliczka jest wąska, wyboista i zaśmiecona. Przedzieram się przez stosy plastikowych worków i powyginanych wiader. Trafiam na jakieś podwórko. Drogi rozchodzą się we wszystkie strony. Nie widzę Surigao, ale słyszę odgłos uderzających rytmicznie o beton butów. Dźwięk odbija się od otaczających mnie ścian domów dlatego nie wiem, skąd właściwie dochodzi. Dopiero po kilkunastu sekundach zauważam, że tylko jedna uliczka została wylana betonem i nią właśnie zaczynam biec. Wydaje mi się, że nie ma z niej wyjścia, ale wkrótce zauważam, że na drugim końcu krzyżuje się z inną. Zatrzymuję się pod ostatnim budynkiem i ostrożnie wychylam się zza węgła.

Z przodu widzę wysoki mur.

Z prawej fronton stalowych drzwi.

Z lewej schody prowadzące na coś, co wygląda na promenadę.

Surigao wbiega na nie, przeskakując po dwa stopnie naraz. Do szczytu schodów ma już tylko kilka.

Rzucam się za nim, ale on jest

już na górze i znika z pola widzenia. Przyspieszam tempo - potykam się. Kiedy wreszcie osiągam szczyt schodów i staję na równoległym z rzeką deptaku, z którejś łodzi dobiega mnie gwizd.

Surigao jest, biegnie wzdłuż podniszczonych stempli. Odwraca się w biegu i strzela. Potem jeszcze raz.

Ile ma jeszcze kul? Szesciostrzałowy rewolwer. No tak, licząc te, które oddał w stronę samochodu, to był siódmy strzał, czy nawet ósmy. Z pewnością amunicja już mu się wyczerpała.

Wydaje się tracić siły. Dzieli nas nie więcej niż trzydzieści pięć metrów. W college'u udawało mi się przebiec taki dystans w pięć sekund. To żaden rekord, ale teraz biegnę o wiele wolniej. Za dużo steków, za mało ćwiczeń. Nogi uginają się pode mną, oddycham z trudem, serce próbuje wyskoczyć mi z klatki piersiowej. Ale jestem coraz bliżej.

Surigao odbija w lewo i wbiega na wystające poza nabrzeże krótkie molo. Podjeżdżają jakieś samochody. Samochody? Na drugim krańcu stoi przycumowany prom. Właśnie wjechało ostatnie auto. Surigao przebiega obok budki z biletami; następnie cudem omija pracownika doku, łapie górną część zamykającej się kłapy promu i wskakuje ponad nią na pokład. Pada na twardą powierzchnię, powoli, jakby w zwolnionym tempie, podnosi się i przytrzymuje bok. Twarz wykrzywia mu ból.

Podbiegam do bramki i chwytam ją, chcąc skoczyć za nim, ale prom odpłynął już za daleko. Nie uda mi się. Stoję i tylko patrzę z nienawiścią na odpływającego Surigao.

Zabójca Nancy zwał. W żaden sposób nie znajdę go w tym zatłoczonym mieście. Powinienem był tam w tym tłumie na targu strzelić do niego. Wpatruję się w pianę pozostawianą przez silniki okrętu. Nagle czuję, coś mokrego i kleistego na dłoni. Puszczam barierkę. Jestem ubrudzony jasnoczerwoną krwią - krwią Surigao.

Jest ranny.

Ale to nie ja do niego strzelałem.

Ktoś inny zrobił to za mnie.

26

Nie wiem nawet, jak długo chodzę po nabrzeżu - po mostach spinających brzegi niezliczonych kanałów, mijając pomosty, do których na krótką chwilę przybijają barkasy i promy.

Pewnie z godzinę.

Potrzebowałem właśnie tyle czasu by ochłonać i zacząć myśleć racjonalnie. Przypomniałem sobie, że Surigao nie mówił przez telefon nic o tym, że jest ranny. Był tylko i wyłącznie przerażony. Było jasne dlaczego. „O mało co mnie nie dostali”. Stąd wniosek, że trafili go później. W Chinatown. Tamten samochód, który zauważyłem w drodze z hotelu, musiał więc należeć do ludzi Ajaciera. Carla nie ostrzegła Surigao. Nie zauważył mnie, ani nie wyczuł mojej obecności, ale za to dostrzegł zbliżające się auto, dostrzegł morderców najętych przez Ajaciera. Ja nie mogłem ich widzieć, bo siedziałem przykucnięty wewnątrz samochodu, na dodatek plecami do ulicy. Tak samo Carla. To wszystko działo się tak szybko, że dopiero teraz dociera do mnie, że dostała kulę w tył głowy. Na pewno nie z pistoletu Surigao. On najprawdopodobniej wtedy w ogóle nie wystrzelił. Ludzie Ajaciera trafili i ją, i jego. I właśnie dlatego Surigao nie próbował mnie wykończyć. Dlatego uciekał.

To wszystko jest bardzo niepokojące. Nie poznałbym Ajaciera nawet gdybym wpadł na niego na ulicy, ale za to on wie jak wyglądam i kim jestem. Wie, że jestem w Bangkoku i że jeszcze żyję. Straciłem przewagę.

Będę musiał o wiele bardziej uważać.

Przez jakieś dziesięć sekund rozważam to wszystko, po kolejnych dziesięciu zdaję sobie sprawę, że ostrożność nie zawsze jest najlepszym wyjściem. Nie powinienem był dać się złapać w tę pułapkę. Albo jesteś myśliwym, albo ofiarą - tego uczono nas w Wietnamie. Teraz pora na zmianę nie strategii, ale celu. I chyba nawet wiem co robić: Ajacier jest w Bangkoku. Ma udział w Thon-buri Film Studios. Może ma tam też swoje biuro.

Przechodzę na skróty do sprzedawcy zachwalającego swój towar na najbliższym pomoście.

- Gdzie tu znajdę budkę telefoniczną?

Nie mówi po angielsku. Na szczęście ma klienta, który zna ten język. Jest drobnym, ruchliwym człowieczkiem, który, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Bangkoku, wysłuchuje uprzejmie mojego pytania i przed udzieleniem odpowiedzi uśmiecha się współczująco. Potrząsa głową.

- Przepraszam. W Bangkoku nie jest.

- To znaczy, że nie ma tu żadnej? Uśmiecha się i przytakuje.

- Mniej telefon niż palec jedna dłoń. I zawsze zepsuty. Pan spróbuje hotele. Albo firma telefoniczna na New Road.

Miałem zamiar zadzwonić do Thonburi Film Studios, żeby sprawdzić, czy jest tam Ajacier. Zamiast tego zatrzymuję taksówkę. Kierowca wie, gdzie jechać. Okazuje się, że mówi trochę po angielsku i zna adres. Tutaj kinematografia święci triumfy. W samym Bangkoku jest pięć wielkich studiów. A w całym mieście tysiące tablic z plakatami reklamującymi nowe firmy.

Ta, która góruje ponad wjazdem na teren Thonburi Film Studios, ma dwa piętra wysokości.

Przedstawia przystojnego Azjatę w smokingu otoczonego, zupełnie jak James Bond, seksownymi Azjatkami w obcisłych spódnicach. W odróżnieniu od Hollywood, nie jest to zazdrośnie strzeżona niedostępna forteca. To wysoki nowoczesny biurowiec z wejściem od strony ulicy. Wychodzę z taksówki, idę szybkim krokiem do holu i natychmiast podchodzę do tablicy informacyjnej. Pod literą A jest Ajacier, P., Franco-Asian Cinema, szóste piętro.

Jadę windą na górę. Potem kieruję się wprost do recepcji. Lśniące, nowoczesne biura przywodzą mi na myśl moje własne. Na

ścianach obramowane plakaty filmowe. Mówię recepcjonistce, że chciałbym się zobaczyć z panem Ajacierem. Najwyraźniej nie wyglądam najlepiej, bo lustruje mnie dokładnie od stóp do głów z dezaprobatą w oczach. Pyta:

- Jest pan umówiony?

- Nie, jesteśmy starymi znajomymi. Byłem w pobliżu i postanowiłem, że do niego wpadnę.

- Bardzo mi przykro, ale ma ważne spotkanie - stwierdza i bezwiednie odwraca głowę w kierunku oszklonego pokoju tuż przy recepcji.

Pomiędzy wąskimi zasłonami zauważam kilkunastu mężczyzn siedzących wokół dużego stołu konferencyjnego.

- Proszę podać nazwisko, to przekażę panu Ajacierowi, że pan przyszedł.

- Nie ma potrzeby, sam mu powiem.

Odwracam się na pięcie i ruszam wprost do sali konferencyjnej.

- Proszę pana? Proszę pana, tam nie wolno wchodzić - prawie krzyczy i wybiega zza biurka próbując zabiec mi drogę.

Wymijam ją, otwieram drzwi na oścież i dostojnym krokiem wkraczam na salę. Głowy wszystkich zebranych odwracają się w moim kierunku. Jeden z nich to człowiek, którego poszukuję. Jeszcze nie wiem który.

- Pan Ajacier? - rzucam w przestrzeń.

Wszystkie głowy zwracają się w stronę mężczyzny zajmującego najważniejsze miejsce. Przez chwilę wydaje się nieco speszony, po czym wstaje i przygląda mi się jasnoniebieskimi oczami, w których czai się nieufność. Wygląda na blisko sześćdziesiąt lat. Jest wysoki i dobrze ubrany, ma smagłą korsykańską cerę. Wyostrzone rysy i wydłużona twarz nadają mu dystyngowany wygląd.

- Co to ma znaczyć? Kim pan jest?

- Nazywam się Morgan - odpowiadam spokojnie, próbując zahamować nadmierny przypływ adrenaliny.

Zaskoczenie Ajaciera błyskawicznie przechodzi w rozpoznanie. Sztywnieje, zastanawiając się prawdopodobnie, czy wyciągnę pistolet i rąbnę go tu i teraz.

- No, ale przecież nie musiałem tego panu mówić. Wie pan, kim ja jestem i ja wiem kim pan jest. Spogląda nerwowo na swoich gości.

- Obawiam się, że bierze mnie pan za kogoś innego.

- Obawia się pan? A czegoż to, jeśli wolno zapytać? Że pana skompromituję? W razie gdybyście panowie mieli jakieś wątpliwości, nie rozmawiamy o żadnym filmie. Ten człowiek nasłał na mnie mordercę.

Ajacier zaciska zęby i patrzy na mnie.

- Chyba posunął się pan za daleko, panie Morgan. -Odwzajemniam spojrzenie, kiedy wchodzi umundurowani strażnicy.

- Proszę wyprowadzić tego dżentelmena - mówi Ajacier z wyraźną ulgą w głosie.

Jeden ze strażników bierze mnie za ramię. Uwalniam się z jego uścisku i wychodzę na zewnątrz, obstawiony ze wszystkich stron. Eskortują mnie do windy, na dół do holu i wyprowadzają na ulicę. To było naprawdę przyjemne uczucie. Nie czułem się tak dobrze od kilku miesięcy. Wyruszam na poszukiwanie taksówki i przypominam sobie Surigao. Pewnie siedzi teraz w izbie przyjęć jakiegoś szpitala czy przychodni. Niestety, w Bangkoku niewątpliwie jest mnóstwo szpitali, nie mówiąc o prywatnych gabinetach. Przeszukać je wszystkie jest rzeczą praktycznie niemożliwą. Poza tym być może w końcu im się udało i leży martwy w którejś z odludnych, śmierdzących uliczek. Uznaję drugą wersję zdarzeń za bardziej prawdopodobną i zamawiam taksówkę do hotelu Oriental.

Zbudowany pod koniec dziewiętnastego wieku stanowi elegancko odrestaurowane połączenie stylu Art Nouveau i starowiedeń-skiej architektury. Mieszkali w nim tacy znani ludzie, jak mistrzowie pióra Somerset Maugham i Joseph Conrad. Ich imionami nazwano apartamenty.

Po jednej stronie holu kwartet skrzypcowy gra utwór, który, jak zwykle, kojarzę, ale nie potrafię nazwać. Przechodzę obok i widzę, że goście hotelowi przyglądają mi się ukradkiem. Właśnie zaczynam się zastanawiać, dlaczego, kiedy w lustrze zauważam dość niechlujnie wyglądającego faceta. Rozczochrane, posklejane włosy, wymięte brudne i przepocone ubranie, a kiedy przyglądam się uważniej dostrzegam, że na dodatek poplamione krwią.

O, Boże. To ja.

Wiele razy przytrafiało mi się to w Wietnamie i teraz znowu. Po kilku miesiącach w dżungli dostawałem przepustkę i lądowałem

w Sajgonie lub Manili. Po drodze do pokoju hotelowego przypadkiem patrzyłem w lustro i za każdym razem myślałem, że to ktoś inny. Zadziwiające, jak mało wspólnego miało to, jak siebie postrzegałem, z tym jak naprawdę wyglądałem.

Ludzie patrzyli na mnie, ale byłem przecież żołnierzem. Niestety, w eleganckim Orientalu jest zupełnie inaczej. Idę do męskiej ubikacji i przez kilka minut próbuję doprowadzić swój wygląd do jako takiego porządku, po czym udaję się do baru na powietrzu, w którym ponoć dyskutowali

kiedyś sławni literaci. Olbrzymie szklane drzwi prowadzą na taras ponad rzeką Chao Phraya, gdzie łodzie przemierzają słoną wodę w leniwym żółtym tempie.

Kate siedzi przy jednym ze stolików i czyta gazetę. Wyczuwa, kiedy się do niej zbliżam i unosi głowę.

- Cześć, jak poszło? - pyta radośnie.

- Długo trzeba by opowiadać - odpowiadam i bezwładnie opadam na krzesło obok. - Jestem cholernie zmęczony, muszę odpocząć. Wzięłaś pokoje?

- Nie. Nie były jeszcze gotowe. Powiedzieli, żeby przyjść po trzeciej.

Spoglądam na zegarek.

- No to na co czekamy?

- Na Vanna Natha.

- Kogo?

- Tego biznesmena, o którym ci opowiadałam.

- Tego, co pomaga emigrantom?

- Tak, zostawiłam bagaże w holu i pojechałam do jego biura. Nie zastałam go, ale kiedy tu wróciłam, dostałam wiadomość, że przyjdzie do hotelu. Czekam już prawie godzinę. Pewnie... - nagle przerywa i patrzy na mnie spode łba - ale strasznie wyglądasz.

- Dzięki za komplement. Powinnaś zobaczyć mojego przeciwnika.

- To znaczy, że Surigaowie byli w hotelu? Przytakuję z ponurą miną.

- No i?

Zastanawiam się przez chwilę, po czym odpowiadam szeptem:

- Carla nie żyje. On chyba też.

Kate odchyła się na krześle i patrzy oskarżycielsko.

- Ja ich nie zabiłem, to kumple Surigao. Namówili go, żeby przyjechał do Bangkoku i tu zaczął nowe życie. Najwyraźniej

Ajacier od samego początku zamierzał go sprzątnąć. Carla znalazła się na linii ognia.

Kate kiwa głową w zamyśleniu.

- No to Ajacier już wie, że żyjesz.

- I to jeszcze jak.

- Czyżbyś się tym nie przejmował?

- No właśnie.

Patrzy na mnie z zaciekawieniem.

- Zrozumiałem, że w tej grze można być albo myśliwym, albo ofiarą. Dlatego odnalazłem go i trochę nastraszyłem.

- Cofam wszystko, co powiedziałam.

- Trzy Ojczy Nasz, trzy zdrowaśki, weź dwie aspiryny i zadzwoń rano.

- Słucham?

- Musisz być katoliczką.

Uśmiecha się i ożywia na widok czegoś, czego ja nie mogę dostrzec.

- O, jest. Vann? - woła, podnosi się i zaczyna machać rękami. - Vann? Tutaj.

Odwracam się przez ramię i zauważam przystojnego mężczyznę w garniturze. Jak na Azjatę, jest wyjątkowo wysoki. Ma około pięćdziesiątki i wygląda na arystokratę. Zauważam nawet tę jakże typową siwiznę pośrodku włosów.

- Kate - wita ją wylewnie. Ona podbiega do niego z otwartymi ramionami - aż trudno mi uwierzyć, że tu naprawdę jesteś.

- Mnie też - odpowiada i rzuca mu się na szyję.

Vann zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i cofa się, by się jej przyjrzeć.

- Wspaniale wyglądasz. Jesteś piękna jak zawsze - ma lekki akcent i niemal dworskie maniery.

- Lepiej załóż je z powrotem - żartuje i przedstawia nas. Wyjaśnia dyskretnie, że jestem przyjacielem i przyjechałem w podobnej sprawie.

- Jeśli tylko będę mógł w czymś pomóc - oświadcza Vann Nath, gdy zajmujemy miejsca przy stoliku.

- Dziękuję, będę pamiętał.
 - Przepraszam, że przyszedłem tak późno - mówi i uśmiecha się do Kate - ale być może mam coś, co to wynagrodzi.
 - Masz coś?
 - Kate, pamiętaj, powiedziałem „być może”.
 - O, Boże, mów szybko - gorączkowo ściska jego dłoń.
 - Po tym, jak zadzwoniłaś z Hawajów, przypomniałem sobie, że ostatnimi czasy pomogłem wielu ludziom powiązanych z Pathet Lao. Ciężko było ich zwerbować. To byli dziennikarze i fotograficy wcieleni do wojska w celu prowadzenia kampanii propagandowych. Pisali notatki do prasy, robili zdjęcia zestrzelonych amerykańskich samolotów, więźniów, takie rzeczy. Przejrzałem notatki i odkryłem, że jeden z nich był oddelegowany do jednostki stacjonującej w pobliżu miejsca zaginięcia twojego męża.
 - Wie coś o Johnie?
 - Tak twierdzi. Przekazałem mu nazwisko Johna i twoje informacje - przerywa i z niedowierzaniem potrząsa głową. - Naprawdę nie mogę uwierzyć, że nie powiedzieli ci od razu całej prawdy. Kate wzrusza ramionami z rezygnacją.
 - Mieli swoje powody.
 - W każdym razie ten człowiek zadzwonił jeszcze tego samego dnia i powiedział, że ma w swoich aktach coś interesującego.
 - Powiedział, co?
 - Skąd. Nie powie wszystkiego od razu. Wiesz, jak to jest.
 - Oj, tak. Ile chce?
 - Trudno powiedzieć. Zobaczymy. Pieniądze oddasz mi przy okazji.
 - No, a kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać?
 - Dzisiaj. Bądźcie tu o ósmej trzydzieści - Vann Nath wyjmuje wizytówkę z portfela i na jej odwrocie zapisuje godzinę.
- Wyczuwam obecność kelnera.
- Przepraszam? - pytam - co zamówić?
 - Dziękuję panu, ale może innym razem - odpowiada Vann Nath i wstaje od stolika. - Jak zwykle jestem już spóźniony. Miło było pana poznać.
 - Mnie również.
 - Kate - mówi poważniejszym tonem - niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o informacje dotyczące zaginionych żołnierzy.
 - Rozumiem.
 - To dobrze. Po prostu nie chcę, żebyś sobie za wiele obiecywała.
 - Dzięki.
- Ściskają się na pożegnanie, po czym on odwraca się i pośpiesznie opuszcza lokal.
- Kate nie spuszcza z niego wzroku. Po jej policzku spływa łza.
- Wszystko w porządku?
 - Tak, to tylko niespodziewany nawrót wspomnień.
 - Przydałoby się nam trochę odpoczynku.
- Przytakuje, ociera rękawem oczy i kieruje się w stronę wyjścia.
- Kiedy wchodzimy do holu, bezwiednie wsuwam rękę do kieszeni płaszcza. Pusta. Przechodzi mnie dreszcz niepokoju. Nachodzenie Ajaciera bez broni podczas konferencji z biznesmenami to zupełnie co innego. Tam ja byłem panem sytuacji. Zaskoczenie dawało mi sporą przewagę. A teraz... Teraz jestem bezbronny. Idę za Kate, rozglądam się we wszystkie strony, podczas gdy ona podchodzi do recepcjonisty i podaje mu nasze nazwiska.
- Jest pełen rezerwy. Gdy znajduje nasze nazwiska w komputerowym wykazie, robi iście marsową minę.
- Będą państwo mieszkać w pokoju 527 - mówi z brytyjskim akcentem - bagaż państwa jest już na miejscu.
 - To znaczy mój i pana Morgana?

- Zdaje się, że tak, proszę pani.

Uderza mocno w dzwonek i idzie po klucz schowany w jednej z niezliczonych przegródek za jego plecami.

- Dali nam dwuosobowy - mówi zirytowana Kate. Po czym, kiedy recepcjonista podchodzi do zbliżającego się pokojowego, wykrzykuje: - Przepraszam! Najmocniej przepraszam, ale wygląda na to, że zaszła pomyłka.

Zatrzymuje się w pół kroku i odwraca ku niej.

- Słucham?

- Mówię, że chyba zaszła pomyłka - odpowiada Kate, próbując naśladować jego ton - nie rezerwowałam podwójnego pokoju, tylko dwie jedyneki.

Recepcjonista sceptycznie marszczy brwi. Sprawdza, podczas gdy pokojowy cierpliwie stoi w miejscu i czeka.

- Ach, rzeczywiście, ma pani rację. Bardzo mi przykro - mówi wpatrzony w ekran, a tak naprawdę to wcale nie jest mu przykro -taaaak. Jest jeszcze parę jedynek, które z pewnością przypadną państwu do gustu. Niestety sprzątaczkę nie zdążyły ich jeszcze przygotować.

- Ile czasu im to zajmie?

- Na pewno mniej niż godzinę. Wymieniamy pełne irytacji spojrzenia.

Recepcjonista wręcza pokojowemu klucze i każe zabrać nasze bagaże z dwójki. Ten bierze wózek i rusza w kierunku wind.

Wracamy do baru.

Po paru krokach ogarnia mnie dziwne poczucie zagrożenia. Czuję dreszcze. Wracam pamięcią do Wietnamu. Tam nigdy nie było wiadomo, kto tak naprawdę jest wrogiem. Sympatyczna wieśniaczka, która jednego dnia prała koszule, następnego odsyłała je z podłączonym ładunkiem wybuchowym... Nie czułem się tak od dwudziestu lat. Nie mogę uciszyć tego wewnętrznego głosu. Odczuwam niepokój.

- Co się dzieje? - pyta Kate.

- Nie wiem. Po prostu coś tu nie gra.

- Mai pen rai - mówi.

- Co?

- To stare tajskie wyrażenie. W luźnym tłumaczeniu znaczy „Zdarza się”. Trochę optymizmu.

Przynajmniej mają kilka wolnych jedynek.

- Nie o to mi chodzi. Czuję się tak, jak wtedy, podczas patroli. To coś jak szósty zmysł. Po pewnym czasie wszyscy go wykształciliśmy. Bez tego trudno byłoby przetrwać. Każdy z nas umiał wyczuć nadchodzące niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo?

- Zgadza się - odpowiadam ostrym tonem. Wspomnienia pułapek zastawianych przez nieprzyjaciela: praczki, przechodzenie przez płot zamiast przez bramę, wchodzenie do domów przez okna... Odwracam się i idę do recepcji.

Kate nie wie co się dzieje. Biegnie za mną.

- Gdzie pokojowy? - pytam recepcjonistę.

- Pokojowy? -powtarza, jakbym mówił w jakimś niezrozumiałym narzeczu.

- Tak, ten facet, który poszedł po nasze bagaże.

- Ach, bagażowy. Jest w drodze do pokoju, sir.

- Tego, który omyłkowo nam przydzielono?

Źle interpretuje moje pytanie i obrażony sztywnieje.

- Tak, sir. Jeszcze raz przepraszam za nieporozumienie. Czy potrzebuje pan czegoś z bagażu?

- Nie, nie, musi go pan zatrzymać.

- Bagażowego, sir?

- Tak, i to natychmiast. Musicie go zatrzymać.

- Ależ, sir - mówi niechętnie.

- Nie możecie go jakoś przywołać czy coś takiego?

- Obawiam się, że nie, sir.

Odwracam się i biegnę do wind. Jeden ze wskaźników piętra zatrzymał się na piętnastce, drugi zbliża się do trójki.

- Co jest? Coś nie tak? - pyta zdziwiona Kate, gdy mnie wreszcie dogania.
- Jaki to był numer pokoju?
- Chyba 527. O co ci chodzi?

Wbiegam na schody. Wiją się wokół szybu. Przeskakuję po dwa, trzy stopnie naraz. Za sobą słyszę posapywania Kate, która usiłuje mnie dogonić. Następnie słyszę trzask towarzyszący ruszaniu windy. Wjeżdża na czwarte piętro i zatrzymuje się. Otwierają się drzwi, słychać głosy i tupot nóg wysiadających ludzi. Upływa sporo czasu, zanim ponownie rusza na piąte piętro. Silnik warkocze jednostajnie. Wspinam się w szaleńczym tempie.

Wreszcie jestem na piątym piętrze i zasapany wpadam na korytarz. Słychać cichy szum rozsuwających się drzwi windy. Wybiegam za róg - popełniłem błąd, drzwi się zamknęły. Mijam je biegiem i biorę kolejny zakręt.

Bagażowy stoi z wózkiem już na drugim końcu długiego korytarza. Doszedł do pokoju i właśnie wkłada klucz do zamka.

- Zaczekaj ! Chodź tutaj! - krzyczę ze wszystkich sił. Macha do mnie radośnie.
- Już, sir. Momencik, zaraz do pana przyjdę.
- Nie! Czekaj! - zaczynam biec korytarzem w jego kierunku. Otwiera drzwi i wpycha wózek do pokoju - CZEKAJ!
- Co jest? Co się tu dzieje? - pyta Kate, która nadal pędzi za mną.
- Nie, Kate! Nie podchodź! - wrzeszczę przez ramię nie przerywając biegu. - Nie podchodź!

W pokoju rozlega się potężny wybuch.

Drzwi rozpadają się na dziesiątki kawałków, a przez korytarz przelatuje fala uderzeniowa, tuż za nią ognista kula.

Obejmuję instynktownie Kate i padamy na podłogę.

Na korytarz wylatują płonące strzępy bagażu - ubrania krawaty, biustonosze, marynarki, pojemnik dezodorantu, suszarka do włosów, części komputera i części ciała. Przecinają powietrze i lądują przy nas tworząc tłące się stosy.

Kate wpatruje się z przerażeniem w poplamioną krwią ścianę. Korytarz wypełnia się czarnym, falującym dymem. Podnosimy się i wycofujemy na schody. Pociągam za dzwignik alarmu przeciwpożarowego. Schodzimy ślamazarnie na dół razem z innymi gośćmi hotelowymi. Jesteśmy wreszcie na dole. Ogólne zamieszanie. Ludzie biegają we wszystkie strony, popędzani wyciem alarmu. Omijamy hol i zbiegamy do podziemi. Po drodze do wyjścia są kuchnia i pralnia hotelowa. Podwójne drzwi prowadzą na schody, którymi wychodzimy na zewnątrz.

Zapał zmierzch.

W oddali słychać jęk syren.

Biegniemy ciemną alejką ukrytą za hotelem, mijamy dziesiątki przepelnionych pojemników ze śmieciami i trafiamy wreszcie na ulicę. Budynek zaczyna rozbłyskiwać żółtymi i czerwonymi światłami. Mija nas rozświetlony mikrobus policyjny. Zaraz za nim pędzi wóz strażacki.

- Gdzie idziemy? - pyta zadyszana Kate.
- Nie wiem. Gdzieś, gdzie można by się na pewien czas ukryć.
- Kiedyś mieszkałam w takim małym hoteliku na...
- Wolałbym wybrać coś, co nie może się z nami w żaden sposób kojarzyć.
- Przy dworcu kolejowym jest całe mnóstwo hotelików i domów gościnnych. Mieszkałam kiedyś w tej okolicy.
- No, to już lepiej.

Po przejściu kilku przecznic zatrzymuję się i odwracam w stronę Orientalu. Ze skapanego w płomieniach okna wydobywa się wysoki słup dymu.

- Co za skurwiel - mówię pod nosem.
- Słucham?
- Ten recepcjonista. Dał nam pokój od tyłu.

Na przekrzywionym neonie zapalają się i gasną litery - HOTEL SOI 12.

Napis unosi się w ciemnościach pokrywających labirynt wąskich uliczek. Jedno z niewielu miejsc w mieście, gdzie soi nie mają nazw, tylko liczby.

- No to jak? - pyta Kate.

- Bierzemy - odpowiadam ponuro.

- Wiesz co, tak sobie myślę - mówi, gdy podchodzimy do wejścia - może dwójka to nie taki zły pomysł?

- Pewnie - stwierdzam ze zrozumieniem - też będę się czuł bezpieczniej.

Przez prawie godzinę szwendamy się po ciasnych ciemnych uliczkach rozjaśnianych tylko światłem wydostającym się z nielicznych uchylonych okien. Teraz jesteśmy daleko od centrum, turystów i biznesu, w osiedlu Hua Lamphong sąsiadującym z główną stacją kolejową przy Charu Muang Road. Tu właśnie mieszkała Kate.

W małym holu Soi 12 siedzi samotny recepcjonista, w tej chwili pochłonięty studiowaniem gazety. Podnosi głowę i uśmiecha się, odsłaniając czarne zęby. Kate tłumaczy mu coś po tajsku. On kłania się, podaje jej długopis i palcem pokazuje listę gości.

- Chwileczkę - szepczę Kate na ucho i uśmiechając się do recepcjonisty odciągam ją na bok - może powinnaś mu zaproponować jakiś mały dodatek, żeby pozwolił nam uniknąć formalności.

Sprzeciwia się dość gwałtownie.

- Dlaczego nie?

- Zorientuje się, że coś jest nie tak i sprzeda nas policji - szepcze z napięciem - wierz mi, właśnie tak robi. Znam to miasto.

- Dobra, wymyśl jakieś nazwiska.

- A jeśli zechce zobaczyć nasze paszporty?

Wie co mówi. Zawsze żądają dokumentów. Po chwili okazuje się, że tu nie jest inaczej.

Płacimy gotówką za jedną noc i wchodzimy wąską klatką schodową na trzecie piętro. Pokoik jest czysty i ładnie urządzone. Stoją w nim dwa identyczne łóżka, małe okienko wychodzi na ulicę i dachy. Niewiele poza tym. Nie ma telefonu. Łazienka jest na końcu korytarza.

Jestem tak wyczerpany, że mógłbym spać tydzień. Rzucam się na jedno z łóżek.

Kate siada na krawędzi drugiego. Wygląda na to, że dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego wszystkiego, co się wydarzyło. Tak niewiele brakowało żebyśmy wylecieli w powietrze. Jak w Wietnamie. Dopiero po zakończeniu walki człowiek uświadamiał sobie, przez co przeszedł. Ci, którzy wykazywali się nadludzką odwagą, dopiero później przeżywali szok, kiedy przypominali sobie, jakim cudem udało im się przeżyć, albo za jaką cenę.

- Nie myśl o tym - radzę.

Zaciska wargi i posłusznie kiwa głową.

- A poza tym musisz podjąć decyzję. Spogląda na mnie z zaciekawieniem.

- To znaczy, czy nadal chcesz ze mną współpracować. Wzrusza ramionami i nie wiedząc, co powiedzieć, rozkłada ręce.

- Ja się w to wszystko wplątałem i jestem ich celem. Nie mają powodu, żeby ścigać ciebie.

- A chociaż o tym wiedzą? - pyta łamiącym się głosem.

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

Kate patrzy przed siebie w zamyśleniu i w jej oczach pojawia się pytanie.

- Jednego nie rozumiem.

- Czego?

- Dlaczego uciekaliśmy?

- Dlaczego?

Przytakuje.

- Uznałem, że rozsądniej będzie nie mieć do czynienia z policją.

- Dlaczego? Przecież nic złego nie zrobiliśmy.

- Po pierwsze, po doświadczeniach w Vegas i Los Angeles mam dość glin. Po drugie, nie wiem, co

powiedział recepcjonista. Przecież to było oczywiste, że coś przeczuwałem. Na jego miejscu poinformowałbym ich o tym, a w tej chwili nie mam ochoty zajmować się tymi rzeczami.

- Mógłbyś wszystko wyjaśnić.

- Nie. Nawet gdyby uwierzyli, gdyby nie byli skorumpowani i zamieszani w to wszystko, mogliby nas uznać za niepożądanych gości i odesłać do kraju.

Przytakuje ze smutną miną, po czym spogląda na zegarek i idzie do łazienki.

Leżę z głową na oparciu i patrzę na różowozielone błyski na suficie. Wsluchuję się w dźwięki dochodzące z ulicy: hałas samochodów, muzykę rockową, głośne rozmowy i śmiech. Przypominam sobie pozbawioną wyrazu twarz Carli i myślę: czy Surigao również nie żyje? czy już po wszystkim? Może po prostu powinienem jak najszybciej stąd wyjechać? Choćby ze względu na Kate. Ale wtedy już nigdy się nie dowiem, dlaczego zginęła Nancy. Nawet jeśli Surigao nie żyje, to pozostaje Ajacier. On stoi za tym wszystkim. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. On zna ostateczne odpowiedzi. Ja za to wiem, gdzie go znaleźć. Odpływam myślami i widzę Nancy - gra na pianinie, tylko dla mnie... Do pokoju wraca Kate.

- Muszę iść - oznajmia nieco ostrzejszym niż zwykle tonem. Nie mogę jej winić, jestem dla niej tylko zagrożeniem, gwarancją krótszego życia. Siadam na łóżku i stawiam stopy na podłodze.

- Podjęłaś właściwą decyzję. Uśmiecha się ciepło.

- Nie o to mi chodziło. Mam przecież spotkanie z Vann Nathem.

- Aha! Zupełnie zapomniałem.

- Mogę cię o coś prosić?

- Oczywiście.

- Wiesz, po tym wszystkim, czuję się trochę... to znaczy, pożyczylbyś mi pistolet? No wiesz, żebym go wzięła ze sobą.

Przez chwilę milczę. Powstrzymuje mnie wyzierający z jej oczu strach.

- Przykro mi, Kate, ale już go nie mam.

- Och, nie.

- Zgubiłem na bazarze. Przynajmniej teraz będzie mniej dźwigania.

Przytakuje ponuro.

- Może i tak...

Zaczyna bawić się rąbkiem bluzki. Przypominam sobie, że nasz bagaż, przybory toaletowe, rzeczy osobiste, laptop i wszystkie statystyki zostały zniszczone. Nie mamy nic poza tym, co na sobie, no i naszym sprytem. Choć w kwestii tego ostatniego - nie byłbym taki pewny.

- Sam bym się chętnie ogolił i zmienił majtki, ale najpierw potrzebna nam będzie jakaś broń. I to nie zabawka. Nie wiesz, czy ten facet na dole ma książkę telefoniczną?

- Po co?

- Sprawdzimy, gdzie jest najbliższy sklep z bronią. Kate potrząsa głową i uśmiecha się z politowaniem.

- Mało wiesz o Bangkoku. Można tu kupić wszystko, od podróbek toreb Gucciego, do nastoletnich niewolnic. Wszystko. Oprócz broni.

- Rozumiem, że legalnie.

- Oczywiście.

- Przecież tu mieszkałaś. Na pewno znasz jakiegoś handlarza, czy jakiegoś łącznika, który poleci nas swojemu kumpłowi, który zna kogoś, kto zna kogoś...

- Może Vann Nath... - przerywa, przygotowując się do wypowiedzenia kolejnego zdania. - Miałam nadzieję, że pójdziesz ze mną.

- Wiesz, poprosić to nic trudnego.

- Właśnie cię poprosiłam.

- Gdzie jest ten klub?

- Patpong Road, gdzieby indziej? - odpowiada szybko, wyraźnie uradowana, że nie będzie musiała iść sama.

- Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- No coś ty! Pół miliona żołnierzy odwiedziło ten rejon w poszukiwaniu rozkoszy. Nie opowiadaj,

że wtedy zwiedzałeś zabytki.

- Jeździłem do Sajgonu i Manili - wyjaśniam. - Masz międzynarodowe prawo jazdy?

Nie ma.

- Cholera jasna, ja też nie.

- Czemu pytasz?

- Bez tego nie można tu wynająć samochodu.

- Wiem, ale nie ma takiej potrzeby. Możemy... -

- Taksówka nie całkiem mi odpowiada. Wolę własny samochód.

- A kto mówi o taksówce?

- No to o czym?

- Skończyłeś, Morgan?

- Zdaje mi się, że powinienem.

Idę za nią na dół. Wychodzimy na zewnątrz i labirynt uliczek doprowadza nas do stacji benzynowej, przy której stoi kilkanaście skuterów ustawionych w rzędzie.

- Rozumiem - mówię zawstydzony - że międzynarodowe prawo jazdy nie jest potrzebne do...

- No właśnie. Zawsze je tu wynajmowałam - przerywa i kieruje się do biura - najlepszy sposób poruszania się po Bangkoku.

Po kilku minutach wychodzi i zbliża się do jednego ze skuterów - nowiutkiej ciemnobrązowej hondy z przednią szybą i siedzeniem wyciągniętym aż po tylne koło. Siada energicznie i wciska kluczyk do stacyjki. Silnik zaczyna pracować.

- Usiądź wygodnie, trzymaj się tych uchwytów, które masz koło tyłka i jedziemy - rzuca pewnym siebie głosem.

Ledwo zdążam się usadowić, kiedy ona wciska gaz i skuter z rykiem wjeżdża w ciemną ulicę.

Budynki odbijają donośny terkot silnika. Kate pewnie kluczy po labiryncie uliczek. Hałas, ruch i chłodne powietrze, które czuję na twarzy, powodują, że odżywam. Odwracam się, żeby sprawdzić czy nikt nas nie śledzi i kiedy bierzemy zakręt, okazuje się, że przechylam się w niewłaściwą stronę.

- Hej?! Rób to, co ja - krzyczy Kate, próbując ze wszystkich sił utrzymać skuter w prostej linii. Za następnym zakrętem zatrzymuje się i zmusza mnie do objęcia jej w talii - przechylaj się razem ze mną.

Jedziemy na południe Rama IV Road w kierunku dzielnicy nocnych klubów. Światła neonów i mgła unosząca się nad dachami

Patpong sprawiają, że wszystko wokół jest jakieś metafizyczne i nierealne. To jest serce Bangkoku nocą, miasta, gdzie wszelkie uciechy są tylko cielesne, gdzie jakże obiecująco zapraszają neony: Masaż, Masaż, Masaż, Dyskoteka Ognisty Kodak, Klub Duchowy Pocałunek, Ciało Bez Tajemnic, Masaż, Masaż, Masaż. Migoczące, oślepiające błyski zdają się krzyczeć, zmieniając swoją jasnością noc w dzień.

Kate zręcznie omija tłumy turystów i biznesmenów krążących po ulicach. Po chwili podjeżdżamy do klubu.

Na górze, w rytm muzyki disco, miga niebieskozielony napis Lolita. Obok otwierają się wielkie, jasnoczerwone wargi, spomiędzy których wysuwa się różowy język liżący lizak w kształcie serca.

Wewnątrz, w samym środku wielkiej sali, młode Tajki, tak młode, jak zapewnia neon, tańczą w obitych lustrami klatkach otoczone przez naśladowujących ich ruchy klientów. Nad głowami tylko ciemność i rozbłyskujące promienie laserowe. Wszędzie okna. Okna? Nie, to tylko matowe szyby, za którymi młode dziewczyny ubrane w skąpe kostiumy przybierają uwodzicielskie pozy. Kelnerki przedzierają się przez tłum, dzielnie utrzymując tace i przyjmując zamówienia na drinki i randki. Przy stoliku w rogu sali zauważamy Vann Natha.

- Przyszedł już? - pyta Kate z niepokojem, kiedy się doń przyłączamy.

Vann Nath przytakuje.

- Mieszka tu. Nazywa się Pha Thi - przyzywa skinieniem ręki jedną z kelnerek, owija swoją wizytówkę dwudziestobahtowym banknotem i wydaje jej szeptem kilka poleceń. Kelnerka znika. Po chwili pojawia się ponownie i gestem nakazuje, żebyśmy za nią poszli. Prowadzi nas przez

główną salę klubu aż do klatki schodowej. Wchodzimy na piętro. W powietrzu unosi się woń chemikaliów.

Idziemy na poddasze spełniające funkcję mieszkania i studia fotograficznego. Na ścianach wiszą powiększone zdjęcia Azjatek w kuszących pozach. W tej chwili aparat i uwaga Pha Thi są skoncentrowane na nagiej modelce, która znika w oślepiającej eksplozji światła. Kiedy wreszcie mogę cokolwiek dojrzeć, dziewczyna jest już w szlafroku i wybiega do przebieralni.

Pha Thi jest drobnym, niewysokim człowiekiem, o czarnych, przyszczyżonych na jeża włosach, ubranym w wytarte dżinsy, koszulkę i drewniaki. Odstawia aparat, składa dłonie jak do modlitwy, kłania się, po czym przedstawia żonę i dzieci, które wyłaniają się z jego mieszkania. Najstarsza dziewczynka, nastolatka, jest niezwykle piękna.

Kate zwraca się doń po tajsku.

Odpowiedzią Pha Thi jest pełen zakłopotania uśmiech.

Vann Nath wyjaśnia, że Pha Thi pochodzi z górskiego plemienia Meo i nie rozumie po tajsku.

- Powiedziałem mu, że uważasz jego rodzinę za wspaniałą i godną najwyższego szacunku. On dziękuje i jest dumny ze swojej córki, ona wkrótce osiągnie dojrzałość i będzie mogła tańczyć w klubie.

- To wspaniale - mówi Kate z wymuszonym uśmiechem. Vann Nath zabiera się wreszcie do rzeczy.

Dwaj mężczyźni

rozmawiają chwilę w języku Meo. Pieniądze, które Vann Nath wciska do ręki naszemu gospodarzowi, wyraźnie pomagają. Vann zwraca wreszcie się do Kate:

- Twierdzi, że twojego męża schwytano żywcem. W oczach Kate błysk nadziei.

- Jest tego absolutnie pewien? Kolejna krótka wymiana zdań.

- Twierdzi, że był przy tym i ma dowód.

Pha Thi uśmiecha się potwierdzając słowa Vanna i czeka na ofertę.

Vann Nath wyjmuje jeszcze kilka banknotów, ale tym razem domaga się najpierw dowodu.

Pha Thi podchodzi do poobijanych szafek z aktami, przerzuca jedną z zapchanych do granic możliwości szuflad i wyciąga czar-no-białą fotografię. Widnieje na niej nie ogolony i wyraźnie wyczerpany kapitan John Ackerman. Mimo to nadal góruje nad swoimi oprawcami z Pathet Lao. Ręce ma związane, a z jego oczu wзира upór i cierpienie. W tle - dżungla.

Kate oddycha głęboko i odwraca wzrok.

Vann Nath ponuro kiwa głową i wciska banknot w wyciągniętą dłoń Pha Thi.

Ściskam rękę Kate, próbując dodać jej otuchy.

- Czy wie, co się potem stało z kapitanem? - pyta Vann Nath. Pha Thi potrząsa przecząco głową, ale jego spojrzenie zdaje się mówić co innego.

- Wie, prawda? - zauważa Kate.

- Pewnie chce więcej pieniędzy.

Vann Nath przytakuje i podejmuje próbę dogadania się z Pha Thi. Z jego reakcji widać, że przyczyną jest nie chciwość, ale współczucie. Gdy wreszcie odpowiada, jego słowa zdają się denerwować Vann Natha, który odwraca się w naszą stronę i mówi:

- Twierdzi, że dowódca patrolu, który schwytał kapitana Ac-kermana, sprzedał go do państwowego gospodarstwa rolnego.

- Sprzedał? - powtarza Kate z rozpaczą. Vann Nath przytakuje ponuro.

- Rolnikom? - wyrzucam z siebie ze złością. - A dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

- Nie jest pewien, ale myśli, że to przez te naloty. Zginęło wiele bawołów. Używali ich do orania pól i wprzęgali do wozów. Biorąc pod uwagę to, jaka była wtedy sytuacja, możliwe, że kupowali jeńców jak bawoły. A zwłaszcza amerykańskich pilotów, których nienawidzili i uważali za winnych.

- Ależ na Boga, to przecież nieludzkie - stwierdzam - to niewolnictwo, niezgodne z postanowieniami konwencji genewskiej.

- Tak, ale z ich punktu widzenia nie gorsze niż sytuacja pracujących u was emigrantów, na przykład.

- Jak pan może tak mówić?
- Moi rodzice mieli kilka plantacji, panie Morgan. Wysłali mnie do Stanów, żebym zdobył wykształcenie. UCLA, rocznik '68. Tematem mojej pracy magisterskiej był wpływ Cesara Chaveza na politykę rządu. Ma pan rację, może moje porównanie nie należało do najszcześniejszych, lepiej byłoby porównać amerykańskich jeńców do przestępców skazanych na ciężkie roboty. Chodzi mi tylko o to, że trzeba też uwzględnić punkt widzenia drugiej strony.
- Przynajmniej nie zaszkodzi - stwierdzam niechętnie.
- Spytaj, czy wie, gdzie znajdowała się ta plantacja - mówię do Kate, próbując ze wszystkich sił zachować panowanie nad sobą.
- Niestety nie wie - odpowiada Vann Nath po krótkiej wymianie zdań. - To było gdzieś w prowincji Houa Phan, w okolicy Sam Neua. Tyle pamięta.
- Region uprawy opium - mówię. Vann Nath przytakuje.
- Pha Thi zadaje jakieś pytanie pokazując na Kate. Opuszcza wzrok po wyjaśnieniach Vann Natha, po czym kontynuuje przemowę. Jest wyraźnie zbity z tropu.
- Zapytał, czy jesteś żoną tego człowieka - wyjaśnia Vann Nath. - Mówi, że jest mu bardzo przykro, że musiał to powiedzieć. Nie chciał sprawiać ci bólu. Ponadto, chociaż wie, że zasmuci cię to jeszcze bardziej, uważa, iż powinnaś dowiedzieć się czegoś jeszcze. Otóż kiedy patrol opuszczał miejsce, w którym schwymano twojego męża, słychać było strzały.
- Kate blednie i opuszcza wzrok.
- Nie rozumiem. Wieśniacy zabili kapitana Ackermana?
- Nie wie. To jest możliwe. Możliwe też, że kapitan próbował uciec, chociaż, z drugiej strony, wcale nie musieli strzelać właśnie do niego.
- Kate spogląda na mnie pustym wzrokiem i wrzusza ramionami. Jest wyczerpana emocjonalnie, targana poczuciem niepewności. Moja wytrzymałość też jest już na wyczerpaniu. Nie mamy nic do powiedzenia, żadnych pytań. Vann Nath sprowadza nas na dół i bocznymi drzwiami wychodzimy na ulicę.
- Przykro mi, Kate - mówi, kiedy zbliżamy się do jego samochodu.
- Nie ma powodu. To już coś, jakiś ślad.
- Spróbuję zlokalizować tę farmę i jeśli mi się uda, zadzwonię.
- Tak a propos - stwierdzam ponuro - lepiej będzie, jeśli to my zadzwonimy.
- Dlaczego? Co się stało? - pyta, zaintrygowany moim tonem. - Kate, dlaczego nic nie powiedziałaś?
- Nie mieszkamy już w Orientale - odpowiada - zaraz po tym, jak nas opuściłeś, miało miejsce pewne zdarzenie.
- Ta bomba...?
- Kate przytakuje z poważną miną.
- Mówili o tym w wiadomościach.
- Przeznaczony nam pokój wyleciał w powietrze i to ja byłem celem zamachu - wyjaśniam pokrótce.
- O mój Boże, dlaczego?
- Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Nie wie pan, czy wymieniono nasze nazwiska?
- Nie, nie, to znaczy chyba nie.
- Kamień z serca. O ile dobrze sobie przypominam, to złożył mi pan dziś propozycję.
- To prawda, złożyłem.
- Nie mamy żadnej broni, a przydałaby się, i to bardzo. Kiwa głową, zastanawia się przez chwilę, po czym zwraca się do Kate:
- Próbowałaś skontaktować się z Timothyem? Wzdycha.
- Dzwoniłam do niego, kiedy jeszcze byłam na Hawajach, ale wciąż odzywała się jakaś wytwórnia bawełny czy coś takiego.
- Kim jest ten Timothy?
- Timothy Roark - odpowiada Kate - pamiętasz, mówiłam ci, że znam tu dwie osoby, no i on jest tą

drugą. Zabierał mnie do miejsc, w których rozbijały się samoloty.

- Nie widziałem go ładnych parę lat - podejmuje Vann Nath - słyszałem, że żyje samotnie, na khlung, na północ od miasta. Spróbuję czegoś się dowiedzieć.

- Wie pan, nie chcę sprawiać kłopotów. Jest pan pewien, że warto szukać tego dziwaka? W oczach Vann Natha pojawia się błysk i patrzy na mnie z nie ukrywaną złością.

- Panie Morgan, ten dziwak, jak go pan określił, otrzymał dwa srebrne i cztery brązowe odznaczenia z pochwałami, a ponadto kilka purpurowych serc za rany na polu bitwy. To, że będzie mógł go pan poznać, będzie dla pana zaszczytem.

- Jestem tego pewien. Czy będzie wiedział, skąd wytrzasnąć broń?

- Nie tylko wiedział - odpowiada Vann Nath po dramatycznej przerwie. - Timothy ma jej tyle, ile tylko zechce.

Ściska Kate, wsiada do samochodu i znika w oddali. My stoimy pod neonowymi wargami pochłoniętymi ssaniem neonowego lizaka.

Po półgodzinie jesteśmy z powrotem w hotelu.

Rzucamy się na łóżka nie zdejmując ubrań. Jesteśmy zbyt zmęczeni, i trochę skrępowani. Mimo to, żadne z nas nie zasypia. Tracę rachubę czasu i nie wiem, jak długo przewracamy się z boku na bok. Ona najprawdopodobniej nie może zapomnieć zdjęcia swojego męża. Ja też. Wreszcie zapadam w płytki sen. Wydaje mi

się, że słyszę, jak Kate wstaje. Idzie do łazienki - myślę, ale po chwili kładzie się obok mnie. Jest jak dziecko podczas burzy, boi się i potrzebuje ciepła. Zresztą podobnie jak ja. Czuję się dziwnie. Długo nie byłem tak blisko kobiety. Dziwnie, ale miło. Obejmuję ją ramieniem i zamykam oczy. Po raz pierwszy wyczuwam zapach jej perfum.

- Morgan? No, Morgan, wstawaj - zdaje mi się, że spałem ledwie godzinę. Słyszę głos Kate i czuję, jak ktoś mną potrząsa. Przewracam się na drugi bok. Przez okno wdziera się jaskrawe światło. To już rano, w co trudno mi uwierzyć. Spałem jak głaz. Osiem godzin totalnego bezruchu. Siadam na łóżku i przecieram oczy.

Przy łóżku stoi Kate. Uśmiecha się jakby odkryła jakąś tajemnicę, po czym podaje mi szczoteczkę do zębów.

Spoglądam na drugie łóżko. Zrobiła zakupy: tubka pasty do zębów, brzytwa, krem do golenia, szampon, szczotka do włosów i kilka ciuchów.

- Tu, zaraz za rogiem, jest targ - wyjaśnia i rzuca mi parę bladeżółtych majtek. - Uznałam na oko, że twój rozmiar to 34/36. Przepraszam za kolor, ale innego nie mieli.

Mamrocę coś pod nosem, zabieram ze sobą kilka rzeczy i idę do łazienki. Po dwudziestu minutach, odświeżony i ubrany, wracam do pokoju.

- Umieram z głodu - oznajmiam radośnie. - Może byśmy najpierw coś zjedli, a dopiero potem zaczęli się zastanawiać, co dalej?

Kate przytakuje sztywno. Ma dziwny wyraz twarzy. Jej wzrok skierowany jest ku ścianie, której z mojego miejsca nie mogę zobaczyć.

Właśnie zamierzam się odwrócić, kiedy słyszę skrzypnięcie podłogi i czuję przystawiony do pleców znajomy zimny kształt lufy pistoletu.

- Proszę się nie ruszać, panie Morgan - mówi mężczyzna stanowczym tonem.

Zamieram. Znaleźli mnie ludzie Ajaciera. Czekam na chwilę, w której naciśnie spust i kule wbiją się w moje ciało. Wtedy wyrasta

przede mną drugi człowiek. Jest białym mężczyzną w wieku około trzydziestu lat, ubranym tak, by nie zwracać na siebie uwagi; ma starannie przyczesane włosy i kamienną twarz profesjonalisty.

Trzyma mnie na muszce, podczas gdy jego współnik mnie sprawdza. Wpatruję się weń z przerażeniem i myśląc o tym, co stanie się z Kate, próbuję znaleźć sposób ucieczki.

- Jest czysty - mówi ten, który mnie przesukał.

- Agencja ds. Zwalczania Narkotyków, panie Morgan - informuje stojący przede mną i pokazuje odznakę. - Jestem zmuszony prosić, by poszedł pan z nami.

Siedzę w jednym z biur ambasady amerykańskiej na Wireless Road, szerokim bulwarze, przy którym mieści się większość misji dyplomatycznych. Budynek przedstawia się dość ponuro, zwłaszcza w porównaniu z eleganckimi willami przedstawicielstw innych krajów. Biuro wypełniają proste, skromne, ale nowoczesne meble. Wszystko ma tu swoje miejsce.

- Proszę spocząć, panie Morgan - mówi agent - to potrwa parę minut.

Co potrwa parę minut? - myślę. Kusi mnie, żeby powiedzieć to na głos, ale wiem, że nic by mi z tego nie przyszło. Mam do czynienia z ludźmi bez poczucia humoru, i nie odzywającymi się bez potrzeby. Na pytania, które zadałem po drodze, uzyskałem jedynie uprzejme, ale zdawkowe wyjaśnienia.

- Czy jestem aresztowany?

- Nie, proszę pana.

- To po co to wszystko?

- Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć.

- W takim razie proszę mnie wysadzić na najbliższym skrzyżowaniu.

- Nie wolno nam tego zrobić, proszę pana.

Krzesło, na które agent wskazuje zapraszającym gestem, stoi na środku pokoju, naprzeciwko biurka. Nigdy nie lubiłem siedzieć odwrócony plecami do drzwi; a zwłaszcza w takich okolicznościach. Przesuwam krzesło na bok, ale zanim siadam, agent przynosi je tam, gdzie stało poprzednio. Ciekaw jestem, dlaczego to robi. Jakiś ukryty mikrofon? Kamera? Filmują mnie w tajemnicy? Po kilku z górą minutach otwierają się rozsuwane drzwi, wbudowane w ścianę obok biurka.

Szybkim krokiem wkracza do pokoju niski, energiczny mężczyzna i nie patrząc na mnie podchodzi do biurka. Ma na szyi nakrapianą muszkę, narzucony na plecy żakiet z mosiężnymi guzikami, włosy obcięte na jeża, co sprawia, że przypomina studenta którejś z ekskluzywnych uczelni amerykańskich z lat pięćdziesiątych. Podnosi słuchawkę i wzywa sekretarkę.

- Nikt nie dzwonił - rzuca i ostrożnie odkłada słuchawkę. Po dłuższej chwili, podczas której jest pochłonięty czyszczeniem paznokci, odwraca głowę w moim kierunku.

- Pan A. Calvert Morgan - mówi powoli, rozwlekle i przygląda mi się dokładnie. - Konsultant z Los Angeles.

Przytakuję ze złością.

- Panie Morgan, nazywam się Tickner. Clive M. Tickner. Jestem szefem tutejszego przedstawicielstwa Agencji ds. Zwalczenia Narkotyków - patrzy na mnie z dezaprobatą - i chcę panu powiedzieć, że wpłatał się pan w coś, od czego należy trzymać się z dala.

- Może tak, może nie, w każdym razie i bez pańskiej rady mógłbym się tego domyślić.

- Ależ skąd! Wmieształ się pan w sprawy, o których nie ma pan najmniejszego pojęcia.

- Wiem więcej niż się panu zdaje. Czego ode mnie chcecie? Dlaczego mnie tu przywieziono?

- Interesujące. Moje pytania brzmią podobnie, ale to pan jest gościem, uprzejmość nakazuje, by odpowiadał pan pierwszy. Dlaczego pan tu przyjechał?

Widziałem setki takich jak on w niezliczonych gabinetach i biurach rządowych: Exeter, Princeton, Wharton? Nie, on wygląda raczej na szkołę Fletcher w Tufts. Pedantyczny, inteligentny, wykrochmalony do przesady, przekonany o swojej wyższości.

- Nie muszę odpowiadać na to pytanie, panie Tickner. Pozwoli pan przypomnieć sobie, z nas dwóch to ja jestem ofiarą. W żaden sposób nie złamałem obowiązujących przepisów.

Tickner składa dłonie i prostuje się na krześle, jak kot szykujący się do ostatecznego ataku na upatrzoną mysz. Patrzy znacząco na

jednego z agentów, który otwiera szufladę i wyciąga z niej plastikową torebkę; jest do niej przyczepiona czerwona karteczka. Przygląda się jej przez chwilę, chowając w dłoniach tak, żebym nie mógł zobaczyć zawartości. Po chwili kładzie ją na biurku.

Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Czuję się, jak dzieciak przyłapany w samie na kradzieży cukierków. Choć światło odbijające się od plastiku nie pozwala przyjrzeć się dokładnie wnętrzu torebki, to tak czy inaczej nie mam wątpliwości. To beretta kaliber 25. Z całą pewnością moja.

- Tak, panie Morgan, byliśmy tam. Pilnowaliśmy was, pana i pani Ackerman, od chwili waszego przyjazdu. Nie byliśmy do końca pewni, co planujecie, więc poprzestaliśmy na obserwacji. No, ale kiedy zaczęliście nam psuć plany...

- Ktoś zepsuł moje - przerywam ze złością. - Jeszcze parę miesięcy temu zamierzałem zestarzeć się spokojnie u boku żony.

- Wiemy, bardzo nam przykro. Pułkownik Webster opowiedział nam pańskie losy. Czuję się zdradzony i chyba to po mnie widać.

- Nie, Webster nie współpracuje z nami. Po prostu zadzwonił do jednego z naszych agentów w Waszyngtonie, żeby omówić sytuację. Pułkownik ma do niego pełne zaufanie.

- Tak, mówił o tym.

- Nie zrobił nic więcej, a nasz człowiek okazał się na tyle przytomny, żeby nas poinformować. Przepraszam, że zakłóciliśmy pański spokój, ale nie możemy pozwolić by obywatele amerykańscy przyjeżdżali do Bangkoku w celu załatwiania jakiejś osobistej vendetty.

- Nie miałem zamiaru zabijać Surigao. Chciałem tylko...

- Ktoś zastrzelił jego żonę, panie Morgan - przerywa ostro Tickner. - Był pan w tym samochodzie razem z nią.

- Tak, ale jej nie zastrzeliłem.

- Ktokolwiek to był, postrzelił też jego.

- Wiem. Możecie sprawdzić mój pistolet. Strzeliłem tylko raz. Jeśli dokładnie obejrzyjecie samochód, zobaczycie, że ten pocisk przebił dach. Podśluchałem rozmowę Surigao z żoną. Twierdził, że został zdradzony i mężczyzna o nazwisku Ajacier chce go sprzątnąć.

- Tak - stwierdza Tickner, niezbyt przejęty moimi słowami - wiemy wszystko o panu Ajacier.

- Ja też. Nawet sobie wczoraj z nim pogadałem. Ale to Surigao jest moim głównym celem. Miałbym go już, gdyby nie wpadł mi pod nogi jakiś turysta.

Tickner uśmiecha się z zadowoleniem, po czym wciska jeden z guzików interkomu.

Po chwili za moimi plecami otwierają się drzwi. Odwracam się. Wtacza się zwalisty mężczyzna i staje przy mnie. Żeby zobaczyć jego twarz, muszę zadrzeć głowę do góry.

- Czy chodzi panu o tego dżentelmena?

Aparat i torba gdzieś zniknęły. Kwiecista koszula zmieniła kolor na biały, a ponadto ma więcej guzików, pojawił się krawat w paski i marynarka, pozostał tylko ten sam przyjacielski uśmiech.

- Tak, to on.

- Agent Nash zajmuje się tą sprawą. On...

- To wasz współpracownik?

- Czyżbym tego nie powiedział?

Każde słowo, każdy gest wyraźnego lekceważenia powodują, że z trudem hamuję wściekłość. Staję oko w oko z Nashem.

- Nic nie rozumiem. Przecież Surigao przebiegał tuż przed pańskim nosem. Dlaczego jego pan nie zatrzymał?

Nash odkaśtuje z zakłopotaniem i patrzy na swojego szefa.

- Robił to, co mu kazałem - odpowiada Tickner. - Między innymi, miał nie dopuścić by dopadł pan Surigao.

- Przecież mówiłem, nie miałem zamiaru go zabić. Samo schwytywanie tego sukinsyna już by mi wystarczyło. Chciałem go oddać w wasze ręce.

Wymieniają spojrzenia w milczeniu.

- Co? Co to ma znaczyć?

- Tego również byśmy sobie nie życzyli - po dłuższej chwili odpowiada Tickner.

Nie rozumiem o co mu chodzi.

- A dlaczego nie, do cholery?!

- Byłoby to wbrew naszej polityce.

- Jakiej polityce?! Ten człowiek to morderca i przemytnik narkotyków. Zadzwońcie do pułkownika Webstera, do policji w Los Angeles, sierżanta Danielsa. Mam tu gdzieś jego numer.

- Wiemy, kim jest pan Surigao.

- I nie zamierzacie nic zrobić, tak?

- Więcej nie mogę panu powiedzieć.

- Nie, panie Tickner, to za cholere nie wystarczy. Zamordowano moją żonę i bądźcie pewni, że się nie wycofam, dopóki nie poznam prawdy, dopóki nie zdobędę odpowiedzi. Ostrzegam was.

- Nie możemy udzielić panu żadnych odpowiedzi.

- Gówna prawda. Jasne, że możecie. I zdobędę je, wszystko jedno jak. Nie ustąpię. Mam znajomych w Kongresie. Albo odpowiecie na moje pytania, albo porozmawiacie z nimi. No a teraz, do jasnej cholery, co tu w ogóle robicie, jeśli nie macie zamiaru ich przymknąć?

Tickner pociera skronie, zastanawia się przez chwilę, po czym kiwa głową.

- Panie Morgan, szczerze mówiąc, czasem sami się nad tym zastanawiamy. Balansujemy na linie, z której czasem komuś udaje się nas zrzucić. Czasem robią to ich ludzie, czasem nasi. Niestety tym razem padło na pana.

Pokazuje coś Nashowi, który w odpowiedzi podchodzi do ściany i rozsuwa tablicę przedstawiającą schemat organizacji azjatyckich gangów zajmujących się przemytem narkotyków. Zdejmuje kolejne plansze i odnajduje tę, której szukał. Są na niej mapy, wykresy i ręcznie pisane listy. Miasta: Bangkok, Manila, Honolulu, San Francisco. Organizacje: Golden Gate Mortuaries, Fran-co-Asian Enterprises, CIL i inne. Zdjęcia z podpisami: Ajacier, Messina, Surigao, Webster wśród wielu innych nieznanych nazwisk.

- Jeśli to coś panu wyjaśni - tłumaczy Nash - zamierzaliśmy zgarnąć całą siatkę za jednym zamachem - plantatorów, producentów i dystrybutorów - wszystkich! A propos, pański znajomy Surigao zadzwonił wczoraj do nas. Był w panice. Twierdził, że ma do sprzedania niezwykle cenne informacje.

- Nic dziwnego, że chcą go zabić.

- To tylko jedna z teorii - mówi Tickner z dziwną satysfakcją w głosie.

Wzdragam się na myśl, która właśnie przyszła mi do głowy. Chcę tylko sprawiedliwości, ale coś mi się zdaje, że nie mam tu czego szukać.

- To znaczy, że wchodzicie z nim w jakieś układy? Że go puścicie wolno jak złoży zeznania?

- Tak to się zwykle kończy - odpowiada Nash.

- Czyli nic mu w zasadzie nie grozi?

- Żadnemu z nich - dodaje chłodno Tickner. Jestem wstrząśnięty.

- A cóż to, do cholery, ma znaczyć?

- To znaczy, że nie chcemy, żeby cokolwiek zostało ujawnione. W przeciwnym razie Surigao byłby nam zupełnie niepotrzebny. Mimo wszystko zaprosiliśmy go na rozmowę. Odrzucił ofertę i zażądał pieniędzy. Natychmiast. No i na tym się skończyło. Nie mamy powodów, żeby wchodzić w jakieś układy z kimś kogo nie zamierzamy aresztować. Facet ma teraz wolną rękę i o tym wie.

- Najwyraźniej znów mówimy o zasadach waszej organizacji.

- I ich wprowadzaniu w życie, dokładnie mówiąc.

- Jedno i drugie śmierdzi na kilometr.

- To pan zadał pytanie. Mam mówić dalej?

- Proszę bardzo.

- Naszym zadaniem jest zlikwidowanie przemytu narkotyków do Stanów. Wiem, że w telewizji wygląda to zupełnie inaczej, ale tak naprawdę aresztowanie i karanie dystrybutorów to tylko jeden ze sposobów wprowadzania przepisów w życie. Stosuje się dyplomatyczne i gospodarcze naciski, mające nakłonić rządy interesujących nas krajów do współpracy. Co więcej, na ogół okazują się one skuteczne. Jednakże w tym przypadku, jak wspomniał agent Nash, wydawało się, że najlepiej będzie przymknąć przestępców i postawić ich przed sądem.

- A teraz zmieniliście taktykę?

- Niestety tak - Tickner przerywa i próbuje sobie coś przypomnieć. - Specjalizacja z ekonomii, Cal Tech, rocznik siedemdziesiąt dwa - wyrzuca z siebie z prędkością karabinu maszynowego, podkreślając każde słowo wymownym gestem - chyba się nie pomyliłem?

Ten sukinsyn miał w ręku moje akta. Wojskowe? FBI? Ciekawe, co na mnie mają. Przytakuje nieufnie i znowu czuję się bezbronny.

- Czyli nie powinien pan mieć kłopotów ze zrozumieniem sytuacji na tutejszym rynku. Po pierwsze, chyba wie pan o tym, że dla niektórych regionów Azji Południowo-Wschodniej opium jest głównym źródłem dochodów.
- Złoty Trójkąt.
- Zgadza się.
- A heroina jest najważniejszym produktem i towarem - włącza się Nash. Podchodzi do planszy i wskazuje jedno ze zdjęć. Przedstawia podobiznę jakiegoś Azjaty. Naszym głównym przeciwnikiem, kontynuuje, jest ten facet. Nazywa się Chen Dai i jest szefem grupki partyzantów Meo w Złotym Trójkącie. Podczas wojny współdziałał z Pathet Lao. Teraz handluje czystą heroiną. 90,99% zawartości czystego narkotyku, rozumie pan? Chen Dai twierdzi, że jego pieniądze idą w całości na prowadzenie lokalnych wojen i walk przygranicznych. Wszystko to trwa już trzydzieści lat i zanoszą się, że potrwa drugie tyle.
- I zapewne wszystkie toczą się w prowincji Houa Phan? Tickner z uznaniem unosi brew.
- Dużo pan wie, prawda?
- Zamierzam dowiedzieć się jeszcze więcej.
- Moim zadaniem jest wybić to panu z głowy, a jeśli to będzie konieczne, powstrzymać siłą.
- Dlaczego, do licha?
- Już pan to słyszał.
- Zasady. Tickner przytakuje.
- Ale powróćmy do naszych rozważań na temat gospodarki. Wszyscy rolnicy pracują dla Chen Daia w zamian za ochronę. To tak, jak wymuszenia okupów przez mafię. Siedzi gdzieś w górach i stamtąd wszystkim kieruje. Region jest totalnie odcięty od świata. Nie ma tam żadnych autostrad, pasów startowych ani innych środków transportu. Oznacza to, że rolnicy nie mogą uprawiać tam niczego, co trzeba szybko sprzedać, zanim się zepsuje - wyciąga ze stojącej na biurku wazy nasionko przypominające kształtem małą żaróweczkę. - Co może być lepszego niż niezniszczalne nasienie maku? Dzięki niemu narkotyki stały się podstawowym źródłem dochodów Chen Daia.
- Widzi pan - kończy Nash - i o to właśnie chodzi. Jedyne, co go interesuje, to pieniądze.
- Jeszcze jeden facet, który chce sobie dorobić. Tickner przytakuje gorliwie.
- Znalazł się jednak jakiś znudzony życiem ekonomista, który wymyślił plan wymiany upraw.
- Czyli musicie wyjaśnić temu facetowi, że bardziej się opłaca uprawiać... pszenicę. Tickner kiwa głową i spogląda na mnie podejrzliwie.
- Pułkownik wspominał coś o tym.
- Proszę zrozumieć, nie zajmujemy się przewozem nasion marchewki czy groszku. W grę wchodzi olbrzymie pieniądze. Kapitał wystarczający do wybudowania autostrad, lotnisk, kolei...
- W wersji pułkownika nie brzmiało to aż tak patetycznie.
- Pułkownik wykonuje określone zadania i dlatego jego punkt widzenia jest dość ograniczony - przerywa, po czym dodaje stanowczym tonem: - Poza tym to sprawy bardzo poufne. Podchodzi do planszy, odrywa zdjęcie pułkownika, po czym wyjmując czarny mazak i zamalowuje nazwisko Webster.
- Nikomu do końca nie można ufać. Każdego uważamy za winnego, dopóki nie udowodni swojej niewinności. Jeśli chodzi o pułkownika, to wiedzieliśmy, że ci ludzie od lat wykorzystują jego organizację i nie byliśmy go do końca pewni - przerywa i krzywi się, jakby ból sprawiała mu sama ta myśl. - Jednakże jego telefon do Waszyngtonu i kilka następnych, wykonanych z mojej inicjatywy, stanowią wystarczającą podstawę, by uznać go za niewinnego. Zresztą jutro tu przyjedzie osobiście ocenić sytuację.
- Więc twierdzi pan, że CIL jest wykorzystywane do przemytu narkotyków.
- O tak, jak najbardziej, ale o tym później. Miałem właśnie powiedzieć, że nasz program musi spełnić określone warunki. Pierwszy z nich to gwarancja pokrycia deficytu. Skąd deficyt? -zapyta pan. To proste. Opium jest niebywale dochodowe i żaden groszek czy fasola nie przyniesie większych zysków.
- A wuj Sam pokryje różnicę.

- Właśnie.
 - Ten ekonomista nie był znudzony życiem. On po prostu nie miał pojęcia o funkcjonowaniu gospodarki.
 - Trudno się nie zgodzić z takim sądem. Ale dla nas ważniejszy jest drugi warunek - gwarancja, że nie będzie żadnych skandali w Laosie. To znaczy, że ani rząd, ani żaden obywatel nie może być podejrzany o jakiejkolwiek powiązania z przemytnikami narkotyków.
 - A co to ma wspólnego z Surigao, Ajacierem i całą resztą? Przecież oni nie są obywatelami Laosu.
 - Zgadza się. Jednak gdyby doszło do procesów, zeznań, przesłuchań przed komisjami Kongresu, natychmiast pojawiliby się ci od pierwszej poprawki do Konstytucji*.
- Gwarantuje ona m.in. wolność słowa).
- Środki masowego przekazu.
 - Tak, media. Nie da się przeprowadzić śledztwa bez naruszenia tych gwarancji.
 - Czyli mimo to, że macie nazwiska i dowody, nikt nie trafi do więzienia.
- Tickner zaciska usta w wąską kreskę. Przytakuje ledwo widocznym kiwnięciem głowy. Czuję się tak, jakby ktoś kopnął mnie w krocze.
- Boże, wy chyba żartujecie. Ci skurwiele zabili moją żonę. Próbowali zabić mnie i nadal próbują. Wczoraj podłożyli bombę w moim pokoju hotelowym.
- Cisza. Wymieniają spojrzenia. Nash pochyla się w moim kierunku.
- Panie Morgan, my też nie mamy z nimi lekko - mówi wyraźnie rozcieszony - straciłem na to ładnych parę lat. Kiedy jestem już gotów zgnać tych skurwiele, zawsze wchodzi w jakieś układy i gównem z tego wychodzi. Żeby "było śmieszniej, to my potem musimy ich osłaniać!
- Patrzę na niego bez słowa. Co on mówi? Przecież zamordowali Nancy.
- Chodzi o to - kończy Tickner i zaczyna bawić się swoją muszką - że ściganie przemytników i handlarzy nigdy nie było naszym głównym celem. Staramy się zlikwidować samo jądro, samo zjawisko handlu. Jeśli zamknięcie kogoś ma w tym pomóc -świetnie. Jeśli natomiast osiągniemy to dzięki naszemu projektowi -jeszcze lepiej. My go tylko wprowadzamy w życie.
- Wpatruję się w podłogę chcąc powstrzymać narastającą we mnie wściekłość. Oby tylko Surigao już nie żył.
- Cóż za kurewska parodia. Nash przytakuje z ponurą miną.
 - Niech pan to nazywa, jak pan chce - mówi Tickner - w każdym razie takie są zasady. Takie były i takie będą. Mam nadzieję, że uda się panu z tym pogodzić.
 - A mam wybór?
 - Nie, tak jak my. Ten człowiek rzucił nam wyzwanie i wygrał. Wkurza mnie tylko to, że Chen Dai przez cały czas zachowywał się jakby był pewien zwycięstwa. Nawet kiedy przyciskaliśmy go do muru, czuł się pewnie i bezpiecznie. Chłodny, spokojny, opanowany - potrząsa głową ze zdumieniem - wciąż miałem wrażenie, że ma jakiegoś asa w rękawie. Choć teraz to już nie ma znaczenia.
 - Czy mógłby pan odpowiedzieć na jedno pytanie?
 - Nie wiem, najpierw muszę je usłyszeć.
 - Próbowaliśmy dociec, dlaczego chcą mnie zabić. Wiem, że ma to jakiś związek z moim dochodzeniem w CIL, ale...
 - Dlaczego pan tak twierdzi?
 - Surigao kazał swojej żonie zwrócić uwagę na moje nazwisko w raportach organizacji. Może wy wiecie dlaczego?
- Oczy Ticknera zachodzą mgłą. Naprawdę wygląda na zaskoczonego.
- Nie, pierwsze słyszę. O ile mi wiadomo, Surigao był łącznikiem, działał w Bangkoku, Manili, Honolulu, San Francisco.
 - Tylko tyle? Tickner przytakuje.
 - Ale wróćmy jeszcze do CIL. Powiedział pan, że ludzie Chen Daia szmuglują narkotyki wykorzystując możliwości tej organizacji.
 - Zgadza się.
 - Jak?

Przygląda mi się przez chwilę i podejmuje decyzję.

- Ukryte w skrzyniach transportowych. Odpowiedź, której się najmniej spodziewałem.
 - Nie, to niemożliwe.
 - Możliwe. W każdej skrzyni jest dwadzieścia kilo.
 - Dwadzieścia?!
 - Dokładnie.
 - To ponad czterdzieści funtów! Zważyliśmy z pułkownikiem kilkanaście skrzyń. Każda ważyła tyle, ile powinna. 121 funtów.
- Uśmiecha się, najwyraźniej zadowolony z siebie.
- Jestem pewien, że tak było, panie Morgan. Nie, niczego pan nie przeoczył. My sami odkryliśmy ich metodę dopiero po kilkunastu latach i muszę stwierdzić, że jest doskonała. Jak już wspominałem, jutro z pułkownikiem omówimy to wszystko.
 - Jutro o której? Uśmiecha się znacząco.
 - Ma tu być o jedenastej. Uważam, że zasłużył pan na dotrzymanie nam towarzystwa, oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy.
 - Jeszcze jak.

29

Wychodząc z biura Ticknera mam mieszane uczucia. Jestem cholernie ciekaw, skąd dowiedzieli się o skrzyniach transportowych - przecież to niemożliwe - a z drugiej strony, jestem wściekły, że mordercy Nancy pozostaną bezkarni i jeszcze rząd mojego kraju udzieli im znacznej pomocy finansowej. Co prawda Ajacier prawdopodobnie nic z tego nie dostanie i w dodatku utraci jedno z głównych źródeł dochodów, ale cóż to za pocieszenie?! Przynajmniej wiem już, dlaczego nie zapłacił Surigao.

Przeciskam się przez labirynt korytarzyków i schodzę do holu ambasady. Chcę zamówić taksówkę i wrócić do hotelu.

Z jednej z licznych poczekalni wybiega Kate.

- Wszystko w porządku?
 - I tak, i nie. W każdym razie to długa historia - odpowiadam i streszczam pokrótce co mówił. - No i teraz nie mam najmniejszego pojęcia, co robić.
 - Może będę mogła ci pomóc - mówi z uśmiechem zastępującym zdanie „Wiem coś, o czym ty nie wiesz”.
 - Jak?
 - Mam coś dla ciebie - wyciąga plik karteczek z przekazanymi przez telefon informacjami. Jest ich co najmniej pół tuzina.
 - Skąd je wytrzasnąłaś?
 - Z Orientalu. Przyszło mi do głowy, że według całej reszty świata nadal tam mieszkamy - odpowiada, podczas gdy ja zabieram się do przeglądania. Kilka jest z mojego biura, jedna od Janie, dwie, trzy od Laury. - Na jedną z tych wiadomości powinienes zwrócić szczególną uwagę. Gdy to mówi, spoglądam z niedowierzaniem na karteczkę -prośba o telefon do pana Surigao. Jest numer, a pod nim podkreślone słowa możliwie najszybciej. Ten sukinsyn wcale nie gnije w jakiejś zapadłej dzielnicy. Ależ niespodzianka.
 - Czemu, do jasnej cholery, dzwoni właśnie do mnie? Skąd wiedział, gdzie mieszkamy?
 - W Bangkoku jest tylko kilka naprawdę dobrych hoteli. Sprawdził pewnie wszystkie i trafił na nasze nazwiska w Orientalu. A propos, budki telefoniczne są w tym korytarzu.
- Ostrzegam ją chłodnym spojrzeniem.
- Nie ma mowy. Nie będziemy stąd dzwonić - mówię cicho. Przytakuje posłusznie i po chwili wychodzimy z ambasady na teren parkingu. Dla kogoś takiego, jak ja, kto przyzwyczył się do spania z telefonem komórkowym pod ręką, brak telefonu jest dotkliwą niewygodą. Wyruszamy w poszukiwaniu najbliższego hotelu. Nieco niżej, przy Wireless Road, znajduje się Hilton. Przy barze w holu widzę rząd budek

telefonicznych.

Nerwowo wciskam monetę do automatu, wykręcam numer i wsłuchuję się w ten dziwny, brzęczący sygnał.

- Swadee? - rozlega się szorstki męski głos.
- Chciałbym rozmawiać z panem Surigao.
- A kto mówi?
- Moje nazwisko Morgan. Pan Surigao zostawił dla mnie wiadomość w hotelu.

Słyszę odgłos odkładanej na bok słuchawki, tupot, krótką, przytłumioną rozmowę, po czym...

- Morgan? - to Surigao. Od razu poznaję ten głos. - Co tak długo?
- Dopiero się dowiedziałem, że pan dzwonił. O co chodzi?
- O forszę. Chcę pertraktować.
- Ze mną?
- Tak. Mam do sprzedania pewne informacje.

No, to już sporo wyjaśnia. Agencja nie chce z nim współpracować, więc myśli, że może uda się ze mną. Jestem mocno zaintrygowany.

- Jakie informacje?
- Te które ujawniają wszystko, co wiąże się z tą sprawą.
- Czemu nie zgłosi się pan do władz?
- Próbowałem, kurwa ich mać - odpowiada ostrzejszym tonem. - Nie mam czasu na zabawę, ani z nimi, ani z panem. Próbuja mnie zabić. Muszę się stąd zmyć i potrzebuję pieniędzy. Jak najszybciej.
- Jaką mam mieć gwarancję, że te informacje są naprawdę coś warte?
- Pewni ludzie byli mi winni kupę pieniędzy i...
- To znaczy Ajacier?
- Zgadza się. Kazał mi iść do diabła i kiedy zagroziłem, że pójdę z tym do Agencji, postanowił mnie sprzątnąć.
- Szkoda, że mu się nie udało.
- Chce pan rozmawiać, czy nie?
- Nie, jeśli nie dowiem się, dlaczego ty chciałeś mnie sprzątnąć.
- To właśnie zamierzam panu sprzedać, Morgan - odbija piłeczkę - właśnie to.

Przełykam ślinę, próbując się opanować.

- Ile chcesz?
- Pięćdziesiąt tysięcy.
- Ile?! Chyba żartujesz.
- W dolarach i całą sumę - jeszcze dziś.
- Nie zdobędę aż tyle.
- No to niech pan weźmie z funduszy firmy.
- Nie da rady. Moja firma to nie mój prywatny skarbiec, a nawet jeśli tak było, to w Los Angeles jest teraz trzecia nad ranem. Banki zaczynają pracę za sześć godzin; wtedy te tutaj będą już dawno pozamykane. Poza tym transfer pieniędzy zająłby parę dni.
- Wyjeżdżam dziś wieczorem.
- Zmień plany.
- Nie, mogę. Wyciągnie pan dwadzieścia pięć?
- Skąd.
- No, jeśli naprawdę panu zależy, niech pan coś wymyśli. I to migiem.

Rozpaczliwie szukam jakiegoś wyjścia. Wreszcie przypominam sobie wakacje z Nancy sprzed paru lat. Zwiedzaliśmy galerię w Rzymie. Koniecznie chciała kupić jeden z obrazów (ten, który teraz wisi przy pianinie), kosztował 8500 dolarów. Sprzedawca nie honorował kart kredytowych, a nie mieliśmy ze sobą książeczki czekowej. W końcu wzięłem zaliczkę na kartę kredytową.

- No dobra, mam pewien pomysł. Ale zajmie mi to parę godzin.
- Byle pan zdążył do wieczora. Na końcu Saengkee Road jest mały dok.
- Yangking Road?

- Nie - odpowiada, powtarza i literuje nazwę - to w osiedlu Trokchan, półtora kilometra na południe od hotelu Oriental. O szóstej będzie tam czekać taksówka wodna. Przez piętnaście minut.

- Dobrze. Odkłada słuchawkę.

W uszach ponownie odzywa się to irytujące brzęczenie. Nie jestem pewien, co o tym wszystkim myśleć, ale wiem, że Tickner był w błędzie. Jednak mam wybór. I teraz go dokonałem.

- No i? - pyta Kate niecierpliwie, kiedy wreszcie wychodzę z budki.

- Do szóstej muszę zebrać dwadzieścia pięć tysięcy dolców.

- Dwadzieścia pięć tysięcy? Po co?

- Surigao chce mi sprzedać jakieś informacje.

- Jesteś pewien, że to nie pułapka?

- Nie, jest zbyt zdesperowany. Chce się stąd wydostać. To on podejmuje większe ryzyko. Ja wiem, że go nie zabiję. On tego nie wie - do głowy przychodzi mi pewna myśl - a może go jednak zabiję?

- Czym? Podnoszę ręce.

- A to? Nie byłoby to po raz pierwszy. Nie da się jednak ukryć, że wolałbym mieć przy sobie jakąś broń. Skontaktowałaś się z Vann Nathem?

- Dzwoniłam do jego biura, ale go nie zastałam. Nie zostawił żadnej wiadomości. Co chcesz zrobić?

- Wiesz może, gdzie jest tutejsza siedziba American Express?

- Chyba nie ma czegoś takiego w Bangkoku.

- No nie, to raczej niemożliwe. Jesteś pewna?

- Zaraz, zaraz. Zdaje się, że mają gdzieś przedstawicielstwo - wchodzi do budki telefonicznej wyciąga gruby tom. - ...O, jest. W biurze Sea Tours, hotel Siam Intercontinental.

Opuszczamy progi Hiltona i ruszamy skuterem na zachód, drogą Phloenchit. Po około dwudziestu minutach zauważam skąpany w tropikalnej zieleni strzelisty dach Intercontinentalu. Biuro Sea Tours znajduje się wśród sklepików na czwartym piętrze. Podtykam platynową kartę American Express pod nos jednej z urzędniczek i informuję ją, że chciałbym dostać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów zaliczki.

- Dwadzieścia pięć tysięcy - powtarza z niedowierzaniem.

- Czy istnieje możliwość pobrania takiej sumy?

- Bardzo mi przykro, panie... Morgan - odpowiada, gdy odszukała już na karcie moje nazwisko - maksymalna kwota, jaką wypłacamy na kredyt, to dziesięć tysięcy dolarów.

- Dziesięć?

- Tak, proszę pana.

- A ile może być wypłat?

- Obawiam się, że tylko jedna. Ze złością marszczę brwi. Kate szepcze mi na ucho:

- Na miejscu Surigao wzięłabym te dziesięć tysięcy. Ja też. Ma rację.

Po udokumentowaniu tożsamości urzędniczka wyjaśnia, że mogę pobrać pieniądze na czek osobisty. W ten sposób wszystko pójdzie o wiele szybciej.

Wypisuję czek.

Zanosi go swojemu przełożonemu.

- Tego się obawiałam - mówi po powrocie - nie mamy wystarczająco dużo gotówki. Widzi pan, nie jesteśmy biurem obsługi i...

- Czy możecie to zdobyć?

- Oczywiście. Połowę, czyli w przeliczeniu 125000 baht, teraz, a resztę jutro.

- Baht?

- Tak. Możemy wypłacić tę kwotę tylko w miejscowej walucie.

- Bahty są mi niepotrzebne. Mówiłem o dolarach. Przepraszam, jeśli nie wyraziłem się dość jasno.

I całą sumę muszę mieć już dzisiaj.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- To bardzo pilna sprawa. Musicie...

- Pilna, proszę pana?

- Dlaczego pani pyta? To jakaś różnica?

- Ależ oczywiście. To znaczy, że możemy poprosić Międzynarodowe Biuro Pomocy o wsparcie. Oni zajmują się takimi sprawami jak opłata za ewakuację w razie zagrożenia życia lub zdrowia, klęsk żywiołowych, zamieszek, potrzeby opłacenia rezerwacji w czterogwiazdkowych restauracjach. Nawet...

- Proszę się po prostu tym zająć, zgoda?

Zmusza się do uśmiechu, podnosi słuchawkę i zaczyna rozmawiać w języku tajskim. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale Kate rozumie wszystko. Obserwuję jej twarz, i albo zamieram w niepokoju, albo oddycham z ulgą. Wreszcie ściska mi dłoń.

- Wygląda na to, że kurier podejmie pieniądze z ich banku i przywiezie je tutaj przed końcem dnia pracy.

Urzędniczka kończy rozmowę i potwierdza słowa Kate. W Bangkoku koniec dnia pracy to godzina szesnasta. Mam mnóstwo czasu. Odczuwam niewysłowioną wprost ulgę, no i jestem pod wrażeniem. Od chwili pojawienia się kart umożliwiających pobieranie pieniędzy za liczbę przejechanych kilometrów, rzadko posługuję się American Express. Chciałem nawet zupełnie z niej zrezygnować, a teraz -jak mówią w reklamie - cieszę się, że nie zostawiłem jej w domu.

Wciąż patrzę na zegarek - mija piętnaście minut, pół godziny, godzina. Kiedy jest już dobrze po czwartej, tracę cierpliwość i proszę urzędniczkę, by zadzwoniła do banku. Zapewniają, że kurier wziął pieniądze i jest w drodze. Najprawdopodobniej utknął w jakimś korku. O 17.20 podjeżdża skuter. Posłaniec tłumaczy, że zatrzymał się po drodze. Robił zakłady na walki latawców i stracił rachubę czasu.

- Co? Walki latawców?! - niemal wykrzykuje, podpisując papiery.

Kiedy wkładam pieniądze do teczki, Kate wyjaśnia, że walki latawców to tradycyjna, doroczna zabawa - walka płci. Gładkie męskie latawce przypominające kształtem myśliwce odrzutowe mają za zadanie strącić ich okrągłe kobiece odpowiedniki za pomocą zakończonej hakiem listwy. Z tym wszystkim wiążą się duże pieniądze i zawody traktowane są nad wyraz poważnie.

Biegniemy do skutera i ruszamy ulicami miasta, przeciskając się przez zatłoczone ulice w kierunku rzeki Chao Phraya. Kate zwinnie wymija unieruchomione w korkach trąbiące pojazdy i jedzie na skrót pogrążonymi w mroku bocznymi uliczkami.

Gdy wreszcie osiągamy nasz cel - Saengkee Road - jest już 18.10. Droga zakręca wzdłuż kanału i wiedzie na mały parking. Przy brzegu, kołysząc się na falach, czeka wodna taksówka. Kate wciska klakson chcąc oznajmić nasze przybycie. Sternik odpowiada ponaglącym machnięciem ręki.

Zatrzymujemy się.

- No to do zobaczenia w hotelu - żegnam się z Kate.

- Zaczekaj - mówi. Wyjmuje coś z torebki i wciska mi w dłoń. Ten tajemniczy przedmiot okazuje się czarnym plastikowym pojemnikiem o długości mniej więcej dwunastu centymetrów.

Przypomina dużą butanową zapalniczkę.

- Gaz?

- Pamiętaj, że mieszkam i pracuję w naszej stolicy. Tam, gdzie popełnia się najczęściej morderstw. Tylko wycelować i nacisnąć.

- Dzięki.

- Uważaj na siebie.

Podbiegam do taksówki. Wskakuję na pokład i łódź rusza w kierunku południowym. Nie mam pojęcia dokąd płyniemy i czuję się dość niepewnie. Z ciemności wyłaniają się czerwone i zielone smugi światła. Reflektory burtowe. Wokół nas setki łodzi. Każda z nich może nas śledzić.

Po półgodzinie dostrzegam w oddali żurawie przygotowanych do wypłynięcia frachtowców.

Wpływamy do Khlong Toey, portu dalekomorskiego. Spod pofałdowanych metalowych dachów wyłania się długa kolejka barek oczekujących na rozładunek. Przypominają pływające chatki Quonset.

Sternik kieruje się wreszcie ku jednej z dużych przystani przy której cumuje frachtowiec. Z jedyne go komina wypływa smuga dymu, na tle świateł pokładowych widać krzątającą się załogę. Na drugim końcu przystani, na wbitych w dno palach, stoją rzędy jednopiętrowych metalowych budynków. Wyglądają na schronisko bądź dom noclegowy dla wędrownych marynarzy. Sternik

zmniejsza obroty silnika i zatrzymuje taksówkę przy jednym z doków.

Daję mu do zrozumienia, że sprawa nie zajmie mi dużo czasu i byłbym wdzięczny gdyby na mnie poczekał. Wspinam się na dok i wypatruję w ciemnościach Surigao. Próbując zachować równowagę na niepewnych przejściach, kieruję się w stronę pomostu na główne moło. Nagle słyszę głos:

- Morgan?

Odwracam się i dostrzegam mężczyznę wyłaniającego się z wnętrza odrapanej budowli. Jego twarz rozjaśnia światło z jakiegoś okna. To krótko ostrzyżony Azjata z małym wąsikiem. Dopiero gdy podchodzi bliżej, rozpoznaję w nim Surigao. Jego rana nie może być aż tak poważna, bo w jednej ręce trzyma małą torbę podróżną, a w drugiej pistolet.

- To ci się raczej nie przyda - mówię łamiącym się głosem. Wreszcie stoję twarzą w twarz z mordercą Nancy.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, kiwa głową i chowa pistolet do kieszeni. Stoimy w milczeniu. Serce bije jak oszalałe, czuję nagły przypływ adrenaliny. Przed oczami widzę martwą Nancy leżącą na metalowym stole w kostnicy. Przysięgałem, że będę ją pamiętał taką, jaka była za życia, ale nic nie mogę na to poradzić. Surigao wie doskonale o czym myślę - dostrzega w moich oczach cień nienawiści.

- Próbowałem cię przekonać - mówi wreszcie ponurym tonem - powinieneś być dać sobie z tym spokój.

- Przecież tak, do jasnej cholery, zrobiłem. Gdy tylko poznałem nazwisko człowieka, który zabrał moje identyfikatory.

- Pettibone.

- Tak. Myślałem, że zginął chwalebnie. Że był zapomnianym bohaterem. Ale całe to moje dochodzenie okazało się stratą czasu. Chciałem umieścić na pomniku nazwisko jakiegoś bandyty. Kiedy poznałem prawdę, wszystko było skończone. Tak, Surigao, skończone. Ale wtedy zabiłeś moją żonę. Ty skurwysynu.

- To był mój błąd.

- A co to zmienia?

- Wyrównałeś rachunki.

- Gówno prawda. To Ajacier. I dobrze o tym wiesz.

- A czy to coś zmienia? - sztywnieje i przygryza wargę nie chcąc stracić panowania nad sobą.

Widzę jego zamglone oczy. Czyżby naprawdę płakał? Udaje? Czy jest aż tak dobrym aktorem? - Carla nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Nie wiedziała o niczym.

- Znała moje nazwisko.

Przytakuje niechętnie i wyciąga z kieszeni dużą białą kopertę.

- Tu jest wszystko.

Ciszę zakłóca gwizd z pokładu frachtowca. Surigao odwraca się z niepokojem. Z komina unosi się chmura dymu.

- No, pora ruszać - mruczy pod nosem i pokazuje teczkę, którą ściskam pod pachą - to pieniądze?

Przytakuję, próbując ukryć niepewność.

- Dziesięć tysięcy.

- Dziesięć? - powtarza z niechęcią.

- Więcej nie udało mi się zdobyć.

Przygląda mi się podejrzliwie, po czym stwierdza posępnie:

- No dobra, niech będzie.

Wymieniamy koperty i równocześnie je otwieramy. Uśmiecha się niewyraźnie na widok amerykańskich banknotów, wciska pieniądze do torby i rusza w kierunku pomostu prowadzącego na moło.

- Chwila - mówię i staję przed nim. Właśnie chcę obejrzeć zawartość koperty, którą od niego dostałem, kiedy rozlega się ryk silnika. Zauważam charakterystyczny kształt przecinającej powierzchnię wody motorówki. Płynie z dużą prędkością w naszym kierunku. Na tle odległych świateł wielkiego miasta widać wyprostowaną sylwetkę stojącą na dziobie. Nagle ciemność ożywa. Pojawiają się niebiesko-pomarańczowe błyski i rozrywający bębni łośkot karabinu

maszynowego.

Surigao oddaje kilka strzałów ze swojego pistoletu i biegnie w stronę pomostu. Ja pędzę do taksówki wodnej. Po drodze wciskam kopertę do kieszeni. Niestety, przerażony sternik wciska gaz zanim dobiegam. Wskakuję z rozpędu do wody i wynurzając się zauważam Surigao, który jakimś cudem żywy zdołał dostać się na pomost. Jest już prawie na moło, kiedy w jego ciało wbija się któraś z kolejnych serii. Odwraca się. Wygląda, jakby chciał wrócić na brzeg, podtrzymywany na nogach nieprzerwanym ogniem z karabinu. Po chwili jednak osuwa się i wpada do wody.

Strzały cichną.

Surigao unosi się na powierzchni wody. Plama krwi jest coraz większa, koperta z moimi dziesięcioma tysiącami dolarów odplywa w dal.

Powoli, ostrożnie, nie spuszczać oka z motorówki próbuję dopłynąć do głównej przystani. Jednak po chwili pada na mnie światło z reflektora. Rozlega się ryk silnika, rufa zanurza się w wodzie, dziób odwraca się w moją stronę, a karabin wypluwa z siebie serię pocisków. Nurkuję i płynę przed siebie. Czarna brudna woda smakuje okropnie, nad głową widzę małe fontanny, które tworzą uderzenia kul o powierzchnię. Na szczęście mijają mnie w pewnej odległości.

Przebijając się przez gęstą wodę, muszę toczyć nieustanną walkę z ciągnącym mnie do dna ciężarem ubrania. Powracam myślami do Wietnamu, do tego dnia, kiedy ukrywałem się przed patrolem Vietcongu na polu ryżowym w delcie Mekongu. Polowali na mnie parę godzin. Chodzili wszędzie, wzdłuż równiutko rosnących liści, systematycznie przeczesywali dno, dźgając i strzelając tam, gdzie tylko cokolwiek się poruszyło. Za każdym razem kiedy się zbliżali, nurkowałem i posuwałem się do przodu macając rękami muliste dno, próbując zapomnieć o domagających się powietrza płucach. Tak jak teraz.

Po dłuższej chwili natrafiam na podtrzymujące moło pale. Mają co najmniej 30-35 centymetrów średnicy. Okrażam je z drugiej strony i próbuję ukryć się przed czujnym wzrokiem strzelca, po czym wynurzam się i rozpaczliwie chwytam powietrze. Motorówka krąży wokół. Człowiek z karabinem przykucnął na dziobie i szuka mnie w ciemnościach. Wreszcie puszcza serię pod moło. Kulę się za wspornikami, kawałki drewna przecinają powietrze. Naciska jeszcze parę razy na spust i łódź odplywa. Odczekuję chwilę i gdy hałas silnika cichnie w oddali, podpływam do brzegu.

Natrafiam na zardzewiałą drabinę i wspinam się po niej na pomost.

Po drodze mijam frachtowiec, który odplywa bez Surigao na pokładzie. Idę nabrzeżem w kierunku północnym. Mijam rozległe slumsy. Po drodze napotykam krążący po okolicy tuk-tuk - jedną z tych trójkołowych bezdrzwiowych puszek szalejących po mieście w poszukiwaniu pasażerów. Ociekam wodą. „Szofer” spogląda na mnie i odgania niecierpliwym machnięciem ręki. Wsiadam jednak i proponuję mu podwójną zapłatę. Chyba nie rozumie. Podnoszę dwa palce. On z uśmiechem pokazuje trzy i rusza w stronę hotelu.

Wyczerpany, opadam na siedzenie i szukam koperty w kieszeni. Jest na swoim miejscu. Niestety, zbyt przesiąknięta wodą, by ją teraz otworzyć. Nie chcę niczego zniszczyć. Poza tym mam inne zmartwienia. Skoro ludzie Ajaciera nas śledzili, to znaczy, że wszystko o mnie wiedzą. Martwię się o Kate.

Po upływie ciągnących się w nieskończoność czterdziestu minut tuk-tuk podjeżdża pod wejście do Soi 12. Przebiegam przez hol i pokonuję schody po dwa, trzy naraz. Kate czeka na mnie w pokoju.

- Co, płynąłeś z powrotem? - pyta. Przyzwyczała-się już, że wracam z moich eskapad w oplakany stan.

- Niewiele brakowało - odpowiadam ze zniecierpliwieniem -no, a teraz pospiesz się. Wynosimy się stąd.

- Dlaczego? Co się stało?

- Okazało się, że prawie zgadłaś. Z tym, że to Ajacier zakończył rozpoczęte wcześniej dzieło.

- Surigao nie żyje.

- Tak, śledzili mnie.

- Skąd wiedzieli, że masz się z nim spotkać?

- Jeśli są w stanie wysadzić w powietrze pokój hotelowy, to nie powinni mieć problemu z podsłuchaniem kilku rozmów telefonicznych. Kiedy już wiedzieli, że Surigao chce się ze mną

spotkać, poczekali, aż sam ich do niego zaprowadzę.

- To znaczy wiedzą, że tu jesteśmy?
- Musimy przyjąć takie założenie. Ludzie z Agencji nas znaleźli, więc dlaczego Ajacier miałby być gorszy?

- Może ktoś im pomógł?

- Nie wiem. Łączą ich w końcu wspólne interesy. Wszystko wzięte?

Rozglądamy się po pokoju. Wychodzimy i przejściem ewakuacyjnym wydostajemy się na zewnątrz. Po kilku minutach mkniemy skuterem wąskimi ulicami Bangkoku. Jedziemy do innej dzielnicy, wybieramy jakiś przypadkowy hotelik, bierzemy pokój z łazienką.

Wyjmuję z kieszeni kopertę i pojemnik z gazem, który oddaję Kate.

- Lepiej zmień ciuchy - radzi.

- Najpierw zobacz, za co dałem dziesięć tysięcy dolców. Koperta jest wciąż wilgotna. Wszystko w środku jest posklejane.

Z przyspieszonym biciem serca wyjmuję ostrożnie złożoną na trzy kartkę papieru. Kładę ją na szafce i delikatnie rozkładam. Ma

standardowe wymiary: 20 x 25. Widnieją na niej trzy kolumny nazwisk i numerów seryjnych.

- Patrz, tu jest John - wykrzykuje Kate zauważając nazwisko swojego męża na samej górze pierwszej rubryki.

Dopiero po chwili dostrzegam moje. Jest mniej więcej w środku drugiej kolumny. Potem zaczynam podliczać: w pierwszej trzydziestu pięć nazwisk. Dalej nie muszę już liczyć, druga jest tej samej długości, a w trzeciej jest ich o siedem mniej.

- Razem 98 - oznajmiam i wzruszam ramionami. Nie 547, nie 411, nie 136, nie wielokrotność, dzielnik, ani potęga którejkolwiek z tych liczb. 98 nie pasuje do żadnej z tworzonych przeze mnie symulacji statystycznych. Nie znoszę takich liczb. Jakby broń wypadła mi z ręki - znasz inne nazwiska?

- Niektóre.

- Czy ktoś z nich zaginął w prowincji Houa Phan?

- Możliwe.

- Możliwe? Myślałem, że jesteś ekspertem.

- Przykro mi, ale nie jestem w stanie zapamiętać wszystkich 547 przypadków. Pamiętam tylko że facet, który ukradł ci identyfikatory, tam nie zginął.

- Fakt. Chodzi o to, że wcale nie zginął. Jego ciało zostało znalezione i zabrane z kostnicy.

- No to skąd na liście twoje nazwisko?

- A żebym to ja wiedział. Może łączy je coś jeszcze? Zaprzecza energicznym ruchem głowy.

- Wszystkie informacje wyleciały w powietrze razem z twoim komputerem.

- Pamiętasz nazwiska żołnierzy, których szczątki ostatnio repatriowano?

- Tak - odpowiada pewnie.

- Są na liście?

Patrzy przez chwilę na kartkę.

- Nie. Nie ma ich tutaj.

- Żadnego z nich, jesteś pewna?

- Na sto procent.

- A mąż twojej przyjaciółki, która zginęła w wypadku? Jest tu jego nazwisko?

Przeszukuje listę i wskazuje palcem.

- Tak, tutaj.

- Czy on zaginął w Houa Phan?

Kate przytakuje i pochmurnieje, gdy zauważa, do czego zmierzam.

- Uważasz naprawdę, że ją zamordowali, tak?

- Jak mówiła Carla, nie tylko ja byłem poszukiwany.

- To znaczy, że mogą być jeszcze inni. Przytakuję ponuro.

- Pytanie - dlaczego? Surigao powiedział, że ta lista wszystko wyjaśni, ale wcale tak nie jest - ściągam mokrą koszulę i rzucam ją ze złością w kąt. - Nadal nie mam pojęcia, dlaczego Nancy

zginęła.

Kate przytakuje z poważną miną i podaje mi ręcznik.

- Jedyne sensowne wyjaśnienie to takie, że te nazwiska zagrażają jakoś ich działalności.
- W końcu Surigao powiedział, że ta lista wszystko wyjaśni. Przytakuje w zamyśleniu.
- Czyli nie pozostaje mi nic innego jak pomyśleć, od czego zacząć.
- Chciałeś powiedzieć: nie pozostaje nam nic innego - poprawia zdecydowanie. - W końcu nazwisko Johna też jest na tej liście.

30

- Dwadzieścia kilo w jednej skrzyni? - pyta pułkownik Webster z niedowierzaniem.
- Tak powiedziałem i nadal nie mogę w to uwierzyć. Tickner odpowiada jednym ze swoich enigmatycznych uśmiechów.
- Chyba będę musiał przekonać panów siłą - mówi. Otwiera szufladę w biurku i wyjmuje młotek. Patrzymy na siebie ze zdziwieniem. Żaden z nas nie wie, co ten wymuskany agent ma na myśli. Tickner wygląda na człowieka, który nigdy w życiu nie wbił gwoździa w deskę. Obraca się na fotelu, wstaje i wciska guzik interkomu. Otwierają się rozsuwane drzwi za jego plecami. Wstaje, a my ruszamy za nim.

- A propos, myślałem, że będzie nam towarzyszyć pani Acker-man - rzuca Webster.

- Kazała przekazać pozdrowienia. Ma coś do załatwienia. Ważna misja - tak należałoby to dokładnie określić. Ostatniej

nocy, pomimo zmiany hotelu, spałem niespokojnie, budził mnie każdy nawet najcichszy dźwięk. Częściowo sprawiły to wcześniejsze wydarzenia i tajemnicza lista Surigao, ale główną przyczyną był, i jest nadal, irytujący brak broni. Vann Nath nie odezwał się od dwóch dni. Tego ranka zdecydowaliśmy z Kate, że ja pojedę do ambasady, a ona wstąpi do jego biura, żeby przypomnieć mu o naszej prośbie.

Podchodzimy do stalowych drzwi. Tickner otwiera je i wprowadza nas do dużego pomieszczenia, w którym czekają Nash i jeden z agentów, ten który wczoraj był u mnie w hotelu. Przypomina mi to policyjną przechowalnię dowodów winy. Na metalowych półkach imponująca kolekcja: pistolety, noże, plastikowe torby wypchane narkotykami i inne przedmioty przechwycone podczas nalotów na meliny. W samym centrum na podwyższeniach leżą dwie skrzynie transportowe.

Stajemy wokół nich. Tickner igra z naszą ciekawością i zapamiętałe bawi się młotkiem. Nagle uderza nim z całej siły w pokrywę jednej ze skrzyń. Na aluminium powstaje wgłębienie. Odsuwa się, a dwaj agenci zdejmują ją i kładą spodem do góry.

- No a teraz pytanie na inteligencję: co tu nie pasuje? - pyta Tickner tonem wymagającego nauczyciela.

Przyglądamy się uważnie skrzyni. Po paru sekundach doznaję nagłego olśnienia.

- Od wewnątrz nie ma wgłębienia.

- No, panie Morgan, całkiem nieźle.

- Zaraz, zaraz - protestuje rozdrażniony pułkownik. Przez cały czas miał nadzieję, że CIL nie było jednak w nic wplątane, a jemu zostanie oszczędzona hańba. Tickner zburzył to wszystko jednym uderzeniem młotka. Ale pułkownik jeszcze się nie poddaje: - Jeśli usiłuje pan wykazać, że skrzynie mają podwójne ścianki, to już to sprawdzaliśmy.

- Przy całym dla pana szacunku - odpowiada Tickner - niestety, to nie skrzynie, to pokrywy mają podwójne ścianki. Sprawdzaliście górę czy boki?

- Boki - przyznaję z niechęcią.

- No właśnie. Tak jak wszyscy. Ścianki są na tyle głębokie, że nie da się dobrze sprawdzić pokrywy, prawda?

- Bez młotka nie ma mowy.

Tickner uśmiecha się i podchodzi do drugiej skrzyni. Ta została przecięta na pół. Nash i pozostali agenci rozkładają ją i pokazują budowę pokrywy - składa się ona z dwóch ścianek. Pomiedzy dwiema aluminiowymi płytami pozostaje mniej więcej półtora centymetra wolnej przestrzeni.

Zlewają się na rogach tworząc grubą ściankę boczną.

- Podrabiają zegarki i dzinsy. Co za problem podrobić skrzynie transportowe? - Tickner pyta retorycznie. - Wprowadzili parę ciekawych innowacji.

- Tak, całe czterdzieści funtów - Webster sili się na żart, oczywiście po uprzednim przeliczeniu kilogramów na preferowane przezeń funty.

- Ważyliśmy całe skrzynie, nie wiem, czy pan sobie przypomina - włączam się.

- Panowie, tu nie chodzi o to, że coś dodali, chodzi o to, że ujęli.

- To znaczy?

- Żeby wszystko się zgadzało, masa przemycanych narkotyków równoważona jest przez użycie aluminium o tej samej twardości, ale lżejszego, ważącego dwie trzecie raza mniej. Ta sama grubość. Inny stop. Oczywiście, o wiele droższy.

- Czyli te skrzynie ważą o czterdzieści funtów mniej niż standardowe? - pyta pułkownik ze zdumieniem.

- Jak są puste. Po wypełnieniu heroiną ważą dokładnie sto dwadzieścia jeden funtów.

- Te skrzynie przechodzą przez ręce wielu ludzi - naciska pułkownik. - Czy chce pan, żebym uwierzył, że nikt nie zauważył różnicy w wadze?

- Ależ oczywiście, nie. Podobnie jak Chen Dai. Po wydobyciu heroiny na jej miejsce wysypuje się piasek krzemowy. W ten sposób skrzynie przez cały czas mają tę samą wagę.

Webster najeża się.

- A jak, u licha, wkładają to i wyjmują?

- Tu również wykazali się wielką inwencją - odpowiada Tickner i patrzy na Nasha.

Ten w odpowiedzi wyciąga urządzenie przypominające kształtem czarny, plastikowy odkurzacz. Do jednego końca podłączona jest rura, na drugim znajduje się przezroczysty pojemnik. Nash stawia to wszystko na podłodze i podłącza do prądu. Następnie podchodzi do uszkodzonej skrzyni i otwiera tubę z dokumentami, po czym wsuwa do niej jeden koniec „odkurzacza” i zabezpiecza przykręcając specjalną nakrętkę.

Tickner przyzwalająco kiwa głową.

Nash uruchamia urządzenie.

Słyszymy przeciągłe wycie, a pojemnik z zadziwiającą szybkością wypełnia się białymi granulkami o konsystencji cukru.

- Kilogram czystej heroiny - oznajmia Tickner po wyłączeniu maszyny.

- Po prostu zmodyfikowali budowę tuby - wyjaśnia Nash i zwraca naszą uwagę, że wylot tuby umieszczony jest tuż przy zakrzywionym narożniku skrzyni. - Tu, w środku, gdzie nie można go dostrzec, znajduje się mały półkolisty zawór, który tym wszystkim kieruje.

Jestem pod wrażeniem. Dużym wrażeniem. Mimo to nadal nie mogę uwierzyć, żeby w tak małym przestrzeni mogło zmieścić się dwadzieścia kilogramów.

- Jakiej wielkości jest ta skrzynia? 90 x 180, mam rację?

- Dokładnie biorąc, 210 centymetrów długości i 75 szerokości - odpowiada Tickner z miną znawcy.

- No, to jeśli pomnożymy przez siebie te liczby - mówię i w pamięci obliczam iloczyn - to będziemy mieli 15750 centymetrów kwadratowych. Teraz trzeba to pomnożyć przez 30 milimetrów odległości pomiędzy podwójnymi ściankami, no i razem mamy około 20000 centymetrów sześciennych objętości.

- Zgadza się. Teraz, jak pan zapewne zauważył, kilogram mieści się idealnie w pojemniku litrowym, natomiast litr to z kolei...

- Jeden decymetr, czyli 1000 centymetrów sześciennych - odpowiadam, wydobywając tę wiedzę gdzieś z głębi mózgu, z ukrytej tam, jakże dawno nie używanej, tabeli wag i miar.

- Czyli...? - pyta Tickner sugerując, że byle trzecioklasista może doprowadzić te obliczenia do końca.

- 1000 centymetrów sześciennych na kilogram równa się dwudziestu kilogramom w 20000 centymetrów sześciennych.

- No właśnie - promienieje Tickner.

- Jeszcze jedno - pułkownik postanawia walczyć do końca. - Jak mi się wydaje, żeby się opłacało,

przemycnicy szmuglują jak największą ilość narkotyków - tony, a nie nędzne czterdzieści funtów!

- Do czego pan zmierza, pułkowniku?

- Biorąc pod uwagę liczbę związanych z tym ludzi i ich wysiłek, że nie wspomnę o kosztach produkcji podrabianych skrzyń, nie wydaje się by to było rentowne przedsięwzięcie.

- I pan to mówi. Ile szczątek żołnierzy powróciło do kraju w ciągu ostatnich piętnastu lat?

- Nieco ponad trzysta.

- Czyli na rok przypada dwadzieścia skrzyń, co daje nam czterysta kilo - odpowiada Tickner i patrzy znacząco na Nasha.

- I właśnie stąd ta superczystość narkotyku - Nash przejmuje pałeczkę. - Chen Dai sprowadził z Bangkoku grupę doskonałych chemików, którzy opracowali technologię produkcji czystej heroiny. Produkt o dziesięcioprocentowej zawartości czystego narkotyku osiąga na rynku cenę 60000 za kilogram.

- A ten ile zawiera?

- 90,999999%. Aktualna cena to około pół miliona, czyli roczny dochód wynosi dwieście milionów dolarów.

Przytakuje ze zrozumieniem. Nie każdemu powodzi się tak dobrze.

- Oczywiście, nie wszystko ląduje w kieszeni Chen Daia - spieszy z wyjaśnieniem Tickner. Ajacier i dystrybutorzy zabierają swoją działkę, jemu zostaje 30%.

- To 60 milionów dolarów - skrupulatnie oblicza Webster.

- Zgadza się - kończy Nash - według naszych obliczeń utrzymanie jego prywatnej armii kosztuje około miliona miesięcznie. Reszta pieniędzy jest do jego dyspozycji. Niezła forsa, jak na szefa bandy partyzantów.

- Wiem, że odpowiedź zabrzmiała źle - mówi Webster z obawą w głosie - ale muszę to wiedzieć. Czy heroina... czy wkładali ją do skrzyń w Clark?

- Tak, i razem z wami przenieśli się do Andersen. Miejskowe władze są skorumpowane. Nasze tajne działania były natychmiast demaskowane, ginęli ludzie z Agencji. Krótko mówiąc, na Pacyfiku nie mamy już czego szukać.

- Transportują to wszystko z Laosu łodziami, samolotami, bo ja wiem czym jeszcze - dodaje Nash. - A może po prostu przesyłali to pocztą? Cholera wie.

Pułkownik z trudem powstrzymuje wybuch wściekłości.

- To znaczy, że ludzie, że oficerowie, którzy nadzorują transport skrzyń, współdziałają z tymi bandytami?

Tickner przytakuje z ponurą miną.

- Niektórzy z nich, owszem.

- Czyli, że za każdym razem, kiedy umieszczam w skrzyni szczątki żołnierza, bohatera, który zginął za swoją ojczyznę, który winien być traktowany z należnym szacunkiem, to skrzynia już wtedy zawiera heroinę?

Tickner ponownie przytakuje.

Pułkownik purpurowieje ze złości. Nie jest już w stanie się opanować.

- To dranie! I ja przez piętnaście lat wwoziłem to świństwo do kraju?!

- Obawiam się, że tak, sir - odpowiada Tickner, zaskoczony wybuchem Webstera. - Nie wiem, jak to wyjaśnić; wygląda na to, że heroina jest, że tak powiem, „zaparkowana” w CIL podczas wypełniania formalności, potem przewieziona do kostnicy w San Francisco, gdzie pracownicy cywilni wyjmują ją ze skrzyń i rzucają na rynek.

Webster wzdycha ciężko.

- Przykro mi, pułkowniku. Tak to już jest - ostre pytania, brutalne odpowiedzi.

- Będą jeszcze ostrzejsze - mówię pewnym siebie tonem.

- Słucham? - dziwi się Tickner.

- Doszliśmy z pułkownikiem do wniosku, że sprawa jest bardziej złożona. Interesuje was tylko to, co dzieje się teraz. A co z przeszłością, kiedy to wszystko się zaczęło?

- O wiele ostrzejsze... chodzi panu o posługiwanie się zwłokami żołnierzy podczas wojny?

- Nie jestem pewien, czy o to mi chodzi. Słyszałem, że coś takiego było niemożliwe.

- Kto to panu powiedział?
- Ktoś, kto dużo wie na ten temat. Oficer nadzorujący kostnicę Ton Son Nhut.
- Jason Ingersoll.
- Tak.
- Znam go dość dobrze. Bardzo miły i inteligentny człowiek. Miał rację - to rzeczywiście było niemożliwe. Ale mnie nie chodzi o kostnicę Ton Son Nhut. To pan o niej wspomniał. Chen Dai omijał to miejsce z daleka.
- Nie rozumiem, panie Tickner.
- Ja też - włącza się pułkownik. - Jak inaczej mogliby zdobyć zwłoki?
- Kupowali je.

Pułkownik unosi brwi w najwyższym zdziwieniu. Ja nie. Wszystko znowu łączy się w całość: opowieść fotografa o mężu Kate i lista, którą kupiłem od Surigao.

- Kilka lat temu, w czasie rozmów z uchodźcami - kontynuuje Tickner - zostało ujawnione, że Chen Dai kupował ciała amerykańskich żołnierzy od oddziałów Pathet Lao.
- Czy podczas tych przesłuchań ktoś wspomniał o liście zaginionych żołnierzy amerykańskich? - testuję go. Zdziwi się? Poczuj się zagrożony? Wybuchnie gniewem?
- Liście zaginionych? - powtarza obojętnie. - Nie przypominam sobie. A co to ma wspólnego?
- Też się zastanawiam. Możliwe, że jej ujawnienie mogłoby w jakiś sposób zagrozić Chen Daiowi. Tickner wzrusza ramionami.
- Nie, nie kojarzę. O ile mi wiadomo, ciała przewożono do laboratorium przetwarzania heroiny w Vientiane, gdzie narkotyki umieszczano w klatce piersiowej trupów. Tam przeprowadzano balsamowanie i zwłoki umieszczano w skradzionych skrzyniach transportowych. Po zakończeniu wojny Chen Dai wymyślił nową metodę.

- Powiedział pan: w Vientiane? - upewnia się Webster. Tickner przytakuje.

Spoglądamy na siebie ze zrozumieniem. Wiemy już, dlaczego Pettibone chciał dostać się do Vientiane.

- W każdym razie skrzynie wysyłano do bazy lotniczej Ton Son Nhut - podejmuje Tickner - i składano razem z pozostałymi -prawdziwymi, których punktem docelowym były Stany.
- Wtedy trafiały do podoficera zajmującego się przygotowaniem transportu - stwierdza pułkownik. Tickner przytakuje.
- Ktoś z rodziny Ajacier - dodaje. Tickner uśmiecha się z uznaniem.
- On wypisywał raporty i sprawdzał, czy wszystkie formularze są odpowiednio wypełnione i trafiają we właściwe miejsce; bez tego nie można było przekazać wiadomości rodzinom ani odebrać pieniędzy z ubezpieczenia. W sumie niezbyt trudne zadanie.
- Nazwisko Pettibone, czy coś panu mówi? - pytam.
- Przypomniałem je sobie po rozmowie z pułkownikiem parę dni temu. Przejrzałem wtedy nasze akta - odwraca się i kieruje w stronę drzwi. - Minęło grubo ponad dwadzieścia lat - podążamy za nim do jego biura - ale udało nam się dokonać rekonstrukcji wydarzeń. Nasi ludzie mieli go wtedy prawie w garści, a on zdezerterował i ich zgubił. Sprawdzali każdy lot, każdą listę pasażerów. Doszli do wniosku, że posługuje się cudzymi dokumentami.
- Moimi dokumentami. Ukradł je. Przez to wplątałem się w cały ten burdel. Miał je przy sobie, kiedy zginął.
- Naprawdę? Tego nie wiedzieliśmy.
- Bo wyciągnęli jego ciało z kostnicy, żeby wam nic nie przyszło do głowy. Tickner unosi brwi.
- Dwa punkty dla pana, Morgan.
- Zaryzykuję rzut za trzy. Wiedział pan, że Pettibone i Surigao byli w załodze tego samego śmigłowca?
- Żadna rewelacja. Zajmowali się przewozem skrzyń zawierających narkotyki z Vientiane do Ton Son Nhut.
- Świetnie. Jak rozumiem, nazywali te eskapady lotami po Pepsi, prawda?

Tickner patrzy na mnie z podziwem.

- Panie Morgan, co pan wie?
- Wciąż jeszcze za mało.
- Zależy od punktu widzenia.
- W porządku, jak pan uważa. A teraz proszę odpowiedzieć mi na pytanie: dlaczego właśnie ta nazwa?

Tickner i Nash spoglądają na siebie niepewnie.

- Powiedźcie, do cholery - włącza się pułkownik. - Nie po to leciałem czternaście godzin, żebyście teraz milczeli.

- No więc - zaczyna Tickner z niewyraźną miną - Chen Dai dzieli swój cenny czas pomiędzy siedzibę główną w Pak Seng i wytwórnię Pepsi-Coli w Vientiane.

- Pepsi-Coli?! - wykrzykuje pułkownik.

- Tak, to właśnie miejsce, o którym mówiłem wcześniej.

- Rafineria heroiny?!

- Uhm. Dzięki temu ma doskonały pretekst do zakupu eteru i bezwodnika octowego - wyjaśnia

Nash. - Bez tych składników nie można przeprowadzić reakcji zmieniającej opium w heroinę.

Oczywiście, nie wyprodukowano tam ani jednej butelki Pepsi. Od

samego początku była to nowoczesna wytwórnia narkotyków. Kiedy modny stał się crack, zaczęli produkcję „lodu”. To krystaliczna metamfetamina. Wpędza w nałóg równie szybko, jak crack, ale po wymieszaniu z heroiną daje lepszy haj, na dodatek bez pogorszenia nastroju. Można to palić.

Żadnych igieł. Żadnego zagrożenia AIDS. Duże możliwości rozwoju.

- Problem jest taki - podsumowuje Tickner - że wytwórnię wybudowano w latach sześćdziesiątych z funduszy amerykańskich. Oczywiście, ani PepsiCo, ani nasza Agencja Międzynarodowego

Rozwoju nie wiedziały nic o produkcji heroiny. I nadal, jak pan wie, jest to bardzo drażliwa sprawa

- przerywa i patrzy mi w oczy - muszę pana poprosić o pozostawienie jej w spokoju.

- Niech Ajacier najpierw mnie zostawi w spokoju.

- Jak sugerowałem kilka dni temu, nie jesteśmy pewni, czy to Ajacier za tym stoi.

- A kto inny? Może wy?

- Panie Morgan, to nie żarty. Podejrzewamy, że Chen Dai chce oczyścić przedpole.

- Rozumiem, że Ajacier również jest na muszce.

- Istnieje taka możliwość.

- I pozwolicie na to Chen Daiowi?

- To jego sprawa.

- Jezu Chryste!

- Jeśli mam być szczerzy, panie Morgan, to muszę przyznać, że to nam zdecydowanie ułatwia pracę.

Przez chwilę nie wiem, jak zareagować. Czy to ukryte ostrzeżenie? Groźba? Dopiero po chwili odzyskuję zdolność logicznego myślenia.

- Panie Tickner, czy mogę zadać panu jeszcze jedno pytanie?

- A czy to cokolwiek zmieni?

- Nie.

- No to proszę bardzo.

- Czy prace nad programem wymiany upraw są już zakończone?

- Tak, pozostały tylko jakieś formalności. Teraz to kwestia organizacji i planowania.

- I przemysł narkotyków stanie się przeszłością.

- Jak prohibicja - macha ze zniecierpliwieniem ręką. - Tylko o to chciał pan zapytać?

- Dlaczego próbowali zabić właśnie mnie?

- Co w tym dziwnego? Ścigając Surigao sprowokował ich pan,

- Nie, to on zaczął. Kilka miesięcy temu. Zaraz po tym, jak po raz pierwszy skontaktowałem się z CIL.

- Do czego pan zmierza? - pyta ze zniecierpliwieniem Tickner.

- Dlaczego byłem dla nich niewygodny? Przecież Chen Dai nie kazałby mnie zabijać ot tak, bez powodu.

Tickner przyznaje mi rację i zaczyna się zastanawiać.

- Na pewno nie mogłem mu przeszkodzić w przemyśle narkotyków.

Tickner przytakuje.

- No to w czym? Musi być coś jeszcze. Nie widzę innego wyjścia.

- Nie przesadza pan?

- Zawsze przesadzam. Jestem statystykiem. Znajomi narzekają, że w moim świecie wszystko musi się zgadzać - przerywam i rzuca mu miążdzące spojrzenie. - I nie ustąpię, dopóki tak się nie stanie.

31

Leje.

Jak z cebra. Typowy tropikalny monsun.

Ostatnim razem podczas takiego deszczu musiałem wyczołgać się z kryjówki, żeby nie utonąć. Pół godziny temu, kiedy wychodziłem z ambasady, słońce skryło się za chmurami. Teraz ledwie widzę jadące przed nami samochody. Wsłuchuję się w monotony rytm wycieraczek i zastanawiam się nad odpowiedziami na pytania, które teraz są najważniejsze: dlaczego stanowią zagrożenie dla Chen Daia, jakie znaczenie ma lista, czy jedno wiąże się z drugim, a jeśli tak, to w jaki sposób, co łączy ze sobą wszystkie te nazwiska? Zaczynam myśleć, że może Tickner miał jednak rację, a ja przesadzam. Może już nic nigdy nie będzie się zgadzać. Może lista nie ma najmniejszego znaczenia. W końcu Surigao zrobiłby wszystko, byle tylko zdobyć pieniądze.

Gdy taksówka podjeżdża pod hotel, ulewa przeobraża się w mżawkę. W chwilę później, kiedy chodzę po pokoju i próbuję coś wymyślić, wchodzi Kate.

- Mam - oznajmia triumfalnie. Jest przemoczona do suchej nitki.

- Co?

Wyciera ręce i twarz, po czym wyjmuje złożoną kartkę papieru i podaje mi ją.

To mapa przedstawiająca rzekę Chao Phraya. Zaznaczono na niej tereny położone daleko na północ od miasta, gdzie rzeka

tworzy sieć khlungów rozchodzących się we wszystkie strony. Czerwoną linią zakreślona jest jakaś trasa. Wszystko to przypomina mi mapy, którymi posługiwaliśmy się w dżungli, podczas patroli.

- Droga do Timothy'ego?

- Zgadza się. Spodziewa się nas jutro.

- To świetnie - mówię nieporuszony. Jakoś nie jestem w stanie cieszyć się, że wreszcie zdobędziemy upragnioną broń.

- O co chodzi? Masz już dość?

- Jestem w ślepej uliczce. Nie mogę znaleźć powodu, dla którego chcieliby mnie zabić.

- Zdawało mi się, że to miało coś wspólnego z listą.

- Może. Wciąż nadal nie mam najmniejszego pojęcia co. Mam klucz, ale nie wiem, do których drzwi pasuje. To mnie naprawdę wkurza.

- Pokazałeś ją ludziom Agencji?

- Nie.

- A to dlaczego?

- Nie ufam im. Jeśli Surigao mówił prawdę, jeśli ta lista ma naprawdę tak duże znaczenie...

- To jeśli dostaną ją w swoje ręce, nigdy jej nie ujawnią - przerywa Kate.

Przytakuje ponuro.

- Zaczynam mieć wrażenie, że żadna z tych rzeczy nie ujrzy światła dziennego.

- Tu się mylisz.

- Udowodnij.

- Farma. Vann Nath dowiedział się, gdzie ona jest.

- W Pak Seng - mówię obojętnym tonem - w samym centrum prowincji Houa Phan.

- Zgadza się. Skąd wiesz?

- Z Agencji.
- Znalazłeś brakujące ogniwo. Przytakuję z obawą.
- Wygląda na to, że twój mąż został sprzedany grubej rybie ze świata narkotyków.
- Komu?
- Facet nazywa się Chen Dai. Jest bossem wszystkich rolników zajmujących się uprawą opium na tamtych terenach.

Zamyśla się, po czym lekki uśmiech rozjaśnia jej twarz.

- Może takie właśnie jest znaczenie listy. Może wszyscy zapisani na niej zostali sprzedani temu człowiekowi.

- Też mi to przyszło do głowy. A jeśli tak jest?
- To może Vann Nath miał rację.
- W czym?
- John mógł zostać skazany na ciężkie roboty.
- Raczej sprzedany, ale...
- To wcale nie takie niewiarygodne. Mogli ich zmusić do pracy w polu.
- Wątpię, Kate.
- Dlaczego?

Waham się, czy jest sens dalej ciągnąć tę rozmowę. Widzę, że mimo moich sugestii, lat, które strawiła na udzielaniu rad innym rodzinom, by przyjęli najgorszą prawdę, przez cały ten czas miała nadzieję, że jej mąż jeszcze żyje.

- Jestem prawie stuprocentowo pewny, że John został zabity -mówię łagodnym tonem.
- Dlatego, że ten fotograf słyszał strzały? To żaden dowód.
- Fakt. Ale, gdy weźmie się pod uwagę te nowe dane, krzywa prawdopodobieństwa wznosi się coraz bardziej ku górze.
- Krzywa prawdopodobieństwa? - wybucha. - Mówimy o moim mężu, człowieku, nie jakimś obliczeniu na twoim komputerze.

- Przyzwyczajenie zawodowe. Przepraszam.

Uspokaja się i po chwili w jej oczach pojawia się cień zainteresowania.

Wiem, o co zapyta. I boję się odpowiedzieć.

- O jakich nowych danych mówisz?
 - Kate, usiądź - prowadzę ją na mały tapczan, przysuwam fotel i tak delikatnie, jak tylko potrafię opisuję jej haniebny proceder przemytu heroiny w zwłokach zmarłych żołnierzy.
- Oddycha głęboko, jest wyraźnie wstrząśnięta. W gardle więzną jej słowa potępienia.

- Przykro mi.

Odwraca się, opanowuje. Ale się nie poddaje.

- Gdyby to z nim zrobili, to jego ciało wróciłoby do kraju podczas wojny. Przecież ta bestia... Chen Dai... przecież jemu by na tym zależało, mam rację?

- Przyszło mi to do głowy.
- A tak się nie stało. Dlaczego? Może John uciekł. Słyszałeś, co powiedział Vann Nath. Może do niego strzelali, ale nie trafili. Może udało mu się uciec i...
- Kate, myśl rozsądnie. Obydwoje wiemy, że nikt nie byłby w stanie przeżyć dwudziestu lat w dżungli.

- Dwudziestu jeden.

- Nieważne. Chyba to rozumiesz.

Na jej policzkach wykwitają rumieńce, po czym opuszcza głowę z rezygnacją.

- Mówiłaś, że twoim celem jest znalezienie odpowiedzi. Właśnie ci ją dałem.
- To za mało. Powiedziałam: definitywnej odpowiedzi. Jeśli nie mogę mieć Johna, muszę mieć to, co z niego zostało.
- Rozumiem cię i z pomocą Bożą, kiedyś tak się stanie. Wiesz, Kate, zdawało mi się, że repatriacje to zwycięstwo, nie klęska.
- Bo tak jest.
- Nie uważasz, że pora zacząć postępować zgodnie ze swoimi własnymi zasadami?

Przytakuje ze wstydem.

- W głębi serca wiem, jestem przekonana, że John... nie żyje. Ale za każdym razem, gdy zaczyna się tlić choćby promyk nadziei, nie chcę, żeby zgasł.

- Ale musisz przyjąć tę najgorszą prawdę, Kate. Dla swojego dobra. To, co robisz, jest tylko niszczące.

- Po prostu czasem jest tak ciężko. Chyba mnie rozumiesz.

- Oczywiście.

Na chwilę pogrąża się w zamyśleniu.

- Czyli Johna zabrano do Pak Seng?

- Nie. Tam uprawiają to świństwo - odpowiadam i opisuję jej wytwórnę Pepsi-Coli w Vientiane.

- I do niej go zawieźli.

- Tam zwożono ciała amerykańskich żołnierzy, w których następnie przemycano narkotyki - stawiam kropkę nad „i”.

- To tam pojedę.

- Zaraz, zaraz. Chyba się przesłyszałem.

- Szukam tej informacji od dwudziestu jeden lat, Morgan. Chyba nie myślisz, że teraz ustąpię?

- Mówimy o Laosie. To nie Francja ani Włochy. Nie można ot, tak sobie, pójść na lotnisko i wskoczyć na pokład pierwszego lecącego tam samolotu.

- Oczywiście, że można, tylko trzeba mieć wizę. W końcu parę razy tam byłam.

- Piętnaście lat temu.

- No to co? Jest tam przecież amerykańska ambasada.

- Co nie znaczy, że nie ma żadnych ograniczeń.

- Zadzwoń do naszej ambasady w Bangkoku i zapytam.

- Nie. Tickner współpracuje z tymi ludźmi. Jeśli on się o tym dowie, to nie mamy żadnych szans.

- No to co teraz?

- Zobaczymy, co powiedzą sami Laotańczycy.

Schodzimy do holu. W porównaniu z Soi 12 ten hotel to szczyt luksusu. Nie dość, że jest tu winda i mała kafejka, to jeszcze mają budkę telefoniczną, która akurat w tej chwili jest zajęta. Kate kupuje coś do picia. Wreszcie przychodzi na mnie kolej. Pracownik ambasady Laosu przekazuje mi niezbędne informacje.

- No i? - Kate nie może się doczekać.

- Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra to ta, że nie ma żadnych restrykcji wobec obywateli USA.

- A zła?

- Procedura wizowa to dwa, trzy miesiące.

Kate wykrzywia się,

rozczarowana.

- Oczywiście, ale jeśli popełnimy straszny błąd składając podanie w ich ambasadzie w Waszyngtonie.

- Możemy to załatwić tutaj? - pyta z nadzieją. Uśmiecham się szeroko i potakuję.

- Kiedyś to było niemożliwe. Jesteś pewien?

- Tak powiedzieli. Wypełniamy formularze, oni wysyłają teleks do Vientiane i mamy wizy.

- Czyli jednak miałam rację. Uśmiecham się.

- Ale nigdy mi jej nie przyznasz.

- Zgadza się.

- Nie wiem, jak mam to zinterpretować.

- O to właśnie chodzi.

Wybucha śmiechem i wychodzimy z hotelu.

Deszcz wciąż pada. Zostawiamy skuter na parkingu i jedziemy taksówką. Ambasada Laosu jest w centrum miasta naprzeciwko szerokiego khlong na Sathon Tai Road. Wypełnianie formularza trwa krótko, decyzja jeszcze krócej, a wynik jest szokujący. Urzędnik jest zawstydzony, gdy mówi, że nie przyznano nam wiz. Nie ma pojęcia dlaczego; nie podali żadnych powodów odmowy. Wiem, co jest grane. To sprawa Ticknera. Ten człowiek nie traci czasu. W milczeniu wracamy do hotelu.

- Może to i lepiej - mówię ponuro, kiedy wchodzimy z powrotem do pokoju.

- A to dlaczego?
- Nie wiem. Chyba po prostu mam już dość.
- Dość? Poddajesz się po tym wszystkim, przez co przeszliśmy? Po zapłaceniu dziesięciu tysięcy Surigao?
- Jego lista jest nic nie warta.
- Dlaczego tak twierdzisz? Bo nie wiesz, o co w niej chodzi?
- To nie taka prosta sprawa. Przegraliśmy na wszystkich frontach: Surigao nie żyje, Ajacier nigdy nie stanie przed sądem, Chen Dai zarobi jeszcze więcej. A ja nie wiem, co się dzieje z moimi córkami ani jak idą interesy.
- Jeśli mi teraz nie pomożesz, sama się do tego zabiorę.
- Najpierw musisz dostać się do Laosu.
- Na pewno jest jakiś sposób przejścia granicy.
- Trzeba tylko sforsować małą przeszkodę. Nazywa się ona Mekong - odbijam piłeczkę. Mekong to naturalna granica między Tajlandią a Laosem - a z tym będzie trochę roboty. Nie dam rady, chyba wyczerpały mi się baterie.
- Baterie? A co się stało z „A” jak „alem nieustępliwy”? Wzruszam ramionami.
- Ach, rozumiem, teraz oznacza - „alem apatyczny”. Jesteśmy tu niecały tydzień. Wiesz, jaki masz problem? Nie potrafisz być spontaniczny. Za bardzo przyzwyczyłeś się do przewidywania wszystkiego. Bez komputera nie masz pojęcia co robić.
- Jestem, jaki jestem i się nie zmienię. Nie zamierzam czuć się z tego powodu winny.
- Nie o to mi chodzi. Chcę tylko, żebyś wytrzymał jeszcze trochę i poszedł za ciosem.
- Wiesz, znudziło mi się życie ze świadomością, że w każdej chwili ktoś może mnie sprzątnąć.
- I myślisz, że jeśli rzucisz to wszystko w cholere, to twoje życie nagle stanie się bezpieczne?
- Wiem jedno. Nie dadzą mi spokoju, póki będę ich prowokował. Tobie też nie.
- Mnie?
- Zgadza się. Może nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale wiem jedno - ta lista równa się wyrokowi śmierci. A jest na niej nazwisko twojego męża, pamiętasz? Ty uderzysz, oni oddadzą, tylko dwa razy mocniej.
- A jak chcesz uzyskać te odpowiedzi? Co zrobisz? Pstrykniesz palcami i poczekaasz, aż ktoś wniesie je na srebrnej tacy?
- Nie. Chciałbym pstryknąć palcami i zobaczyć w moim łóżku Nancy, nie ciebie. Sztywnieje wyraźnie zraniona. Odwraca się i idzie w drugi koniec pokoju. Jest mi wstyd i idę za nią.
- Przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć.
- Patrzy w okno i nie zwraca na mnie uwagi. Widzę jej odbicie na upstrzonych kroplami szybach. Przygryza wargę, po czym odwraca się i rzuca wyzywająco:
- A cóż takiego chciałeś powiedzieć?
- Nic, zupełnie nic. Nie wiem, jak mam cię przeprosić. Wybacz, to wszystko po prostu wyprowadza mnie z równowagi.
- Żyję z tym o wiele dłużej niż ty.
- Wiem. A propos, od dłuższego czasu miałem zamiar ci coś powiedzieć. Na imię mam Calvert. Przyjaciele mówią mi Cal.
- Tak mi się wydawało.
- To dlaczego ciągle mówisz mi po nazwisku?
- Tak sobie.
- To trochę oficjalne, nie uważasz? Czasami mam wrażenie, że chcesz... nieważne, to w końcu nie moja sprawa.
- Nie, dokończ.
- Że chcesz w ten sposób zachować pewien dystans.
- Boże, mówisz zupełnie jak mój były psychoanalityk. Coś jeszcze?
- Tak, to właśnie z tym było związane.
- Co?

- Ten mój wybuch. Po prostu...
- Zapomnij. Byłam przerażona, chciałam czuć czyjąś bliskość, żeby ktoś mnie przytulił. Trafiło na ciebie, nie rób z tego żadnej sprawy.
- Nie robię. Ja też tego chciałem. Patrzy na mnie z zaciekawieniem.
- Chciałem, żeby ktoś był przy mnie. To znaczy... - przerywam. Nie ma po co dłużej ukrywać uczuć - ...chodzi mi o to, że chciałem, żebyś to ty była przy mnie.
- Patrzy mi głęboko w oczy.
- Przepraszam, że dałem się ponieść. Od śmierci Nancy minęło zaledwie kilka miesięcy. Chyba... chyba po prostu czułem się winny.
- Ja też długo musiałam z tym walczyć - mówi łagodnie.
- I co?
- Jestem na dobrej drodze.
- Stoimy naprzeciwko siebie. Słowa stają się zbędne. Ta chwila jest cudowna, ale jednocześnie jakże krótka, przemija jak błysk światła.
- No, Cal - mówi wreszcie z uśmiechem - to jakie mamy plany?
- To znaczy?
- Jak się dostaniemy do Laosu?
- Nie mam pojęcia, od czego powinniśmy zacząć.
- Wiesz, byle nie od tego, od czego zwykle zaczynasz.
- O czym mówisz?
- O wyliczaniu prawdopodobieństwa.
- Gdybym to zrobił, pewnie natychmiast wróciłbym do Los Angeles. Czy mi się zdawało, czy mówiłaś, że ten Timothy był twoim przewodnikiem?
- Był, zgadza się.
- Zabrał cię kiedyś do Laosu?
- Jasne, nawet kilka razy.
- No to zobaczymy, czy poza bronią ma do zaoferowania coś jeszcze.

32

Nie ma potrzeby myśleć już o czymkolwiek. Teraz pozostaje jedno: zdobyć broń i dostać się do Laosu. Do wytwórni Pepsi.

Przygotowania nie zajmują nam dużo czasu. Wynajmujemy małą łódź z pobliskiej przystani i robimy zakupy w Mah Boon Krong, jednym z wielkich centrów handlowych Bangkoku. Wreszcie możemy zmienić ubranie, rzeczy osobiste i bagaż. Zamiast wyróżniających się w tłumie waliz od znanych projektantów mamy teraz nylonowe torby. Kupujemy też Bangkok Post, dziennik wychodzący w języku angielskim. I tam znajduję notatkę ukrytą na samym dole pierwszej strony.

AJACIER UZNANY ZA ZAGINIONEGO

Znany biznesmen, Philippe Ajacier, przed kilkoma dniami opuścił swoje biuro w budynku Thonburi Film Studios i zniknął bez śladu. Jego współpracownicy złożyli meldunek o zaginięciu, gdy nie pojawił się na zaplanowanym na wczorajszy wieczór pokazie nowego filmu. Podczas konferencji prasowej rzecznik studia poinformował, że pan Ajacier wyjechał w interesach do Vientiane, ale już powinien wrócić. Dotychczasowe śledztwo prowadzone równolegle w obydwu miastach nie przyniosło rezultatów. Rzecznik poinformował, że pan Ajacier jest cenioną i lubianą postacią filmowego świata Bangkoku i nie ma żadnych wrogów.

Tickner miał rację. Chen Dai zaczął porządkować. Cała przyjemność robienia zakupów stała się tylko wspomnieniem. Wróciliśmy do hotelu i od razu rzuciliśmy się na łóżka. Kate stwierdziła, że liczba moich elektronicznych zabawek uległa drastycznemu zmniejszeniu. Został mi tylko zegarek. Ustawiam budzik na szóstą rano. Czeka nas sześćdziesięciokilometrowa podróż łodzią i chcę ją rozpocząć możliwie jak najwcześniej.

Kate bierze prysznic.

Ubieram się i wręcz delektuję zapachem i dotykiem świeżej bawełnianej koszuli. Podchodzę do

okna, zapinając powoli, guzik po guziku.

Słońce wyłania się zza horyzontu. Promienie padają na mikrobus, który zatrzymuje się pół przecznicy od naszego hotelu. Wsiadają dwaj wyglądający na Azjatów mężczyźni. Jeden z nich leniwym krokiem skręca w ulicę obok, drugi podchodzi do kwaciarni naprzeciwko. Staje przy wejściu i niedbale pali papierosa. Uznaję, że to ktoś z personelu czekający na otwarcie interesu przez swojego szefa. Kiedy uspokojony zamierzam odejść od okna, sięga do kieszeni marynarki i wyciąga krótkofalówkę. Agencja? Miejscowa policja? Jeden z bandziorów Chen Daia? Po krótkiej wymianie zdań chowa urządzenie z powrotem do kieszeni i patrzy w stronę hotelu. Jego twarz pokrywa bujny zarost - skądś go znam. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie mogłem się z nim zetknąć, kiedy do pokoju wchodzi Kate. Jest ubrana i wręcz tryska energią. Mokre włosy zawinęła za uszy.

- Masz dobrą kondycję? - pytam.

- Coś nie tak?

Przytakuję z ponurą miną, po czym wskazuję okno.

- Widzisz tego faceta przy wejściu do kwaciarni?

- Tak, a o co chodzi?

- Kiedy go ostatnio widziałem, stał w motorówce z karabinem maszynowym w ręce.

Pakujemy się jak najszybciej i podchodzimy do drzwi. Uchylam je ostrożnie i wyglądam na korytarz. Stoi na nim tylko wózek pokojówki i kilka stosów brudnej pościeli. Wyślizgujemy się z pokoju i biegniemy do drzwi oznaczonych napisem Droga ewakuacyjna. Jesteśmy na zewnętrznej klatce schodowej. Powoli, rozglądając się wokół, schodzimy na dół. Jest tam mały placyk.

Wszędzie sznury z porozwieszoną bielizną. Następnie przemykamy między budynkami na parking, gdzie zostawiliśmy skuter. Znajdujemy go za jednym z narożników.

Przy jednym z samochodów zasłonięty gazetą stoi drugi z mężczyzn. Łapię Kate za rękę i ciągnę ją do tyłu. Za późno. Odrzuca gazetę i rusza w naszym kierunku krzycząc coś do krótkofalówki.

Odwracamy się na pięcie i biegniemy w drugą stronę. Mężczyzna podąża naszym śladem. Wyciąga z kieszeni pistolet. Nie mam już żadnych wątpliwości. Wybiegamy na ulicę po drugiej stronie hotelu. Setki przechodniów, samochody uwięzione w korku. Mieszamy się z tłumem i rozglądamy z niepokojem na wszystkie strony. Z bocznej uliczki wyskakuje człowiek z pistoletem, wyraźnie nas szuka. Próbuję znaleźć jakąś taksówkę. Wszystkie, które nas mijają, są już zajęte.

- Tam! - wykrzykuje Kate zauważywszy jedną, z której właśnie wysiada pasażer. Kiedy ruszamy w jej kierunku, z za rogu wyłania się drugi morderca, ten z brodą. Zauważa nas i przeciska się przez tłum w naszą stronę. Kate otwiera drzwi i wskakuje na tylne siedzenie.

- Żadnego targowania - rzucam, gdy jestem już w środku.

Błyskawiczna wymiana zdań po tajsju i jedziemy. Ostro. Taksówka przeciska się pomiędzy unieruchomionymi autami z zadziwiającą zręcznością i szybkością. Nasi prześladowcy znikają w oddali. Jednakże wkrótce i my stajemy się ofiarami gigantycznego korka i pomimo próby dostania się na nabrzeże różnymi objazdami, docieramy tam dopiero po godzinie.

Wynajęta przez nas łódź czeka już w doku. Ma około pięciu metrów długości, przednią szybę, składany dach i mały silnik. Zrobiono ją z aluminium, jest więc dość lekka.

Po kilku minutach odbijamy. Biorę ster i przesuwam dźwignię gazu ku przodowi. Łódź nabiera prędkości i bez wysiłku ślizga się po powierzchni wody. Z silnika zamiast wysokiego, irytującego jęku wydobywa się ciche, uspokajające mruczenie. Odprężam się - wreszcie nie jestem uzależniony od szalonych kierowców taksówek, tuk-tuków i autobusów; zwłaszcza tych ostatnich, którym najwyraźniej przypadła do gustu myśl o upolowaniu jakiegoś skutera.

Skręcamy na północ, płyniemy pod mostem Phra Pinklao, mijamy nadrzeczne osiedla Bang Phat i Sri Yan i wkrótce jesteśmy już za miastem, pośród wąskich dopływów, wokół których pobudowano wiejskie chałupy osadzone na wbitych w dno wysokich palach.

W szarobrazowej wodzie kąpią się dzieci. Na widok nadjeżdżającej łodzi radośnie machają rękami. Ukryci pod słomianymi kapeluszami sprzedawcy zachwalają ciasta, owoce, warzywa i ryby.

Kate wyciąga z torebki aparat i robi im zdjęcia. Podpływamy do jednego z handlarzy, który przyrządza nam jajecznicę z papryką i wołowiną. Podaje w tekturowym opakowaniu w kształcie

stożka. Kate odkłada aparat i z namaszczeniem przystępuje do jedzenia.

Waham się. Przyzwyczaiłem się do jedzenia nożem i widelcem, równomiernego odkrawania porcji.

- No, nie bój się. Jest przepyszne - mówi, nabiera trochę palcami i daje mi do spróbowania.

Jestem tu zaledwie cztery dni, ale wydaje się, jakby to miejsce było o miliony lat świetlnych od Los Angeles; jakby życie tam tak naprawdę nie istniało. Jednocześnie coraz bardziej przywiązuję się do tej kobiety, kobiety, której prawie nie znam, ale która ujęła mnie swoją nieustępliwością i odwagą.

- Kate, czy mogę cię o coś zapytać?

- Uch, jak to poważnie zabrzmiało.

- Bo to poważne pytanie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Wydaje ci się?

- Masz kogoś? Znaczy, kogoś, z kim jesteś?

- Chodzi ci o kochanka - oznajmia bezceremonialnie. Przytakuję.

- Nie.

- Nigdy? Przez te wszystkie lata?

- Tego nie powiedziałam.

- W każdym razie teraz nie masz nikogo.

- Już od dłuższego czasu.

- Bolesne rozstanie?

- Tak, ale to z mojej winy. Nie mogłam dać sobie z tym rady, więc zerwałam. Obiecałam sobie, że nie zaangażuję się uczuciowo, aż stwierdzę, że potrafię na nowo zacząć normalne życie. Tylko że jak to nastąpi, będzie już za późno.

- Dlaczego tak uważasz? W czym problem?

- W grawitacji - odpowiada i wybucha śmiechem. - Czemu nie zapytasz mnie o to, co chcesz naprawdę wiedzieć?

- To znaczy?

- O to samo, o co pytają mnie znajomi - naśladuje minę i gesty plotkary. - Nie chcę być niedyskretna, Kate, ale co robisz by zaspokoić potrzeby seksualne?

- No, skoro już o tym mowa...

- Intensywna gimnastyka i bujna wyobraźnia.

- Będę musiał wypróbować.

Śmieje się. W oddali rozlega się charakterystyczny ryk silnika łodzi motorowej.

Odwracam się i zauważam ostry dziób przecinający wodę i rozbryzgujący falę. Mniejsze łódki wyglądają teraz jak wyskakujące spod wody nadmuchiwane zabawki. Widzę niebiesko-pomarańczowe pociski świetlne, obracającego się Surigao, jego trupa wypływającego na powierzchnię.

Teraz nasza kolej...

Łódź zbliża się do nas szybko. Bardzo szybko.

Wciskam gaz do dechy i biorę zakręt. Kiedy znikamy z pola widzenia pościgu, wpływam do najbliższego khlungu, ukrytego w głębokich zaroślach. Wyłączam silnik i instynktownie przykrywam przednią szybę iabinę zerwanymi gałęziami.

Ryk silnika staje się coraz głośniejszy, gdy łódź bierze zakręt. Po chwili zagłusza go przenikliwe wycie syreny. Wyglądam przez zarośla i dostrzegam mijającą nas dużą motorówkę. Na burcie widnieje znak czerwonego krzyża.

- Kate? Kate, wszystko w porządku. To ambulans.

- Ambulans?

- Uhm.

Uśmiecha się z ulgą i gdy fala podrzuca łodzią, przytrzymuje się o mnie.

Ruszamy ponownie w górę rzeki zmagając się z silnym prądem. Wpływamy do małej przystani. To miejscowy odpowiednik centrów handlowych; można tu kupić jedzenie, ubrania, paliwo. W równiutkim rządku stoją przycumowane łodzie.

Ambulans jest pośród nich.

W doku, gdzie zgromadził się spory tłumek gapiów, dwaj sanitariusze zajmują się starszą kobietą która zasłała.

Ta przystań jest ważnym punktem. Począwszy od tego miejsca mapa jest dokładniejsza: wszystkie khlongi ponumerowano, trasę oznaczono strzałkami i przypisami. Tankujemy paliwo i ruszamy w dalszą drogę. Kate zajmuje się liczeniem kanałów i odkreślaniem ich na mapie.

- Następny będzie dziewiąty. Tam skręcamy.

Khlong jest wąski i kręty. Brzegi porastają banyany wyrastające, wydawałoby się, wprost z wody. Powoli wchłania nas dżungla. Wkrótce przez gęste zarośla przebijają się tylko wąziutkie promienie słońca. Każdy zakręt, każde wpłynięcie do innego kanału sprawdzamy po kilkakroć na mapie.

Zapada ciemność i robi się coraz zimniej.

Przechodzą mnie dreszcze, nie tyle z powodu zimna, co wspomnień. Zdążyłem już zapomnieć, jak wygląda noc w dżungli: ciemność, niesiony przez wiatr zapach kwiatów i zwierząt, brzęczenie, rechoty i popiskiwanie przerwane wreszcie po chwili, która wydawała się wiecznością, narastającym mrużeniem generatora prądu.

Wkrótce z otaczającej ciemności wyłania się światło. Wpływamy do zatoczki, przy której wzniesiono kilka małych domków na palach. Wykonane są z drewna tekowego i bambusa, przykrywają je dachy ze słomy i blachy falistej. Jesteśmy na miejscu. Przynajmniej tak mi się wydaje. Całkiem możliwe, że skręciliśmy w złym kierunku i jesteśmy teraz w niewłaściwym khlongu. Cumujemy i wnosimy bagaże na poziomy pomost.

- Tim? Timothy? - woła Kate, gdy ruszamy w stronę wejścia. Z chaty wybiega skośnooka kobieta w tradycyjnym, wzorzystym sarongu. Jest chuda, bosa, ma długie włosy.

- Akaman? Panna Akaman?

- Tak, tak, to ja. Pani Ackerman - odpowiada Kate ze zniecierpliwieniem i przechodzi na tajski.

Twarz kobiety rozjaśnia się w uśmiechu. Następuje krótka wymiana zdań, wreszcie Kate zwraca się do mnie:

- Nazywa się Sakri. Twierdzi, że Timothy jest jej mężem.

- Oczywiście, kim innym mógłby być? - żartuję, odczuwając ulgę, że jednak nie zabłądziliśmy.

Sakri prowadzi nas do pokoju gościnnego. Z sufitu sączy się słabe światło jednej żarówki w papierowym abażurze. Na podłodze leży materac, w kącie stoi sofa.

- A gdzie jest Timothy? - pyta Kate.

- Timozy? - powtarza Sakri z mocnym akcentem.

- Tak, jest tutaj?

- Tutaj. Ach, tak. Kate uśmiecha się z ulgą.

- To świetnie. Nie mogę się doczekać spotkania z nim.

Sakri przecząco kiwa głową. Następuje kolejna wymiana zdań po tajsku. Sakri zdaje się nie ustępować, Kate wygląda na coraz bardziej zakłopotaną i zdenerwowaną.

- Mówi, że jest tutaj, ale w tej chwili nie może się z nami spotkać.

- Dlaczego?

- Nie powiedziała.

- Śpi? - pytam i przykładam złożone dłonie do głowy, chcąc w ten sposób wytłumaczyć o co mi chodzi.

Sakri przytakuje bez przekonania, po czym wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

- Dziwne - stwierdza z niewyraźną miną Kate.

- Też nic nie rozumiem.

Jesteśmy wyczerpani. Postanawiamy poczekać z podejmowaniem jakichkolwiek decyzji do rana. Kładziemy się. Słyszę muzykę. Vivaldi? Debussy? Któryś z nich. Nancy wiedziałaby na pewno.

Przegrywamy bój z naszą ciekawością. Prowadzeni przez dźwięki muzyki idziemy do drzwi wychodzących na schody. Wyczuwam lekki zapach. Słodki i dziwnie znajomy. Nie czułem go od dwudziestu czterech lat. Narasta wraz z muzyką, gdy wchodzimy wyżej. Drzwi pawilonu są uchylone. Jestem prawie pewien, co teraz zobaczymy.

Sufitowe belki skupiają się w centrum dachu. Przy ścianach setki książek, wiele z nich spadło na podłogę. W powietrzu unosi się dym. A na plecionym fotelu siedzi, jak się domyślam, Timothy Roark.

Kate kiwa głową, potwierdzając moje przypuszczenia.

Jego ręce zwisają bezwładnie, głowa odrzucona na oparcie, które otacza ją jak olbrzymia aureola, przymknięte powieki. Jest niski, chudy i prawie łysy, na nosie drucziane okulary. Koszulkę przyozdabia rysunek Barta Simpsona mówiącego Yo, dudę!

Po tym co mówił Vann Nath oczekiwałem, że zobaczę długowłosego, umiejętnego dzikusa przepasanego nabojami do karabinu. A przynajmniej byłego komandosa z Zielonych Beretów ubranego w khaki i uzbrojonego po zęby. Zamiast tego jestem w bibliotece z nieszkodliwie wyglądającym okularnikiem, którego bronią jest głupekowaty uśmiech i fajka z opium.

I nawet jednego pistoletu.

33

Poranek.

Nieprzyjemny upał, powietrze przesycone wilgocią - jak zwykle w dżungli.

Wpatruję się w sklepienie. Wciąż czuję opium. Wczoraj zdecydowaliśmy zostawić nieprzytomnego Timothy'ego i iść spać. Kate położyła się na materacu, ja na niewygodnej sofie. Teraz ponownie zaczyna we mnie narastać wściekłość i myślę, co ja tu właściwie robię. Na korytarzu rozlega się szuranie bosych stóp. Po chwili ktoś delikatnie puka do drzwi i zagląda do środka.

To Sakri. Zaczyna mówić do mnie po tajsku.

Jedyne słowo, które rozpoznaję to Timozy. Pokazuję gestem, żeby zaczekała chwilę i przystępuję do budzenia Kate.

- Kate? Kate! No, wstawaj. Powoli otwiera oczy.

- Cześć - mówi zaspianym głosem mrużąc oczy przed światłem, po czym wyczuwa sytuację i unosi się na łokciu. - Co? O co chodzi?

- Nie wiem. Sakri próbuje mi coś powiedzieć. Kate odwraca się i zadaje pytanie po tajsku.

- Mówi, że Timothy nas oczekuje.

- Gdzie? Po co? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Chce, żebyśmy z nią poszli.

Zbieramy się szybko i ruszamy za Sakri. Wychodzimy z domu i idziemy wydeptaną ścieżką prowadzącą w głąb dżungli. Wkrótce

wspinamy się na porośnięte wzgórze. Na szczycie wznosi się maleńka chatka. W miarę zbliżania zauważamy, że wokół stoją rzeźbione drewniane fallusy. Czerwone, białe - od małych, wręcz kieszonkowych, do ponad metrowych.

- Cóż to, u licha?

- Świątynia płodności - wyjaśnia Kate. - W Tajlandii jest ich mnóstwo.

- Wygląda na to, że twój znajomy stracił nie tylko rozum. Nie wiemy, co jest grane, aż do chwili, gdy Sakri prowadzi nas

na tyły świątyni i wprowadza do betonowego bunkra w ziemi. W powietrzu unosi się ciężki zapach oleju i stali. Małe, niskie pomieszczenie ma około czterech i pół metra średnicy. Przez wydrążone w ścianach otwory sący się światło.

W samym centrum, gdzie skupiają się wszystkie smugi światła, widać małą, łysą głowę Timothy'ego Roarka. Wydaje się unosić w powietrzu jak podświetlony globus. Timothy stoi za stołem przykrytym filcem. Wszędzie karabiny maszynowe, pistolety, noże, pudła z amunicją. Sztynnieje na nasz widok. Spogląda to na mnie, to na Kate.

- Kate, jak żyjesz? -pyta wreszcie. W jego głosie słychać więcej zażenowania niż entuzjazmu.

- W porządku, a ty?

- Nie rób takiej zmartwionej miny. U mnie jest OK. Witam pana, panie Morgan - wymieniamy uścisk dłoni - na wypadek, gdybyście byli ciekawi, to to jest moja świątynia. To na górze należy do Sakri. Miła dziewczyna. Jej celem jest urodzić parę dzieciaków. Niestety, zanim ją poznałem, miałem przyjemność kontaktu z bombą odłamkową. Próbuję jej to wyjaśnić, ale ona wciąż twierdzi, że to jej wina.

Kate jest wyraźnie poruszona.

Ja nie. Mnie też wojna dała się we znaki. Jednym pozostały blizny, niektórzy zostali kalekami, inni

impotentami. Zbyt wielu zginęło.

- Ma pan sporo świątyń, panie Roark - mówię ostro - drugą z nich widzieliśmy wczoraj wieczorem.
- Bibliotekę? Przytakuję.
- Książki to moja pasja.
- Mówiłem o opium.
- Ach. Powinien pan spróbować. Może wtedy by się tak pan nie złościł.
- Mam powody.
- Proszę się na mnie nie wściekać. Każdy ma swój narkotyk -jeden oglądają telewizję, inni żłopiają piwo, ja palę fajkę.
- Człowiek, który zamordował moją żonę, nie pracował ani w telewizji, ani w browarze.

Przygląda mi się uważnie.

- To poważna sprawa. Chociaż szczerze mówiąc, zawsze uważałem, że zemsta jako motyw działania jest bez sensu. Człowiek nie umie wtedy jasno myśleć. To niebezpieczne.
- Nie szukam zemsty.
- To w takim razie czego?
- Odpowiedzi.
- Jak Kate?
- Poniekąd.
- I żeby je uzyskać, potrzebujecie broni.
- Musimy mieć równe szanse.
- No, to jeśli chcecie wyrównywać, to... - odwraca się i wyciąga coś z umieszczonego za nim stojaka.

To czarne metalowe pudełko o wymiarach mniej więcej 25 x 2,5 x 5 centymetrów. Od spodu widoczna jest prostokątna kolba pistoletu, przez którą wkłada się magazynek. Obok leży krótka, cylindryczna lufa.

- Ingram, model 11. Automatyczny karabinek maszynowy-oznajmia Timothy - dziewięćmilimetrowe naboje. Magazynek. Trzydzieści naboji. Naładowany waży cztery kilo. Bruzdy i pola lufowe prawoskrętne, jeden obrót piętnaście centymetrów. Maksymalna prędkość 275 metrów na sekundę. Częstotliwość ognia -1145 pocisków na minutę. Prosty, zabójczy, łatwy do ukrycia. Mój ulubiony.

Vann Nath miał rację.

Timothy Roark ma broń. I ma jej dużo. I gdyby musiał, recytowałby z pamięci dane na temat każdego eksponatu ze swojej kolekcji we śnie lub, co bardziej prawdopodobne, w transie wywołanym przez opium. Jednak teraz jego spojrzenie jest jasne i czujne, uścisk dłoni mocny, a niepozornie wyglądające ciało wciąż silne.

- Reszta należy do pana, Morgan - mówi i pokazuje ułożone na stole części.

Przystępuję do montażu broni. Timothy wyjmuję pistolet.

- Fabrique Nationale DA 140. Magazynek. Osiem naboji. Bardzo mały odrzut. Precyzja. Osobiście wolę berettę 92, ale ten jest poręczniejszy i strzela tymi samymi nabojami, co ingram - wciska go do ręki Kate - no, jak?

- Trochę się boję.
- Nie. Masz go tylko szanować.

Kate posłusznie kiwa głową i przygląda się pistoletowi.

- Dowiedziałas się czegoś o Johnie? Dlatego to wszystko?
- Dokładnie mówiąc, na temat jego szczątków - odpowiada spokojnie i patrzy na mnie - został zabity i jego ciało zabrano do wytwórni Pepsi-Coli w Vientiane. Wiem, że to dość dziwnie brzmi, ale dowiedzieliśmy się, że...
- Nie, w porządku. Dużo o tym miejscu słyszałem. Śmierdzący interes. Zły człowiek.
- Wolę określenia: obrzydliwy, okrutny i odrażający - mówi gorzkim tonem Kate.
- Zaprowadzi nas pan w to miejsce? - pytam.
- Nie.
- Kate powiedziała, że jest pan przewodnikiem.

- Byłem.
- Ile pan chce za rezygnację z emerytury?
- Nie ma szans.
- Może jeszcze zmieni pan zdanie. Dam dużo. Pochmurnieje i kręci głową.
- Nie chcę nawet słyszeć.
- Dlaczego? - pyta z niepokojem Kate - o co chodzi, Tim? Stało się coś złego?
- Nie. Mam już po prostu dość patrzenia jak ludzie żyją nadzieją i potem umierają w rozpacz.
- O kim mówisz? - dziwi się.
- O tobie.
- O mnie?
- O rodzinach. Wiesz, o co mi chodzi. Te wszystkie żony, rodzice, bracia, siostry. Bez przerwy przyjeżdżali. Błagali, żeby ich zabrać w te miejsca. Kiedy już tam trafialiśmy, wszystko okazywało się niepotrzebne. Patrzyli wtedy na mnie ze smutkiem, z rozpaczą, bez nadziei - jakbym to ja był winny. Nie mogłem tego znieść.

Kate przytakuje ze zrozumieniem i kładzie pistolet na stole.

Kończę montowanie ingrama i podaję go Timothy'emu.

Odbezpiecza i sprawdza spust.

- Dobra robota.
- Kiedyś byłem naprawdę dobry: I Korpus, Oddziały Specjalne, kompania G.
- Sto Siedemdziesiąta Trzecia Spadochronowa - odpowiada. Żołnierze tej dywizji byli szkoleni w walce i sztuce przeżycia.

Walczyli samotnie, w niewielkich grupkach, z dala od bazy.

- Znałem ludzi takich jak pan. Podziwiałem ich.
- Niestety byliśmy wyjątkiem od reguły.
- Niestety.

Przygląda mi się, po czym kiwa głową i dziwnie się uśmiecha.

- Brak mięśni rekompensowaliśmy inteligencją i odwagą.
- No to co się stało potem?
- O czym pan mówi?
- Wygląda, że marnuje pan to pierwsze, a stracił to drugie.
- Morgan, posuwasz się za daleko.
- Dlaczego? Bo wkurwia mnie gdy widzę kogoś, kto przesypia swoje życie w sercu dżungli?
- Przeszedłem cztery misje. Cztery. Przez całe tygodnie musiałem żyć z ziemi. Spodobało mi się to. Nie musiałem być przed nikim odpowiedzialny. Byłem niezależny. I tak jest teraz - ciska karabinek w moją stronę. - Zobaczmy, czy nie zapomniałeś, jak się z tym obchodzić.

Odwraca się i wychodzi z bunkra. Podążamy za nim obydwój z bronią w rękę. Wyczuwam coś jakby potępienie Kate.

- Trochę przesadziłem, prawda?
- Trochę.
- Przepraszam. Ostatnio nie przepadam za ludźmi, którzy używają narkotyków.
- Rozumiem.
- Nie uprzedziłaś, że jest aż taki.
- Bo kiedy go poznałam, nie był. Mieszkał w Bangkoku. Jednego nie rozumiem - jak to możliwe, żeby ostatniej nocy był tak nabuzowany, a dziś tak bystry?
- Wiesz, kiedyś byłem na kolacji z klientem i jego żoną. On straszliwie się schlał i na dodatek koniecznie chciał mnie odwiedzić do hotelu. Potrzebowałem pracy i nie chciałem go urazić odmową. W końcu zaczął jechać pod prąd. To było straszne: żona wrzeszczy, on klnie na innych kierowców, jakby to oni byli winni, a ja próbuję go namówić, żeby zawrócił.
- Zupełnie jak w Kukuiczym gnieździe.
- Gorzej. Ale następnego dnia facet zachowywał się jakby nigdy nic - był bystry, wygadany i mnie przechytrzył.

Wchodzimy na polankę gdzie jest strzelnica. Ingram jest tak dobry, jak wygląda. Perfekcyjnie dokładny przy strzałach pojedynczych. Ustawiony na automatyczny ogień, rozwala gałąź na pół po zaledwie kilku krótkich seriach. Dopiero po kilku minutach łapię rytm strzału i odrzutu. Broń szybuje w moich rękach. Trudniej mi poradzić sobie z przechodzącym po plecach dreszczem - to dawno zapomniane uczucie, wracają nie chciane wspomnienia.

Kate nie może dać sobie rady z pistoletem. Trudno jej się do niego przyzwyczaić. Na dziewięć strzałów siedem razy pudłuje. Lepiej jej wychodzi, gdy trzyma oburącz.

- Jestem beznadziejna - narzeka.

- Nie przejmuj się - pociesza ją Timothy tonem eksperta - wróg jest zwykle bliżej niż ten cel.

Wystarczy, żebyś mu to przystawiła do głowy i nacisnęła spust.

Kate zmusza się do uśmiechu, daje mi pistolet i odchodzi na bok ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- O co chodzi?

- Nic, nic. Wszystko w porządku.

- Daj spokój, przecież już trochę cię znam.

- Pewnie to głupio zabrzmiało, ale... nie potrafiłabym nikogo zabić.

- I mówi to ta sama Kate Ackerman, która jeszcze kilka dni temu chciała pożyczyć mój pistolet?

Wzrusza ramionami.

- Wtedy po prostu chciałam, żebyś ze mną poszedł. Naprawdę. Nie mogłabym. Wiem na pewno.

- Jasne, że mogłabyś - włącza się Timothy - i powiem ci jak. W Wietnamie parę razy wykonywałem robotę snajpera. Siedziałem i patrzyłem przez noktowizor na jakiegoś faceta, który właśnie jadł

albo pisał list do domu. Wiedziałem, że go zabiję. Wiedziałem, że on jeszcze żyje. Wiedziałem też, że za chwilę mój mózg przekaże impuls do palca i facet umrze. Widziałem ich twarze w chwili trafienia. Za każdym razem. Niektóre z nich widzę do dziś.

- To znaczy, że się wahałeś? - pyta Kate.

- Czasami. Jeśli nawet, to myślałem o moich kumplach, którzy kończyli z roztrzaskaną głową albo wyprutymi bebechami. I trach... - udaje strzał - bez problemu.

- To co innego - sprzeciwia się Kate - byłeś żołnierzem i walczyłeś o przeżycie.

- Z innego powodu nie używa się broni - mówi Timothy. Zabiera mi pistolet i ponownie wciska go do jej ręki.

- On ma rację, Kate. Jeśli będziesz musiała zabić któregoś z tych bandytów, pomyśl tylko, co oni zrobili z Johnem.

- Znam siebie dobrze i wiem, że będę myśleć o tym, że ten człowiek ma żonę i dzieci.

- W porządku. I codziennie je bije. Nie zna litości. Wierz mi.

Uśmiecha się i potrząsa głową, udając zbulwersowanie.

Chwilę później siedzimy we trójkę w bunkrze, zajęci czyszczeniem i oliwieniem broni. Timothy kładzie na stół pudła z amunicją, zapasowe magazynki, po czym dodaje dwie kamizelki kuloodporne.

- Też mogą się wam przydać.

- Czułbym się bezpieczniej, gdybyś jednak poszedł z nami. Timothy odmawia kategorycznie.

Chcę go prosić jeszcze raz.

Kate zauważa to i daje mi do zrozumienia, żebym nic nie mówił.

- Tim, ile razy mnie prowadziłeś? - pyta obojętnym tonem.

- To znaczy, wtedy?

- Uhm.

- Gdzieś tak pół tuzina.

- I za każdym razem nic, nieprawdaż?

Timothy oddech głęboko i przytakuje z ponurą miną.

- Czy kiedykolwiek dałam ci do zrozumienia, że to twoja wina?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek patrzyłam na ciebie, jakbyś mnie zawiódł?

- Nie, Kate. Nigdy.

- I nigdy tego nie zrobię. Przysięgam.
- Waha się przez chwilę.
- Nie nalegaj, Kate. Jeśli nie chce z nami iść, to narobi tylko kłopotów.
- Nie chcę - oznajmia Timothy uroczyście.
- Zgoda.
- Ale doprowadzę was do samej granicy, do Mekongu. Może uda mi się nawet znaleźć dla was jakiś środek transportu na drugim brzegu.
- I pozostanie nam tylko przepłynąć rzekę.
- No właśnie. Chodzenie po wodzie nigdy nie było moją najmocniejszą stroną, chociaż wiem, że Kate pewnie powiedziała ci co innego. Dlatego sprawiłem sobie taką zabawkę.
- Zdejmuje z półki czarną drewnianą skrzynię i rzuca ją na stół. Otwiera zatrzaski i unosi pokrywę. Wewnątrz widzę napis USN APV-2 ZODIAC.
- Morgan, jeśli mi wolno zapytać, zastanawiałeś się, co będziecie robić w Vientiane, jak już się tam dostaniecie?
- Tak. Mniej więcej dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- No i?
- Zamierzamy znaleźć tego „złego” człowieka.
- Chen Daia?
- Tak. I zadać mu parę nieprzyjemnych pytań.
- Jeśli on nie znajdzie was wcześniej.

34

Minęły dwa dni.

Czterdzieści osiem niespokojnych godzin. Spędziliśmy je z Kate u Timothy'ego. On sam pojechał do Bangkoku, żeby przygotować naszą wyprawę na północ.

Tuż przed wschodem słońca ładujemy nasze rzeczy do łodzi i ruszamy w dół rzeki. Jesteśmy dobrej myśli. Z belgijskim pistoletem w torebce Kate i amerykańskim półautomatykiem pod moim płaszczem czujemy się o wiele bezpieczniej.

Tym razem płyniemy z prądem. Do Bangkoku docieramy szybko i bez przygód. Późnym popołudniem zwracamy łódź jej właścicielowi i spotykamy się z Timothyem na stacji Hua Lam-hong, wielkim terminalu kolejowym na Krung Kasem Road. To miejsce sprawia, że czuję się dość nieswojo. Czy tamci już na nas czekają? A jeśli obserwowali wszystkie dworce autobusowe, kolejowe i lotnicze?

Jest godzina szczytu.

Przez perony przewijają się setki pasażerów.

Rozglądam się we wszystkie strony. Tymczasem Timothy każe nam wsiadać do ekspresu do Nong Khai, rolniczo-górniczego miasta nad Mekongiem, ponad 500 kilometrów od Bangkoku.

Zajęliśmy trzy połączone ze sobą przedziały w wagonie sypialnym pierwszej klasy. Do każdego z nich są dwa wejścia: jedno z korytarza, drugie bezpośrednio z peronu. Jak w klasycznym europejskim pullmanie. Dostałem środkowy przedział, Timothy jest przede mną, Kate za mną. Wreszcie, po raz pierwszy od przyjazdu do Bangkoku, będzie mogła mieć odrobinę prywatności i spokoju. Kilka minut po 17.00 głośny gwizd spuszczonej pary oznajmia odjazd pociągu i mechaniczny dinozaur, którego gorący oddech ociera się o nasze okna, rusza przed siebie. Długie, irytujące skrzypienie kół o szyny przechodzi w monotony, spokojny stukot. Jesteśmy na peryferiach Bangkoku i pociąg nabiera prędkości by wspiać się na wznoszące się przed nami góry.

Robimy zbiórkę w moim przedziale, by jeszcze raz omówić plan dostania się do Laosu. To tylko wzmaga napięcie. Chyba dopiero w tej chwili tak naprawdę zdaliśmy sobie sprawę z tego co robimy. Mój żołądek jest zwinięty w supeł. Kate zacisnęła pięści. Timothy zachowuje się jak nadpobudliwe dziecko.

- Nong Khai - mówi i zaznacza końcową stację ołówkiem na rozłożonej mapie - planowany

przyjazd 0.33. Prawdopodobnie przyjedziemy tam z co najmniej półgodzinnym opóźnieniem. Po drodze czeka nas krótki postój, zanim...

- Krótki postój? Można by wtedy wyskoczyć do jakiejś knajpy - żartuję, próbując rozładować napięcie.

- No, co kto lubi - rzuca Timothy.

- Ten człowiek mieszka w Malibu - włącza się Kate z uśmiechem.

- Oj, to nie ma już dla niego nadziei.

Kate zaczyna się śmiać. Ja też. Gdybym powiedział coś więcej, mógłbym wszystko zepsuć. Choć do mnie należałoby ostatnie słowo.

- No, dobrze - podejmuje Timothy. - Wtedy rozłączają wagony. Nasz będzie dołączony do pociągu osobowego, zatrzymującego się na stacyjkach wzdłuż Mekongu. Mijamy Hong Song, Muang Kuk i tutaj wysiadka... - przerywa. Zaznacza miejsce, w którym Mekong skręca na północ - w Tha Bo.

- Wtedy pora na czarną skrzynkę - stwierdzam, patrząc na drewniany kuferek.

- Tak. No i tam się rozstajemy. Będziecie mniej więcej piętnaście, a może nawet mniej, kilometrów na południe od Vientiane, które jest tutaj - zakreśla miasto po drugiej stronie rzeki i radzi, byśmy się zastanowili nad tym, jak dostać się do wytwórni Pepsi i dobrać się do Chen Daia.

Myślę o tym od wielu dni, dlatego też mam już opracowaną strategię: przyjeżdżamy wczesnym rankiem, przed rozpoczęciem pracy. Włamujemy się do biura Chen Daia i tam czekamy na niego.

Kiedy przychodzi, wyciągamy broń, dostajemy ostateczne odpowiedzi i wydostajemy się stamtąd.

Zaskoczenie będzie naszym sprzymierzeńcem, a przeciwnik zostanie zepchnięty do defensywy.

Ponadto, gdyby coś nie wypaliło, będzie naszym zakładnikiem. Niestety, nie znamy ukształtowania i zabudowy terenu, więc szczegóły dopracujemy już na miejscu.

Kiedy kończę, Timothy siada wygodniej i wyciąga małą fajkę i woreczek opium.

- Starczy dla wszystkich - proponuje. Kate unosi dłoń do góry w geście odmowy.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił - mówię zdecydowanym głosem.

- Przykro mi, bez tego nie zasnę.

- Może pomógłby prawy prosty?

Timothy uśmiecha się z wysiłkiem, zapala fajkę i wychodzi do swojego przedziału pozostawiając za sobą słodko pachnącą chmurkę.

- Dobranoc, Kate - woła zamykając drzwi. Kate ze złością ogania się od dymu.

- Aż trudno uwierzyć. Czasem zachowuje się jak dziecko.

- Skoro jest bezpłodny...

- Świetne.

- Dziękuję. Wiesz, właśnie skojarzyłem, że nigdy nic nie mówiłaś na ten temat.

- Jaki?

- O rodzinie. Masz dzieci?

Uśmiecha się ze smutkiem i potrząsa głową.

- Zawsze pragnęłam mieć kogoś, kto trochę byłby Johnem... - jej podbródek zaczyna się trząść i nie kończy zdania.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Muszę po prostu trochę odpocząć.

- Kolorowych snów.

- Wzajemnie, Cal.

Rusza do swojego przedziału, ale zatrzymuje się w drzwiach, podchodzi do mnie i delikatnie muska ustami mój policzek, po czym wychodzi i nie zatrząsa drzwiami.

Przez chwilę stoję bez ruchu wzruszony jej pełnym ciepła gestem, po czym zdejmuję pas z ingramem i wieszam go na drzwiach. W ten sposób będę mógł z łatwością go dosięgnąć. Materac, a w zasadzie wielkie pullmanowskie poduchy są nierówne i twarde, koc drapie i nie jest pierwszej świeżości. Mimo to przykrywam się i wsłuchuję w rytm kół uderzających o szyny. Myślę o Kate i czuję to, co czułem kiedy miałem piętnaście lat i zakochałem się w Nancy. Byłem wtedy bardzo dziecinny i bałem się, że Nancy nie zwróci na mnie uwagi, zacząłem więc palić francuskie papierosy. Chciałem zrobić na niej wrażenie. Wrażenie, owszem, zrobiłem. Tylko że negatywne.

Uśmiecham się na wspomnienie tych dni. Tymczasem odpływam w krainę snu, z której przywraca mnie do rzeczywistości pukanie do drzwi.

- Morgan? Morgan, to ja, Kate - mówi i ponawia pukanie. Tym razem jest głośniejsze. - Hej, Morgan, to ja. Otwórz.

Spuszczam nogi z „łóżka”, jedną ręką przecieram oczy, a drugą wyciągam w stronę drzwi. W chwili, gdy otwieram zamek, uświadamiam sobie, że Kate puka od strony korytarza, zamiast od strony swojego przedziału, i z jakiegoś powodu zwraca się do mnie po nazwisku.

Zanim udaje mi się chwycić ingrama i ukryć się za drzwiami, te zostają niemalże wyrwane z zawiasów.

Dostrzegam znajomy zarys pistoletu z tłumikiem. Po chwili Kate krzyczy i wrywa się z rąk napastnika. Do przedziału wpada brodaty Azjata.

Jedna paniczna myśl: Bierz ingrama! Niestety, leży na półce pomiędzy otwartymi drzwiami a ścianą. Nie mam szansy by go zdjąć. Rzucam się więc na człowieka z pistoletem maszynowym, nurkuję pod lufą i uderzam głową w jego brzuch. Powietrze przecina seria pocisków. Podnoszę się i wytrącam broń z rąk brodacza. Padamy na podłogę słabo oświetlonego przedziału.

Niestety, to on jest górą. Wbija kolano w moje krocze i otrzymuję potężny cios w głowę. Czuję potworny ból, nie mogę zrobić najmniejszego ruchu. Brodacz puszcza mnie i zaczyna rozglądać się po przedziale w poszukiwaniu swojego pistoletu. Za jego plecami pojawia się Kate. W rękach trzyma swój DA 140. Wymierza, po czym zamiast nacisnąć spust, sztywnieje i w jej oczach pojawia się przerażenie.

Wiem, o czym myśli. Bije swoje dzieci! Do jasnej cholery, naprawdę! Strzelaj! Strzelaj! Oni zabili twojego męża! - krzyczę w duchu. Nie mogę zdradzić jej obecności. Podnoszę się na kolana i czołgam w kierunku drzwi. Sięgam po ingrama. W tej chwili napastnik odnajduje swoją broń.

Bierze ją do ręki. Nagle otwierają się drzwi sąsiedniego przedziału.

Wpada Timothy z beretą w dłoni.

Drzwi zasłaniają brodacza, który natychmiast puszcza serię. Pociski trafiają. Timothy pada na drugi koniec przedziału. Uderza w drzwi, które się otwierają. Wypada z pędzącego pociągu.

Kate krzyczy i naciska spust. Trafia, ale jemu udaje się jeszcze odwrócić i skierować lufę w jej stronę. Mam już ingrama, ale zanim udaje mi się zrobić z niego użytek, Kate przystawia pistolet do głowy brodacza i pociąga za spust. Kula przebija jego policzek tuż pod lewym okiem. Napastnik osuwa się bezwładnie na podłogę. Kate opuszcza pistolet i stoi wpatrzona w leżące między nami ciało.

Wydaje się, jakby to była wieczność. Tak naprawdę, od chwili, gdy Kate zapukała do drzwi, upłynęło nie więcej niż 10-15 sekund. Odkładam pistolet na bok i przeszukuję zabójcę - zabieram klucze, portfel i pistolet, po czym wyrzucam jego ciało z pociągu.

- O, Boże. Tak mi przykro - mówi półprzytomnie Kate -wracałam z... byłam... -jej słowa przerywa łkanie.

- No, już. Uspokój się.

- Wracałam z łazienki - wyrzuca wreszcie - ten facet czekał... czekał na mnie. Nie wiedziałam, co robić...

- Był sam? Przytakuje niepewnie.

- Czy był ktoś jeszcze?

Zaprzecza - tym razem zdecydowanie.

- Cał, on nie żyje. Timothy nie żyje. Powinnam była...

- Nie obwiniaj się o to. Niepotrzebnie wpadał tu tak nieostrożnie. Był naćpany, Kate. No i...

Bez przekonania kiwa głową.

- Kate, posłuchaj. Ten facet był zawodowcem. Zobacz, jak mnie urządził.

- Powinnam była strzelić, zanim przyszedł Timothy - odwraca się, łka i kuli się w kącie pryczy.

Zwiesiła głowę, kolana podciągnęła pod brodę.

Wyglądam na korytarz. Na szczęście całe zamieszanie nie zwróciło niczyjej uwagi. Stukot kół zagłuszał wszystko.

Siadam obok Kate. Opiera głowę o moje ramię. Delikatnie głaszczę jej włosy. Tymczasem pociąg

wjeżdża w coraz głębszą ciemność i wspina się coraz wyżej. Mijamy kolejne wioski: Ban Bua, Muang Phon, Nam Phong. Myślę, że zasnęła, kiedy unosi głowę i mówi łagodnie:

- Miałaś rację.
- W związku z czym?
- Jesteś dla nich zagrożeniem.
- Nie wiem, ale jest jeszcze coś.

Przeglądam portfel naszego niedoszłego zabójcy. Oprócz gotówki i kart kredytowych są dokumenty. Na jednym z nich, zalaminowanym w plastiku, jest jego zdjęcie. Wszystkie dane wypisane w nie znanym mi azjatyckim alfabecie.

- Co to jest? Prawo jazdy?
- Uhm.
- Tajskie?
- Nie, laotańskie - odpowiada i pokazuje mi nagłówek Kamp-hang Nakhon Wieng Chan - to znaczy Prefektura Vientiane.
- Czyli ty też miałaś rację.
- Że powinniśmy tam pojechać?
- Uhm. Pepsi-Cola to jest cud... a to, że wciąż żyjemy, jest dopiero cudem.

Przytakuje z niewyraźną miną.

- Ta bestia...
- Chen Dai.
- Tak, teraz już wie, że do niego jedziemy, prawda?
- Jeszcze nie. Zacznie coś podejrzewać, gdy nie pojawi się jego brodaty przyjaciel. A wtedy my już tam będziemy. Z boską pomocą.
- Boga lepiej zostawmy w spokoju - mówi z uśmiechem - wiem, że niezbadane są Jego wyroki, ale tymczasem, dziękuję za Jego łaskę.
- Naskarzę twojemu ojcu, że mówisz takie herezje.
- Nie powinnam ci o nim mówić.

Uśmiecha się i delikatnie dotyka palcami mojej twarzy. W jej oczach pojawia się pożądanie. Powoli, powoli zbliża swoje usta do moich, całuje mnie delikatnie. Po chwili robi to jeszcze raz, bardziej namiętnie. Patrzymy sobie głęboko w oczy. Nagle rozlega się głośny gwizd lokomotywy i czar pryska. Pociąg dojeżdża do kolejnej stacji. Kate odwraca się i patrzy przez okno. Na zewnątrz pojawiają się znaki Udon Thani. Obejmuję ją i delikatnie dotykam ustami jej szyi. Sztywnieje w moich ramionach.

- Nie teraz. Nie tutaj - szepcze - po prostu przytul mnie, Cal. Zgoda?

Obejmuję ją mocno i zastanawiam się, co mogło zepsuć jej nastrój. Przypominam sobie, że właśnie tu, w Udon Thani, stacjonowała jednostka Johna Ackermana. Przytulam się do Kate i patrzę w zalegającą za oknem ciemność. Między drzewami widać światła odległych wiosek.

Do Nong Khai dojeżdżamy grubo po czwartej rano. Zostajemy w przedziale podczas przełączania wagonu i po chwili osobowy rusza na zachód wzdłuż Mekongu. Zniszczone budynki przywodzą mi na myśl francusko-chińskie budowle Sajgonu. Po czterdziestu pięciu minutach jesteśmy w Tha Bo. Miejsce wygląda bardziej na bocznice kolejową niż na stację.

W powietrzu unosi się mgła. Wsiadamy. Ruszamy ścieżką równoległą do torów. Dźwigamy skrzynię. Po chwili za plecami rozlega się tupot. Kate też usłyszała. Spogląda na mnie z obawą i sięga do torebki w poszukiwaniu pistoletu. Oglądam się dyskretnie. Zbliżyła się do nas mężczyzna. Trzyma ręce w kieszeni, przed chłodem chroni go postawiony kołnierz. Gestem nakazuję Kate by szła dalej, a sam przykucam i udaję że zawiązuję sznurówkę. Niezauważalnie wyciągam ingrama. Kroki są coraz głośniejsze. Obok mnie wyrasta cień. Mężczyzna idzie dalej, nie zwracając na nas uwagi. Czekamy, aż zniknie w oddali. Przechodzimy przez tory i ruszamy na północ w stronę Mekongu.

Kate prowadzi, sprawdzając wszystko dokładnie na jednej z map Timothy'ego. Idziemy przez piaszczyste drogi, poletka ryżowe i świeżo zaorane pola uprawne. Przez jakieś dwadzieścia minut nie odzywamy się ani słowem. Jesteśmy wreszcie na wysokim brzegu rzeki, która przecina ziemię

pod nami.

Na drugim brzegu mrugają światła. Wzywają? Od Laosu dzieli nas mniej niż kilometr. Od Vientiane zaledwie piętnaście.

Przedzieramy się przez wysokie krzewy w kierunku piaszczystej zatoczki. Tam otwieramy skrzynię. Wystają dwa pomalowane w paski uchwyty, podciągając je wydobywamy Zodiaca.

Wygląda teraz jak masa starannie zwiniętego, lekkiego i niezniszczalnego tworzywa. Ale wystarczy, żebym wyciągnął .zatyczkę i łódź zaczyna nabierać charakterystycznego kształtu. Zaostrzony dziób i cylindryczne burty wyłaniają się ze sztywnej rufy, która oprócz tego, że łączy to wszystko ze sobą, zawiera jeszcze mały silniczek i ster.

Timothy dokładnie nam wszystko wyjaśnił. Ten mały, dwuosobowy model łodzi został zaprojektowany specjalnie dla komandosów penetrujących szlaki wodne na terytorium wroga. Niby arka Noego, ta łódź zawiera po dwa egzemplarze wszystkiego: latarki, lornetki, nylonowe kamizelki, paczki z farbą do kamuflażu, składane wiosła, porcje żywnościowe i apteczki. Dzięki wręcz genialnemu projektowi i technologii, całość waży około dwudziestu kilogramów.

Zaczynamy od zaczerwienienia twarzy. Następnie zatapiamy skrzynię, zakładamy kamizelki i odbijamy. Mamy mało paliwa. Dlatego też nie włączamy silnika i wiosłujemy z prądem.

Zupełnie jak podczas wojny. W porównaniu z tym, podróż do Timothy'ego to niedzielne żeglowanie po zatoce Santa Monica. Jesteśmy na Mekongu. Mekong nie tylko oddziela Tajlandię od Laosu, płynie dalej, przez tysiące kilometrów na południe, przez Kambodżę i Wietnam - do Morza Południowocchińskiego. W tej rzece pływałem, walczyłem i - tutaj omal nie zginąłem.

W tym miejscu jest trochę węższa. Ostre zakola po obu stronach powodują, że prąd unosi nas łagodnie ku przeciwnemu brzegowi. Mimo to musimy od czasu do czasu korygować kierunek za pomocą wiosła.

Wkrótce, daleko przed nami, wyłaniają się z ciemności światła Vientiane. Teraz musimy dobić do przeciwnego brzegu, zanim prąd znieśie nas dalej i minimy nasz cel: mały kanał wychodzący na przedmieścia miasta. Kate sprawdza przy świetle latarki coś na mapie. Nagle ciemność przesywa strumień światła.

Chwilę później dostrzegam zarys łodzi. Karabin na dziobie wystarcza, żebym wiedział co to może być. Kulimy się w łodzi.

Steruję w kierunku brzegu. Kate wygląda przez burtę w poszukiwaniu boi oznaczającej wejście do kanału. Światło jest coraz bliżej. Czuję pulsowanie krwi w żyłach i łomotanie serca. Łódź patrolowa płynie w naszą stronę, kiedy Kate zauważa wreszcie purpurowe światełko boi. Włączam silnik i przekręcam ster maksymalnie na lewą burtę. Spada na nas deszcz kropelek wody. Wpływam do kanału w chwili, gdy łódź przepływa dokładnie w miejscu, w którym staliśmy przed chwilą.

Nawet nas nie zauważyli.

Płyniemy pod prąd w poszukiwaniu następnego punktu orientacyjnego: małego mostu, gdzie powinniśmy zejść na ląd i zamienić Zodiaca na inny środek transportu. Niestety, cała dolina tonie we mgle, która wkrótce staje się tak gęsta, że nie widzę nawet Kate. Płyniemy dalej. Po chwili z szarości wyłania się posępny kształt. Tak, to tutaj. Dodaję gazu i kieruję łódź ku brzegowi.

Zatrzymujemy się pod wąskim mostem.

Jesteśmy w Laosie.

Ukrywamy Zodiaca w przybrzeżnych zaroślach, po czym zdejmujemy kamizelki i zmywamy farbę z twarzy.

Niski wał prowadzi do drogi wśród pól uprawnych. Z boku wyrasta kępa eukaliptusów, w której, zgodnie z obietnicą Timo-thy'ego, stoi stary peugeot. Lakier jest starty, opony pozdzierane, ale w stacyjce tkwią kluczyki, a na siedzeniu leży plan miasta. Zaznaczono na nim most i wytwórnię Pepsi-Coli oraz najkrótszą trasę łączącą te dwa miejsca. Wyjmuję mazak i przystępuję do pracy.

- Co robisz?

- Bawię się w paranoika.

- Boisz się, że mogą gdzieś na nas czekać?

- Właśnie. Pewna bardzo mądra kobieta nauczyła mnie, żebym wystrzegał się tubylców, którzy sprzedają informacje wrogom.

Szkicuję inną trasę, po czym przekręcam kluczyk. Ku mojemu zaskoczeniu, silnik zapala za pierwszym razem. Wjeżdżam na drogę. Nie zapalam świateł nawet na moście. Stare drewniane belki skrzypią głośno pod kołami samochodu. Droga jest wąska i nierówna. Upewniam się, że nikt za nami nie jedzie i włączam reflektory. Im bliżej miasta, tym droga lepsza i lepiej oznakowana. Jedziemy parę kilometrów Rue Tha Deua na zachód. Za Wat Ammon, porośniętą mchem świątynią, skręcamy w prawo.

Kiedy w oddali pojawia się wielki budynek przypominający magazyn, słońce jest jeszcze ukryte za horyzontem. Budynek nie wyróżnia się niczym szczególnym, tylko na dachu, ozdobiony krzyżącym napisem PEPSI, połyskuje wielki, jasny kapsel.

Ten symbol rozrywki, bąbelków i wolnego rynku, symbol, reklamowany przez Madonnę i Michaela Jacksona, jakoś tu nie pasuje. Cóż znaczy w kraju, w którym mimo oficjalnej nazwy Ludowo-Demokratyczna Republika Laosu panuje komunistyczna tyrania? Wypiłem mnóstwo pepsi i dopiero teraz dostrzegam, że jej barwy to niebieska, czerwona i biała*.

Wjeżdżamy na następne wzgórze. Mamy stąd dobry widok na wytwórnię. Kate wyjmuje lornetki. Przystępujemy do dokładnej obserwacji. Magazyn przypomina mi zakłady z San Fernando Valley: pomalowana stal, płaski dach, wszystko otoczone parkingiem i wysoką siatką. Wjazd i wyjazd strzeżone przez oficerów ukrytych w budkach strażniczych. Przy stanowisku przyległym do każdej z nich elektroniczna skrzynka ze szczeliną na kartę magnetyczną. Całość jest bardzo źle utrzymana

- prawdopodobnie nie chcą zwracać na siebie uwagi.
- Strażnik jest uzbrojony - zauważa Kate z niepokojem.
- To najmniejszy problem.

Przyjechaliśmy zgodnie z planem i teraz fabryka powinna być zamknięta. Wszystkie światła są jednak włączone, a parking zapelniony po brzegi samochodami, skuterami i rowerami.

- Wcześniej zaczynają - stwierdza Kate ponuro.
- I pewnie wcześniej kończą. Będziemy musieli na to poczekać. Kate wzdycha.
- Przed nami długi dzień.

Przytakuję w zamyśleniu. Jest jeszcze jedna możliwość, ale na razie nie chcę niepokoić Kate. Wkrótce dowiem się jak wygląda sytuacja. Po kilku godzinach, dokładnie o ósmej rano, moje czarne przewidywania stają się rzeczywistością: rozlega się głośny gwizd i przychodzi druga zmiana. Nie zaczęli wcześniej - produkcja jest ciągła. Mimo zapewnień Ticknera, rafineria heroiny pracuje pełną parą. Najwyraźniej praca nie ustaje ani na chwilę. Nasz plan poszedł w diabły. Podróż do Laosu w porównaniu z tym, co nas teraz czeka, okazała się miłą wycieczką.

Barwy flagi USA.

35

A tyle razy wbijałem do głowy moim żołnierzom, pracownikom i dzieciom: jeśli coś może się nie udać, to się nie uda.

I tak się stało.

Dwa razy.

Nie dość, że fabryka nie przestała pracować, to na dodatek Chen Dai po prostu się nie pojawił.

Podejrzewam, że przyjedzie w uzbrojonej limuzynie. Dlatego też, chyba że woli małe przybrudzone samochody, wiem, że nie ma go w środku.

Obserwowałem ludzi wjeżdżających i wyjeżdżających z wytwórni przez wiele godzin - jak w serialu, w którym policjanci spędzają pół dnia przyczajeni w samochodach i żywią się pączkami i kawą. W tej chwili oddałbym wszystko za jednego pączka, nie mówiąc już o pomysłach na dostanie się do środka. Wpatruję się w wielki kapsel na dachu i już nie wiadomo który raz próbuję znaleźć jakieś rozsądne wyjście z sytuacji, kiedy podchodzi Kate.

- Coś nowego? - pyta i siada obok mnie. Z rezygnacją potrząsam głową.

Otwiera paczkę z zapasem żywności z Zodiaca i po jednym kęsie wykrzywia się niemiłosiernie.

- Zdawało mi się, że ci z Agencji mówili, że Chen Dai spędza większość czasu właśnie tutaj.
- Albo w swojej posiadłości w Pak Seng.

- Nie możemy tak tu siedzieć i czekać. Prędzej czy później ktoś nas zauważy.
Przytakuję ponuro. Wiem, że przegrałem. Nie mogę ot tak po prostu się z tym pogodzić. Że oto przejechaliśmy taki szmat drogi, że jesteśmy tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

- Poza tym - kontynuuje Kate z uśmiechem - mimo że pochodzę ze wsi, nigdy nie bawiło mnie sikanie w krzakach.

- Dzięki.

- Za co?

- Że poprawiłaś mi humor. Jakieś pomysły?

- Pamiętasz, zajmuję się handlem nieruchomościami. Najbardziej nieprzyjemna sytuacja to jak chcesz sprzedać dom, którego nikt nie chce oglądać.

- Wietnam.

- Co ma piernik do wiatraka?

- Bywałem tam w podobnym położeniu. Najtrudniej było doprowadzić do otwartej walki. Komuniści atakowali i cofali się, atakowali, cofali. Doprowadzali nas do szału.

- Jak ich wyciągaliście z ukrycia?

- Zabieraliśmy coś, co miało dla nich jakąś wartość. Wtedy próbowali to odebrać.

- Nie wiem, co to ma wspólnego...

- Gdyby udało nam się przejąć biuro Chen Daia, wtedy miałyby dużo wspólnego.

- Tak, to by go zwabiło. Ale przecież nie uda nam się nawet przejechać przez bramę, a co dopiero...

- A może się uda - przerywam i obserwuję przyjazd kolejnej zmiany: podjeżdżające samochody, dłonie wciskające karty do elektronicznej maszyny na bramce. Zabieram swoją torbę z tylnego siedzenia i zaczynam przerzucać jej zawartość. - Ten facet pracował dla Chen Daia. Może miał kartę wejściową.

- A gdyby nawet miał?

- Nie gdyby, Kate - odpowiadam i pokazuję jej triumfalnie coś, co do złudzenia przypomina kartę, której używam, żeby dostać się na podziemny parking w moim biurze.

- I co z tego? Przecież nie możemy ot, tak sobie, tam wjechać.

- Nie teraz. Ale jeśli zaczekamy do czwartej...

- Następna zmiana - mówi Kate, która domyśla się, do czego zmierzam.

- Jest taki tłok, że prawdopodobnie nie zauważą jednego samochodu więcej.

- Samochodu może nie, ale nas.

- Nie byłbym taki pewny. Możliwe, że nie będziemy tu pierwszymi gośćmi z Zachodu.

Najważniejsze, żeby zachowywać się naturalnie. Jeśli będziemy sprawiać wrażenie, że nasza wizyta jest oficjalna, to oni też tak pomyślą.

Następne parę godzin zajmuje nam pełne niepokoju sprawdzenie czasu. Dokładnie o 16.00 głośny gwizd oznajmia koniec naszego oczekiwania. Gdy tłok przy bramie osiąga apogeum, ruszamy w kierunku rafinerii. Odkręcam szybę i wyjmuję ingra-ma. Stawiam broń pod drzwiami. Prawą ręką trzymam rękojeść i spust; lewa spoczywa na kierownicy, zgięta w łokciu tak, żeby ukryć broń. Podjeżdżam dopiero, gdy samochód przed nami jest już za bramą. Im strażnik będzie nas krócej widział, tym lepiej. Kiwa ręką w kierunku jednego z odjeżdżających pojazdów, po czym patrzy w naszą stronę. Zaciskam dłoń na ingramie i wsuwam kartę do odpowiedniej szczeliny. Kate sztywnieje z niepokoju. Oddycha z ulgą, gdy szlaban się unosi. Wyciągam kartę i wjeżdżam na parking. Chowam broń pod płaszcz. Przejeżdżamy nie zauważeni przez przyjeżdżających i odjeżdżających robotników, którzy noszą specjalne identyfikatory i wchodzą do środka specjalnym wejściem. Zatrzymuję się po drugiej stronie budynku, gdzie, jak wskazują szerokie schody, podwójne drzwi i rząd okien, urządzono hol i biura administracji.

Przy wejściu stoi uzbrojony strażnik. Podobnie jak ten przy bramie, jest w mundurze. Na jego piersi widnieje karta identyfikacyjna, u boku dostrzegam krótkofalówkę. Czy uzna, że sprawdzono nas przy wjeździe? Dojdzie do wniosku, że jesteśmy tu z oficjalną wizytą? A może nas zatrzyma? Wychodzimy z samochodu i ruszamy w jego stronę zachowując się tak naturalnie jak to możliwe. Zastępuje nam drogę i mówi coś po francusku.

Kate odpowiada po tajsku. Vann Nath wyjaśnił nam, że tajski i laotański są niemal identyczne i oba

te narody nie mają kłopotów z porozumiewaniem się. Z tonu i gestów wynika, że strażnik się czepia, ale Kate jest twarda. Przepychanka trwa do chwili, w której Kate mówi coś, co zaczyna go przekonywać. Po kolejnej krótkiej wymianie zdań kiwa przyzwalająco głową i odsuwa się na bok.

- O co chodziło? - pytam, gdy podchodzimy do wejścia.

- Chciał wiedzieć w jakiej sprawie tu jesteśmy. Wymyśliłam historyjkę, że mamy ważne informacje dla Chen Daia. Powiedział, że go nie ma i kazał nam opuścić teren. Wtedy zapytałam, co będzie jeśli pokażą się ludzie z Agencji i Chen Dai dowie się, że nie zostaliśmy wpuszczeni.

- Ale masz tupet.

- Będzie mi jeszcze potrzebny - mówi z niepokojem. - Tam w środku czeka nas jeszcze jedna kontrola.

Hol wygląda typowo: taras, świetlówki i metalowe ścianki kierujące nas do stanowiska strażnika, które notabene bardziej przypomina korytarz niż biuro. Odwiedzający wchodzi z jednej strony i - jeśli zostaną przepuszczeni przez stojącego w środku oficera - wychodzą z drugiej. Jedyna droga prowadzi obok niego.

- Ta sama historyjka i prośba o dopuszczenie przed szacowne oblicze Chen Daia? - rzuca Kate pełnym napięcia szeptem.

- Nie ma co się cackać - odpowiadam, gdy zauważam wykrywacz metali przy wejściu. Sięgam po ingrama - ten facet ma nas zaprowadzić prosto do biura Chen Daia. Rozumiesz?

Kate przytakuje, po czym sięga do torebki i wyciąga pistolet. Gdy tylko przekraczamy próg, rozlega się piknięcie. Strażnik unosi wzrok znad jakichś papierów i zauważa wycelowanego w siebie ingrama. Sztywnieje. Kate zamyka drzwi, a ja zabieram mu broń.

- Spytaj, czy Chen Dai jutro tu będzie.

Jedyną odpowiedzią strażnika jest nieprzyjazne spojrzenie.

- Powiedz mu, że chcemy się z nim spotkać.

Uśmiecha się z pogardą i patrzy na ingrama. Opuszczam lufę, żeby uwierzył.

- Daj mu do zrozumienia, że jeśli nam pomoże, nic się nie stanie ani jemu, ani Chen Daiowi.

Strażnik patrzy na mnie nieufnie, ale wreszcie odpowiada. Kate krzywi się.

- Powiedział, że w tym tygodniu Chen Dai jest na północy.

- Cholera. Można się z nim skontaktować przez telefon? Strażnik przytakuje skinieniem głowy.

- Powiedz mu, że zakładamy bazę w biurze Chen Daia. We trójkę. Zadzwoń stamtąd.

Kate tłumaczy. Patrzy ze zdziwieniem, gdy zabieram mu naboje i oddaję pistolet.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek się zastanawiał, dlaczego chodzi z pustym futerałem.

- Albo dlaczego opuścił swoje stanowisko.

- O tym nie pomyślałam. Powiedz mu, żeby sprowadził zastępcę.

- Już to zrobiłam.

Strażnik załatwia to przez krótkofalówkę, po czym prowadzi nas na piętro do wielkiego biura, które przypomina mi do złudzenia najdroższe miejsce na stadionie Astrodome. Z tą tylko różnicą, że z okna roztacza się widok nie na boisko, ale na rafinerię heroiny.

A widok jest imponujący.

W odróżnieniu od zniszczonej fasady, wewnątrz jest w każdym calu nowoczesne. Kilometry przewodów i rur łączą ze sobą ustawione w rzędzie wielkie zbiorniki, w których oddziela się superczystą heroinę od opium. Nad nimi skonstruowano całą siatkę przejść, co umożliwia obsługę sprzętu. Jedna ze ścian to wielkie zbiorowisko przełączników, mierników i elektrycznych przyrządów. Pod drugą stoją pięćdziesięciogalonowe beczki z chemikaliami. Wszystko jest sterylnie białe, stanowiska pracy rozdzielają szklane przegrody, pracownicy mają na sobie fartuchy, maski chirurgiczne i gumowe rękawiczki. Wszystko to razem przypomina skrzyżowanie browaru z laboratorium w centrum lotów kosmicznych na przylądku Canaveral.

Wymieniamy z Kate pełne niedowierzania spojrzenia.

Strażnik nie zmienia wyrazu twarzy.

- No, dobra. Każ naszemu przyjacielowi teraz zadzwonić. Niech wymieni nasze nazwiska i poda powód, dla którego tu jesteśmy.

Kate tłumaczy moje polecenie, po czym nadzoruje przebieg rozmowy i kilkakrotnie kiwa głową

dając mi do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Po wymianie kilku zdań strażnik przerywa i podaje mi słuchawkę. Jestem zaskoczony i nie wiem, co robić. Ponagla mnie kiwając energicznie głową.

- Słucham? - mówię z niepokojem.

- Pan Morgan? Najmocniej przepraszam, że nie przywitałem pana osobiście - Chen Dai jest niezwykle serdeczny - ale pańska wizyta jest oczywiście dla mnie zaskoczeniem.

- Wiem. I z przyjemnością informuję, że pański brodaty znajomy pokpił sprawę.

- Na to wygląda. No cóż, jest pan zaiste upartym i godnym podziwu przeciwnikiem. Z niecierpliwością oczekuję spotkania z panem i panią Ackerman. Niestety, zjawię się nie wcześniej niż za parę godzin.

- Proszę się nie spieszyć. Zaczekamy.

- Jak pan sobie życzy, panie Morgan. Tymczasem proszę korzystać z mojej gościnności.

Jego angielski jest wyrafinowany. Oksfordzka składnia, akcent bardziej francuski niż azjatycki, przyjemny głos i, jak wspomniał Tickner, bijąca z każdego słowa pewność siebie. Odkładając słuchawkę czuję się jakby ktoś właśnie wytrącił mi broń z ręki. Czekamy.

W odróżnieniu od tego, co widać za oknem, biuro przypomina Chiny z lat pięćdziesiątych. Ściany pokrywa jedwab i odrealnione pejzaże, na podłodze leży dywan ozdobiony motywami wschodnimi. Wszystkie siedzenia pokryto pięknie haftowanymi narzutami.

Na polecenie strażnika kobieta przynosi nam herbatę i ciasteczka ryżowe.

Zapada zmrok.

Po upływie kilku niespokojnych godzin słyszę jakiś daleki terkot. Jest coraz głośniejszy. Czuję dreszcz niepokoju. Pokój drży. Gdy podchodzę do okna, widzę dwa równoległe błyski, które oświetlają cały parking. Nagle pojawia się helikopter, przez dłuższą chwilę unosi się w powietrzu, po czym ląduje gdzieś z boku.

To Chen Dai.

Strażnik staje przy drzwiach. Kate i ja siadamy naprzeciwko z bronią gotową do strzału. Po kilku minutach słyszymy zbliżające się kroki. Jestem zaskoczony. Spodziewałem się, że będą raczej rytmiczne, marszowe, nie tak ciche. Po chwili słyszę odgłos otwieranych drzwi.

Wchodzi starszy mężczyzna. Nie zwraca uwagi na strażnika, który zamyka za nim drzwi. Jest niski, szczupły, ubrany w szary uniform z mandaryńskim kołnierzem - taki jakie noszą chińscy przywódcy. Jest lekko przygarbiony i wygląda o wiele starszej niż na fotografii, którą widziałem u Ticknera, ale mimo to nie mam wątpliwości - to on - to Chen Dai. Podpierając się laską przechodzi w poprzek pokoju i siada na stojącym naprzeciwko fotelu. Jego stopy ledwie sięgają podłogi. Kiedy wreszcie zasiada, spogląda na oficera ochrony i machnięciem laski nakazuje mu odejść.

- Teraz mnie macie - wyjaśnia, zupełnie jakby czytał w moich myślach. Uśmiecha się niewyraźnie i patrzy na nas w milczeniu.

Odwzajemniam jego spojrzenie: wreszcie jestem twarzą w twarz z człowiekiem, który jest winny śmierci Nancy, który kupił -kupił - męża Kate i kazał go zabić. Trzeba przyznać, że bardziej przypomina Konfucjusza niż Czyngis-chana, czyjegoś dziadka niż legendarnego bandytę. Ma zmęczoną twarz, zapadnięte policzki, bladą i prawie przezroczystą skórę; ale jego spojrzenie jest nadal żywe i nie ma w nim śladu złości ani strachu. To mnie martwi: wie, kim jesteśmy, wie, że mamy broń, porachunki z nim, a on wszedł tutaj sam i bez broni.

Wreszcie jego oczy spoczywają na ingramie.

- Odniosłem wrażenie, że macie państwo pokojowe zamiary.

- Bo mamy - odpowiadam zdecydowanie. - Zadamy parę pytań, pan odpowie i opuścimy to miejsce. Zgoda?

- Zgoda. Ale zapewniam pana, broń nie będzie potrzebna.

- Jeszcze nie usłyszał pan, co mam do powiedzenia o panu i o tej instytucji.

- Ma pan prawo mieć swoje zdanie, uważam, jednak że to, co zdaje się pan sugerować, jest niesprawiedliwe. To wyłącznie humanitarne przedsięwzięcie.

- Niech pan oszczędzi nam tej propagandy, dobra?

- Wy, Amerykanie, zawsze używacie tego argumentu, gdy brakuje wam już innych.

- Jakich?
 - Tak. Powinien pan wiedzieć, że życie tysięcy uczciwych, ciężko pracujących ludzi zależy od naszego sukcesu. To w większości rodziny, które wbrew wszystkiemu próbują wyrwać plon twardej, nieubłaganej ziemi.
 - Dorastałam na farmie - mówi Kate ze złością. - Moja rodzina zmagала się z suszami, powodziami, chorobami roślin. Kilka razy stracili prawie wszystko. Znałam ludzi, którzy mieli mniej szczęścia. Ale nikt nie próbował wykorzystać klęsk i tragedii do usprawiedliwienia postępowania niezgodnego z prawem.
 - Czy utrzymywanie się przy życiu z jedyne go ogólnie dostępnego dobra, które daje ziemia, jest zbrodnią? - pyta Chen Dai retorycznie. - Ja tak nie uważam. Dla prowincji Houa Phan opium jest tym, czym pszenica dla Kansas albo ropa naftowa dla Arabii Saudyjskiej - przerywa. Najwyraźniej przyszło mu coś do głowy. - Najlepiej porównać nas z Arabami. Oni mają urodzaj piachu i ropy. My jesteśmy zasobni w ryż i opium. Gdybym mógł sprzedawać pierwsze za cenę drugiego, z radością dokonabym zmiany profilu produkcji.
 - To chyba jest już możliwe.
 - Będzie - poprawia - a przynajmniej na to wygląda. Mam nadzieję, że projekt rządowy zakończy się sukcesem.
 - A tymczasem będzie pan nadal robił swoje? - wskazuję rafinerię za oknem.
 - No wie pan? Myślałem, że jako konsultant wielu firm, zrozumie pan konieczność zapewnienia sobie zabezpieczenia w razie niepowodzenia.
 - Przecież nie jest pan biznesmenem, tylko...
 - Zgadza się - przerywa spokojnie. - Szczerze mówiąc, to określenie jest dla mnie prawie obelgą. Wolę, gdy nazywa się mnie filantropem.
 - Dziwne, chciałem właśnie powiedzieć, że nie jest pan niczym więcej jak pospolitym handlarzem. Jego spojrzenie jest wciąż spokojne; tylko dłoń zaciska się na rękojeści laski.
 - Jeśli o to chodzi, nigdy nie zamierzałem zmieniać amerykańskich nastolatków w ćpunów. Agencja ds. Zwalczania Narkotyków jest tak samo, o ile nie bardziej, winna temu, że narkomania się rozprzestrzeniła.
 - Sugeruje pan, że jej ludzie są niekompetentni, czy że są skorumpowani?
 - Ani jedno, ani drugie. Za nic nie dają się przekupić. I to jest dla nas źródłem wszelkich problemów. Kilka razy oferowałem im wykup naszych rocznych zbiorów opium za cenę trzy razy niższą niż suma wydatków na walkę z nami. Zawsze odmawiali. Zaskoczył mnie. Znajduję doskonałą odpowiedź, ale zanim wyrzucam ją z siebie, traci wszelkie znamiona ostrości.
 - Chwała im za to.
- Chen Dai uśmiecha się ze zrozumieniem.
- Czy mój stary znajomy, pan Tickner, nic o tym nie wspominał? Przytakuję niechętnie.
 - Jest pan pragmatycznym sukinsynem - to muszę przyznać.
 - Hmm, cóż za komplement. Jak wspominałem, to nie biznes, to walka o przeżycie. I stwierdzam, że w sytuacji zagrożenia bywam jeszcze bardziej twórczy.
 - To dało się zauważyć.
 - No, zakończmy już nasze spory. Jesteśmy przecież w towarzystwie damy... Pani Ackerman, proszę mi wybaczyć ten nietakt.
 - Uważam, że pański brak poszanowania ludzkiej godności jest o wiele bardziej obraźliwy.
 - Niestety nie wiem, o czym pani mówi - odpowiada Chen Dai.
 - Kupował pan ludzi i pozwalał swoim... swoim dzikusom profanować ich ciała. Jak mógł pan robić coś takiego? Jak? Wciąż próbowałam wyobrazić sobie kogoś, kto mógłby dopuścić się czegoś tak potwornego. Nadal nie jestem w stanie.
 - To było bardzo dawno temu. Była wojna, nie kierowały mną pobudki osobiste - zamyśla się i dodaje: - choć, jak mi się zdaje, w pani przypadku jest inaczej.

Kate przytakuje.

- Dwadzieścia jeden lat temu zamordowano mojego męża, a jego zwłoki dostarczono tutaj.
- Bardzo mi przykro - mówi Chen Dai ponurym tonem. - Poszukuje więc pani definitywnej odpowiedzi, jak wy to nazywacie.

- Tak.

- A pan, panie Morgan?

- Moja żona została zamordowana, bo stanowiłem dla pana zagrożenie. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Rozumiem. Mam szacunek dla ludzi, którzy potrafią uporządkować swoje myśli.

- Mieliliśmy dużo czasu, żeby wszystko dobrze rozważyć.

- Daruję państwu wysłuchiwanie opowieści starca, którego pamięć zaczyna już zawodzić. Jak zauważył jeden z moich nieznanych przodków, jeden obraz wart jest tysiąca słów. Proszę za mną. Chen Dai podnosi się niepewnie i podpira na lasce. Czekamy cierpliwie. Rusza powoli w stronę drzwi, mija Kate, zatrzymuje się

i błyskawicznie wyciąga mały chromowany pistolet, który wymierza w jej głowę.

Kate łapie powietrze i odskakuje na bok.

- Pani Ackerman, proszę się nie ruszać - mówi spokojnie.

Patrzą oniemiały. Nie mam pojęcia skąd wyciągnął broń. Żałuję, że nie potraktowałem poważniej jego słów o konieczności zabezpieczenia na przyszłość. Dostrzegam, że brakuje górnej części laski. Jej ozdobna rękojeść była rękojeścią pistoletu, a lufa spoczywała w wydrążonym wnętrzu. Teraz dotyka skroni Kate.

- Panie Morgan, proszę odłożyć broń - mówi Chen Dai bardziej zdecydowanym tonem.

Naprawdę nie marzę o niczym innym poza przecięciem go na pół pociskami z ingrama, ale Kate stoi między nami, dokładnie na linii ognia. Rzucam broń na podłogę.

Chen Dai kopie pistolet na bok i krzyczy coś po laotańsku.

Pojawiają się dwaj wielcy, silni Azjaci w cywilu. Jeden z nich mierzy w nas czymś, co wygląda na uzi. Drugi wyjmując pistolet z torebki Kate, po czym podnosi mojego ingrama z podłogi i przeszukuje nas.

- Nie miejcie do mnie żalu - mówi Chen Dai ze złośliwym uśmiechem. - Przecież nie obiecałem, że wyjdziecie stąd żywi. Obiecałem tylko dać definitywne odpowiedzi. I uzyskacie je - zanim umrzecie.

36

Ciemno i zimno. W uszach dźwięk zamykanych stalowych drzwi. Czy to już koniec?

Jesteśmy gdzieś w podziemiach rafinerii. Prowadzili nas tutaj długimi, krętymi schodami, nie opuszczając ani na chwilę wycelowanych w nasze plecy luf karabinów. Przeszliśmy przez wielki magazyn, w którym stały pojemniki z chemikaliami i wiązki świeżo zebranego opium. Ludzie Chen Daia wepchnęli nas tutaj tak brutalnie, że runęliśmy na betonową podłogę - twardą i zimną, jak bostoński chodnik zimą.

Podnosząc się, rozcieram obolały łokieć i próbuję dostrzec Kate.

- Cal? - słyszę jej drżący głos.

- Kate? Kate, u ciebie wszystko w porządku?

- Chyba tak. Nic nie widzę. Gdzie jesteś?

- Tutaj. Idź w stronę mojego głosu. Będę mówił, dopóki mnie nie znajdziesz. Powoli, ostrożnie, wyciągnij ręce przed siebie i idź tam, skąd słyszysz mój głos.

Szuranie butów, szelest ubrania. Mówię dalej i po chwili czuję, że dotyka mojej dłoni. Padamy sobie w ramiona.

- Co za skurwiel - mówi gorzko.

- Spokojnie, nie denerwuj się.

- Ale tu zimno. Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem.

- Może to piwnica z winem?

Po echu, które powtarza nasze słowa, wiemy, że pomieszczenie jest dość duże. Z wolna, po omacku, posuwamy się w jednym kierunku. Po chwili natrafiam dłonią na ścianę. Powierzchnia jest gładka, metalowa i tak zimna, że palce prawie przymarzają. Stajemy i czekamy, aż nasze oczy przywykną do ciemności. Po kilku minutach zauważam zarys czegoś, co wznosi się przy przeciwległej ścianie. Wygląda na rusztowanie. Może Chen Dai przechowuje tutaj wino. Nie miałbym nic przeciwko wypiciu jednej czy dwóch pękatych butelek Bordeaux. Próbuję określić nasze położenie wobec drzwi. Niestety bez rezultatu. Zbyt często się odwracałem. Teraz muszę się zdecydować na wybór określonego kierunku. Ruszamy w prawo. Po przejściu kilku kroków potykam się o coś i chwytam Kate, próbując utrzymać równowagę.

- Coś się stało?

- Nic, poczekaj.

Przykucam i natrafiam dłońmi na ciało leżące u naszych stóp. To ciało mężczyzny, przynajmniej tak mi się wydaje. Jest sztywne, jakby zamrożone. Kiedy zamierzam wstać, słyszę jakieś pyknięcia, potem ciche brzęczenie. Po chwili całe wnętrze rozjaśnia migocące niebieskawe światło.

Kate znalazła rząd włączników.

Patrzę pod nogi i stwierdzam, że stoję przy zwłokach Ajaciera. Nie widzę żadnych ran i sińców. Ani kropli krwi. Po prostu zamarł. Patrzę na niego i myślę, że teraz rachunki zostały wyrównane...

Kate, która stoi odwrócona do mnie plecami, wydaje z siebie nagle przeciągły krzyk. Krzyczy, krzyczy, nie przestaje krzyczeć ani na chwilę. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak krzyczał.

Nawet na wojnie. Krzyk wydobywa się z głębi jej duszy; jest oznaką śmiertelnego przerażenia.

Podnoszę głowę i zachłystuję się powietrzem. Nie mogę uwierzyć w to, co teraz widzę. ChenDai dotrzymał obietnicy. Mamy nasze definitywne odpowiedzi - a są ich tuziny.

Przed nami ściana - ściana złożona z butów - par butów - wojskowych butów. Pokrywa je delikatny szron. Wyglądają zupełnie jak na punkcie zbiórki przed kostnicą. Tylko że te ciała nie są ani przykryte, ani ułożone w równe stosy jak drzewo na rozpałkę. Leżą ze złączonymi stopami na metalowych półkach - 4 na wysokość, około pięćdziesięciu na szerokość, porozdzielane odstępami umożliwiającymi przejście. Połowa półek jest pusta. Przykrywają jedną ze ścian długiego, wąskiego pomieszczenia, które, jak się okazuje, jest wielką chłodnią. Sieć wsporników powoduje, że wydaje mi się, jakby zwłoki unosiły się w powietrzu. Ciała znajdują się w plastikowych workach, przewiązanych u kostek, z butów zwisają plastikowe koperty z identyfikatorami. Pod przezroczystym materiałem widać dłonie, twarze, mundury...

Stoimy i patrzymy, niezdolni do jakiegokolwiek ruchu. Wreszcie Kate pada w moje ramiona.

Trzęsiemy się ze strachu i przenikliwego zimna, próbując powstrzymać wymioty. Trwamy tak przez kilka minut, ogrzewając się nawzajem i dodając sobie otuchy.

- Lepiej się czujesz? - pytam wreszcie. Nie odpowiada.

- Kate? Żyjesz?

Kiwa ledwie dostrzegalnie głową. Nie patrzy na mnie. Wzrok ma utkwiony w zwłokach, patrzy jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać od nich oczu.

- Siedź tutaj spokojnie przez parę minut, a ja się rozejrzę. Ponownie kiwa głową.

- Chyba powinienem zgasić niektóre światła.

- Nie - rzuca zdecydowanie, po czym puszcza mnie i podchodzi do rzędów butów.

- Kate, nie rób tego - staję na jej drodze.

- Muszę, Cal. Muszę wiedzieć, czy on tu jest.

Rusza wzdłuż półek, zdecydowana i gniewna - tak samo wyglądała wtedy, na molo. Zatrzymuje się przy pierwszej parze butów, próbuje się opanować, odgarnia szron z koperty. Podchodzi do kolejnych zwłok i robi to samo, wkrótce coraz szybciej i szybciej, aż poszukiwania nabierają szaleńczego tempa. Idę za nią i próbuję, raczej bezskutecznie, powstrzymać się przed patrzeniem na ich twarze; Lucas, Carlucci, Nugent, Horowitz, Garcia, Abney, White, Rosenthal, Jackson, Smith, Perez. Powracam pamięcią do tamtego dnia w Waszyngtonie. Wtedy też, prawie tak jak teraz, odgarnąłem szron z czarnej granitowej płyty...

Po dłuższej chwili wyczuwam jakiś dziwny spokój Kate. Patrzę na nią z niepokojem.

Jest gdzieś daleko - obca i nieobecna. Ścisną w dłoni identyfikator na łańcuszku. Gdy podchodzę

zauważam, że jej ręka drży.

Próbuję ją uspokoić i wtedy dostrzegam nazwisko: Ackerman, John W. Ociera łyzy, po czym patrzy mi w oczy. Jest w nich dziwna mieszanka uczuć: rozpacz i ulga. Zupełnie jakby nie obchodziła jej nasza sytuacja, jakby zdecydowała, że teraz może wreszcie umrzeć.

Wiesza łańcuszek na szyi i chowa identyfikator w dłoni. Bez wątpienia, gdybym poszukał, to znalazłbym też i mój - pośród 98 innych umieszczonych na liście. Dokładnie 97 plus zwłoki Pet-tibone'a, oczywiście pod moim nazwiskiem. Przywieziono go tutaj, żeby nikt nigdy nie mógł go odnaleźć. Podobnie, jak Ajaciera. I podobnie, jak nas.

Delikatnie dotykam jej twarzy, na jej policzkach zamarzły łyzy. Dygoczymy z zimna. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymamy. Ze szkoły przetrwania pamiętam, że człowiek narażony na działanie czterdziestostopniowego mrozu i wiatru o prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę może przeżyć co najwyżej piętnaście minut. My jesteśmy dość ciepło ubrani, temperatura wynosi tutaj prawdopodobnie kilka stopni poniżej zera i nie ma wiatru, więc pożyje-my o wiele dłużej.

Zaczynam od stalowych drzwi. Jak się obawiałem, od naszej strony nie ma żadnej klamki, jest tylko dziurka od klucza. I nie ma żadnych innych wyjść, okien, klap czy kanalizacji. Pomieszczenie jest hermetycznie zamknięte. Zastanawiam się co dalej, gdy moją uwagę przyciąga bzyczenie świetlówek. Patrzę na umieszczone przy drzwiach włączniki. Układam w myśli plan działania i wtedy słyszę wołanie Kate.

Na jednej z pustych półek znalazła, kilka pudeł pełnych plastikowych worków, kilka szpulek nici i stosik wojskowych ubrań. Mają pewnie ze dwadzieścia pięć lat, ale niektóre nadają się jeszcze do użytku. Kilkoma z nich okrywam ramiona Kate, jedno narzucam na siebie. Pomaga mi dobrze zawiązać kurtkę i nagle łapie mnie za kołnierz, przyciąga do siebie i mówi nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- Musimy się stąd wydostać.

- Wiem, Kate. Właśnie usiłuję coś wymyślić.

- Nie, Cal, nie rozumiesz, naprawdę musimy. Po prostu musimy. W pierwszej chwili myślę, że oszalała, ale patrzy na mnie

przytomnie i mówi pewnym siebie głosem. Wreszcie pojmuję, o co jej chodzi.

- Dla nich.

Uśmiecha się i kiwa głową.

- Rozumiem. Właśnie zamierzałem powiedzieć, że chyba znalazłem sposób. Streszczam pokrótce, o co mi chodzi i przeglądam zawartość jej torebki w poszukiwaniu czegoś, co może okazać się przydatne. Znajduję aparat fotograficzny. Całkiem o nim zapomniałem. - Są w nim jeszcze jakieś wolne klatki?

Sprawdza licznik i przytakuje.

- Dlaczego pytasz?

- Może być tak zrobiła kilka zdjęć? Przytakuje zdecydowanie i bierze się do roboty. Podchodzę do skrzynki z bezpiecznikami i zdejmuję pokrywę

za pomocą pilnika do paznokci. W środku jest sześć przełączników i splot różnokolorowych przewodów. Powoli, ostrożnie, wyciągam je na zewnątrz. Wszystkie mają standardowe barwy: czarny - dodatni, biały - ujemny, zielony - uziemienie. Przewody tego samego koloru łączą się ze sobą i są okręcone plastikowym izolatorem.

Wyciągam dwie długości zielonego kabla, zdejmuję izolator z czarnego i okręcam wszystko jednym z wyciągniętych przewodów, po czym umieszczam izolator z powrotem na swoim miejscu. Robię to samo z białymi. Następnie wyjmuję jeden z przełączników i rozłączam przewody. Gasną światła po drugiej stronie pomieszczenia. Upewniam się, że przełącznik jest wyłączony, po czym okręcam końcówkę czarnych kabli wokół jednego zacisku, a końcówkę białych wokół drugiego, na koniec dokręcam śruby i wstawiam przełącznik z powrotem na dawne miejsce.

- Co robisz? - podchodzi Kate.

- Dodatkowo przewody podłączam do jednej strony przełącznika, a ujemne do drugiej. Kiedy go włączę, to efekt będzie taki, jakbyś wrzuciła działającą suszarkę do wiadra z wodą.

Przełącznik ma dość mocną zapadkę i wiem, że nie będzie łatwo przesunąć go do góry. Wiedząc, co

się stanie, nie chcę tego robić bez zabezpieczenia. Kate przynosi mi szpulę nici. Przywiązuję jeden koniec do przełącznika i przerzucam ją nad najbliższym ścianą wspornikiem. Dopiero za którymś razem udaje mi się i szpulka ląduje na podłodze po drugiej stronie. Odciągam sznurek jak najdalej od skrzynki, po czym zwijam go delikatnie - chodzi o to, żeby był maksymalnie napięty.

- Gotowa?

Kate przytakuje i patrzy z niepokojem.

Pociągam mocno za sznurek.

Rozlega się głośny trzask przełącznika.

Po chwili wszystkie światła gasną, a skrzynka wyrzuca z wewnątrz deszcz iskier i płomieni. Trwa to kilka sekund, ale skrzynka wciąż świeci, dymi i syczy.

Nie wiem, jak to wszystko działa, ale liczba przewodów i połączeń wskazuje, że musiałem spowodować wyłączenie części sprzętu na górze, a przynajmniej uruchomić gdzieś alarm. W każdym razie mam nadzieję, że ktoś tu zejdzie, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Oczekiwanie w całkowitej ciemności zdaje się trwać wieki. Słyszymy wreszcie metaliczny odgłos otwieranych drzwi. Otwierają się na zewnątrz, nie mogę się więc za nimi ukryć. Kładę się pod skrzynką próbując stworzyć wrażenie, że zabawiałem się prądem i niechcący spowodowałem awarię. Kate kuca w jakimś kącie.

Drzwi otwierają się na oścież.

Smuga światła poszerza się. Staje w niej strażnik i zamyka za sobą drzwi. W jednej ręce trzyma latarkę, w drugiej - pistolet. Rozgląda się wokół, po czym podchodzi do ciągle dymiącej skrzynki. Słyszę jego kroki, po chwili zauważam przed oczami parę butów. Zatrzymują się kilka centymetrów od mojej twarzy. Strażnik ogląda skrzynkę i zwęglony kawałek sznurka. Zaczynam jęczeć chcąc zwrócić na siebie uwagę. Pochyla się nade mną. Kiedy jest już wystarczająco blisko, wyciągam przed siebie rękę z gazem Kate i naciskam spust. Krzyczy z bólu i cofa się zasłaniając twarz dłońmi. Pistolet i latarka lecą na podłogę. Kate podnosi latarkę, ja chwytam pistolet, krótkofalówkę i klucze, które daję Kate. Nie spuszczam oczu ze strażnika, Kate podchodzi do drzwi i po kolei wypróbowuje klucze. Znajduje wreszcie właściwy, otwiera drzwi. Wydostajemy się na zewnątrz. Rozglądamy się wokół. Na szczęście nikogo w pobliżu.

Czujemy się jakbyśmy weszli do pieca. Zdejmujemy wojskowe ubrania i chwilę stoimy w miejscu, czekając aż krew zacznie płynąć w żyłach, aż ciepło przeniknie nasze niemal zamrożone ciała.

Przedzieramy się przez magazyn pełen zbiorników, worków i pudeł, wszystko oznakowane po laotańsku. Kate podchodzi do jednego z pojemników i zaczyna go otwierać.

- Co robisz?

Wskazuje na tajemnicze znaczki.

- Tu są fartuchy, a tam maski chirurgiczne.

Przebieramy się i ruszamy korytarzem. Wielkie drzwi prowadzą do dużego pomieszczenia. Tam się zatrzymujemy. Przed nami - stalowe stoły do przeprowadzania autopsji, tace ze sprzętem do balsamowania i skrzynie transportowe. Wszystko pokrywa ponad dwudziestoletni kurz, ale w powietrzu wciąż unosi się smród chemikaliów i śmierci. To tutaj do ciał zabitych żołnierzy wkładano paczki z heroiną.

Znajdujemy wreszcie schody prowadzące do fabryki. Półpiętro kończy się korytarzem. Po jednej stronie ustawiono szklaną przegrodę - za nią pracujący ludzie. Zza rogu wyłania się jakaś grupka. Idziemy w ich stronę. Gdy się mijamy, jeden z nich mówi coś do Kate, która odpowiada po tajsku. Przyspieszamy kroku i znajdujemy drzwi dla personelu. Przed wyjściem z budynku zdejmujemy fartuchy i maski. Wrzucamy je do śmietnika.

- Mało brakowało - mówi Kate z ulgą.

- To znaczy?

- Ten facet zobaczył moje reeboki. Trudno je tu dostać. Powiedziałam, że mam znajomego w Bangkoku.

Nigdzie nie widać helikoptera Chen Daia. Podchodzimy do naszego peugeota i powoli ruszamy w kierunku bramy wyjazdowej. Mijamy budkę strażnika i wyjeżdżamy poza rafinerię. Powstrzymuje się przed pokusą przyciśnięcia gazu do dechy. Spokojnie jedziemy na południe.

Kate wyciąga się na siedzeniu obok mnie i odrzuca głowę do tyłu. Jest cicha i spokojna. Jedziemy w milczeniu. Wokół ciemność. Po dłuższej chwili Kate nagle się odzywa:

- No, to jak, mamy to, czego chcieliśmy?
- Jasne - odpowiadam i mówię jej do jakich doszedłem wniosków w kwestii listy, po czym dodaję:
- Tickner mówił, że Chen Dai ma coś w zanadru. Teraz wiemy, że dość dużo.
- Gdyby coś się skomplikowało, to oni wszyscy mieli być jego kartą przetargową?
- A niby po co trzymał ich przez tyle lat? Nie mogli się przydać do przemytu, ale byli wręcz idealnymi zakładnikami. Jego groźba brzmiała: „Jeśli nie zostawicie mnie w spokoju, to oni nigdy nie wrócą do kraju”.
- Tak, ale teraz dzięki nam może zapomnieć o swoich pieniądzach.
- Tego właśnie się obawiał.
- Mógł się ich pozbyć.
- I to zrobi. Gdy tylko wuj Sam zacznie dawać forszę.
- A naszym zadaniem jest do tego nie dopuścić. - Kate wyjmuje aparat z torebki i zaczyna przewijać film.

Jedziemy na południe aż do Thanon Fa Ngum, głównego bulwaru równoległego do rzeki, po czym na zachód, do serca Vientiane. Skręcamy w Rue Bartholini - uliczkę łączącą Chantha Kumman i Lan Xang - i na widok kolejnego symbolu wolnego rynku oddychamy z ulgą. Ten też jest czerwono-biało-niebieski, ale, inaczej niż tamten, łożoce na wietrze i zdobi go pięćdziesiąt gwiazdek. Ambasada to suwerenne terytorium, i w chwili gdy oficer dyżurny przegląda nasze paszporty i otwiera bramę, myślę sobie: jak to dobrze być znowu w Stanach.

37

Wygodne łóżko, długi, spokojny sen, dobre jedzenie i gorący prysznic. Jak niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia! Zwycięży dobro i sprawiedliwość.

Coś jest jednak nie w porządku.

Z radości popełniłem nietypowy dla mnie błąd. Przy pisaniu równania zapomniałem, że istnieją jeszcze tzw. czynniki dodatkowe, które mogą mieć decydujący wpływ na jego rozwiązanie. Nawet o nich nie pomyślałem! Za długo nie używałem komputera.

Pierwsza oznaka to informacja o przyjeździe Ticknera i pułkownika Webstera. Pracownik ambasady informuje, że oczekują nas w sali konferencyjnej.

Film został już wywołany i kiedy wchodzimy, zauważamy porozrzucane po stole zdjęcia. Tak jak cała nasza opowieść, stają się prawdziwym zaskoczeniem i wywołują niemały szok. Tickner jest bardziej powściągliwy, natomiast pułkownik wnosi pod niebiosa naszą odwagę. Jednak, gdy tylko kończymy relację, patrzą po sobie, po czym Tickner wbija wzrok to we mnie, to w Kate i wygłasza zadziwiająca kwestię:

- Jestem pewien, że oboje z ulgą przyjęliście zakończenie tej sprawy. Niestety, mnie i pułkownika czeka jeszcze dużo pracy. Dlatego musimy być pewni, że możemy liczyć na waszą współpracę. Współpracę? To mi się nie podoba. Kate spogląda na mnie ze zdziwieniem. Wzruszam ramionami i zamierzam coś odpowiedzieć,
- kiedy jeden z urzędników podtyka mi pod nos jakiś formularz i podaje długopis. Tak samo Kate.
- To nic nadzwyczajnego - wyjaśnia Tickner - po prostu musicie podpisać zobowiązanie, że będziecie milczeć, a te fotografie nie ujrzą nigdy światła dziennego.
 - A jak nie podpiszemy? - rzucam ze złością.
 - Najmocniej przepraszam. Nie chciałem sprawić wrażenia, że was do czegokolwiek zmuszam.
 - Przykro mi, ale nie rozumiem - sprzeciwia się Kate. Webster kładzie rękę na jej ramieniu.
 - Jest jeszcze ponad 2000 zaginionych, Kate - wyjaśnia łagodnie.

Ona kiwa głową ze zrozumieniem. Ja również.

- Proszę pamiętać, to skomplikowana sprawa - radzi Tickner. - Wykorzystamy wasze osiągnięcia - tyle mogę obiecać. Ale nie za cenę zerwania rozmów, do których tak długo w ogóle nie mogło dojść. Poza tym musimy dać sygnał naszej dobrej woli innym szefom gangów narkotycznych i

partyzantom w Azji Południowo-Wschodniej. No, i jeszcze władze...

Podpisujemy dokumenty.

Po upływie kilku godzin dyplomaci zabierają się do pracy, a kilka dni później media celebrują udane zakończenie negocjacji. Podobnie jak my.

LAOS PRYZYŚCĘPUJE DO REPATRIACJI CIAŁ 98 ZAGINIONYCH W AKCJI

Poprawa stosunków politycznych USA-Laos z każdym dniem jest coraz bardziej widoczna. Jej przejawy to pomoc dla ubogiej prowincji Houa Phan i opracowany wspólnie z Agencją ds.

Zwalczania Narkotyków plan wymiany upraw, mający na celu zlikwidowanie produkcji opium i heroiny. Ponadto podpisano umowę dotyczącą repatriacji ciał 98 żołnierzy, którzy zaginęli w Laosie podczas wojny wietnamskiej. Ciała zostały przypadkowo odnalezione przez zespół Laotańskich geologów, którzy prowadzili badania w jednej z licznych w tym regionie podziemnych jaskiń.

Można sądzić że zostały tam ukryte przez partyzantów Meo podczas tzw. „tajnej wojny”. Ci pełni honoru

górcy wojownicy ryzykowali życie odbijając ciała żołnierzy amerykańskich z rąk sił Pathet Lao i Północnego Wietnamu. Uważa się, że przyczyną dwudziestoletniego milczenia w tej sprawie była śmierć wszystkich żołnierzy z tego oddziału. Dyplomaci amerykańscy złożyli rządowi Laosu serdeczne podziękowania za humanitarny gest.

38

A ja i Kate wróciliśmy do normalnego życia.

Kate tak długo czekała na tę chwilę i jest jej teraz o wiele łatwiej niż mnie. Kocham dom w Malibu, ale wiąże się z nim zbyt wiele wspomnień. Za kilka miesięcy sprzedaję go i przeprowadzam się do nadbrzeżnego apartamentu w Marina Del Rey. Mam bliżej do moich klientów, jestem blisko autostrady, a jazda na lotnisko zajmuje mi dosłownie kilkanaście minut. Często widuję się z Kate i córki zaczęły nawet dowcipkować, że powinienem dostać kartę stałego pasażera na loty do Waszyngtonu. Tym razem lecimy wszyscy troje.

Jest chłodny jesienny poranek. Przy pomniku Weteranów Wojny Wietnamskiej zgromadziło się kilkaset osób. Po niebie powoli przesuwają się chmury, odbijające się w czarnej granitowej płycie. Orkiestra wojskowa gra hymn państwowy.

Ja, Kate, moje córki, pułkownik Webster, Tickner, pianista Dick Foster, Jack Collins z NPRC i Vann Nath, który specjalnie przyleciał z Bangkoku, stoimy razem. Na uroczystość przybyli również członkowie obu izb Kongresu, organizacji weteranów, Przyjaciół Pomnika i Krajowego Stowarzyszenia Rodzin. Poza tym przybyły rodziny 98 żołnierzy, których ciała powróciły do ojczyzny. Oprócz tego, że zmieniono symbole przy ich nazwiskach, przywieziono też nowe tablice, z których usunięto czternaście nazwisk. Moje było jednym z nich.

Ostatnie dźwięki hymnu zagłusza ryk silników odrzutowych. Nad naszymi głowami trzy F-15 odbywają pokaz akrobacji powietrznych, tworząc figurę symbolizującą zaginionego żołnierza.

Przelatują bezpośrednio nad pomnikiem i lecą dalej, wzdłuż Mali. Ciszę, która zapada po ich zniknięciu, przerywa salut z dwudziestu jeden karabinów. Przed szereg występuje sierżant w stroju galowym, podnosi trąbkę do ust i sygnałem oddaje cześć poległym.

Pierwszy dźwięk wystarcza, żeby oczy zaszczyły mi łzami. Przypominam sobie tych wszystkich bohaterów, z którymi miałem zaszczyt walczyć ramię w ramię, wszystkie te dzieciaki, które zginęły w moich ramionach.

Po zakończeniu uroczystości Kate i ja przedzieramy się przez tłum do tablicy, na której wyryto nazwisko jej męża. Z czułością dotyka liter i zatrzymuje rękę na symbolu oddzielającym je od pozostałych.

- Zobacz - mówi z uśmiechem - jego los jest już znany. Zdejmuje bransoletkę z napisem Zaginiony w akcji i kładzie ją pod tablicą.

Odwracamy się i widzimy setki płaczących ze szczęścia ludzi, ściskających się, wskazujących nazwiska na murze. Minęły lata niepewności i bólu - otrzymali definitywne odpowiedzi. Nic nie może wyleczyć mnie z bólu po utracie Nancy, ale czuję się trochę lepiej wiedząc, że jej śmierć nie

poszła na marne. Że wszystko się jednak zgadza - cel, przyczyna, nadrzędny plan.

- To prawda, wiesz? - mówię szeptem i biorę Kate za rękę -niezbądane s wyroki boskie.

Dopiero po chwili dociera do niej, co powiedzialem i uśmiecha się ze zrozumieniem.

- Tak - mówi łagodnym tonem - mój ojciec miał jednak rację.

KONIEC